

SERIA Z MERCEDES THOMPSON

PATRICIA BRIGGS

ZEW KSIĘŻYCA

Mroczny, bezlitosny
świat wilkołaków
– na wyciągnięcie ręki



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

Spis treści

Karta tytułowa

Seria z Mercedes Thompson

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Fabryka Słów proponuje

Karta redakcyjna

Okładka

PATRICIA
BRIGGS
ZEW KSIEŻYCA

PRZEŁOŻYŁA
ILONA ROMANOWSKA

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Seria z Mercedes Thompson:

1. *Zew księżycyca*
2. *Więzy krwi*
3. *Pocałunek żelaza*
4. *Znak kości*
5. *Zrodzony ze Srebra*
6. *Piętno rzeki*
7. *Żar mrozu*
8. *Night Broken*

Podziękowania

Jak zwykle książka ta by nie powstała, gdyby nie cała moja ekipa redaktorska: Michael i Collin Briggsowie, Michael Enzweiler (który również rysuje mapy), Jeanie Matteucci, Ginny Mohl, Anne Peters i Kaye Roberson. Chcę również podziękować mojej cudownej redaktorce z wydawnictwa Ace, Anne Sowards, i agentce Linn Prentis. Bob Briggs odpowiedział na mnóstwo pytań dotyczących przyrody Montany i wilków. No i Mercedes ma ogromny dług u Bucka, Scotta, Dale'a, Brady'ego, Jasona i wszystkich innych ludzi, którzy przez lata majstrowali przy naszych volkswagenach. Dziękuję wam. Jakiegokolwiek błędy znajdujące się w niniejszej książce są mojego autorstwa.



Rozdział 1

Z początku nie zdawałam sobie sprawy, że jest wilkołakiem. Mój nos nie funkcjonuje najlepiej w smrodzie smaru do osi i spalin ropy – no i nie jest też tak, że dookoła biega wiele zbłąkanych wilkołaków. Więc gdy ktoś grzecznie chrząknął w pobliżu moich stóp, pomyślałam, że to klient.

Majstrowałam pod komorą silnika jetty, montując przekładnię do jej nowego domu. Jedną z wad samotnego prowadzenia warsztatu było to, że musiałam przerywać robotę za każdym razem, gdy zadzwonił telefon lub gdy przyszedł jakiś klient. Robiłam się wtedy zrzędliva, a to nie pomagało w interesach. Mój wierny pomocnik w biurze i przy narzędziach wyjechał na studia i jeszcze nikim go nie zastąpiłam – trudno znaleźć kogoś, kto chciałby wykonywać robotę, której nawet ja się brzydzę.

– Za sekundkę się panem zajmę – powiedziałam, próbując nie zabrzmieć zgryźliwie. Robię, co w mojej mocy, by nie odstraszać klientów, jeśli tylko coś mogę na to poradzić.

Niech szlag trafi dźwignię przekładni. Jedyne sposoby na umieszczenie jej w starej jetcie polega na wykorzystaniu siły mięśni. Czasami fakt, że jestem kobietą, przydaje się w moim fachu – w niektóre miejsca męskie dłonie po prostu się nie

mieszczą. Jednakże nawet podnoszenie ciężarów i ćwiczenia karate nie zdołają uczynić mnie tak silną, jak silny może być mężczyzna. Zazwyczaj lewarek stanowi kompensatę, lecz czasami nic nie zastąpi tężyzny fizycznej, a ja mam jej zaledwie tyle, by móc wykonywać tę robotę.

Stękając z wysiłku, za pomocą jednej ręki i kolana umieściłam przekładnię we właściwym miejscu. Drugą ręką wsunęłam sworzeń i zaczęłam go przykręcać. Jeszcze nie skończyłam, ale przekładnia pozostanie na miejscu, podczas gdy ja będę się zajmować klientem.

Wzięłam głęboki oddech i rozciągnęłam usta w najszerszym uśmiechu, na jaki było mnie stać, po czym wytoczyłam się spod samochodu. Wytarłam ręce w szmatę.

– W czym mogę pomóc? – zapytałam, zanim zdążyłam się przyjrzeć nieznajomemu. I zanim do mnie dotarło, że nie był klientem, chociaż bez wątpienia potrzebował pomocy.

Jego wytarte na kolanach džinsy były poplamione zaschniętą krwią oraz ziemią. Na brudną koszulkę miał narzuconą przyciasną flanelową koszulę – nieodpowiednie ubranie jak na listopadowe popołudnie na wschodzie stanu Waszyngton.

Wyglądał mizernie, jak gdyby ostatni raz posilał się dość dawno temu. Chociaż mój nos nadal tkwił w przenikających warsztat oparach benzyny, ropy i substancji zapobiegającej zamarzaniu, wyczułam, że minął równie długi czas, odkąd chłopak widział prysznic. Spod warstwy brudu i potu przebijał zapach pierwotnego strachu, wymieszany z charakterystyczną wonią wilkołaka.

– Zastanawiałem się, czy nie miałyby pani dla mnie jakiegoś zajęcia – powiedział z wahaniem. – Nie chodzi o prawdziwą pracę, proszę pani. Tylko taką na kilka godzin.

Wyczułam jego niepokój. Zaraz potem załapała go fala adrenaliny, kiedy zaprzeczyłam ruchem głowy. Zaczął mówić tak szybko, że kolejne słowa zdawały się na siebie zachodzić.

– Praca też byłaby okej, ale nie mam NIP-u, więc musiałyby być na czarno za gotówkę.

Większość ludzi, którzy szukają pracy za gotówkę, to nielegalni imigranci próbujący przetrwać od pory zbioru do zasiewu. Ten chłopak, oprócz faktu, że był wilkołakiem, był białym Amerykaninem o kasztanowych włosach i brązowych oczach. Sądząc po wzroście, mógł mieć osiemnaście lat, ale moje zmysły – które są całkiem czułe – określiły jego wiek na bliższy liczbie piętnaście. Miał szerokie, ale kościste ramiona, a dłonie nienaturalnie duże, jak gdyby tylko one osiągnęły ostateczne rozmiary.

– Jestem silny – powiedział. – Nie znam się za bardzo na naprawianiu samochodów, ale pomagałem wujkowi utrzymać jego garbusa na chodzie.

Wierzyłam, że jest silny – jak każdy wilkołak. Gdy tylko do moich nozdrzy dotarł wyraźny, piżmowo-miętowy zapach, poczułam przemożną chęć, by go usunąć ze swojego terytorium. Jednakże, nie będąc wilkołakiem, nie jestem kontrolowana przez instynkty – to ja je kontroluję. No i do tego chłopak, drżąc pod wpływem zimna i wilgoci listopadowej pogody, obudził we mnie inne, silniejsze instynkty.

Prowadzę prywatną politykę niełamania prawa. Stosuję się do ograniczeń prędkości, ubezpieczam samochody, płacę nieco więcej podatku niż muszę. Dałam dwudziestkę albo dwie ludziom, którzy prosili, ale nigdy nie zatrudniałam kogoś, kto nie mógłby się pojawić na mojej liście płac. Pozostawał jeszcze jeden problem – chłopak był wilkołakiem, w dodatku nowym, o ile jestem dość kompetentna, by to ocenić. Młodzi w mniejszym stopniu kontrolują swoje wilki.

Nie skomentował, że to dziwnie spotkać kobietę mechanika. Z pewnością przez jakiś czas mnie obserwował, na tyle długo, by do tego faktu przywyknąć. Tak czy inaczej, nic nie powiedział, dzięki czemu zdobył kilka punktów – wciąż jednak zbyt mało, by zasłużyć na to, o czym właśnie myślałam.

Potarł dłonie i zaczął w nie chuchać, aby rozgrzać poczerwieniałe z zimna palce.

– W porządku – powiedziałam wolno. Nie była

to najmądrzejsza decyzja, ale jedyna, jaką mogłam podjąć, widząc, jak chłopak się trzęsie. – Zobaczymy, czy dasz sobie radę. Tam jest pralnia i prysznic – wskazałam na znajdujące się na tyłach warsztatu drzwi. – Mój ostatni asystent zostawił stare ciuchy robocze. Znajdziesz je na wieszaku w pralni. Jeśli chcesz, weź prysznic i się przebierz, a ubrania, które masz na sobie, wrzuć do pralki. W pralni jest lodówka, a w niej kanapka z szynką i napój gazowany. Zjedz i wróć, jak będziesz gotowy.

Położyłam nacisk na „zjedz” – nie miałam zamiaru pracować z głodnym wilkołakiem, mimo że do pełni księżyca pozostawały prawie dwa tygodnie. Niektórzy ludzie twierdzą, że wilkołaki zmieniają kształt tylko podczas pełni, ale według innych duchy nie istnieją. Chłopak zeszywniał, kiedy usłyszał polecenie. Podniósł oczy, napotykając mój wzrok.

Po chwili wymamrotał „dziękuję” i zniknął za drzwiami, które delikatnie za sobą zamknął. Wypuściłam powietrze z płuc. Zwykle nie jestem aż tak głupia, by rozkazywać wilkołakowi – to przez tę całą hecę z koniecznością dominowania.

Instynkty wilkołaków bywają uciążliwe – właśnie dlatego wilkołaki nie dożywają późnego wieku. Przez te same instynkty ich dzicy bracia przegrali z cywilizacją, podczas gdy kojoty mają się dobrze, nawet w obszarach zurbanizowanych, takich jak Los Angeles.

Kojoty są moimi braćmi. Och, nie jestem kojotołakiem, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Jestem zmiennokształtna.

Termin ten ma swoje źródło w wierzeniach południowo-zachodnich Indian. Wiedźmy niektórych plemion, zwane „skórokształtnymi”, za pomocą odpowiedniego rodzaju skóry przyjmują postać zwierzęcia i wędrują po okolicy, sprowadzając na ludzi choroby i śmierć. Biali osadnicy mylnie używali tego określenia w stosunku do zmiennokształtnych i nazwa ta do nas przyłgnęła. Obecna sytuacja nie pozwala nam na sprzeciw – nawet gdybyśmy się ujawnili jak pomniejsi nieładzie, jest nas zbyt mało, by ktokolwiek zaprzętał sobie głowę naszym zdaniem.

Nie sądziłam, by chłopak wiedział, czym jestem.

W przeciwnym razie nie odwróciłby się do mnie plecami – do mnie, czyli do innego drapieżnika. Ani nie przeszedłby przez drzwi, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Wilki może i mają bardzo dobry węch, ale warsztat przepełniały intensywne zapachy, a poza tym wątpiłam, by chłopak kiedykolwiek wcześniej spotkał kogoś takiego jak ja.

– Czyżbyś właśnie znalazła zastępstwo za Tada?

Odwróciłam się. Do warsztatu wszedł Tony, który najwyraźniej przez jakiś czas mnie obserwował. Był w tym dobry – na tym polegała jego praca.

Miał gładką skórę i czarne, zaczesane do tyłu i związane w krótki kucyk włosy. W prawym uchu nosił diamentowy ćwiek oraz trzy małe kółka – od naszego ostatniego spotkania przybyły dwa. W cienkiej koszulce eksponującej rezultaty wielogodzinnego podnoszenia ciężarów i rozpinanej bluzie z kapturem wyglądał jak z plakatu werbunkowego latynoskiego gangu.

– Negocjujemy – odparłam. – Na razie tylko na jakiś czas. Pracujesz?

– Nie. Dali mi dzisiaj wolne za dobre sprawowanie.

Temat mojego nowego pomocnika najwyraźniej nie dawał Tony’emu spokoju, ponieważ po chwili powiedział:

– Widywałem go w pobliżu przez kilka ostatnich dni. Wydaje się w porządku – może to jakiś zbieg.

„W porządku” oznaczało zero narkotyków i przemocy. To ostatnie mnie uspokoiło.

Kiedy jakieś dziewięć lat temu zaczęłam pracować w warsztacie, Tony prowadził mały lombard tuż za rogiem. Ponieważ właśnie tam znajdował się najbliższy automat z napojami, widywaliśmy się dość często. Po jakimś czasie lombard przeszedł w inne ręce. Nic sobie z tego nie robiłam, dopóki nie wyczułam, że to właśnie Tony stoi na rogu ulicy z kawałkiem kartonu zawieszonym na szyi: PODEJMĘ PRACĘ ZA JEDZENIE.

Mówię „wyczułam”, ponieważ dzieciak z zapadniętymi oczami

nie przypominał stonowanego, radosnego mężczyzny w średnim wieku, który niegdyś prowadził własny interes. Wstrząśnięta przywitałam go, używając imienia, pod jakim go znałam. Dzieciak spojrział na mnie jak na wariatkę, ale następnego ranka Tony czekał przy warsztacie. To właśnie wtedy postanowił mi powiedzieć, czym się zajmuje. Wcześniej nawet nie podejrzewałam, że w miejscach tak małych jak Tri-Cities pracują tajniacy.

Od tamtego dnia wpadał do mnie co jakiś czas, z początku za każdym razem w innym przebraniu. Mój warsztat znajduje się na obrzeżach dzielnicy, która niemal dorównuje Kennewick, jeśli chodzi o wskaźniki przestępczości, więc mógł mnie odwiedzać, kiedy miał w okolicy jakieś zadanie. Wkrótce zrozumiałam jednak, jaki był prawdziwy powód tych wizyt – czuł się zakłopotany, że go wtedy rozpoznałam. Przecież nie mogłam mu powiedzieć, że go wyczułam, prawda?

Jego matka była Włoszką, a ojciec Wenezuelczykiem. Ta mieszanka genów nadała jego twarzy rysów, a skórze koloru, dzięki którym mógł uchodzić za kogokolwiek, począwszy od Meksykanina, a na Afroamerykaninie skończywszy. Mógłby też z powodzeniem udawać osiemnastolatka, gdyby wymagała tego sytuacja, chociaż musiał być ode mnie kilka lat starszy – liczył sobie jakieś trzydzieści trzy wiosny. Mówił płynnie po hiszpańsku i potrafił zabarwić swój angielski połową tuzina różnych akcentów.

Wszystkie te atrybuty pozwoliły mu zdobyć pracę tajniaka, ale to dzięki językowi ciała był w niej naprawdę dobry. W jednej chwili potrafił kroczyć, kołysząc biodrami, jak to często czynią przystojni młodzi Latynosi, a w drugiej szurać nogami jak narkoman na głodzie.

Po jakimś czasie pogodził się z faktem, że nie można mnie zmylić przebraniem, za pomocą których potrafił oszukać szefa i, jak twierdził, własną matkę, ale wtedy byliśmy już przyjaciółmi. Nadal wpadał pogawędzić przy filiżance kawy lub gorącej czekolady, kiedy akurat przejeżdżał w pobliżu.

– Wyglądasz bardzo młodo i męsko – powiedziałam. – Czy te kolczyki to element nowego wizerunku policji Kennewick? Policja w Pasco ma dwa kolczyki, więc gliny z Kennewick muszą mieć cztery?

Tony wyszczerzył zęby w uśmiechu, przez co wydał się starszy i bardziej niewinny.

– Przez kilka ostatnich miesięcy pracowałem w Seattle. Mam też nowy tatuaż. Na szczęście dla mnie w takim miejscu, gdzie moja matka nigdy go nie zobaczy.

Twierdził, że panicznie boi się matki. Osobiście nigdy jej nie poznałam, ale kiedy o niej mówił, pachniał szczęściem, a nie strachem, więc nie mogła z niej być aż taka wiedźma.

– Co się stało, że postanowiłeś zawitać w moje skromne progi?

– Chciałem zapytać, czy nie zerknęłabyś na samochód pewnej osoby – powiedział.

– To volkswagen?

– Buick.

Uniosłam brwi.

– Mogę go obejrzeć, ale nie specjalizuję się w amerykańskich samochodach, nie mam odpowiednich komputerów. Twój znajomy powinien pojechać z nim gdzieś, gdzie się znajdują na buickach.

– ONA już była u trzech różnych mechaników. Wymieniła sondę, świece zapłonowe i Bóg jeden wie, co jeszcze. Nadal coś jest nie tak. Ostatni facet stwierdził, że nie obejdzie się bez wymiany silnika i że mógłby go załatwić za dwa razy tyle, ile jest wart cały samochód. Ona nie zarabia zbyt wiele, a potrzebuje tego samochodu.

– Dobra, nie policzę za przegląd, a jeśli stwierdzę, że dam radę go naprawić, to się do niej odezwę. – Odrobina złości, jaką dosłyszałam w głosie Tony’ego, podsunęła mi pewną myśl. – Czy to TWOJA pani?

– To nie jest moja pani – zaprotestował nieprzekonująco.

Przez ostatnie trzy lata miał oko na jedną z policyjnych dyspozytorek, wdowę ze zgrają dzieciaków. Nie zamierzał jednak

niczego z tym robić, ponieważ kochał swoją pracę – a jego praca, jak mawiał ze smutkiem, nie sprzyjała randkom, małżeństwu ani wychowywaniu dzieciaków.

– Niech podjedzie. Może zostawić tego buicka na dzień lub dwa. Zapytam Zee, czy nie znalazłby chwili, żeby rzucić na niego okiem. – Zee, mój były szef, przeszedł na emeryturę, kiedy sprzedał mi warsztat, ale wpadał co jakiś czas pogrzebać przy autach, „żeby nie wyjść z wprawy”. Wiedział o nich więcej niż cała ekipa inżynierów z Detroit.

– Dzięki, Mercy. Jesteś wspaniała. – Tony zerknął na zegarek. – Muszę lecieć.

Pomachałam mu na pożegnanie i wróciłam do montowania przekładni. Samochód współpracował, co się rzadko zdarza, więc nie zajęło mi to zbyt wiele czasu. Zanim mój nowy pomocnik wyłonił się czysty i odziany w stary kombinezon Tada, zaczęłam montować pozostałe części. Nawet kombinezon nie był w stanie uchronić przed zimnem na zewnątrz, ale w warsztacie, przy włączonym wielkim kaloryferze, nie odczuwało się chłodu.

Chłopak pracował szybko i sprawnie – nie ulegało wątpliwości, że miał już okazję spędzić kilka godzin z głową pod maską samochodu. Nie stał z boku, obserwując, lecz wręczał mi odpowiednie części, zanim zdążyłam o nie poprosić. Odgrywał rolę małpki podającej narzędzia w taki sposób, jak gdyby zdążył do tego przywyknąć. Albo był z natury małomówny, albo nauczył się trzymać gębę na kłódkę, ponieważ przez parę godzin pracowaliśmy głównie w ciszy. Skończyliśmy pierwszy samochód i wzięliśmy się za następny, zanim postanowiłam się odezwać.

– Mam na imię Mercedes – powiedziałam, poluzowując śrubę alternatora. – Jak się do ciebie zwracać?

Oczy chłopaka na moment załśniły.

– Mercedes, mechanik Volkswagena? – Szybko umilkł i wymamrotał: – Przepraszam. Założę się, że słyszała to pani mnóstwo razy.

Uśmiechnęłam się szeroko, podając mu śrubę.

– Taaa. Ale nad mercedesami też pracuję. Nad wszystkim, co niemieckie. Porsche, Audi, BMW, nawet nad dziwnym Oplem. Głównie starocie po gwarancji, chociaż mam komputery do większości nowszych modeli.

Odwróciłam głowę, by mieć lepszy widok na upartą śrubę numer dwa.

– Możesz do mnie mówić Mercedes albo Mercy, jak wolisz. A jak się zwracać do ciebie?

Nie lubię przypierać do muru ludzi, którzy są zmuszeni kłamać. Gdyby był zbiegiem, prawdopodobnie nie podałyby prawdziwego imienia, ale skoro miałam z nim pracować, potrzebowałam czegoś lepszego od „hej, ty”.

– Mów do mnie Mac – odparł po chwili.

Jej długość sugerowała niedwuznacznie, że chłopak zwykle posługiwał się innym imieniem, ale to na razie musiało wystarczyć.

– A więc, Mac, może zadzwoniłbyś do właściciela jetty przekazać mu, że grat jest gotowy? – Skinęłam głową w kierunku samochodu, który skończyliśmy naprawiać. – Na drukarce leży faktura. Znajdziesz tam numer telefonu i koszt wymiany przekładni. Jak się uporam z tym paskiem, zabiorę cię na obiad. To część twojej tygodniówki.

– Okej.

Chłopak wyglądał na nieco zagubionego. Musiałam go zatrzymać, kiedy ruszył do drzwi prowadzących pod prysznic. Biuro mieściło się z boku budynku, tuż przy parkingu, z którego korzystali klienci.

– Do biura szarymi drzwiami – powiedziałam. – Obok telefonu leży ścierka. Chwyć przez nią słuchawkę, żeby nie upaść wszystkim smarem.



Wracając wieczorem do domu, z niepokojem rozmyślałam o Macu. Zapłaciłam mu z góry za robotę i powiedziałam, że miło

będzie go jeszcze zobaczyć. Chłopak posłał mi wątki uśmiech, wetknął pieniądze do tylnej kieszeni spodni i wyszedł bez słowa, a ja pozwoliłam mu odejść. Wiedziałam, że nie miał gdzie spać, ale nie przychodził mi do głowy pomysł, gdzie go zakwaterować.

Mogłabym zaprosić go do siebie, ale byłoby to zbyt niebezpieczne dla nas obojga. Wyglądało na to, że Mac w niewielkim stopniu korzystał ze swojego nosa, niemniej jednak w końcu musiałyby się zorientować, czym jestem – a wilkołaki, nawet w ludzkiej postaci, rzeczywiście dysponują siłą, jaką przypisują im stare filmy. Sporo ćwiczę w dojo, które znajduje się zaraz za torami kolejowymi, i mam fioletowy pas wschodnich sztuk walki, ale mimo to dla wilkołaka nie stanowią większego zagrożenia. Wątpiłam, by chłopak kontrolował już swoją bestię na tyle, by się powstrzymać przed rozszarpaniem kogoś, kogo postrzegaliby za drapieżnika rywalizującego z nim o terytorium.

No i był jeszcze mój sąsiad.

Mieszkam w Finley, dziesięć minut drogi od warsztatu. To wiejska okolica, położona w starej przemysłowej części Kennewick. Mój dom na kółkach, dość obszerna przyczepa prawie tak stara jak ja, spoczywa w samym środku kilkuakrowej działki. W Finley znajduje się sporo działek o małej powierzchni z przyczepami lub domami modułowymi, lecz wzdłuż rzeki można zobaczyć posiadłości takie jak ta, w której mieszka mój sąsiad.

Żwir chrząścił pod kołami samochodu. Skręciłam na podjazd i zatrzymałam starego Królika¹ przed domem. Gdy tylko wysiadłam, zauważyłam, że na werandzie stoi klatka dla kotów.

Medea miałknęła żałośnie, ale zanim ją wypuściłam, oderwałam przyczepioną do klatki karteczkę.

Pani Thompson – czytałam – proszę trzymać kotkę z dala od mojego domu. ZJEM JĄ, JEŚLI JĄ ZNOWU ZOBACZĘ.

Karteczka nie była podpisana.

Zwolniłam zatrask, wyjęłam kotkę i potarłam twarzą o jej miękką sierść.

– Czy ten niegodziwy stary wilkołak wetknął biedną kocinę do pudła i tak ją zostawił?

Medea pachniała sąsiadem, więc prawdopodobnie Adam trzymał ją jakiś czas na kolanach, zanim postanowił ją tu przynieść. Większość kotów nie lubi wilkołaków – czy też zmiennokształtnych, takich jak ja. Medea, stare pocziwe kocisko, lubi wszystkich, nawet mojego zrzędlivego sąsiada. I właśnie dlatego często łąduje w klatce na werandzie.

Adam Hauptman, z którym łączyła mnie przede wszystkim tylna część ogrodzenia, był Alfą w miejscowym stadzie wilkołaków. To, że w Tri-Cities żyły wilkołaki, stanowiło swoistą anomalię. Zwykle stada wybierają na siedziby wielkie miasta, gdzie łatwiej się ukryć, lub, zdecydowanie rzadziej, małe, nad którymi mogą zapanować. Ale wilkołaki dobrze sobie radzą w wywiadzie i sektorze militarnym, a w działalność zlokalizowanego nieopodal Hanford kompleksu elektrowni atomowej zaangażowanych było mnóstwo agencji, których nazwy są akronimami. Dlaczego wilkołak Alfa zdecydował się nabyć ziemię tuż przy mojej? Cóż, jak podejrzewam, chodziło o wilkołacze dążenie do dominowania nad istotami gorszego gatunku. Ewentualnie o przepiękny widok na rzekę.

Adama wkurzałeś że moja stara przyczepa szpeci jego rozlazłe gmaszysko – chociaż, na co czasem zwracałam mu uwagę, mój dom już tu stał, zanim on kupił swoją działkę i zaczął się na niej budować. Co więcej, przy każdej okazji musiał mi przypominać, że mieszkam tu tylko dlatego, że on mnie toleruje. Przecież jako zmiennokształtna nie jestem dla niego prawdziwym przeciwnikiem. W odpowiedzi na te skargi zwykle skłaniam z szacunkiem głowę i przemawiam prosto do jego twarzy, a następnie wystawiam za dom zdezelowanego Królika, którego trzymam na części. Stary gruchot jest doskonale widoczny z okna sypialni uroczonego sąsiada. Byłam prawie pewna, że Adam nie zjadłby mojej kotki, ale wolałam przez jakiś tydzień zamykać Medeę w przyczepie. Niech mu się wydaje, że przestraszyły mnie jego groźby. Cała sztuka obcowania z wilkołakami polega na tym,

by unikać bezpośredniej konfrontacji.

Medea miauczała, mruzczała i machała kikutek ogona, gdy napełniałam jej miskę. Kiedy ją znalazłam, pomyślałam, że jakiś sadysta odciął jej ogon, ale mój weterynarz powiedział, że Medea rasy Manx i taka się już urodziła. Jeszcze raz ją pogłaskałam, po czym podeszłam do lodówki, by wyciągnąć coś na kolację.

– Przyprorowadziłabym Maca do domu, gdybym wiedziała, że Adam zostawi go w spokoju – powiedziałam do kotki – ale wilkołaki nie są przychylnie nastawione do obcych. Mają te swoje zasady, których się trzymają, kiedy nowy wilk wkracza na czyjeś terytorium, a coś mi mówi, że Mac nie wystosował jeszcze petycji do stada. Wilkołak nie zamarznie, śpiąc na dworze, choćby nie wiem jak brzydka była pogoda. Nie powinno mu się stać nic złego.

– Chociaż – ciągnęłam, chwytając za miskę z resztkami spaghetti, na które postanowiłam przypuścić szturm – jeśli Mac ma kłopoty, Adam mógłby mu pomóc. – Lepiej będzie delikatnie poruszyć tę kwestię, kiedy już poznam historię chłopaka.

Zjadłam na stojąco i splukałam talerz, a następnie ległam na tapczan i włączyłam telewizor. Zanim zaczęła się pierwsza reklama, Medea miauknęła i wskoczyła mi na kolana. Następnego dnia Mac się nie pojawił. Mógł nie wiedzieć, że pracuję w soboty, jeśli tylko są jakieś samochody do naprawienia. A może po prostu ruszył w dalszą drogę.

Liczyłam, że zdążę w delikatny sposób przygotować stado na przybycie Maca, zanim znajdzie go Adam lub jeden z jego wilków. Zasady, które od wieków pozwalały wilkołakom żyć pośród ludzi w ukryciu, zazwyczaj miały fatalne skutki dla tych, którzy je łamali.

Pracowałam do południa. Potem zadzwoniłam poinformować pewną miłą młodą parę, że ich auto to beznadziejny przypadek. Wymiana silnika kosztowałaby więcej, niż wynosiła wartość samochodu. Przekazywanie złych wiadomości nie należało do moich ulubionych obowiązków.

Kiedy Tad, mój dawny pomocnik, kręcił się jeszcze

po warsztacie, to on za to odpowiadał. Odwiesiłam słuchawkę przygnębiona prawie tak bardzo, jak zrozpaczeni właściciele ukochanego samochodu, którego celem najbliższej i ostatniej podróży było złomowisko.

Wskoczyłam pod prysznic i wydłubałam z za paznokci tyle smaru, ile zechciało wyjść, po czym siadłam do niekończącej się papierkowej roboty, którą również zwykłam obarczać Tada. Cieszyłam się, że dostał stypendium – dzięki temu wyruszył na uniwersytet, który sam wybrał, notabene jeden z najlepszych w kraju. Ale mimo wszystko bardzo mi go brakowało. Po dziesięciu minutach gapienia się w cyferki doszłam do wniosku, że nie mam do zrobienia niczego, co nie mogłoby poczekać do poniedziałku. Pozostawało mieć nadzieję, że do tego czasu znajdzie się coś wystarczająco pilnego, by poczekać z papierami do wtorku.

Przebrałam się w czyste dżinsy i koszulkę, chwyciłam kurtkę i ruszyłam do O'Leary'ego na obiad. Po obiedzie podskoczyłam do spożywczego i kupiłam małego indyka dla siebie i Medei.

Kiedy wsiadałam do samochodu, na komórkę zadzwoniła mama. Próbując obudzić we mnie poczucie winy, nakłaniała mnie do odwiedzenia Portland w Święto Dziękczynienia albo Boże Narodzenie. Chytrze wykręciłam się od obydwu zaproszeń – przez dwa lata wspólnego mieszkania zaliczyłam tyle spotkań rodzinnych, że mam ich dość na całe życie. Nie chodzi o to, że coś z moją rodziną nie tak. Wręcz przeciwnie – Curt, mój ojczym, jest spokojnym, rzeczowym i poważnym mężczyzną, który stanowi idealną przeciwwagę dla matki. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałam się, że nie miał pojęcia o moim istnieniu, a dokładnie w wieku szesnastu lat, kiedy stanęłam w drzwiach jego domu. Mimo to bez żadnych pytań wpuścił mnie do środka i odtąd traktował jak własną córkę.

Moja mama, Margi, jest pełną życia i radośnie nieodpowiedzialną kobietą. Wcale nietrudno sobie wyobrazić, że zadała się z jeźdźcem rodeo takim jak mój ojciec. Nie trudniej niż to, że od niego uciekła, by dołączyć do trupy cyrkowej. Fakt, że

jest przewodniczącą szkolnej rady rodziców, zdumiewa.

Lubię ich oboje. Lubię nawet całe przyrodnie rodzeństwo, które z entuzjazmem powitało mnie w swoim życiu. Wszyscy razem tworzą jedną z tych wielkich, „modelowych” rodzin, o których telewizja z takim upodobaniem mówi, że są normalne. Jestem bardzo szczęśliwa, wiedząc, że tacy ludzie istnieją, ale ja po prostu do nich nie należę. Aby nie najeźdzali na mój dom, odwiedzam ich dwa razy do roku, pilnując, by odwiedziny nie przypadły w żadne święto. Większość tych wyjazdów trwa bardzo krótko. Kocham ich, ale kochanie idzie mi zdecydowanie lepiej na odległość. Zanim się rozłączyłam, ogarnęły mnie smutek i poczucie winy. Wróciłam do domu, włożyłam indyka do lodówki i nakarmiłam kotkę. Sprzątanie nie poprawiło mi humoru – nie jestem pewna, dlaczego zakładałam, że poprawi – więc wsiadłam ponownie do samochodu i pojechałam do Hanford Reach.

Rzadko jeżdżę do Reach. Miejsca odpowiednie do biegania znajdują się zdecydowanie bliżej, a Góry Błękitne są najlepsze, gdy mam ochotę na dłuższą przejażdżkę. Jednak czasami moja dusza rwie się do odludnej i jałowej przestrzeni rezerwatu – a w szczególności po rozmowie z mamą.

Zaparkowałam samochód i pokręciłam się po okolicy, by zyskać pewność, że jestem sama. Następnie rozebrałam się, schowałam ubrania do plecaka i zmieniałam postać.

Wilkołaki potrzebują nawet piętnastu minut, by przybrać formę wilka, a sama przemiana, o czym należy pamiętać, sprawia im ból. Nie należą do najmilszych zwierząt, a jeśli właśnie zakończyły przemianę, lepiej unikać ich towarzystwa.

Przemiana zmiennokształtnych – przynajmniej moja, bo innych zmiennokształtnych nie znam – trwa krótko i nie boli. W jednej chwili jestem człowiekiem, a już w następnej kojotem – prawdziwa magia.

Potarłam mrowiącym nosem o przednią łapę. Trzeba chwili, by się przyzwycząić do czworonożnego sposobu chodzenia i biegania. Wiem, ponieważ sprawdziłam, że kojoty widzą inaczej

niż ludzie, ale mój wzrok jest prawie taki sam w obydwu postaciach. Słuch i węch nieco się poprawiają, jednak nawet w formie człowieka moje zmysły działają zdecydowanie lepiej niż ludzkie.

Zatargałam wypchany plecak w zarośla, a następnie pozbyłam się resztek człowieczeństwa i pognałam w głąb rezerwatu.

Kiedy już pogoniłam trzy króliki, podokuczałam jakiejś parze w łodzi i ujrzałam odbicie mojego włochatego „ja” na powierzchni wody, poczułam się znacznie lepiej. Księżyc nie zmusza mnie do przyjmowania zwierzęcej formy, ale jeśli zbyt długo chodzę na dwóch nogach, robię się humorzysta i niespokojna.

Przyjemnie zmęczona i na powrót w ludzkiej postaci wsiadłam do samochodu. Mamrocząc słowa modlitwy, przekręciłam kluczyk. Silnik diesla zaskoczył i zamruczał.

Nigdy nie miałam pewności, czy Królik zapali. Nie jeżdżę nim, bo jest dobry, ale dlatego, że jest tani. Istnieje wiele prawdy w powiedzeniu, że wszystkie samochody mające w nazwie zwierzę to buble.

W niedzielę poszłam do kościoła. Mój kościół, tak mały, że musi dzielić pastora z trzema innymi, to jeden z tych kościołów bezwyznaniowych. Uważając przede wszystkim na to, by nikogo nie potępiać, ma niewielką siłę przebicia i trudno mu przyciągnąć rzeszę stałych wyznawców.

Stosunkowo niewiele ludzi przychodzi regularnie i zazwyczaj zostawiamy się nawzajem w spokoju. Ze względu na wyjątkową sytuację, która umożliwia mi zrozumienie, jak wyglądałby świat bez Boga i kościołów chroniących od najgorszego zła, jestem wierną uczestniczką nabożeństw.

Nie chodzi o wilkołaki. Wilkołaki mogą być niebezpieczne, jeśli wejdiesz im w drogę, ale wystarczy zachować ostrożność, a raczej nie zrobią ci krzywdy. W każdym razie nie są większym złem niż niedźwiedź grizzly czy rekin ludojad.

Istnieją jednak inne stworzenia. Stworzenia, które czyhają w ciemności, stworzenia o wiele, wiele gorsze – a wampiry

to tylko wierzchołek góry lodowej. Bez trudu ukrywają swoją naturę przed ludźmi, tylko że ja nie jestem człowiekiem. Gdy już je spotkam, potrafię je rozpoznać, a one rozpoznają mnie; zatem chodzę co tydzień do kościoła.

Tamtej niedzieli nasz pastor zachorował. Jego zastępca wygłosił kazanie oparte na fragmencie Księgi Wyjścia: Nie zostawisz przy życiu czarownicy, rozszerzając znaczenie terminu „czarownica” na niehumanoidy. Z miejsca, w którym siedziałam, wyraźnie czułam bijący od duchownego fetor strachu i gniewu. To przez takich jak on przedstawiciele nadnaturalnej społeczności nadal musieli się ukrywać dwie dekady po tym, jak zmuszono pomniejszych niehumanoidy, by się ujawnili.

Jakieś trzydzieści lat temu potężnych magów, którzy władają niehumanoidami, zaniepokoił postęp nauki, a w szczególności nauk sądowych. Szarzy Panowie, jak ich nazywano, przewidując, że Czas Skrytości dobiega końca, doszli do wniosku, że bez względu na wszystko należy kontrolować związane z tym straty Chcieli dopilnować, by ludzie uświadomili sobie istnienie świata magii tak łagodnie, jak to tylko możliwe.

Kiedy Harlana Kincaida, starszego miliardera i magnata nieruchomości, znaleziono martwego w pobliżu krzaków róż z parą nożyc ogrodowych wbitych w szyję, podejrzenia padły na jego ogrodnika. Kieran McBride, cichy człowiek o przyjemnej twarzy, pracował dla Kincaida, a także regularnie wygrywał konkursy ogrodnicze.

Jak większość Amerykanów widziałam fragmenty procesu. Sensacyjne morderstwo jednego z najbardziej majątnych ludzi w kraju, który przypadkiem był mężem uwielbianej, młodej aktorki, zapewniało sieciom telewizyjnym najwyższą oglądalność.

Przez kilka tygodni z programów informacyjnych nie zniknęły wiadomości o morderstwie. Świat ujrzał łzy na opalonych kalifornijskim słońcem policzkach Carin Kincaid, która opisywała leżącego bez życia męża obok jego ulubionego krzaka róż – pociętego na kawałeczki. Zeznania Carin zasługiwały na Oscara,

ale to, co później nastąpiło, usunęło ją ze sceny.

Kierana McBride'a broniła ekipa kosztownych prawników, którzy, zwabieni rozgłosem, zgodzili się pracować pro bono. Wezwali McBride'a na świadka i umiejętnie pokierowali prokuratorem, by poprosił oskarżonego o potrzymanie nożyc. Kieran spróbował. Już po chwili z jego rąk zaczął się unosić dym i narzędzie spadło na podłogę. Na prośbę adwokata pokazał ławie przysięgłych pokryte pęcherzami dłonie. To niemożliwe, by McBride zamordował! – oznajmił prawnik sędziemu, ławie przysięgłych i całej reszcie świata. McBride, elf ogrodowy, należał do nie ludzi. Nie mógł dotykać zimnego żelaza, nawet w grubych skórzanych rękawicach.

W kulminacyjnym momencie McBride opuścił zasłonę czaru, dzięki któremu zachowywał ludzki wygląd. Nie należał do przystojniaków, wręcz przeciwnie, lecz ktokolwiek widział szczeniaczka rasy Shar Pei, ten wie, że istnieje wielki urok w pewnym rodzaju brzydoty. Jednym z powodów, dla którego Szarzy Panowie wybrali McBride'a, było to, że ogrodowe elfy są łagodne, a ich widok nie budzi nieprzyjemnych skojarzeń.

Pełne smutku, ogromne brązowe oczy Kierana przez tygodnie trafiały na okładki magazynów obok zdjęć żony Kincaida, którą skazano za zabicie męża.

Tak oto pomniejsi nie ludzie, słabi i atrakcyjni, wyszli z ukrycia na polecenie Szarych Panów. Potężni i brzydcy (lub po prostu potężnie brzydcy) pozostawali w cieniu, bacznie obserwując reakcję świata. Spece Szarych Panów od manipulacji opinią publiczną, prawnicy McBride'a, oznajmili: oto przedstawiciele ukrytego rodu, łagodna krasnoludka, która uczy w przedszkolu, ponieważ kocha dzieci, i młody selkie, który ryzykował życiem, by uratować ofiary wypadku na łodzi.

Z początku wszystko wskazywało, że strategia Szarych Panów przyniesie korzyści nadnaturalnym istotom, i to nie tylko nie ludziom. Powstawały restauracje w Nowym Jorku i Los Angeles, gdzie sławni i bogaci byli obsługiwani przez leśne elfy czy mu-ryan. Hollywood ponownie nakręcił Piotrusia Pana

z udziałem chłopca, który faktycznie latał, i najprawdziwszą wróżką w roli Dzwoneczka. Film bił wszelkie rekordy kasowe.

Ale nie wszystko szło gładko. Pewien znany telekaznodzieja skwapliwie wykorzystał strach przed nieлюдźmi, aby się zbliżyć do swych owieczek i położyć łapę na ich kontach bankowych. Konserwatywni prawodawcy podnieśli raban o procedury rejestracyjne. Agencje rządowe zaczęły po cichu sporządzać listy niełudei, których mogły wykorzystać – lub którzy mogli zostać wykorzystani przez agencje konkurencyjnych rządów.

Kiedy jakieś pięć czy sześć lat temu Szarzy Panowie nakazali Zee, mojemu dawnemu szefowi, by się ujawnił, Zee sprzedał mi warsztat i na kilka miesięcy wycofał się z branży. Widział, co spotykało niełudei, którzy próbowali żyć po staremu.

Pół biedy, jeśli nieczłowiek stanowił atrakcję turystyczną, ale nikt nie chciał go mieć za nauczyciela, mechanika czy nawet sąsiada.

Krasnoludkę przedszkolankę po cichu zwolniono.

Niełudziom, którzy mieszkali na ekskluzywnych przedmieściach, wybijano w domach okna, a na ścianach malowano obsceniczne graffiti. Ci, którzy żyli w dzielnicach, gdzie pobłażliwiej traktowano drobnych przestępców, musieli sobie radzić z fizycznymi napaściami. Ze strachu przed Szarymi Panami najczęściej nawet nie próbowali się bronić. Nic, co uczyniliby im ludzie, nie mogło być gorsze od tego, co mogli im uczynić Szarzy Panowie.

Fala przemocy doprowadziła do utworzenia czterech ogromnych rezerwatów dla niełudei. Według Zee, pracujący w rządzie niełudei postrzegali rezerwaty jako czynnik, który najskuteczniej zminimalizuje straty, i wykorzystali bardziej oraz mniej uczciwe środki, aby przekonać do tego resztę Kongresu.

Jeśli nieczłowiek zgodził się zamieszkać w rezerwacie, otrzymywał dom i miesięczny zasiłek. Jego dzieci (jak Tad, syn Zee) miały szansę dostać stypendia na dobrych uniwersytetach, gdzie mogły zostać wykształcone na pożytecznych członków społeczeństwa. Niestety, mało kto zauważał, że samo

wykształcenie to za mało – potrzebna jest jeszcze praca.

Koncepcja rezerwatów wywołała wiele kontrowersji po obu stronach barykady. Osobiście uważałam, że Szarzy Panowie i rząd mogliby zwrócić większą uwagę na liczne problemy, które trapiły rezerwaty rdzennych Amerykanów. Zee był przekonany, że rezerwaty dla nie ludzi stanowiły pierwszą fazę większego planu Szarych Panów. Słyszałam o nich wystarczająco dużo, by wiedzieć, że mógł mieć rację, ale i tak się martwiłam. Cóż, pomijając nieszczęścia, których stał się przyczyną, system rezerwatów pomógł załagodzić narastające między ludźmi a nie ludźmi napięcie, przynajmniej w Stanach.

Tym niemniej ludzie tacy jak gościnnie występujący duchowny stanowili dowód, że uprzedzenia oraz nienawiść istniały i miały się całkiem dobrze. Ktoś za mną szeptem wyraził nadzieję, że pastor Julio wyzdrowieje do przyszłego tygodnia. Uwaga ta spotkała się z gremialnie wymruczaną aprobatą, co mnie trochę pocieszyło.

Podobno niektórzy ludzie widzą lub czują anioły. Nie wiem, czy to Bóg, czy jeden z jego przybocznych, niemniej jednak w większości kościołów towarzyszy mi pewna duchowa obecność. Słuchając napędzanej strachem przemowy, wyczuwałam rosnący smutek tej niematerialnej istoty.

Gdy opuszczałam budynek, pastor uścisnął mi dłoń.

Nie należę do rodu nie ludzi, jakkolwiek jest to pojęcie bardzo szerokie. Moja magia pochodzi z Ameryki Północnej, a nie z Europy nie potrafię rzucić uroku (ani nie mam takiej potrzeby), który umożliwiłby mi wtopienie się w ludzką społeczność. Niemniej jednak ten człowiek z pewnością by mnie znienawidził, gdyby wiedział, czym jestem.

Uśmiechnęłam się do niego, podziękowałam za mszę i życzyłam mu wszystkiego dobrego. Kochaj swoich wrogów, powiada Pismo. Moja zastępcza matka zwykła dodawać: „Lub co najmniej bądź dla nich uprzejma”.

¹ Królik (ang. Rabbit) – amerykańska nazwa Volkswagena

Golfa I (przyp. red.).



Rozdział 2

Kiedy zajechałam pod warsztat w poniedziałek rano, na schodku przy drzwiach prowadzących do biura siedział wilkołak Mac.

Zachowałam twarz pokerzysty i nie okazałam ani odrobiny zadziwiająco dzikiej satysfakcji. Po prostu wręczyłam mu ciężki worek z kanapkami, żeby wyciągnąć klucz i otworzyć drzwi. Wychowywałam się wśród zwierząt i wiedziałam, jak je poskramiać. Jeśli trafnie osądziłam tego chłopaka, szybciej odstraszyłoby go serdeczne powitanie niż ostre słowa, a jedzenie zawsze stanowiło dobrą przynętę.

– Zjedz – rzuciłam, idąc do łazienki założyć strój roboczy. – Jedna dla mnie, a reszta dla ciebie.

Kiedy wróciłam, zniknęły wszystkie kanapki oprócz jednej.

– Dziękuję – powiedział, patrząc na moje stopy.

– Odpracujesz. No, dalej, pomóż mi podnieść drzwi – Poprowadziłam go przez biuro do warsztatu.

– Nie ma dziś nic pilnego, więc możemy popracować nad moim projektem garbusa.

Volkswagen Garbus na razie wyglądał mało pociągająco, ale kiedy już z nim skończę, kiedy go pomaluję i wypoleruję, zamruczy jak kociak. Wtedy sprzedam go za dwa razy tyle, ile

w niego włożyłam, a potem znajdę kolejnego grata do reanimacji. Prawie połowa mojego dochodu pochodziła z odnawiania klasyków Volkswagena.

Pracowaliśmy już kilka godzin w towarzyskiej ciszy, kiedy Mac zapytał, czy może wykonać rozmowę zamiejscową.

– Pod warunkiem, że nie do Chin – odpowiedziałam, próbując poluzować śrubę, którą od jakichś trzydziestu lat zżerała rdza. Nie zakradłam się pod drzwi biura. Nie ćwiczę umiejętności podsłuchiwania prywatnych rozmów. Nie muszę – mam bardzo dobry słuch.

– Cześć – odezwał się Mac. – To ja.

Nie na tyle jednak dobry, bym mogła usłyszeć osobę po drugiej stronie słuchawki.

– U mnie wszystko w porządku, naprawdę – powiedział szybko. – Słuchaj, nie mogę długo rozmawiać. – Przerwa. – Lepiej, żebyś nie wiedział. – Przerwa. – Wiem, oglądałem wiadomości. Pamiętam tylko, że wyszliśmy z potańcówki. Nie wiem, co ją zabiło ani dlaczego nie zabiło mnie. – Och, niedobrze. – Nie. Posłuchaj, chyba nie powinieneś wiedzieć, gdzie jestem. Tak będzie dla ciebie lepiej. – Przerwa. – Mówiłem ci, nie mam pojęcia, co się stało. Ale ja jej nie zabiłem. – Przerwa. – Nie wiem. Chcę tylko, żebyś przekazał rodzicom, że nic mi nie jest. Kocham ich i szukam tych, którzy ją zabili. Muszę kończyć. – Przerwa. – Ja też cię kocham, Joe.

Do tej części rozmowy, którą usłyszałam, można by dopasować co najmniej tuzin fabuł. Dwa tuziny.

Jedna z najbardziej powszechnych wilkołaczych opowiastek z morałem dotyczy pierwszej przemiany wilkołaka, który jeszcze nie wie, czym jest.

Przełożyłam w głowie usłyszaną część rozmowy na obraz nieświadomego swej istoty chłopca, który wyszedł ze szkolnej potańcówki, aby się pokochać z dziewczyną przy świetle księżycy. Nowe wilkołaki, bez wsparcia i przewodnictwa silnego samca, przez kilka pierwszych przemian raczej nie kontrolują swojego wilka.

Jeśli Mac był takim wilkołakiem, mógł nie dostrzec różnicy między mną a zwykłymi ludźmi. Wykorzystywania zmysłów trzeba się nauczyć.

Tu, w Stanach, wilkołaki są zwykle wychowywane przez przyjaciół i rodzinę. Istnieje struktura wsparcia, której celem jest kształcenie nowego wilka – aby on i wszyscy wokół mogli się czuć bezpiecznie. Mimo to nadal zdarzają się ataki wilkołaczych łobuzów. Do obowiązków stada należy między innymi zabijanie tych szumowin i odnajdywanie ich ofiar.

Wbrew obiegowym opiniom osoba ugryziona przez wilkołaka nie dziedziczy automatycznie jego zwierzęcej natury. Aby do tego doszło, zaatakowany musi się znaleźć na krawędzi śmierci, co umożliwia magii wilka przeniknięcie przez system immunologiczny ofiary. Relacje z takich ataków pojawiają się w gazetach z nagłówkiem Człowiek pogryziony przez wściekłe psy. Zazwyczaj ofiara umiera z powodu odniesionych ran lub w wyniku Przeistoczenia. Jeśli jednak przeżyje, w cudowny sposób błyskawicznie dochodzi do siebie – aż do kolejnej pełni księżyca, kiedy to odkrywa, że tak naprawdę wcale nie przeżyła, a w każdym razie nie w znanej sobie postaci. Zazwyczaj stado odnajduje wilkołaka, zanim nastąpi jego pierwsza przemiana, i pomaga mu przejść przez okres przystosowawczy do nowego życia. Wilkołaki oglądają wiadomości i czytają gazety, by nie dopuścić do sytuacji, w której nowy wilk jest pozostawiony samemu sobie – i by chronić własne sekrety.

Może nikt nie odnalazł Maca. Może Mac zabił swoją dziewczynę i powróciwszy do ludzkiej postaci, nie potrafił uwierzyć w to, co zrobił. Wcześniej sądziłam, że po prostu opuścił stado, ale jako zupełnie nowy, niewyedukowany wilkołak stanowił jeszcze większe zagrożenie.

Nie dość uważałam i przypadkiem wyłamalam przerdzewiałą śrubę. Kiedy Mac wrócił, próbowałam usunąć jej pozostałości przy pomocy klucza francuskiego – najbardziej nieodpowiednio nazwanego narzędzia na świecie, ponieważ nie budziło skojarzeń z niczym, co francuskie.

Nie planowałam się odzywać, ale słowa same opuściły moje gardło.

– Znam ludzi, którzy mogliby ci pomóc.

– Nikt nie może mi pomóc – odparł zrezygnowany chłopak. Na jego twarzy zagościł uśmiech, który pewnie byłby przekonujący, gdyby nie smutek w oczach. – Nic mi nie jest. Odłożyłam klucz.

– Tak. Jakoś sobie poradzisz. – Miałam nadzieję, że nie popełniam błędu, pozwalając Macowi tak szybko zakończyć rozmowę. Będę musiała powiedzieć o nim Adamowi przed kolejną pełnią księżyca. – Ale pamiętaj – jestem znana z tego, że przed śniadaniem potrafię uwierzyć nawet w sześć nieprawdopodobnych rzeczy.

– Lewis Carroll – powiedział, wydymając usta.

– A podobno dzisiejsza młodzież ma braki w wykształceniu. Jeśli mi zaufasz, przekonasz się, że moi przyjaciele mogą ci pomóc Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo. – Zadzwoił telefon. – Odbierz, Mac Proszę.

O tej porze roku było już ciemno, gdy koło szóstej skończyliśmy robotę. Mac nad czymś się zastanawiał, patrząc, jak zamykam warsztat. Celowo grzebałam dłużej przy zamku, żeby dać mu więcej czasu na przełamanie lodów. Nie skorzystał z okazji i tylko rzucił:

– Do jutra.

– Do jutra. – Pod wpływem impulsu zapytałam: – Masz gdzie spać?

– Jasne – odpowiedział z uśmiechem i ruszył energicznie przed siebie, jak gdyby był spóźniony na jakieś spotkanie.

Dlaczego nie ugryzłam się w język? Zmusiłam Maca do kłamstwa. Jeśli zacznie mnie okłamywać, będzie go trudniej nakłonić do wyznania prawdy.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak to działa, ale tak po prostu jest – przynajmniej w moim przypadku.

Beształam się przez całą drogę do domu, ale zanim nakarmiłam Medeę i zrobiłam kolację, już miałam obmyślony

plan, jak wszystkiemu zaradzić. Wezmę jutro koc i otworzę Macom busa, który cierpliwie czeka na przesyłkę z częściami do hamulców. Nie sądziłam, by Stefan miał coś przeciwko temu, że Mac pomieszka w jego furgonetce przez dzień lub dwa.

Mimo to zadzwoniłam do Stefana, ponieważ niemądrze jest zaskakiwać wampiry.

– Jasne – odparł, nawet nie pytając, komu chcę udostępnić jego samochód. – Ja się zgadzam, kochanie. A kiedy skończysz go naprawiać?

Jak na wampira, Stefan był całkiem w porządku.

– Części powinny dotrzeć pojutrze. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko je dostanę. Jeśli mi pomożesz, uwiniemy się ze wszystkim w kilka długich wieczorów. W przeciwnym razie zajmie mi to dzień.

– W porządku. – Najwyraźniej były to słowa pożegnania, ponieważ po chwili ze słuchawki zaczęło dobiegać miarowe buczenie.

– Cóż – zwróciłam się do kotki. – Czas na małe zakupy. – Potrzebowałam nowego koca. Na moim, przesiąkniętym wonią kojota, wilkołak, który ledwie mnie znał, nie czułby się swobodnie.

Zaczęłam szukać portfela. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zostawiłam go w warsztacie, który, na całe szczęście, znajdował się po drodze do sklepu.

Zaparkowałam w świetle latarni na tyłach warsztatu, aby odstraszyć ewentualnych wandalów. Przeszłam przez parking i minęłam stojącą obok drzwi biura furgonetkę Stefana, poklepując ją z czułością.

Była pomalowana jak Wehikuł Tajemnic Scooby'go Doo, co wiele mówiło o jej właścicielu. Stefan powiedział mi, że kiedy zaczął oglądać Buffy, rozważał pomysł pomalowania busa na czarno, ale ostatecznie zdecydował, że dla Scooby'ego pogromca wampirów nie jest żadnym przeciwnikiem.

Weszłam do biura, nie zapalając światła, ponieważ całkiem nieźle widzę w ciemności. Portfel leżał tam, gdzie go zostawiłam.

Wyjęłam go i zamknęłam sejf. Z przyzwyczajenia sprawdziłam, czy przed zakończeniem pracy przykręciłam ogrzewanie. Wszystko było jak należy i jak zwykle. Poczułam przyływ satysfakcji, kiedy pomyślałam, że było również moje – no cóż, moje i banku. Wyszłam z biura uśmiechnięta i odwróciłam się, by zamknąć drzwi. Poruszałam się bezszelestnie, ale nie robiłam tego celowo – kiedy wychowuje cię stado wilkołaków, uczysz się zachowywać ciszej niż większość ludzi.

– Odejdź – głos dobiegł z drugiej strony furgonetki. Należał do Maca, choć zaskoczył mnie jego niski, szorstki ton. Początkowo myślałam, że chłopak mówi do mnie.

Odwróciłam się, ale oprócz furgonetki Stefana niczego nie widziałam.

Wtedy ktoś inny odpowiedział:

– Nie bez ciebie.

Przez przyciemniane szyby furgonetki dostrzegłam, że boczne drzwi były otwarte, a w nich, jak w ramie obrazu, rysowały się niewyraźnie dwie sylwetki – Maca i jednego z jego gości. Drugiego nie widziałam; stali pod wiatr, dzięki czemu oprócz Maca wyczułam dwóch nieznanym: wilkołaka i człowieka. Nie rozpoznałam żadnego z nich.

Choć znam zapach większości wilków Adama, nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś nowy dołączył do jego stada, mimo że nic o tym nie słyszałam. To obecność drugiego gościa podpowiadała, że coś jest nie w porządku. Kiedy Adam załatwiał interesy, nie wysyłał ze swoimi wilkami ludzi – a przynajmniej nic mi na ten temat nie było wiadomo. Ponadto, co wydawało się jeszcze dziwniejsze, żaden z nieznanym nie zdradzał swoim zachowaniem, by wiedział o mojej obecności. Fakt, zachowywałam się cicho, ale mimo wszystko oba wilkołaki powinny były mnie usłyszeć.

Najwyraźniej jednak ani Mac, ani drugi wilkołak niczego nie spostrzegli.

– Nie – rzucił Mac ze zdecydowaniem, którego mi w tej chwili brakowało. – Koniec z klatkami. Koniec z prochami. Nie pomagają.

Klatki? Ktoś przetrzymywał Maca w klatce? Nie istniała taka konieczność, nie kiedy w pobliżu był Adam. Choć niektóre Alfy musiały korzystać z klatek, aby kontrolować nowe wilki, on do nich nie należał. Uwaga na temat prochów także nie miała sensu; żadne proszki nie działają na wilkołaki.

– Pomagały, dzieciaku. Trzeba po prostu trochę poczekać. Obiecuję, że niedługo pozbędziesz się tego przekleństwa. Pozbędzie się przekleństwa? Nie istniał żaden sposób na odwrócenie Przeistoczenia, a cholernie niewiele wilkołaków uważało swój stan za przekleństwo po kilku pierwszych miesiącach nowego życia. Prędzej czy później każdy dochodził do wniosku, że stawanie się od czasu do czasu popędliwym i włochatym stanowi niewielką cenę za niezwykłą siłę, szybkość i wyostrzone zmysły – nie wspominając o dodatkowych korzyściach, jak odporność na choroby i dolegliwości wieku.

Nawet jeśli nieznajomy wilkołak należał do Adama, wątpiłam, by Adam wiedział, że jeden z jego stada rozpowiada niesamowite historie. A przynajmniej miałam nadzieję, że nic o tym nie wie.

Z tego, co zauważyłam, Mac znał obydwu gości. Zaczynało ogarniać mnie przeczucie, że jego historia była bardziej zagmatwana, niż początkowo sądziłam.

– Mówisz tak, jakbyś miał jakiś wybór – powiedział człowiek.

– A wybór masz tylko jeden: w jaki sposób trafić z powrotem do klatki.

Nie, oni nie mogli należeć do Adama. Całe to głędzenie o przekleństwie, klatkach i prochach czyniło z nich wrogów. Skoro Mac nie chciał z nimi iść, to nie mogłam pozwolić, by go zabrali siłą.

Rozejrzałam się. W pobliżu nikogo nie dostrzegłam. Po osiemnastej okolicy warsztatu zwykle pustoszeją.

Zdjęłam ubranie tak cicho, jak potrafiłam, i przemieniłam się w kojota.

W ludzkiej postaci nie miałam żadnych szans w konfrontacji z wilkołakiem. Nie żebym miała ich dużo więcej w postaci kojota – ale byłam szybka, o wiele szybsza niż prawdziwy kojot i ciut

szybsza niż wilkołak.

Wskoczyłam na ogrodzenie, a stamtąd na furgonetkę, aby wykorzystać przewagę, jaką dawała mi wyższa pozycja, rezygnując jednakże z elementu zaskoczenia. Bez względu na to, jak cicho bym się nie poruszała, wilkołak musiał usłyszeć stukot pazurów o metalowy dach.

Przygotowana do ataku zamarłam. Ze szczytu busa widziałam trzech mężczyzn, którzy najwyraźniej nadal nie byli świadomi mojej obecności. Mac stał do mnie tyłem, ale jeśli chodzi o dwóch pozostałych, to wystarczyło, by spojrzeli w górę. Nie spojrzeli. Coś mi się w tym wszystkim nie podobało.

Za dwójką nieznajomych dostrzegłam czarnego SUV-a – samochód, w którym spodziewasz się zobaczyć niegrzecznych chłopców.

– Nie wierzę, że istnieje sposób na odwrócenie tego, co mi zrobiliście – ciągnął Mac. – Nie możecie zwrócić mi życia. Ani mnie, ani Meg. Wszystko, co możecie zrobić, to zostawić mnie w spokoju.

To nie króciutko przystrzyżone włosy człowieka, ale wystający spod kurtki wielki pistolet sprawił, że pomyślałam o wojsku. Obaj nieznajomi stali jak wojskowi – Adam też miał taką postawę. Ich ramiona były po prostu nieco zbyt sztywne, a plecy jakby zbyt proste. Może jednak należeli do Adama. Zaczęłam się wahać. Sporo zapłacę za zranienie wilka miejscowego Alfy.

– Księżyc wychodzi – powiedział ten z dłuższymi włosami, wilkołak. – Nie czujesz go?

– Jak zamierzasz przetrwać zimę, mały? – teraz uprzejmy głos krótkowłosego. Ojcowski. Wręcz protekcyjny. – W grudniu robi się zimno, nawet na tej pustyni.

Stłumiłam warknięcie, próbując ustalić, jak pomóc chłopakowi.

– Pracuję tutaj – Mac skinął w stronę warsztatu. – Kiedy robi się zimno, poproszę ją, by pozwoliła mi spać w środku, dopóki czegoś sobie nie znajdę. Myślę, że mi nie odmówi.

– Poprosisz? – Na twarzy krótkowłosego pojawiło się

współczucie. – To ona cię tu zatrzymała. To jedna z nas, mały. Zastanów się dobrze, jak do ciebie dotarliśmy?

Poczułam bijącą od Maca woń szoku, a następnie porażki. Emocje mają zapach, ale tylko w postaci kojota mój nos jest wystarczająco wrażliwy, by rozróżnić subtelniejsze uczucia.

Wyszczrzyłam zęby. Nie lubię kłamców – szczególnie gdy kłamią na mój temat.

Wilkołak dodał sennym głosem:

– Gdy już wszędzie księżyc, nie powstrzymasz przemiany. – Kołysał się na piętach. – Będiesz spijać strach ofiary, zanim umrze pod naciskiem twoich kłów.

Hipnotyczny wpływ księżycy, pomyślałam, gdy szok przyćmił złość. Jeśli ten młody wilk pozostawał pod wpływem księżycy, to z pewnością nie należał do Adama. A ktokolwiek go przysłał, nie grzeszył inteligencją.

– Nie idę – oświadczył Mac, robiąc krok w tył. I kolejny. Oparł się plecami o furgonetkę. Zesztywniał, zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął się rozglądać. – Mercy?

Ale żaden z mężczyzn nie zwrócił na to uwagi. Wilkołak nadal tkwił w księżycowym transie, a człowiek sięgnął po pistolet.

– Chcieliśmy to zrobić delikatnie – powiedział. Wyczułam jego przyjemność. Być może próbował załatwić sprawę w sposób delikatny, ale wolał ten ostry. Jego pistolet prezentował się jak z wojskowego katalogu dla przyszłych najemników, gdzie wygląd broni ma co najmniej takie samo znaczenie jak jej skuteczność. – Wsiadaj do samochodu, mały. Ładuję srebrne kule. Jeśli do ciebie strzelę, będziesz martwy.

– Brzmiał jak oprych z gangsterskiego filmu z lat pięćdziesiątych i zastanawiałam się, czy robi to celowo.

– Jeśli wsiądę do samochodu, i tak będę martwy – cedził słowa Mac – Zabiliście tych dwóch, którzy siedzieli w klatkach obok mnie? To właśnie dlatego zniknęli?

Żaden z mężczyzn nie spostrzegł, że wilkołak zaczął się przemieniać, nawet on sam. Widziałam jaskrawo świecące w ciemności oczy i czułam zapach wilczego piżma oraz magii.

Usłyszałam warczenie.

– Cicho – rzucił człowiek, po czym spojrział na towarzysza. Przełknął ślinę i powolnym ruchem skierował w jego stronę lufę pistoletu.

W ludzkiej postaci wilkołak prawdopodobnie ważył około stu kilogramów. Po zakończeniu przemiany wilkołaki ważą od stu dwudziestu pięciu kilogramów wzwyż. Nie, nie wiem, skąd się bierze dodatkowy ciężar – to magia, a nie fizyka. Ja, jak na typowego kojota, jestem dość duża – co nie zmienia faktu, że wilkołak i tak ważył pięć razy więcej ode mnie.

Zastanawiałam się, jak wykorzystać mój jedyny atut – przewagę szybkości. Tymczasem wilkołak, którego szczeka zaczęła się wydłużać, pobłyskując ostrymi kłami, skupił uwagę na Macu. Kiedy zawarczał, wiedziałam, że czas na przemyślenia dobiegł końca.

Skoczyłam. Warknęłam, by zwrócić jego uwagę, i złapałam go za gardło, jeszcze pozbawione gęstej sierści, chroniącej przed podobnymi atakami.

Poczułam, jak moje kły zagłębiają się w ciele. Pod wpływem zwiększonego ciśnienia, które towarzyszy przemianie, trysnęła krew. Nie była to śmiertelna rana – procesy regeneracji zachodzą u wilkołaków niezwykle szybko – ale powinna mi zapewnić wystarczającą przewagę.

Tylko że on nawet nie zwolnił.

Biegł tuż za mną, gdy mknęłam przez parking, a potem przez aleję, która kończyła się u wejścia do warsztatu.

Przeskoczyłam przez ogrodzenie otaczające pobliski magazyn. Wilkołak pokonałby ją znacznie łatwiej, gdyby zakończył przemianę, ale jego ruchy krępował niezgrabny kształt. Zamiast dać susa, musiał się zatrzymać i rozerwać siatkę.

Szał polowania sprawił, że był ode mnie szybszy nawet na dwóch nogach – a nie powinien. Przegoniłam już niejednego wilka i wiedziałam, że biegały wolniej niż ja, ale jego najwyraźniej nikt o tym nie poinformował. Zaczynał mnie doganiać. Znów przeskoczyłam przez ogrodzenie, by go

na chwilę zatrzymać.

Gdyby w pobliżu ktoś mieszkał, zadzwoniłby na policję, zaalarmowany skowytem sfrustrowanego wilkołaka, który rozrywał ogrodzenie. Tylko że najbliższe domy znajdowały się zbyt daleko. Ta myśl uprzytomniła mi, że powinnam się martwić o przypadkowych świadków tak samo jak o siebie i Maca.

Musiałam odciągnąć wilkołaka od zamieszkanego części miasta.

Zawróciłam w stronę warsztatu, ale zanim do niego dotarłam, mój prześladowca upadł na samym środku jezdni.

Z początku myślałam, że stracił równowagę pod wpływem wciąż zachodzącej przemiany, ale już się nie podniósł na cztery łapy, by kontynuować pościg. Zwolniłam, a potem się zatrzymałam i zaczęłam nasłuchiwać. Jedyne, co zakłócało ciszę, to łomot mojego serca.

Prawie skończył się przemieniać. Jego twarz była całkowicie wilcza, chociaż jeszcze niepokryta sierścią. Zniekształcone dłonie, zbyt cienkie, z niespotykanym u ludzi odstępem pomiędzy palcami a kciukiem i zgrubiałymi, wyostrozonymi pazurami, leżały nieruchomo na asfalcie.

Walcząc z potrzebą ucieczki, zmusiłam się, by do niego podejść. Czekałam, aż się zerwie i zaciśnie dłonie na mojej szyi, jak to zawsze robią potwory w nocnych filmach. Nic podobnego nie zaszło. Po prostu leżał, pachnąc krwią i adrenaliną.

Ciągnęła się za nim struga cieczy, jakby był samochodem, który zerwał przewód chłodnicy. Różnica polegała na tym, że w świetle ulicznych lamp lśniła krew.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie słyszę bębnienia serca wilkołaka ani szmeru jego oddechu.

Usłyszałam za to samochód. Odwróciłam głowę w samą porę, by ujrzeć SUV-a, który z piskiem opon wyjechał z parkingu i skręcił w moją stronę. Duży samochód chybotął się, gdy kierowca walczył z prędkością i zakrętem. Światło reflektorów na chwilę mnie oślepiło, ale zdążyłam dostrzec drogę ucieczki.

Instynktownie rzuciłam się w bok. Samochód na moment zwolnił, jakby kierowca rozważał, czy mą zatrzymać przy ciele

wilkołaka, ale wtedy ukryty pod maską V8 zawył i SUV nabrał prędkości.

Ledwo uniknął zderzenia z latarnią, za którą odskoczyłam. Nie potrafiłam stwierdzić, czy Mac jest w środku. Obserwowałam oddalające się światła, dopóki SUV nie wmieszał się w ruch na autostradzie.

Podeszłam do wilkołaka, by sprawdzić, czy przypadkiem nie zaczął oddychać, ale wciąż wyglądał na naprawdę porządnie martwego.

Nigdy przedtem nikogo nie zabiłam. Nie powinien był umrzeć, nie tak łatwo jest uśmiercić wilkołaka. Gdyby zadał sobie trud zatamowania krwotoku lub pozwolił mi uciec, rana zdążyłaby się zagoić.

Dopiero teraz poczułam w ustach jego krew. Zrobiło mi się niedobrze. Wymiotowałam tak długo, aż posmak żółci nie zabił pozostałych. Pobiegłam do warsztatu, zostawiając ciało na środku drogi. Powinnam się nim zająć, ale najpierw musiałam sprawdzić, co z Makiem.

Poczułam ulgę, gdy go zobaczyłam na parkingu. Opierał się o furgonetkę Stefana, ściskając w dłoni pistolet ze skrzywioną lufą.

– Mercy? – odezwał się, jakby zakładał, że odpowiem.

Skinęłam głową, po czym wyrwałam w stronę warsztatu, gdzie zostawiłam rzeczy. Ruszył za mną. Kiedy się przemieniłam i stanęłam przed nim zupełnie naga, odwrócił głowę.

Ubrałam się błyskawicznie – było zimno. – Jestem porządną dziewczynką – oznajmiłam, a on ponownie na mnie spojrział.

– Masz krew na brodzie – powiedział cichym głosem. Przetarłam twarz koszulką. Z zakupów tak czy inaczej nici, więc mogłam ją upaprać. Nie zrzygaj się znowu, przykazałam sobie surowo. Udawaj, że to był królik. Nieważne, że wcale tak nie smakował.

– Czym jesteś? – zapytał. – Jesteś jedną z nich? Gdzie jest... wilk?

– Nie żyje. Musimy pogadać – rzuciłam, a potem zamilkłam,

by zebrać myśli. – Ale najpierw trzeba ściągnąć trupa z ulicy. A zanim to zrobimy, chyba powinniśmy zadzwonić do Adama.

Weszłam do biura, tym razem zapalając światło. Nie żeby dawało nam coś więcej poza poczuciem komfortu.

Gdy moja dłoń spoczęła na słuchawce, Mac położył na niej swoją.

– Kto to jest Adam i dlaczego do niego dzwonisz? – zapytał.

Nie walczyłam z jego uściskiem.

– To miejscowy Alfa. Musimy usunąć ciało z drogi. A może wolisz, żebyśmy oboje wylądowali w rządowym laboratorium? Przez kilka lat naukowcy będą przy nas grzebać, by na końcu stwierdzić, że więcej nauczą się od naszych trupów.

– Alfa? – zapytał. – Co to takiego? Był nowy.

– Wilkołaki żyją w stadach – wytłumaczyłam. – Każde stado ma Alfę, silnego wilka, który kontroluje pozostałe. Adam Hauptman jest miejscowym Alfą.

– Jak on wygląda?

– Metr siedemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt kilo wagi. Ciemne włosy, ciemne oczy. Wątpię, by miał cokolwiek wspólnego z twoimi znajomymi. Adam dopadłby cię już dawno temu, gdyby tylko chciał. Może i jest palantem, ale jest również profesjonalistą w każdym calu.

Mac wpatrywał się we mnie oczami, które we fluorescencyjnym oświetleniu biura nabrały żółtawego koloru. Prawdę mówiąc dziwiłam się, że wciąż przebywa w ludzkiej postaci, bo zwykle przemiana jednego wilka stanowi zachętę dla innych. Spokojnie wytrzymałam spojrzenie chłopaka, a potem spuściłam wzrok na wysokość jego ramion.

– W porządku – powiedział, wolno odsuwając dłoń. – Uratowałam mnie, a to coś mogło cię rozszarpać. Widziałem, jak zabijają.

Nie spytałam kiedy i kogo. Aby uniknąć kolejnych kłopotów, należało działać we właściwej kolejności. Po pierwsze, zadzwonić. Po drugie, usunąć ciało ze środka ulicy, zanim ktoś je znajdzie. Po trzecie, porozmawiać z Makiem.

Wystukałam numer.

– Hauptman – usłyszałam po czwartym sygnale. W głosie Adama wyczułam zniecierpliwienie.

– Zabiłam wilkołaka przy warsztacie – oznajmiłam i odłożyłam słuchawkę. – Tak będzie szybciej – odpowiedziałam uniesionym brwiom chłopaka. – No, dalej, musimy ściągnąć ciało z ulicy. Ktoś może je zauważyć.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrała automatyczna sekretarka.

Skorzystałam z samochodu Stefana, ponieważ łatwiej załadować coś dużego do furgonetki niż do małego Królika.

Po jej zapachu zorientowałam się, że Mac nie skłamał, kiedy powiedział, że ma gdzie spać. Mieszkał w niej przynajmniej od kilku dni. W busie nie działały hamulce, ale jakoś zdołałam dowlec go do ciała. Wciągnęliśmy je do środka, a potem Mac pobiegł otworzyć warsztat. Położyliśmy truchło na cementowej posadzce obok podnośnika, po czym odstawiłam furgonetkę na miejsce i zaciągnęłam roletę. Zostaliśmy w warsztacie sam na sam z ciałem.

Klapanęłam na podłogę przy jednej z dużych szaf narzędzia, w kącie najbardziej oddalonym od martwego wilkołaka. Mac usiadł obok i oboje wpatrywaliśmy się w trupa.

W surowym świetle warsztatu na wpół przemienione ciało wyglądało jeszcze bardziej groteskowo niż w blasku latarni, jak coś z czarno-białego filmu z Lonem Chaneyem. Mogłam teraz dostrzec ranę, która zabiła wilkołaka.

– Był przyzwyczajony, że jego rany szybko się zasklepiają – powiedziałam, chcąc przerwać ciszę. – Więc na tę nie zwrócił uwagi. Ale niektóre rany goją się dłużej niż inne. Nie wiedział więcej niż ty. Jak długo jesteś wilkołakiem?

– Dwa miesiące. – Mac oparł głowę o szafkę i wbił wzrok w sufit. – Zabił moją dziewczynę, ale ja przeżyłem. Tak jakby.

Pomyślałam, że jest szczęściarzem, kiedy przypominałam sobie o moich wcześniejszych przypuszczeniach. Mimo wszystko nie zabił swojej dziewczyny. Prawdopodobnie nie czuł się wybrańcem losu, ale ja nie zamierzałam mu mówić, że mogło

być znacznie gorzej.

– Opowiedz mi, co się działo po Przeistoczeniu. Skąd byli ci mężczyźni? Pochodzisz z Tri-Cities? – Przez ostatnie sześć miesięcy nie słyszałam o żadnym podejrzanym przypadku śmierci czy zaginięcia.

Chłopak potrząsnął głową.

– Z Naperville. To w stanie Illinois, niedaleko Chicago – wyjaśnił na widok mojego zakłopotania. Zerknął na ciało, zamknął oczy i przełknął ślinę. –

Mam ochotę go zjeść – wyszeptał.

– To normalne – powiedziałam spokojnie, choć miałam ochotę szybko się odsunąć. Niebiosa, miejcie mnie w opiece... Przebywanie z młodym wilkołakiem w pomieszczeniu pełnym świeżego mięsa nie było niczym wyobrażeniem bezpieczeństwa. Ale musieliśmy czekać na Adama. Mogło być gorzej. Księżyc mógł być bliżej pełni albo Mac mógł być tak głodny jak pierwszego dnia.

– Dziczyzna smakuje lepiej, no i przede wszystkim łatwiej po niej żyć – dodałam, ale szybko ugryzłam się w język. Obecna sytuacja nie sprzyjała pogaduchom o kulinariach. – Co się z tobą działo po pierwszym ataku? Czy ktoś cię zawiózł do szpitala?

Mac chwilę mi się przyglądał, ale nie potrafiłam odgadnąć, o czym myśli.

– Po... po ataku obudziłem się w klatce. W jakiejś piwnicy. Ktoś tam był, a kiedy otworzyłem oczy, powiedział: „Żyjesz, to dobrze. Leo się ucieszy”.

– Czekaj – przerwałam mu. – Leo, Leo... Chicago. – Wtedy do mnie dotarło. – Leo James? Wygląda jak mistrz kombinacji norweskiej? Wysoki, tyczkowaty blondyn?

Leo był jednym z dwóch chicagowskich Alf. Jego terytorium obejmowało zachodnie przedmieścia. Spotkałam go raz czy dwa. Nie zrobiliśmy na sobie zbyt dobrego wrażenia, ale z drugiej strony, jak wcześniej wspomniałam, większość wilkołaków nie jest uprzejmie nastawiona do innych drapieżników.

Mac skinął głową.

– Opis pasuje. Zszedł po schodach z dwoma facetami, tym pierwszym i jeszcze jakimś innym. Żaden z nich nie odpowiadał na pytania ani się do mnie nie odzywał. – Przełknął ślinę i zerknął na mnie z niepokojem. – To całe gówno jest po prostu takie dziwaczne, wiesz? Niewiarygodne.

– Rozmawiasz z kimś, kto potrafi się zamienić w kojota – odparłam łagodnie. – Powiedz mi po prostu, co się twoim zdaniem stało.

– W porządku – powoli skinął głową. – W porządku. Cały czas byłem słaby i zdezorientowany, ale wyglądało na to, że Leo kłócił się o pieniądze. Na moje sprzedał mnie za dwanaście patoli.

– Leo sprzedał cię za dwanaście tysięcy dolarów – powiedziałam nie tyle do Maca, co do siebie. Mój głos może i zabrzmiał sucho, ale to dlatego, że Mac miał rację: to było niewiarygodne. Nie żebym posądzała go o kłamstwo. – Najpierw kazał swojemu wilkowi zaatakować ciebie i twoją dziewczynę, a potem sprzedał nowego wilkołaka komuś innemu.

– Tak mi się wydaje.

– Dzwoniłeś dziś po południu do rodziny? – Uśmiechnęłam się, gdy chłopak spojrzał na mnie nieufnie. – Mam całkiem dobry słuch.

– Na komórkę brata. – Przełknął ślinę. – Jest zepsuta, nie działa identyfikacja numerów. Musiałem im dać znać, że żyję. Policja chyba myśli, że to ja zabiłem Meg.

– Powiedziałeś mu, że szukasz zabójcy. Roześmiał się smutno.

– Tak jakbym mógł go odnaleźć.

Mógł. Musiał się po prostu nauczyć wykorzystywania zmysłów. Nie zamierzałam mu jednak o tym wspominać, jeszcze nie teraz. Nawet gdyby Mac zdołał odnaleźć napastników, prawdopodobnie by zginął. Młody wilk nie ma szans w konfrontacji z doświadczonymi.

Poklepałam go po kolanie.

– Nie martw się. Wystarczy szepnąć słówko odpowiednim ludziom – a Adam to odpowiedni człowiek – i Leo będzie chodzącym trupem. Marrok nie pozwoli żadnemu Alfie hodować

potomstwa na sprzedaż.

– Marrok?

– Wybacz. Jak już mówiłam, pomijając nielicznych łobuzów, wilkołaki są zorganizowane w stada, którymi kierują Alfę. Niegdyś stada były na tyle zorganizowane, na ile potrafiły się zorganizować same wilkołaki. Aby zostać Alfą, wystarczyło mieć siłę – inteligencja czy nawet zdrowy rozsądek stanowiły luksus. W średniowieczu, w czasach epidemii dżumy wilkołaki niemal wyginęły wraz z prawdziwymi wilkami, ponieważ niektórzy Alfa okazali się nierozważni. Wtedy zdecydowano, że potrzebny jest przywódca sprawujący pieczę nad wszystkimi przedstawicielami gatunku.

– W Stanach wszystkie stada słuchają Marroka. Ten tytuł pochodzi od imienia jednego z rycerzy króla Artura, który był wilkołakiem. Marrok i jego przybocznicy nadzorują działalność wilkołaków w całej Ameryce Północnej.

– Jest nas więcej? Przytaknęłam.

– Może jakieś dwa tysiące w Stanach, pięćset albo sześćset w Kanadzie i około czterysta w Meksyku.

– Skąd tyle wiesz o wilkołakach?

– Zostałam przez nie wychowana. – Czekałam na pytanie, jak do tego doszło, ale wzrok Maca powędrował w kierunku trupa. Chłopak głęboko wciągnął powietrze w nozdrza, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Wiesz, czego od ciebie chcieli? – zapytałam szybko.

– Powiedzieli, że szukają lekarstwa. Dodawali mi coś do jedzenia, wyczuwałam to w zapachu, ale byłam głodny, więc i tak jadłam. Czasem czymś mnie szprycowali, a raz, kiedy odmówiłam współpracy, użyli pistoletu na strzałki.

– Tam, na dworze, kiedy z nimi rozmawiałeś, powiedziałaś, że więzili innych.

Skinął głową.

– Trzymali mnie w przyczepie. Znajdowały się tam cztery klatki. Z początku było nas troje, dziewczyna w moim wieku i mężczyzna. Dziewczyna chyba nie bardzo kojarzyła, co się

dzieje, ciągle się kiwała i gapiła w ścianę. Mężczyzna nie mówił po angielsku. Na moje brzmiało to jak polski, ale mógł to być też rosyjski czy coś podobnego. Któregoś dnia odleciałem po czymś, co we mnie wpompowali, a gdy się obudziłem, byłem już sam.

– Narkotyki nie działają na wilkołaki – oznajmiłam. – Masz zbyt szybki metabolizm.

– Te zadziały – powiedział stanowczo. Kiwnęłam głową.

– Wierzę ci, choć nie powinny były. Uciekłeś?

– Udało mi się przemienić, kiedy po raz kolejny próbowali mnie czymś nafaszerować. Niewiele z tego pamiętam. Tylko tyle, że dokądś biegłem.

– Czy ta przyczepa znajdowała się na terenie Tri-Cities?

Mac przytaknął.

– Ale nie potrafiłem jej później odnaleźć. Nie zawsze pamiętam, co się dzieje, kiedy... – Jego głos przycichł.

– Kiedy jesteś wilkiem. – Świadomość pojawia się wraz z doświadczeniem i umiejętnością samokontroli, tak mi przynajmniej powiedziano.

Jakieś auto podjechało pod warsztat, wydając cichy pomruk charakterystyczny dla drogich silników.

– Co się dzieje? – zapytał Mac, kiedy wstałam.

– Nie słyszysz samochodu?

Chciał zaprzeczyć ruchem głowy, ale nagle zamarł.

– Ja... Tak, słyszę.

– Bycie wilkołakiem ma swoje zalety, na przykład słuch i węch lepszy niż u przeciętnego Smitha. Skręca na parking. Wyjdę zobaczyć kto to.

– Może ten facet, do którego dzwoniłaś. Ten Alfa.

– To nie jego samochód.



Rozdział 3

Prześliznęłam się przez biuro i ostrożnie uchyliłam drzwi, ale unoszący się w nocnym powietrzu zapach perfum i ziół natychmiast rozwiął moje obawy.

Ciemny cadillac stał w poprzek chodnika tuż za busem Stefana. Otworzyłam drzwi na oścież. Szofer w uniformie uklonił się w moją stronę i pomógł wyjść z samochodu starszej kobiecie.

Wetknęłam głowę z powrotem do biura i krzyknęłam:

– Wszystko gra, Mac! To tylko ekipa porządkowa.

Pilnowanie, by zwykli ludzie żyli w nieświadomości otaczającej ich magii, to wyspecjalizowane i lukratywne zajęcie, a stado Adama miało na usługach najlepszą czarownicę w północno-zachodnich Stanach. Plotki dotyczące pochodzenia Elizawieży Arkadiewny Wyszniwjetskajewej i wydarzeń, które sprawiły, że znalazła się w Tri-Cities, ulegały zmianom każdego tygodnia. Myślę, że ona i jej wylęg wnuków i prawnuków zachęcali do rozpowszechniania tych bardziej gorszących wersji. Na pewno wiedziałam tylko tyle, że urodziła się w Moskwie i że mieszkała w Tri-Cities przynajmniej od dwudziestu lat.

Elizawieta wyłoniła się z otchłani wielkiego samochodu z zadaniem primabaleriny oczekującej na wyrazy zachwytu publiczności. Obraz, jaki tworzyła, w pełni zasługiwał na ten

teatryk.

Wzrost – metr osiemdziesiąt pięć, sylwetka – kości obciągnięte skórą. Do tego długi, elegancki nos i szare oczy o przenikliwym spojrzeniu. Garderoba przywodziła na myśl coś pomiędzy sędziwą babunią a Babą Jagą; warstwy drogich tkanin spływały aż do łydek, otoczone długą wełnianą peleryną i znoszonym szalem, owiniętym wokół głowy i szyi.

Ubiór Elizawiey nie był charakterystyczny dla żadnego miejsca ani epoki, o jakich słyszałam, ale jak dotąd nie spotkałam nikogo, kto miałby dość odwagi, by jej to wytknąć.

– Witaj, Elizawieto Arkadiowna – powiedziałam, zatrzymując się przy limuzynie.

Staruszka spojrzała na mnie groźnie.

– Mój Adamuska dzwoni i mówi, że masz jego wilka. – W jej głosie pobrzmiwała szorstkość brytyjskiej arystokratki, wiedziałam więc, że jest zła. Zazwyczaj akcent Elizawiey był na tyle wyraźny, że musiałam się naprawdę wysilić, by ją zrozumieć. W chwilach prawdziwego gniewu nie mówiła po angielsku wcale.

– Wilkołaka, tak – przytaknęłam. – Ale nie sądzę, by należał do Adama.

„Adamuska”, jak się dowiedziałam, to zdrobnienie od „Adama”. Nie sądzę, by Elizawiea kiedykolwiek tak się zwróciła do Alfya stada. Rzadko okazywała czułość tym, którzy słyszeli dość dobrze, by móc ją podsłuchiwać.

– Trupa schowałam do warsztatu – powiedziałam – ale tu wszędzie jest krew. Ten wilkołak gonił mnie z otwartą tętnicą. Krwawił stąd aż do magazynów, gdzie rozdarł ogrodzenie w dwóch miejscach. W końcu wykrwawił się na śmierć na środku ulicy. Przy magazynach są kamery. Skorzystałam też z furgonetki Stefana – skinęłam w stronę samochodu – żeby usunąć ciało.

Elizawiea powiedziała coś po rosyjsku do szofera, w którym rozpoznałam jednego z jej wnuków.

Szofer skłonił się, coś odpowiedział, a potem obszedł

samochód, żeby otworzyć bagażnik.

– Idź – rozkazała, machając ręką w ponagląjącym geście. – Ja się zajmę bałaganem bez twojej pomocy. Ty czekaj z ciałem. Adam wkrótce tu będzie. Jak zobaczy, powie mi, co mam z tym zrobić. Czym zabiłaś tego wilka? Srebrną kulą, żebym musiała szukać łuski?

– Kłami – wyjaśniłam. Wiedziała, czym jestem. – To był jakby wypadek. Przynajmniej jego śmierć.

Złapała mnie za ramię, kiedy się odwróciłam w stronę biura.

– Co ty sobie myślałaś. Mercedes Thompson? Sądzę, że mały wilk, który atakuje te wielkie, wkrótce umrze. Szczęście w końcu każdego opuszcza.

– Mógł zabić chłopaka, którym się opiekuję. Nie miałam wyboru.

Puściła mnie, parsknąwszy na znak dezaprobaty, i przemówiła z wyraźnym rosyjskim akcentem:

– Zawsze jest wybór, Mercy. Zawsze jest wybór. Ale myślę, że ten wilk nie był od Adamuszki, skoro zaatakował chłopaka.

Spojrzała na szofera i znów zaczęła gderać. Skutecznie odprawiona wróciłam do Maca i naszego martwego kolegi.

Zastałam chłopaka skulonego obok trupa. Oblizywał palce, jakby wcześniej dotykał ciała i oczyszczał je teraz z krwi. Zły znak. Z jakiegoś powodu byłam prawie pewna, że gdyby Mac potrafił się kontrolować, nie robiłby tego.

– Mac – rzuciłam. Ominęłam go ostrożnie i podeszłam do kąta, w którym wcześniej siedzieliśmy.

Zawarczał.

– Przestań! – Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by nie wyczuł mojego strachu. – Opanuj się. Jest kilka spraw, o których powinieneś się dowiedzieć, zanim przyjedzie Adam.

Nie chciałam, żeby odebrał moje zachowanie jako walkę o dominację. Instykt podpowiadał mi, że Mac był urodzonym przywódcą, przewodnikiem, który mógł w przyszłości zostać Alfą – a ja byłam kobietą.

Ruch wyzwolenia kobiet nie przyczynił się do wielkiego

postępu w świecie wilkołaków. Samica osiąga pozycję w stadzie dzięki samcowi. Samotne samice zawsze zajmują najniższe miejsca w hierarchii, chyba że w stadzie trafi się niespotykane uległy samiec.

Ten drobny fakt wzbudzał we mnie nieutulony żal, kiedy dorastałam między wilkołakami. Jednak bez pomocy kogoś bardziej dominującego niż on sam Mac jeszcze nie mógł przejąć kontroli nad swoim wilkiem. Adama nie było, więc wszystko zależało ode mnie.

Starając się jak najlepiej odegrać postać mojego przybranego ojca, uniosłam brwi.

– Mac, na litość boską, zostaw tego biednego umarlaka w spokoju i chodź tutaj!

Chłopak powoli wstał. W jego oczach błysnęła groźba.

Potrząsnął głową i potarł twarz, lekko się kołysząc.

– Pomogło – powiedział. – Możesz to zrobić jeszcze raz?

Mogłam, a przede wszystkim chciałam zrobić wszystko, co w mojej mocy.

– Natychmiast tu podejdź!

Ruszył w moją stronę, lekko się zataczając, i usiadł u moich stóp.

– Mac, cokolwiek się stanie, nie patrz Adamowi w oczy dłużej niż przez sekundę. Mam nadzieję, że twój instynkt zadziała, ale mimo wszystko staraj się o tym pamiętać. Nie ma potrzeby trząść się ze strachu, bo nie zrobiłeś nic złego.

Pozwól, że ja będę mówić. Chodzi nam o to, by Adam zabrał cię ze sobą do domu.

– Sam sobie poradzę – zaproponował Mac. Mówił już prawie jak chłopak, który pracował ze mną w warsztacie, ale wciąż patrzył na ciało.

– Nie poradzisz sobie – powiedziałam zdecydowanie. – Gdyby nie stado, może i miałbyś szansę przeżyć. Ale jeśli natkniesz się na jednego z wilków Adama, zanim poznasz jego stado, prawdopodobnie zginiesz. Poza tym zbliża się pełnia. Do tego czasu Adam nauczy cię panować nad bestią.

– Mogę ją kontrolować? – Mac znieruchomiał.

– Oczywiście. I pamiętaj, to nie żaden potwór, a przynajmniej nie większym stopniu niż każdy drapieżnik. Wilkołaki szybko wpadają w złość i bywają agresywne, ale nie są złe. – Pomyślałam o tym, który sprzedał Maca, i szybko się poprawiłam. – W każdym razie nie gorsze od niektórych ludzi.

– Nawet nie pamiętam, co robię, kiedy jestem wilkiem – powiedział Mac, – Jak mogę nad nim zapanować?

– Podczas kilku pierwszych przemian jest trochę trudniej – wytłumaczyłam. – Dobry Alfa pomoże ci przez to przejść. Gdy już poskromisz swojego wilka, będziesz mógł powrócić do dawnego życia, jeśli się na to zdecydujesz. Musisz być tylko ostrożny, bo nawet w ludzkiej postaci trzeba sobie jakoś radzić z agresją i nieco większą siłą niż ta, do której jesteś przyzwyczajony. Adam wszystkiego cię nauczy.

– Za nic nie mogę wrócić...

– Najpierw zdobądź kontrolę. Są ludzie, którzy pomogą ci z całą resztą. Nie poddawaj się.

– Nie jesteś taka jak ja.

– Nie jestem. Należę do zmiennokształtnych, to coś zupełnie innego. Ja się taka urodziłam.

– Nigdy nie słyszałem o zmiennokształtnych. Czy to rodzaj nie ludzi?

– Mniej więcej. Nie mam wielu z tych przyjemnych rzeczy, którymi dysponują wilkołaki. Żadnej supersiły, żadnej superregeneracji, żadnego stada.

– Żadnego ryzyka, że mogłabyś pożreć własnych przyjaciół – wtrącił. Nie potrafiłam stwierdzić, czy usiłował być zabawny, czy mówił poważnie.

– Istnieją pewne korzyści – zgodziłam się.

– Skąd wiesz tak dużo o wilkołakach?

Chciałam przedstawić chłopakowi skróconą wersję historii, ale doszłam do wniosku, że dłuższa pomoże mi odwrócić jego uwagę od trupa.

– Moja matka była fanką rodeo – zaczęłam, siadając obok

Maca. – Lubiła kowbojów, wszystkich kowbojów. Spodobał się jej pochodzący z plemienia Czarnych Stóp ujeżdżacz byków, Joe Stary Kojot, który mieszkał w Browning w stanie Montana. Spodobał się jej do tego stopnia, że zaszła z nim w ciążę. Joe twierdził, że pochodzi z rodu lekarzy. Tak przynajmniej powiedziała mi mama, chociaż już wtedy myślała, że po prostu próbował jej zaimponować. Trzy dni po tym, jak go spotkała, zginął w wypadku samochodowym.

– Miała siedemnaście lat i rodzice próbowali nakłonić ją do aborcji, ale nawet nie chciała o tym słyszeć. Później sugerowali, by oddała dziecko do adopcji, ale była zdecydowana sama mnie wychowywać – przynajmniej do czasu, kiedy skończyłam trzy miesiące. Wtedy zamiast słodkiego bobaska znalazła w łóżeczku szczenię kojota.

– I co zrobiła?

– Próbowała odnaleźć krewnych mojego ojca – ciągnęłam. – Pojechała do Browning i dotarła do kilku rodzin o tym samym nazwisku, ale wszyscy twierdzili, że nigdy nie słyszeli o żadnym Joe. Jedno jest pewne – Joe był rdzennym Amerykaninem – wskazałam na siebie ręką. Nie wyglądam na czystej krwi Indiankę; rysami twarzy zdradzam anglosaskie pochodzenie. Tym niemniej moja skóra wydaje się opalona nawet w listopadzie, a włosy mam proste i równie ciemne, co oczy. – Poza tym niewiele o nim wiem.

– Stary Kojot... – Mac głośno wyraził swoje przypuszczenie.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Nie da się nie pomyśleć, że ta cała heca z przemianami musi być rodzinna, co?

– No dobra, ale co to ma wspólnego z wilkołakami?

– Wujek mojego pradziadka był wilkołakiem. Miał to zachować w tajemnicy, ale przed matką trudno cokolwiek ukryć. Ona po prostu uśmiecha się do ludzi, a oni opowiadają jej historię swojego życia. Tak czy inaczej, znalazła jego numer telefonu i zadzwoniła.

– Nieźle. Ja nie poznałem żadnego z moich pradziadków.

– Ani ja – zawtórowałam i znów się uśmiechnęłam. – Tylko ich wujka wilkołaka. Długie życie to kolejna z zalet bycia wilkołakiem. Jeśli potrafi się kontrolować wilka – ale tę część lepiej wyjaśni Adam.

Spojrzenie Maca znów powędrowało w kierunku umarlaka.

– No tak, cóż – westchnęłam. – Mimo wszystko głupota nadal potrafi cię zabić. Co prawda wujek pradziadka był wystarczająco mądry, by przeżyć swoje pokolenie, ale koniec końców został wypatroszony przez łosia, na którego pewnej nocy wyszedł zapolować.

– Tak czy siak – ciągnęłam – przyjechał kiedyś w odwiedziny i gdy tylko mnie zobaczył, od razu wiedział, czym jestem. Działo się to, jeszcze zanim nie-ludzie wyszli z ukrycia, a zwykli śmiertelnicy usiłowali udawać, że nauka raz na zawsze wypędziła magię z ich życia. Przekonał moją matkę, że będę bezpieczniejsza w ostępach Montany, wychowywana przez wilkołaki Marroka – mają własne miasteczko w górach, gdzie obcy rzadko ich niepokoją. Wychowywałam się w rodzinie zastępczej, która nie miała żadnych dzieci.

– Twoja matka tak po prostu cię oddała?

– Przyjeżdżała każdego lata, choć oni niczego jej nie ułatwiali. Marrokanie nie przepadają za ludźmi, pomijając własnych współmałżonków i dzieci.

– Myślałem, że Marrok jest wilkiem, który rządzi Ameryką Północną – powiedział Mac.

– Nazwa stada czasem pochodzi od imienia bądź tytułu jego przywódcy – wyjaśniłam. – A zatem wilkołaki Marroka to Marrokanie. Częściej jednak pochodzi od jakiejś cechy geograficznej zajmowanego przez stado terytorium. Wilki Adama to Stado Dorzecza Kolumbii. Poza tym w stanie Waszyngton istnieje jeszcze jedno stado, Szmaragdowe Stado w Seattle.

Mac chciał zadać kolejne pytanie, ale uciszyłam go gestem ręki. Usłyszałam samochód Adama.

– Pamiętaj, co ci mówiłam o Alfie – powiedziałam i wstałam. –

To dobry facet. Potrzebujesz go. Po prostu siedź, nie podnoś oczu i pozwól mi mówić, a wszystko będzie w porządku.

Drzwi warsztatu najpierw zajęczały, a następnie zadzwoniły jak gigantyczne talerze perkusyjne, kiedy brutalną siłą zmuszono je do poruszania się z większą niż zwykle prędkością.

W wejściu stał Adam Hauptman. Bezruch okrywał jego postać i przez chwilę widziałam go wyłącz nie oczami, tak jak mógł go widzieć zwykły człowiek. Było na co popatrzeć.

Jak na kogoś z niemieckim nazwiskiem, wygląd miał wyjątkowo słowiański: śniadą skórę i ciemne włosy – chociaż nie tak ciemne jak moje – a do tego szerokie kości policzkowe i wąskie, lecz zmysłowe usta. Nie był ani wysoki, ani postawny. Co zatem sprawiało, że gdy tylko gdzieś się pojawiał, wędrowały ku niemu wszystkie spojrzenia? Cóż, ktoś mógłby dojść do skądinąd mylnego wniosku, że to twarz była źródłem tego dziwnego magnetyzmu. Adam był Alfą.

Bez względu na urodę zwracałby uwagę każdego, kto się znajdował w pobliżu, czy to wilka, czy człowieka choć męskie piękno, z którym się tak nieskrępowanie obnosił, w niczym nie przeszkadzało.

W normalnych okolicznościach jego oczy miałyby głęboki czekoladowy kolor, jednak teraz, rozjarzone złością, były niemal żółte. Słyszając ciężki oddech Maca porażonego gniewem Alfę, przygotowałam się na uderzenie fali mocy, która spłynęła po mnie jak morska woda po szkle.

No cóż, mogłam wyjaśnić Adamowi sytuację, kiedy dzwoniłam, ale gdzie w tym zabawa?

– Co się stało? – zapytał Adam głosem delikatniejszym niż płatek śniegu.

– To skomplikowane – odparłam, wytrzymując spojrzenie Alfę przez pełne dwie sekundy. Odwróciłam głowę i wskazałam na ciało. – Tam leży umarłak. Jeśli należy do ciebie, to znaczy, że zaniedbałeś swoje obowiązki. Był głuchy i ślepy jak człowiek. Udało mi się go zaskoczyć. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że rany zadane przez nadnaturalne stworzenia zamykają się

wolniej. Wykrwawił się na własne życzenie, zbyt pochłonięty pości...

– Wystarczy, Mercedes – warknął Adam. Dużymi krokami podszedł do martwego wilkołaka i uklęknął. Kiedy poruszył ciałem, jedna z rąk opadła na ziemię.

Mac zaskomlał z głodu. Przycisnął głowę do mojego uda, żeby nic nie widzieć.

Adam momentalnie odwrócił się w naszą stronę i zawarczał.

– Żaden z nich nie należy do mnie.

– Litości... – westchnęłam. – Twoją matkę należałoby pochwalić za maniery synka, Hauptman.

– Ostrożnie – syknął. Nie zabrzmiało to jak groźba – raczej jak ostrzeżenie.

Okej, był przerażający. Naprawdę przerażający. Prawdopodobnie przerażałby nawet jako człowiek, ale wtedy by nie wiedział, że udało mu się mnie zastraszyć.

– Adamie Hauptman – powiedziałam uprzejmie, chcąc mu pokazać, jak się to powinno robić. – Pozwól, że przedstawię ci Maca – znam go wyłącznie pod tym imieniem. Jakies dwa miesiące temu w Chicago został zaatakowany przez wilkołaka. Zginęła jego dziewczyna, ale on przeżył. Obudził się w klatce. Mężczyzna, którego rysopis pasuje do Leo, chicagowskiego Alfya, sprzedał go komuś, kto go więził w przyczepie i, z tego, co zrozumiałam, wykorzystał do eksperymentów z lekami. W końcu Macowi udało się uciec. W zeszły piątek przyszedł do mojego warsztatu. Szukał pracy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że przyszedł do ciebie obcy wilk?

Westchnęłam.

– Nie należę do twojego stada. Wiem, że trudno ci to pojąć, więc powtórzę powoli: nie należę do ciebie. Nie mam obowiązku o czymkolwiek cię informować.

Adam zaklął.

– Młode wilkołaki są niebezpieczne, kobieto. A w szczególności te zmarznięte i głodne. –

Spojrzał na Maca i jego głos całkowicie się zmienił, zniknęły gdzieś gniew i uniesienie. – Mercy, chodź tu.

Nawet nie chciałam wiedzieć, co dostrzegł w twarzy chłopaka. Spróbowałam się poruszyć, ale Mac owinął ręce wokół mojej nogi.

– Chwilowo jestem uziemiona.

– Jak na mądrą dziewczynę, czasem zachowujesz się wyjątkowo głupio – powiedział Adam głębokim i łagodnym głosem, nie chcąc wystraszyć wilkołaka. – A zamykanie się w warsztacie z nowym wilkiem i świeżym ciałem z pewnością nie należy do najbłyskotliwszych pomysłów. Jeszcze nie nawiązałem z nim kontaktu. Pomogłoby, gdybyś знаła jego prawdziwe imię.

– Mac – wymamrotałam, – jak masz na imię?

– Alan – odpowiedział chłopak jakby przez sen, unosząc się na kolana i przyciskając twarz do mojego brzucha. – Alan MacKenzie Frazier, po dziadku, który zmarł w tym samym roku, w którym się urodziłem.

Unosząc głowę, odrobinę podciągnął moją koszulę. Polizał mnie po nagim brzuchu. Dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać zmysłowo, tak naprawdę jednak brzuch stanowi czuły punkt ciała, ulubione miejsce ataku wielu drapieżników. – Ładnie pachniesz – szepnął.

On pachniał wilkołakiem, przez co zaczynałam wpadać w panikę – a to nie było w tej chwili pożądane.

– Alanie – powiedział powoli Adam. – Alanie Mac-Kenzie Frazierze, podejdź do mnie.

Mac gwałtownie odsunął ode mnie głowę, ale kurczowo zacisnął ramiona wokół moich bioder. Zawarczał. Poczułam na nodze vibracje jego piersi.

– Moja – syknął. Adam zwęził oczy.

– Nie sądzę. Ona należy do mnie.

Może i schlebiałaby mi ta sytuacja, gdyby nie fakt, że pierwszy z nich miał na myśli posiłek, natomiast drugi...

Wolałam nawet nie zgadywać. Wykorzystując chwilę nieuwagi

Maca, który skupił się na Adamie, ze znajdującej się za mną półki podniosłam ciężki łom.

Uderzyłam nim chłopaka w obojczyk. Nie dysponiemniej obojczyk, nawet u wilkołaka, nietrudno uszkodzić.

Usłyszałam chrupot kości. Przebiegłam na drugą stronę warsztatu, zanim Mac zdążył się ocknąć po niespodziewanym ataku.

Cóż, nie chciałam mu wyrządzić krzywdy. Za kilka godzin rana się zagoi i chłopak będzie jak nowy – pod warunkiem, że mnie nie zabije. Raczej nie należał do tego gatunku ludzi, którzy po morderstwie dochodzą do siebie równie łatwo, co po złamaniu kości.

Adam poruszał się prawie tak szybko jak ja. Chwycił Maca za kark i energicznym ruchem postawił go na nogi.

– Adam – odezwałam się, względnie bezpieczna w przeciwległym kącie warsztatu. – On jest nowy niewyuczony. To ofiara – mówiłam cicho, by nie zaognić sytuacji.

W tym momencie Mac nie wyglądał na szczególnie groźnego. Wisiał bezwładnie w uścisku Adama, co okazało się bardzo pomocne.

– Przepraszam – powiedział prawie niedosłyszalnie. – Przepraszam.

Adam, wciąż poirytowany, postawił chłopaka na ziemi, wypuszczając z siebie powietrze. Nogi Maca okazały się jednak zbyt słabe, by utrzymać ciało w pionie, i chłopak runął na cementową podłogę.

– Boli – wyszeptał.

– Wiem – w głosie Adama nie było już złości – ale to pewnie dlatego, że mówił do Maca, a nie do mnie. – Zagoi się szybciej, jeśli przyjmiesz postać wilka.

Mac spojrział w górę i zamrugał.

– Nie sądzę, by wiedział, jak to zrobić na zawołanie – wtrąciłam.

Adam zerknął z ukosa na ciało, a potem na mnie.

– Mówiliście coś o klatce i eksperymentach? Mac milczał, więc

kiwnęłam potakująco głową.

– Tak mi właśnie powiedział. Najwyraźniej ktoś prowadzi badania ze środkiem, który rzekomo działa na wilkołaki. –

Opowiedziałam Adamowi o wszystkim, co usłyszałam od chłopaka i czego sama byłam świadkiem tego wieczoru. Nie pominęłam żadnego szczegółu, ale Adam wciąż wyglądał na rozwścieczonego, więc dla pewności na koniec powtórzyłam co istotniejsze szczegóły.

– Biedny dzieciak – skwitował krótko, kiedy skończyłam, i zwrócił się do Maca: – W porządku. Wszystko będzie dobrze. Po pierwsze, wywołamy twojego wilka, żebyś mógł zagoić ranę.

– Nie – zaprotestował Mac, patrząc z dzikością w oczach na mnie, a potem na trupa. – Nie potrafię się kontrolować, kiedy taki jestem. Zrobię komuś krzywdę.

– Spójrz na mnie – rozkazał Adam. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku, mimo że wypowiedziane gardłowym głosem słowa nie były skierowane do mnie. Maca zamurowało.

– Nie bój się, Alanie. Nie pozwolę, byś skrzywdził Mercy, chociaż pewnie należy jej się małe lanie. Ani nie pozwolę, byś zjadł martwego wilkołaka – dodał Adam, udowadniając, że jest spostrzegawczy.

Mac wciąż się wahał. Uklękłam obok Adama, spojrzeć chłopakowi w oczy.

– Mówiłam ci, że on będzie kontrolować twojego wilka, dopóki sam się tego nie nauczysz. Właśnie dlatego jest Alfą. Możesz mu zaufać.

Mac przymknął oczy i pokiwał głową.

– Dobrze. Ale nie wiem jak.

– Wkrótce się połapiesz – powiedział Adam. – Ale na razie ci pomogę. – Trącił mnie kolaniem, wyciągając z kieszeni nóż. –

Będzie łatwiej bez ubrania.

Podniosłam się tak dyskretnie, jak tylko potrafiłam, a potem starałam się stać spokojnie, kiedy Mac krzyczał.

Nawet w sprzyjających okolicznościach przemiana nie jest ani łatwa, ani bezbolesna, a bez zewu księżyca sprawa komplikuje

się jeszcze bardziej. Nie mam pojęcia, dlaczego wilkołaki nie potrafią się przemieniać tak jak ja, ale musiałam zacisnąć powieki, słysząc dochodzące z kąta warsztatu krzyki.

Złamany obojczyk z pewnością nie ułatwiał Macowi przemiany. Doświadczony wilkołaki potrafią zmienić postać stosunkowo szybko – nowemu mogło to zająć sporo czasu.

Wymknęłam się do biura i wyszłam na zewnątrz. Chciałam im zapewnić odrobinę prywatności, a poza tym nie mogłam już znieść widoku i odgłosów cierpienia chłopaka. Usiadłam na prowadzącym do biura schodku i czekałam.

Mniej więcej w tym samym momencie, w którym krzyk człowieka zamienił się w skowyt wilka, wróciła Elizawieta, wsparta na ramieniu wnuka.

– Jeszcze jeden wilkołak? – zapytała. Przytaknęłam i wstałam.

– Chłopak, o którym ci opowiadałam. Jest z nim Adam, więc nic nam nie grozi. Wyczyściłaś furgonetkę Stefana? – skinęłam w stronę busa.

– Tak, tak. Myślisz, że masz do czynienia z amatorką? – prychnęła obrażona. – Twój przyjaciel wampir nigdy się nie dowie, że w jego samochodzie jechał inny trup niż on sam.

– Dziękuję. – Przechyliłam głowę, ale w warsztacie panowała cisza, więc otworzyłam drzwi biura i zawołałam: – Adam?

– Wszystko w porządku – odkrzyknął zmęczonym głosem. – Nie ma powodu do obaw.

– Jest tu Elizawieta z szoferem – poinformowałam go. Mógł nie zauważyć limuzyny, kiedy szturmem zajechał pod warsztat.

– Wejdźcie.

Chciałam przytrzymać drzwi, ale wnuk Elizawiey wyrwał mi je z ręki. Elizawieta puściła jego ramię i zacisnęła kościste palce na moim. Sądząc po sile uścisku, raczej nie potrzebowała pomocy.

Ciemnoszary wilk Maca leżał w kącie warsztatu, zlewając się z cieniami na cementowej posadzce. Miał jasną końcówkę jednej łapy i biegnący wzdłuż pyska biały pasek. Znaczenia na sierści wilkołaków zwykle bardziej przypominają psie niż wilcze. Nie

wiem dlaczego. Ogon Brana, Marroka, ma białą końcówkę, jak gdyby został umoczony w wiadrze z farbą. Moim zdaniem to słodkie, ale nigdy nie odważyłam mu się tego powiedzieć.

Adam klęczał przy zwłokach, nie zwracając uwagi na Maca.

Podniósł wzrok, kiedy weszliśmy do warsztatu.

– Elizawieto Arkadiewna – zwrócił się do staruszki, po czym dodał coś po rosyjsku. Po chwili kontynuował już po angielsku: – Robercie, dziękuję, że również przyjechałeś.

Elizawieta odpowiedziała w ojczystym języku.

– Jeszcze nie – pokręcił głową Adam. – Możesz odwrócić przemianę? – wskazał na martwe ciało. – Nie rozpoznaję jego zapachu, ale chciałbym się dobrze przyjrzeć twarzy.

Elizawieta zmarszczyła czoło i zaterkotała po rosyjsku do wnuka. Gdy usłyszała odpowiedź, kiwnęła głową. Dodała coś jeszcze i ponownie odezwała się do Adama:

– Nie gwarantuję, że się uda, ale mogę spróbować.

– Przypuszczam, że nie masz tu aparatu, Mercy? – zapytał Adam.

– Mam – odpowiedziałam. Czasem pracuję nad samochodami, które ktoś już wcześniej „odrestaurował”, próbując naśladować jakiś interesujący styl. Odkryłam, że robienie zdjęć takiemu kuriozum, zanim się za nie zabiorę, bardzo pomaga w ponownym poskładaniu go do kupy. – Przyniosę go.

– Weź też kawałek papieru i poduszeczkę z atramentem, jeśli masz. Wyślę przyjacielowi odciski do analizy.

Kiedy wróciłam, martwy wilkołak miał już ludzką postać, a w jego szyi ziała wielka dziura. Z powodu, utraty krwi jego skóra nabrała niebieskiego odcienia. Widziałam już niejednego umarlaka, ale nigdy takiego, za którego śmierć byłam osobiście odpowiedzialna.

Porozrywane ubranie nie wyglądało tak interesująco, jak to zwykle przedstawiają ilustratorzy komiksów i książek fantasy. Spodnie pękły w kroku, a koszula pod pachami i przy przesiąkniętym krwią kołnierzu. W ten sposób zwłoki zostały pozbawione resztek godności.

Adam wziął ode mnie aparat. Zrobił kilka zdjęć pod różnym kątem i przewiesił go sobie przez ramię.

– Oddam, gdy tylko wywołam zdjęcia – obiecał nieobecnym głosem. Ze znajomością rzeczy przycisnął zimne palce do poduszki z atramentem i odbił odciski na kartce.

Kolejne wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie.

Adam pomógł wnukowi Elizawiety włożyć ciało do bagażnika limuzyny. Elizawieta wykonała mamroty i podrygi, które zalały mój warsztat magią i, miejmy nadzieję, usunęły wszelkie ślady obecności trupa. Kiedy zabierała ubranie Maca, chłopak zawarczał na znak sprzeciwu.

– Ciii – uspokoił go Adam. – I tak wyglądały niewiele lepiej niż łańchmany. Mam w domu ubrania, które będą na ciebie pasować, a jutro kupimy ci nowe.

Mac rzucił mu pytające spojrzenie.

– Jedziesz ze mną do domu – oznajmił Adam nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Nie pozwolę, by nowy wilkołak biegał swobodnie po moim mieście. Jedziesz ze mną, a kiedy się co nieco nauczysz, sam wybierzesz – żyć ze stadem bądź samotnie. To już twój problem, ale dopóki nie będę usatysfakcjonowany twoją umiejętnością samokontroli, nigdzie się sam nie ruszysz.

– Ja już jadę. Stara kobieta powinna spać o tej porze – powiedziała Elizawieta. Spojrzała na mnie cierpko. – Nie rób przez jakiś czas głupstw, jeśli potrafisz się powstrzymać, Mercedes. Nie chcę tu wracać.

Mówiła tak, jak gdyby regularnie przyjeżdżała po mnie sprzątać, chociaż nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Byłam zmęczona, a resztki kolacji ciągle chciały opuścić mój żołądek. Ostry ton głosu czarownicy najeżył moje kolce. Zbyt rozdrażniona, by je schować, odpowiedziałam nie dość dyplomatycznie pełnym słodczy głosem:

– Ja też bym tego nie chciała.

Zorientowałam się, że Elizawieta wychwyciła ukrytą zniewagę. Zachowałam kamienną twarz, by nie mogła z niej wyczytać, czy

mówiłam poważnie, czy kpiłam. Znieważanie czarownic figuruje na szczycie listy największych głupot, jakie można popełnić, tuż obok rozwścieczania Alfy i przytulania nowego wilka w pomieszczeniu, w którym leżą jeszcze ciepłe zwłoki. Wszystkie z nich dzisiejszej nocy popełniłam. Nic jednak nie mogłam na to poradzić – przekorność stanowiła cechę mojego charakteru.

Podczas dorastania w stadzie dominujących wilkołaków w większości płci męskiej przekora jest czymś niezbędnym, jeśli chcesz zachować własne „ja”. Wilkołaki, podobnie jak inne drapieżniki szanują pyszałkowatość. Jeśli z całych sił starasz się ich nie rozzłościć, uznają to za przejaw słabości – a słabe stworzenia to ofiary.

Plan na jutro – zwiesić pokornie głowę i naprawiać stare samochody. Dzisiejszej nocy wyczerpałam cały zasób szczęścia.

Adam chyba myślał podobnie. Chwycił rękę Elizawiety i starając się odwrócić jej uwagę, odprowadził ją do samochodu. Szofer posłał mi szeroki, leniwy uśmiech.

– Nie posuwaj się za daleko z babunią, Mercy – powiedział cicho. – Lubi cię, ale to niczego nie zmieni, jeśli poczuje, że nie okazujesz jej szacunku.

– Wiem – odparłam. – Jadę do domu sprawdzić, czy kilka godzin snu nie utemperuje mojego jęzora, zanim wpadnę w kolejne tarapaty. – Staralam się być zabawna, a zabrzmiałam wyłącznie na zmęczoną.

Robert uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem, po czym wsiadł do limuzyny.

Coś ciężkiego oparło się o moje biodro. Spojrzałam w dół. Mac patrzył na mnie z życzliwością, a przynajmniej tak mi się wydawało. Adam wciąż był zajęty konwersacją z Elizawietą, ale wyglądało na to, że z chłopakiem wszystko w porządku. Podrapałam go delikatnie za uchem.

– Chodź – powiedziałam. – Pozamykamy ten burdel.

Tym razem pamiętałam, by zabrać portfel.



Rozdział 4

W domu doszłam do wniosku, że na taką noc jest tylko jedno lekarstwo. Po zapasie gorzkiej czekolady nie pozostał ślad, a z pojemnika na pierniczki ziała pustka, więc włączyłam piekarnik i wyciągnęłam mikser. Właśnie wsypywałam wiórki czekoladowe do ciasta, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłam. W progu stała dziewczyna z burzą wściekle pomarańczowych loków na głowie i taką ilością makijażu na twarzy, która wystarczyłaby do zaopatrzenia na miesiąc oddziału zawodowych cheerleaderek. Trzymała mój aparat.

– Cześć, Mercy. Tata mnie przysłał, żebym ci to oddała i żebym mu nie przeszkadzała, gdy będzie się zajmował interesami stada.

– Wywróciła oczami, podając mi aparat. – Jakbym nie wiedziała, że należy się trzymać z daleka od obcych wilkołaków.

– Cześć, Jesse. – Skinieniem ręki zaprosiłam dziewczynę do środka.

– Poza tym – ciągnęła, zsuwając buty palcami stóp – ten wilk był słodki. Miał tutaj taki pasek – przesunęła palcem wzdłuż nosa.

– Nie zamierzał zrobić mi krzywdy. Ja go tylko drapałam po brzuchu, a mój ojciec wszedł i się wściekł – o, mniem, pieczesz ciasteczka! Mogę trochę?

Jesse była córką Adama, piętnastolatką pozującą na czterdziestkę. Większą część roku spędzała z matką w Eugene – pewnie przyjechała do Tri-Cities uczcić z Adamem Święto Dziękczynienia. Co prawda do święta pozostało kilka dni, ale Jesse uczęszczała do jakiejś prywatnej szkoły dla wybitnych i ekscentrycznych dzieci, więc niewykluczone, że miała więcej wolnego niż dzieciaki ze szkół publicznych.

– Ufarbowałaś włosy specjalnie dla ojca? – zapytałam, podając jej łyżkę ze sporą porcją ciasta.

– Oczywiście – odrzekła i zlizwała ciasto. Kontynuowała, jakgdyby jej usta nie były w połowie wypełnione. – W ten sposób pozwalałam mu się spełniać w roli ojca, bo ma na co ponarzekać. Poza tym – dodała z miną pełnej powagi – wszyscy w Eugene to robią. Zmyje się za tydzień lub dwa. Kiedy znudził mnie jego wykład, powiedziałam, że i tak ma szczęście. Mogłam użyć Super Glue, żeby sobie postawić włosy jak mój przyjaciel Jared. Może tak zrobię w następne wakacje. Dobre.

Klepnęłam ją w rękę, gdy sięgała po kolejną porcję ciasta.

– Nie wolno. Trzymałaś łyżkę w ustach.

Podalam jej czystą łyżkę, wymieszałam ciastoz wiórkami czekolady i zaczęłam napełniać foremki.

– Och, prawie bym zapomniała – powiedziała po kolejnym kęsie. – Ojciec przysłał wiadomość. Niepotrzebnie ją zaszyfrował, bo przecież i tak wszystko wypapłasz. Gotowa?

Położyłam pierwszą foremkę na blasze piekarnika.

– Dawaj.

– Powiedział: „Trafiony. Nie przejmuj się. Był wynajętym rewolwerem”. – Machnęła w moją stronę wylizaną do czysta łyżką. – A teraz tłumacz.

Przypuszczam, że powinnam szanować wolę Adama, by za wszelką cenę chronić córkę, ale to on ją do mnie przysłał.

– Zabiłam dzisiaj mężczyznę. Twój ojciec dowiedział się, kto to był.

– Naprawdę? Chodzi o płatnego mordercę? Odjazdowo. –

Wrzuciła łyżkę do zlewu. Wstała i usiadła na blacie

kuchennym, a następnie przeprowadziła krótką serię pytań i odpowiedzi – sama ze sobą. – Czy to dlatego wcześniej do niego dzwoniłaś? Był zły jak osa. Po co zadzwoniłaś do taty? Nie, zaraz. Ten mężczyzna, którego zabiłaś, też był wilkołakiem, prawda? To dlatego tata tak szybko wyleciał z domu. Kim jest ten wilk, z którym wrócił? – Przerwała. – Ty zabiłaś wilkołaka? Miałaś pistolet?

Kilka, ale do warsztatu żadnego nie zabrałam. Jesse zamilkła, więc odpowiedziałam na ostatnie dwa pytania:

– Tak. Nie.

– Odłot – uśmiechnęła się szeroko. – Hej, jak to zrobiłaś?

– Nieumyślnie – rzuciłam na odczepnego, choć z równym powodzeniem mogłabym próbować zatrzymać tsunami za pomocą siły woli.

– Oczywiście, że tak – powiedziała. – No chyba że byłaś naprawdę wku... – Uniosłam brwi, a ona, nie zwalniając, podmieniła słowo. – Wkurkowana. Miałaś nóż? A może łom?

– Zęby.

– Fuj! – wykrzywiła usta. – Okropne. Och, rozumiem. Chcesz powiedzieć, że napadłaś na niego w formie kojota?

Większość zwykłych ludzi wie o nieлюдziach tylko tyle, że istnieją, a i tak wielu sądzi, że świat niełudek to wymyślone przez rząd lub na zlecenie rządu oszustwo (podkreśl właściwe). Jesse, zwykły człowiek, ale jednak córka wilkołaka, była świadoma istnienia „dzikich stworów”, jak je nazywała. Po części sama się do tego przyczyniłam. Gdy mnie pierwszy raz spotkała, krótko po tym, jak rodzina Alfego zamieszkała obok, zapytała mnie, czy tak jak jej ojciec jestem wilkołakiem. Kiedy jej wytłumaczyłam, czym jestem, zaczęła mi wiercić dziurę w brzuchu i wierciła tak długo, aż zademonstrowałam, jak przybieram postać kojota. Myślę, że miała wtedy dziewięć lat. Dziewięć lat i niezłą wprawę w stawianiu na swoim.

– Ta. Chciałam tylko, żeby za mną pobiegł i zostawił Maca w spokoju. Mac to ten wilkołak z paskiem – przesunęłam palcem wzdłuż nosa, naśladując gest Jesse. – Jest całkiem miły –

powiedziałam, ale czując, że powinnam udawać dorosłą, aby zachować się fair w stosunku do Adama, dodałam: – Ale to jeszcze świeżynek i ma kłopoty z samokontrolą. Więc słuchaj taty, okej? Czułby się okropnie, gdyby Mac zrobił ci krzywdę, a i tak ma w tej chwili sporo zmartwień. – Zawahałam się. To naprawdę nie była moja sprawa, ale lubiłam Jesse. – Poza tym kilku wilków ze stada twojego ojca powinnaś się wystrzegać jak ognia.

Jesse kiwnęła głową, ale wyszeptała: – Nic mi nie grozi, nie przy moim ojcu. Chodzi ci o Bena, prawda? Tata powiedział, że mam mu nie wchodzić w drogę. Spotkałam go wczoraj, kiedy na chwilę do nas wpadł. – Zmarszczyła nos. – To źmirłacz, chociaż ma fajny brytyjski akcent.

Nie wiedziałam, co to źmirłacz, ale byłam pewna, że Ben się kwalifikuje.

Zjadłyśmy kilka ciastek, gdy tylko wyciągnęłam je z pieca. Resztę załadowałam na talerz, przykryłam folią i wręczyłam Jesse. Gdy wyszłyśmy na werandę, ujrzałam rząd samochodów pod domem Adama. Musiał zwołać stado.

– Odprowadzę cię do domu – powiedziałam, wślizgując się w buty, które trzymałam na werandzie na błotniste okazje. Dziewczyna wywróciła oczami, ale poczekała. – A co zrobisz, Mercy, jeśli ktoś nas zaczepi?

– Potrafię wrzeszczeć naprawdę głośno – odparłam. – Chyba że zdecyduję się skorzystać z nowo opatentowanej techniki zabijania.

– Tak jest! Poprzestałabym jednak na wrzasku. Nie sądzę, by tacie się spodobało, że postanowiłaś ukatrupić jego wilka.

Jesse miała rację – prawdopodobnie włos nie spadłby jej z głowy, ale wśród samochodów dostrzegłam czerwoną półciężarówkę Bena. Nie mogłam pozostawić piętnastolatki bez opieki, kiedy w pobliżu kręcił się Ben, bez względu na to, czyją była córka.

Nikt nas nie zaczepiał, gdy maszerowałyśmy przez pole w stronę rezydencji Adama.

– Ładny samochód – mruknęła Jesse, gdy mijaliśmy zwłoki Królika-dawcy. – Tata naprawdę docenia, że tak go dla niego wystawiasz. Brawa dla ciebie. Powiedziałam mu, że następnym razem, gdy cię zdenerwuje, prawdopodobnie wymalujesz na tym wraku graffiti.

– Twój tata jest subtelnym mężczyzną – oznajmiłam. – Pomysł z graffiti zachowam na później. Postanowiłam, że następnym razem, gdy zrobi się nie znośny, odkręcę trzy koła.

Zachichotała.

– Ale się wścieknie. Powinnaś zobaczyć go w akcji, kiedy obrazy w domu nie wiszą prosto.

Dotarliśmy do ogrodzenia. Pomogłam Jesse przejść przez stary drut kolczasty.

– Jeśli jednak zdecydujesz się na graffiti, zadzwonisz po mnie?

– Jasna sprawa – obiecałam. – Poczekam, aż wejdiesz do środka.

Znów wywróciła oczami, ale uśmiechnęła się szeroko i pobiegła w kierunku tylnej werandy. Patrzyłam, jak otwiera drzwi, macha mi na pożegnanie i znika w środku.

Gdy przed pójściem spać wynosiłam śmieci przed domem Adama nadal stało mnóstwo samochodów. Poczułam się wdzięczna, że nie jestem wilkołakiem i nie muszę uczestniczyć w tym spotkaniu.

Odwróciłam się. Idiotka! Nie ma znaczenia, jak dobre są twoje zmysły, jeśli przestajesz być czujna.

– Rozpowiadasz jakieś niestworzone historie, Mercedes Thompson – powiedział Ben przyjemnym głosem. Jak zauważyła Jesse, Ben mówił z eleganckim angielskim akcentem. Był również przystojny, choć, jak na mój gust, odrobinę zniewieściały.

– Hm? – spojrzałam na niego pytająco. Podrzucił klucze raz, drugi i trzeci, nie odrywając ode mnie wzroku. Gdybym wrzasnęła, Adam by mnie usłyszał, ale nie należałam do jego stada, o czym mu osobiście przypomniałam; był już wystarczająco zaborczy, dziękuję bardzo. Tak naprawdę nie

wierzyłam jednak, by Ben okazał się aż tak głupi, żeby zrobić mi krzywdę – nie kiedy Adam znajdował się tak blisko.

– „Zostań tu na moment, Ben” – powiedział przeciągle Ben, naśladowując południowy akcent, którego Adam nie pozbył się od dzieciństwa. – „Poczekaj, aż moja córka wejdzie do pokoju. Nie chciałbym cię wodzić na pokuszenie!” – W ostatnim zdaniu zniknęła gdzieś południowa wymowa i na powrót pojawił się wyraźny brytyjski akcent. Ben nie mówił całkiem jak księżę Karol, ale z pewnością było mu bliżej do niego niż do Fagina z filmu Oliver!

– Nie wiem, co to ma ze mną wspólnego – wzruszyłam ramionami. – To ciebie wykopali z londyńskiego stada. Gdyby Adam cię nie przygarnął, nie miałbyś gdzie się podziać.

– Nie moja to była wina! – warknął niegrammatycznie.

Musiałam się powstrzymać, by go nie poprawić. – A jeśli chodzi o twój udział... Adam powiedział, że go prosiłaś, by chował przede mną Jesse.

Niewykluczone, choć teraz nie potrafiłam sobie tego przypomnieć. Wzdrygnęłam się. Ben przybył do miasta kilka miesięcy temu, wywołując burzę plotek. W dzielnicy Londynu należącej do jego stada doszło do trzech szczególnie brutalnych gwałtów i policja zaczęła się nim interesować.

Winny czy nie, jego Alfa czuł, że dobrze by było usunąć niewygodnego wilka ze światła reflektorów, i wyprawił Bena do Stanów.

Policja nic na niego nie miała, ale kiedy wyemigrował, gwałty ustały. Sama sprawdziłam – Internet to zadziwiająca rzecz. Pamiętam, że rozmawiałam o tym z Adamem.

Ostrzegłam go, by nie spuszczał Bena z oka, jeśli w pobliżu będą się kręcić bezbronne kobiety. Myślałam wtedy o Jesse, ale nie wydaje mi się, żebym to głośno powiedziała.

– Nie lubisz kobiet – wzruszyłam ramionami. – Jesteś nieuprzejmy i szorstki. Co niby ma twoim zdaniem robić?

– Idź do domu, Ben – słodki jak melasa głos dobiegł mnie zza pleców. Cholera. Potrzebowałam więcej snu, skoro pozwalałam

się wszystkim zaskakiwać.

– Darryl – ukloniłam się w stronę zastępcy Adama.

Darryl mierzył ponad metr osiemdziesiąt pięć. Jego matka urodziła się w Chinach, a ojciec, absolwent amerykańskiego uniwersytetu, pochodził z afrykańskiego plemienia. Z twarzą, która stanowiła zniewalającą mieszankę orientalno-afrykańskich rysów, Darryl wyglądał jak ktoś, kto powinien zostać modelem lub gwiazdą filmową. On jednak miał doktorat z jakiegoś działu inżynierii i pracował w Laboratoriach Pacific Northwest nad tajnym projektem rządowym.

Nie znałam go zbyt dobrze, ale roztaczał wokół siebie tę aurę powagi, tak charakterystyczną dla niektórych profesorów uniwersyteckich. Znacznie bardziej wolałam mieć za plecami jego niż Bena, choć, tak czy inaczej, nie czułam się komfortowo, stojąc między dwoma wilkołakami. Odsunęłam się na bok, by móc widzieć ich obu jednocześnie.

– Mercy – Darryl skinął głową w moją stronę, lecz wzrok skupiał na Benie. – Adam zauważył, że zniknęłaś, i poprosił, żebym cię poszukał. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Nie nawal. To nie jest dobry moment.

Ben najpierw zacisnął usta w zadumie, a potem rozciągnął je w uśmiechu, co nadało jego twarzy dość niecodzienny wyraz. Jednak tylko przez chwilę wyglądał jak czarujący chłopiec.

– Nie ma problemu. Mówiłem tylko ładnej pani dobranoc. Dobranoc, słodka Mercedes. Śnij o mnie.

Otworzyłam usta, obmyślając zjadliwą ripostę, ale Darryl gestem ręki uciął wszelkie komentarze. Gdybym wymyśliła coś dobrego, i tak bym się odezwała. Ale nie wymyśliłam, więc trzymałam gębę na kłódkę.

Darryl poczekał, aż Ben odejdzie, i rzucił szorstko:

– Dobranoc, Mercy. Zamknij drzwi na klucz.

A potem dużymi krokami podążył w kierunku domu Adama. Od martwego wilkołaka do życzenia Bena – dość, by mieć koszmary, ale zamiast tego spałam głęboko i bez snów, a przynajmniej żadnego nie pamiętałam.

Kładę się do łóżka przy włączonym radiu, w przeciwnym razie często się budzę z powodu wyczulonego słuchu. Przetestowałam zatyczki do uszu, ale zbyt dobrze tłumili dźwięk, zakłócając spokój mojego ducha. Tak więc włączyłam muzykę na tyle głośno, by zagłuszała zwykle odgłosy nocy, a jednocześnie na tyle cicho, by nienaturalne dźwięki mogły mnie wyrwać z objęć Morfeusza.

Właśnie taki dźwięk obudził mnie na godzinę przed tym, jak zadzwonił budzik. Wyłączyłam radio i nasłuchiwałam, ale dosłyszałam jedynie odjeżdżający samochód z dobrze wytłumionym silnikiem Chevy 350.

Przewróciłam się na drugi bok. To był błąd – Media spostrzegła, że nie śpię, i zaczęła miauczeć, domagając się, żebym wypuściła ją na dwór. Może i nie robiła tego głośno, ale z pewnością nie brakowało jej konsekwencji. Ponieważ minęło sporo czasu od dnia, w którym znalazłam pojemnik z wiadomością na werandzie, pomyślałam, że mogę pozwolić kotce pobiegać na zewnątrz. Adam nie powinien pomyśleć, że mu się umyślnie sprzeciwiam. Dzięki temu zafunduję sobie dodatkową godzinę snu.

Wstałam niechętnie z ciepłego łóżka i naciągnęłam na siebie dzinsy oraz koszulkę. Szczęśliwa, że już nie śpię, Media drapała mnie po łydkach i plątała się pod nogami, kiedy chwiejnym krokiem i z zamglonym wzrokiem przechodziłam z pokoju do salonu, a potem do przedsiionka. Ziewnęłam i nacisnęłam klamkę, ale napotkałam opór. Coś blokowało drzwi.

Westchnęłam zirytowana i napałam na nie całym ciałem.

Ustąpiły niechętnie o centymetr lub dwa, wystarczająco, by dotarł do mnie zapach tego, co leżało po drugiej stronie: zapach śmierci.

W pełni rozbudzona szybko zatrzasnęłam drzwi. Wyczułam coś jeszcze, coś, czego nie chciałam dopuścić do świadomości.

Wskoczyłam w buty i otworzyłam sejf z bronią. Chwyciłam załadowanego srebrem SIG-a kaliber 9 milimetrów i wcisnęłam go za pasek. Był zimny i niewygodny. Uspokajał, ale

niewystarczająco.

Tak naprawdę, pomijając tarcze, nigdy do niczego nie strzelałam. Jeśli polowałam, to wyłącznie na czterech łapach.

Mój przybrany ojciec, wilkołak, nalegał, bym nauczyła się używać broni i produkować amunicję.

Jeśli w to wszystko były zamieszane wilkołaki – a biorąc pod uwagę wydarzenia poprzedniej nocy, musiałam tak zakładać – to potrzebowałam czegoś większego. Wyciągnęłam marlina 44 i załadowałam go na wilkołaki. Ten dość krótki sztucer nie wzbudzał wielkiego respektu, dopóki nie przyjrzałeś się wylotowi lufy. Jak mawiał mój przybrany ojciec, naboje wielkości pomadki gwarantowały, że na odgłos wystrzału nawet wilkołak siądzie i czujnie nadstawi ucha. Potem przykładął palec do nosa, uśmiechał się i dodawał: „Albo padnie, nadstawiwszy ucha, jeśli wiesz, co mam na myśli”. Marlin kiedyś należał do niego.

Jego ciężar dodawał otuchy. Ostrożnie uchyliłam tylne drzwi i wkroczyłam w ciemność przedświtu. Wzięłam głęboki oddech. W zimnym i nieruchomym powietrzu poczułam zapach śmierci, niezaprzeczalnej i ostatecznej.

Gdy minęłam róg przyczepy, zobaczyłam na werandzie zwłoki. Były zwrócone twarzą do ziemi, ale nos podpowiedział mi, do kogo należały – tak jak wtedy, gdy próbowałam otworzyć drzwi. Ktokolwiek je tu podrzucił, zachowywał się bardzo cicho, budząc mnie dopiero wtedy, kiedy odjeżdżał. Zostaliśmy sami, ja i Mac.

Wspięłam się po czterech schodkach na werandę i przykucnęłam obok ciała. Mój oddech zamglił powietrze, ale z ust chłopaka nie unosiła się żadna mgiełka, a jego serce nie biło.

Przewróciłam go na plecy. Zwłoki były jeszcze ciepłe – w miejscu, gdzie leżały, stopniał szron. Mac pachniał palonym drewnem i ostrym odświeżaczem powietrza, który uwielbiała stosować gospodyni Adama. Nie potrafiłam wyczuć, kto podrzucił zwłoki na werandę ani kto zamordował chłopaka.

Usiadłam, odłożyłam sztucer i delikatnie dotknęłam włosów Maca. Nie znałam go wystarczająco długo, aby na stałe zajął

miejsce w moim sercu, ale zdążyłam go polubić.

Pisk opon poderwał mnie na równe nogi. Podniosłam sztucer. Sprzed domu Adama wystrzelił ciemny SUV, jak gdyby goniły go same ognie piekieł. W nikłym świetle brzasku nie mogłam dostrzec jego koloru: mógł być czarny lub granatowy, a nawet zielony. Mógł to być nawet ten sam samochód, który zeszłej nocy widziałam pod warsztatem – nowsze samochody podobnego typu wyglądają dla mnie jednakowo.

Nie wiem, dlaczego musiało minąć tak dużo czasu, zanim uświadomiłam sobie, że zwłoki Maca na werandzie oznaczały kłopoty w domu Adama. Opuściłam martwego w nadziei, że przydam się na cośżywym, i z karabinem pod pachą rzuciłam się biegiem przez pole.

Willa Adama błyszczała jak choinka. Zazwyczaj nie zapalano w nocy świec, Jeśli Alfa nie miał towarzystwa. Wilkołaki, tak jak zmiennokształtni, doskonale radzą sobie w ciemności.

Dotarłam do dzielącego posesję ogrodzenia. Pokonałam drut kolczasty, jedną ręką opierając się o słup, a drugą trzymając sztucer z dala od ciała. Gdy tylko wylądowałam po drugiej stronie, zaciągnęłam cyngiel.

Weszłam do domu przez tylne drzwi, gdyby nie rumor dochodzący od frontu. Okrążyłam budynek w samą porę, by zobaczyć, jak w biegnącej wzdłuż werandy rabacie ląduje kanapa, wyrzucona przez okno salonu.

Wilkołaki, pomijając tego, którego zabiłam poprzedniej nocy, są szkolone, by podczas walki zachowywać się cicho – to kwestia przetrwania. Dopiero przez wybite okno i wiszące na jednym zawiasie drzwi usłyszałam warczenie.

Aby dodać sobie odwagi wyszeptałam przekleństwa zwykle zarezerwowane dla zardzewiałych śrub oraz akcesoriów z rynku części zamiennych, które nigdy nie pasują. Pobiegałam.

Dobry Panie – modliłam się w myślach, gdy pokonywałam schody werandy – nie pozwól, by coś złego stało się Adamowi lub Jesse.

Zawahałam się, gdy stanęłam przed drzwiami z sercem

w gardle i marlinem w dłoni. Oddychałam ciężko, zarówno z nerwów, jak i wysiłku, a hałas nie pozwalał mi się skupić.

Większość zniszczeń koncentrowała się w salonie o wysokim suficie, zlokalizowanym tuż za korytarzem. Czasy świetności niegdyś białego perskiego dywanu właśnie dobiegły końca. Jedno z krzeseł roztrzaskano niemal na drzazgi o ścianę. Sama ściana również ucierpiała, kawałki tynku zaśmiecały podłogę.

Szkło z rozbitego okna wysypało się na werandę, natomiast to na podłodze pochodziło z lustra, które stłuczono na czyjeś głowie.

Spory kawałek lustra tkwił w szyi wilkołaczycy. Ta samica nie należała do Adama – znałam wszystkie trzy z jego stada. Jeszcze oddychała, ale nie stanowiła już zagrożenia, więc ją zignorowałam.

Kolejnego wilkołaka znalazłam pod „kanapą omdleń” (lubiłam dokuczać Adamowi z powodu tej kanapy – „Jak sądzisz, Adamie, ile kobiet zemdleje w twoim salonie?”)–

Będzie musiał kupić nową – z pluszowego obicia wystawały kawałki drewna. Wilkołak leżał brzuchem do podłogi. Wykręcona głowa patrzyła na mnie oskarżycielsko zamglonymi śmiercią oczami.

Przestąpiłam nad parą kajdanek. Wygięte i połamane bransolety nie były wykonane ze stali ani aluminium, ale ze stopu srebra. Albo zaprojektowano je specjalnie do krępowania wilkołaków, albo pochodziły z jakiegoś luksusowego sex-shopu. Prawdopodobnie ktoś założył je Adamowi – on nigdy nie przyprowadziłby do własnego domu wilka, którego musiałby poskramiać, kiedy była z nim Jesse.

Odgłosy walki dochodziły z tylnej części domu. Szkło chrzęściło pod moimi stopami, kiedy biegłam. Zatrzymałam się u wejścia do jadalni, gdy usłyszałam trzask łamanego drewna, a podłoga zawibrowała.

Wychyliłam głowę i zerknęłam za róg, ale niepotrzebnie się martwiłam. Walczące wilkołaki były zbyt zajęte sobą, żeby zwrócić na mnie uwagę.

Ogromna jadalnia przechodziła w patio, z którego rozciągał się widok na różany ogród. Podłogę wyłożono dębowym parkietem – i to takim wykonanym z prawdziwego dębu.

Żona Adama zamówiła specjalny, dopasowany do podłogi stół, przy którym mogło zasiąść piętnaście osób. Ten sam stół tkwił teraz do góry nogami w ścianie jakieś półtora metra nad ziemią. Obok stał kredens z połamanym frontem, jak gdybyktoś rzucił w niego czymś sporym i ciężkim. Ze wszystkimi meblami usuniętymi pod ściany przestronny salon stanowił idealną arenę walki dla dwóch wilkołaków.

W pierwszej chwili, gdy je zobaczyłam, mogłam jedynie wstrzymać oddech, zauroczona szybkością i wdziękiem ruchów. Pomimo sporych rozmiarów wilkołaki bardziej przypominają swojego smukłego kuzyna, szarego wilka amerykańskiego, niż mastiffa czy bernardyna, którym z kolei są bliższe pod względem wagi. Biegący wilkołak porusza się z morderczą, cichą gracją. Tak naprawdę jednak budowa jego ciała sprzyja bardziej walce niż bieganiu i tylko podczas walki ujawnia się jego zabójcze piękno.

Widziałam Adama w postaci wilka tylko cztery czy pięć razy, ale był to widok, który trudno zapomnieć. Jego sierść miała głęboko szary, prawie niebieski kolor z podszerstkiem o jaśniejszym odcieniu. Jak u syjamskiego kota pysk, uszy, ogon i łapy były czarne.

Drugi wilk o maści płowożółtej ze srebrnymi akcentami, spotykanej raczej u kojotów niż wilków, górował nad Adamem wzrostem. Nie znałam go.

Z początku różnica rozmiarów nie wydała mi się niepokojąca. Nie zostajesz Alfą, jeśli nie potrafisz walczyć – a Adam był wojownikiem z natury jeszcze przed Przeistoczeniem. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że pokrywająca podłogę krew cieknie z brzucha Adama, a biały błysk, który dostrzegłam na jego boku, to wystające zebro.

Podeszłam bliżej, by lepiej wycelować. Podniosłam lufę i czekałam na okazję do czystego strzału.

Płowożółty wilk złapał Adama za szyję i szamotał nim jak pies ściskaną w pysku zdobyczą. Zamierzał skrócić przeciwnikowi kark, ale nie chwycił go dostatecznie mocno.

Adam przeleciał przez jadalnię i uderzył w stół, który z hukiem runął na podłogę. Na taką okazję czekałam.

Wypaliłam w tył głowy wilkołaka z odległości mniejszej niż dwa metry, dokładnie tak, jak uczył mnie przybrany ojciec – pod lekkim kątem. Strzelając z marlina, raczej nie chcesz, by kula przeszła przez cel na wylot i trafiła kogoś, kto przypadkiem znalazł się w nieodpowiednim miejscu jakieś ćwierć mili dalej.

Marliny 44 nie zostały zaprojektowane do obrony. Zostały zaprojektowane do zabijania grizzly, a raz czy dwa użyto ich nawet do odstrzału słoni. Były dokładnie tym, na co doktor wypisałby ci receptę, gdybyś się skarżył na dolegliwości związane z wilkołakami. Jeden strzał, jeden trup. Podeszłam do ciała i wypaliłam raz jeszcze. Na wszelki wypadek.

Nie należę do porywczych osób, ale pociągnięcie za spust sprawiło mi przyjemność. Ukoilo złość, która narastała we mnie od chwili, gdy przyklęłam obok ciała Maca.

Spojrzałam na Adama. Nie ruszał się, nawet nie otworzył oczu. Zakrzepła krew sklejała srebrną sierść na całym ciele, trudno więc było ocenić, jak poważne odniósł rany. To, co widziałam, wyglądało wystarczająco źle.

Ktokolwiek próbował go wypatroszyć, wykonał kawał dobrej roboty – mogłam dostrzec wnętrzności i biel obdartych z mięśni żeber.

Może żyje, pomyślałam. Dzwoniło mi w uszach. Ciężko oddychałam, a moje serce waliło jak oszalałe – może to wystarczyło, aby zagłuszyć szmer jego oddechu, odgłos uderzeń serca. Odniósł rozległe rany. O wiele większe niż te, od których zginęły dwa pozostałe wilkołaki i ten, którego zabiłam poprzedniej nocy. Nigdy wcześniej nie widziałam ani nie słyszałam, by jakikolwiek wilkołak zdołał zaleczyć takie obrażenia.

Odłożyłam sztucer i przedarłam się przez szczątki stołu, aby

dotknąć nosa Adama. Nadal nie potrafiłam stwierdzić, czy oddycha.

Potrzebowałam pomocy.

Pobiegłam do kuchni. Na blacie kuchennym, tuż pod wiszącym na ścianie telefonie, leżała starannie sporządzona lista nazwisk i numerów – coś w stylu Adama. Przesuwałam po niej palcem, aż natrafiłam na nazwisko Darryla, przy którym zapisano numery do domu, pracy i na pager.

Położyłam broń w zasięgu ręki i wykręciłam numer domowy.

– „Dodzwoniłeś się do domu doktora Darryla Zao. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału lub zadzwoń na pager pod numer 543” – bas głosu Darryla brzmiał zmysłowo pomimo formalnej treści nagrania.

Rozłączyłam się i zadzwoniłam do pracy, ale tam również nikt nie odpowiadał. Zaczęłam wybierać numer pagera, gdy nagle przypomniałam sobie o naszym nocnym spotkaniu.

„To nie jest dobry moment” powiedział do Bena Darryl. Wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale czy w jego głosie nie było jakiegoś szczególnego nacisku? Czy, jak zakładałam, miał na myśli: nie po całym wysiłku, jaki włożyłeś w poprawę swojego wizerunku, odkąd zostałeś skazany na banicję? Czy też chodziło o coś bardziej specyficznego, typu: nie teraz, kiedy mamy ważniejsze sprawy na głowie? Jak na przykład zabicie Alfy?

W Europie morderstwo nadal stanowiło najpopularniejszy sposób na przejęcie władzy w stadzie. Kiedy stary Alfa zostawał uznany za zbyt słabego, eliminował go młodszy i bardziej dominujący samiec. Według mojej wiedzy, przynajmniej jeden europejski Alfa pozbywał się ze stada każdego wilka, który wykazywał nawet najmniejsze tendencje przywódcze.

W Nowym Świecie, dzięki żelaznej ręce Marroka, sprawy przybrały nieco bardziej cywilizowany obrót. Przywódców w większości przypadków mianowano odgórnie – nikt nie podważał decyzji Marroka, a przynajmniej nie zdarzyło się to w czasie trwania naszej znajomości. Czy jednak ktokolwiek

potrafiłby dokonać tak wielkich zniszczeń w domu Adama bez pomocy członków jego stada?

Odwiesiłam słuchawkę. Odczytywałam kolejne nazwiska i szybko doszłam do wniosku, że nie ma na liście nikogo, z kim odważyłabym się teraz porozmawiać. Najpierw musiałam zdobyć więcej informacji. Mój wzrok padł na oprawioną w drewnianą ramkę fotografię.

Młodsza Jesse w przekrzywionej czapce baseballowej i z kijem na ramieniu uśmiechała się do mnie szeroko.

Jesse!

Chwyciłam sztucer i pognałam na piętro do jej pokoju. Pusto.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy doszło do jakiejś szamotaniny – azył Jesse zawsze odzwierciedlał tak charakterystyczny dla niej chaos i niepokój.

Pomieszczenie było przesiąknięte zapachem dziewczyny, ale wyczułam również delikatną woń człowieka, który pojawił się ubiegłej nocy przed moim warsztatem. Zmieniłam postać i podążyłam w dół schodów śladem mężczyzny. Tropienie Jesse miało się z celem, ponieważ pachniał nią cały dom.

Przebiegałam przez jadalnię, kiedy jakiś dźwięk kazał mi się zatrzymać. Z początku sądziłam, że pewnie przewrócił się jeden z beładnie porzrzucanych mebli, ale potem zauważyłam, że Adam porusza łapą.

W tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że dociera do mnie prawie niesłyszalny szmer jego oddechu. Może to dzięki wyostrzonym zmysłom kojota, ale mogłabym przysiąc, że wcześniej nie oddychał. Jeśli żył, istniała duża szansa, że już tak zostanie – przynajmniej dopóki ktoś go nie dobije.

Wilkołaki są twarde.

Zaskomlałam ze szczęścia. Podczołgałam się do ciała i polizałam zakrwawiony pysk, po czym ponownie podjęłam poszukiwania.

Dom Adama stoi na samym końcu ślepej uliczki.

Odjeżdżający w pośpiechu SUV – przypuszczalnie z Jesse w środku – pozostawił na podjeździe krótki ślad spalonej gumy.

Większość samochodów nie ma zbyt intensywnego zapachu, dopóki się nie zestarzeje. SUV nie zostawił za sobą wystarczająco mocnego, bym mogła kontynuować pościg, gdy swąd ulotni się z jego opon.

Nie było już żadnego tropu, nic więcej nie mogłam zrobić dla Jesse ani Maca. Pozostawał Adam.

Żył, a to oznaczało, że nie powinnam się kontaktować ze stadem. Nie teraz, kiedy był taki bezbronny. Jeśli któryś z dominujących samców miał aspiracje, by zostać Alfą, mógłby wykorzystać sytuację. Przeniesienie Adama do mojego domu również nie należało do najlepszych pomysłów. Po pierwsze, gdy jego oprawcy zorientują się, że zniknął, przeszukają okolicę. Po drugie, poważnie ranny wilkołak stanowił zagrożenie dla otoczenia i samego siebie. Nie mogłam zaufać wilkom Adama, a nawet gdybym mogła, niczego by to nie zmieniło. W Stadzie Dorzecza Kolumbii nie było wystarczająco dominującego i silnego samca, by utrzymać wilka Adama w ryzach, dopóki on sam nie wydobrzeje na tyle, by się kontrolować.

Wiedziałam jednak, gdzie takiego szukać.



Rozdział 5

Volkswagen Vanagon niczego nie przypomina tak bardzo, jak długiej na cztery i pół metra i szerokiej na metr osiemdziesiąt cegły na kółkach o równie aerodynamicznej sylwetce, co drzwi obory. Volkswagen importował je do Stanów przez dwanaście lat i przez ten czas nigdy nie włożono do nich nic większego od czterocyldrowego wasserboxera. Silnik mojej dwutonowej cegły z 1989 roku z napędem na cztery koła dysponuje oszałamiającą mocą dziewięćdziesięciu koni mechanicznych.

Mówiąc językiem laika, oznacza to, że płynęliśmy po czteropasmowej autostradzie – ja, zwłoki i ranny wilkołak – z prędkością dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę.

Z górki, przy pomyślnym wietrze, wyciągałam sto dwadzieścia. Pod górkę wskazówka prędkościomierza na osiemdziesiątce stanowiła szczyt marzeń. Ryzykując całkowity rozpad silnika, mogłabym wyciągnąć nieco więcej. Z jakiegoś powodu jednak myśl, że mogę osiąść na przydrożnej mieliźnie z obecnym ładunkiem, wystarczyła, bym kontrolowała ciężar nogi.

Na łagodnych łukach autostrady panował prawie całkowity bezruch, a poza nimi kompletna monotonia – chyba że pustynia wydaje się komuś pasjonująca. Przestraszona i samotna,

starałam się nie myśleć o Macu i Jesse. Ani o Adamie, który być może umierał, bo postanowiłam wywieźć go z miasta, zamiast zadzwonić do jego stada. Wyciągnęłam komórkę.

Najpierw zadzwoniłam do sąsiadów. Denis Cather był emerytowanym hydraulikiem, a jego żona, Anna, emerytowaną pielęgniarką. Wprowadzili się dwa lata temu i „adoptowali” mnie zaraz po tym, jak naprawiłam ich traktor.

– Słucham – po porannych przejściach głos Anny brzmiał tak zaskakująco normalnie, że chwilę trwało, zanim się odezwałam.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie – powiedziałam. – Musiałam wyjechać z miasta, nagła sprawa rodzinna. Powinnam niedługo wrócić, za dzień lub dwa, ale nie sprawdziłam, czy Medea ma jedzenie i wodę.

– Nie martw się, kochana. Zajmiemy się nią. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Nie mogłam się powstrzymać i zerknęłam w lusterko na Adama. Nadal oddychał.

– To coś poważnego. Ktoś z mojej przybranej rodziny dość poważnie ucierpiał.

– Jedź i zajmij się, czym trzeba – rzuciła energicznie. – My tu wszystkiego dopilnujemy.

Dopiero gdy przerwałam połączenie, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wplątałam ich w coś niebezpiecznego.

Ciało Maca podrzucono pod moje drzwi nie bez kozery – to było ostrzeżenie, bym nie wtykała nosa w cudze sprawy. A teraz tkwiłam w nich po same uszy.

Robiłam dla Adama tyle, ile mogłam. Pomyślałam, że jest też coś, co mogę zrobić dla Jesse. Zadzwoniłam do Zee. Siebold Adelbertsmiter, w skrócie Zee, nauczył mnie wszystkiego, co wiedziałam o samochodach. Większość nieludzi źle reaguje na żelazo, ale Zee należał do Czarodziejów Metalu. Tak określano nieludzi, którzy mogli się zajmować metalami wszelkiego rodzaju. Sam Zee wolał nowoczesne amerykańskie określenie „gremlin”, które, jak twierdził, lepiej pasowało do jego talentów. Ale to nie one mnie teraz interesowały. Interesowały mnie jego

znajomości.

– Ja? – usłyszałam niski głos.

– Cześć, Zee, tu Mercy. Chcę cię prosić o przysługę.

– Ja, pewnie, Liebling. O co chodzi?

Zawahałam się. Nawet po tym, przez co przeszłam, trudno mi było złamać złotą zasadę stada – wszystko, co dzieje się w stadzie, zostaje w stadzie – ale Zee znał wszystkich ludzi w Tri-Cities i okolicach. Zrelacjonowałam mu wydarzenia minionych dni najlepiej, jak potrafiłam.

– Więc uważasz, że ten nieopierzony wilkołak sprowadził kłopoty? To dlaczego w takim razie porwali naszą klenię Jesse?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej od Adama, kiedy już dojdzie do siebie.

– I prosisz mnie, żebym sprawdził, czy ktokolwiek widział te obce wilki, w nadziei, że uda ci się trafić na trop Jesse?

– Przynajmniej cztery obce wilkołaki przybyły do Tri-Cities. Można przypuszczać, że ktoś coś zauważył. – Ponieważ Tri-Cities znajdowało się w pobliżu rezerwatu Walla Walla, mieszkało tu znacznie więcej nadnaturalnych istot niż w innych miastach.

– Ja – z ociąganiem zgodził się Zee. – Można przypuszczać. Popytam. Jesse to dobra dziewczyna, nie powinna znajdować się w rękach tych łajdaków dłużej, niż to konieczne.

– Mógłbyś wywiesić w oknie warsztatu informację, gdy będziesz tamtędy przejeżdżał? – poprosiłam. – Pod ladą w biurze leży tabliczka z napisem Nieczynne z powodu święta.

– Myślisz, że mogliby mi się dobrać do tyłka, gdybym tam popracował za ciebie? – zapytał. Zee często prowadził mój interes, kiedy musiałam wyjechać z miasta. – Może masz rację. Ja, gut. Otworzę warsztat dziś i jutro.

Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatni raz śpiewano o Sieboldzie Adelbertsmiterze z Czarnego Lasu. Wystarczająco dużo, by wszystkie te pieśni zdążyły ulecieć z pamięci potomnych. Mimo to w Zee nadal było coś z ducha starych germańskich Heldenlieder.

– Wilkołaki nie potrzebują pistoletu ani szpady, żeby cię

przerobić na pasztet. – Nie mogłam tego tak zostawić, choć z drugiej strony, wyklócanie się ze starym gremlinem, który coś postanowił, rzadko przynosiło rezultaty. – Twoja metalocudotwórcza magia na niewiele się zda. Prychnął.

– Już ty się o mnie nie martw, Liebling. Zabijałem wilkołaki, kiedy ten kraj był kolonią wikingów.

– Wielu pomniejszych nie ludzi lubiło fantazjować na temat swojego wieku, ale Zee powiedział mi, że większość z nich nie żyła dłużej niż zwykli ludzie. Nie licząc samego Zee, który żył znacznie dłużej.

Westchnęłam i postanowiłam złożyć broń.

– W porządku. Bądź ostrożny. Skoro się jednak upierasz – złożyłam zamówienie na części, które powinny niebawem dotrzeć. Mógłbyś to dla mnie sprawdzić? Wcześniej stamtąd nie zamawiałam, ale moje zwykłe źródło nie miało na stanie odpowiednich części.

– Jawohl. Zostaw to mnie.

Następny telefon odebrała automatyczna sekretarka Stefana.

– Cześć, Stefan, tu Mercy. Jadę dziś do Montany. Nie wiem, kiedy wrócę. Prawdopodobnie pod koniec tygodnia. Zadzwoń do ciebie. – Przerwałam, w myślach szukając odpowiednich słów, ale szybko doszłam do wniosku, że nie da się tego powiedzieć delikatnie. – Musiałam przewieźć twoją furgonetkę zwłoki. Wszystko w porządku. Elizawieta Arkadiwna pozbyła się śladów. Pogadamy, kiedy wrócę.

Na wspomnienie starej czarownicy uświadomiłam sobie, że pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia. Co prawda dom Adama znajdował się na końcu ulicy, ale był dobrze widoczny od strony rzeki. Ktoś mógł zauważyć leżącą w kwiatkach kanapę i zawiadomić policję.

Miałam numer Elizawiety w telefonie, choć nigdy wcześniej z niego nie korzystałam. Połączyłam się z automatyczną sekretarką i zostawiłam wiadomość – w domu Alfy bałagan, na mojej werandzie trup, Jesse zniknęła, zabieram Adama w bezpieczne miejsce.

Wcisnęłam czerwoną słuchawkę. Nie wiedziałam, co zaszło w rezydencji Alfego. Nie zmniejszało to jednak ogarniającego mnie poczucia winy. Czy wszyscy nadal by żyli, gdybym ubiegłej nocy nie wtrąciła się w sprzeczkę między Makiem i oprychami? Czy coś by się zmieniło, gdybym wysłała Maca do Montany, zamiast pozwolić, by przygarnął go Adam?

Wcześniej nawet nie przyszło mi to do głowy. Skutecznie ignorowałam Brana, odkąd odesłał mnie ze stada, a on nie pozostawał mi dłużny. Zerknęłam za siedzenie na niebieski brezent okrywający zwłoki. Cóż, podobno lepiej późno niż wcale.

Przypomniałam sobie nieśmiały uśmiech Maca, kiedy mu się przedstawiłam. Otarłam policzki i na sekundę zacisnęłam powieki, by powstrzymać napływ łez – bez skutku. Płakałam z powodu chłopca, z powodu jego brata i rodziców, którzy nawet nie wiedzieli, że ich syn nie żyje. Z pewnością siedzieli teraz przy telefonie, czekając na kolejną wiadomość.

Zjeżdżałam w dół nachylenia w kierunku Spokane. Bieżące troski oderwały mnie od wspomnień i żalu – Adam się poruszył. Strach, że może w każdej chwili umrzeć, chwilowo przesłonił zmartwienie, że zbyt szybko dojdzie do siebie.

Czekało mnie jeszcze trzysta kilometrów jazdy.

Większość po górskiej dwupasmówce wijącej się przez tuziny małych miasteczek, w których obowiązywał limit prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ostatnie sto kilometrów wiodło drogą figurującą na mapie pod hasłem inne – obok autostrad i dróg stanowych. O ile dobrze pamiętałam, większą część tego odcinka pokrywał żwir. Wyliczyłam, że czekają mnie co najmniej cztery godziny jazdy.

Dominujące wilkołaki regenerują się szybciej niż uległe. Według moich oszacowań, musiało minąć około dwóch dni, zanim Adam wyzdrowieje na tyle, by się kontrolować – a do tego czasu mógł narobić niezłego bałaganu. Najważniejsze, by nie odzyskał pełnej władzy nad ciałem. Skoro jednak już się poruszał, potrzebowałam sporo szczęścia, by zdążyć do Brana na czas.

Dotarłam do Coeur d'Alene, gdzie porzuciłam autostradę

na rzecz drogi stanowej. Zatankowałam i podjechałam pod najbliższą hamburgerownię. Gdy zamawiałam trzydzieści cheeseburgerów, nastolatka po drugiej stronie okienka patrzyła na mnie podejrzliwie. Nie tłumaczyłam się, a ona nie mogła widzieć moich pasażerów, ponieważ w oknach furgonetki wisiały zasłony.

Stałam na parkingu. Chwyciłam torby, przeskoczyłam nad Makiem i zaczęłam wyciągać mięso z bułek. Jedyne, na co było stać wciąż osłabionego Adama, to kilka warknięć.

Pożerał pokryte serem i keczupem mięso tak szybko, jak nadażalam mu je rzucać. Zjadł prawie dwadzieścia kotletów, zanim znów zapadł w przypominający śpiączkę sen.

Ruszyliśmy na północ. Zaczął prószyć śnieg.

Wjechałam do Troy w stanie Montana, przeklinając pogodę, przez którą przegapiłam zjazd kilkanaście kilometrów wcześniej. Dolałam paliwo do baku, zapytałam o drogę, nałożyłam łańcuchy i zawróciłam.

Śnieg padał tak szybko, że drogowcy nie potrafili dotrzymać mu kroku. Koleiny pozostawione przez inne samochody błyskawicznie się wypełniały.

Pamiętając o wskazówkach pracownika stacji benzynowej, zwolniłam, przejeżdżając przez Yaak, strumyczek w porównaniu z rzeką Kootenai, wzdłuż której jechałam przez ostatnie dwie godziny.

Uważnie obserwowałam pobocze. Słusznie, jak się niebawem okazało – niewielki zielony znak niemal utonął w śniegu. Skręciłam. Ślad opon, który wskazywał mi drogę, urwał się przy jakimś zabudowaniu. Na szczęście po obydwu stronach ukrytej głęboko pod śniegiem jezdni dość gęsto rosły drzewa. Wspinając się wąską i krętą doliną rzeczną, wychwalałam pod niebiosa napęd na cztery koła. Nagle dwie sarny z czarnymi ogonami wyskoczyły przed samochód. Rzuciły mi poirytowane spojrzenie i popędziły dalej.

Minęło sporo czasu, odkąd przejeżdżałam przez tę okolicę, a wtedy nie miałam jeszcze prawa jazdy. Trasa wyglądała

nieznajomo i zaczynałam się martwić, że przegapię mój zakręt. Droga dzieliła się teraz na dwie części – ta, którą jechałam, była tylko odrobinę szersza od furgonetki.

– Cóż – powiedziałam do Adama, który niespokojnie popiskiwał. – Jeśli skończymy w Kanadzie i do tego czasu mnie nie pozresz, zawrócimy i spróbujemy jeszcze raz.

Zaczynałam dochodzić do wniosku, że tak właśnie będzie, kiedy moim oczom ukazał się znak. Stałam.

ASPEN CREEK, oznajmiał wyrzeźbiony na ciemnobrązowym drewnie i wymalowany na biało napis. 37 kilometrów. Co też skłoniło Brana do postawienia tego znaku? Może zmęczyła go konieczność ciągłego wysyłania przewodników – ale kiedy opuszczałam stado, trwał w przekonaniu, że należy robić wszystko, by nie rzucić się w oczy.

Nie wiem, dlaczego oczekiwałam, że wszystko będzie wyglądać tak jak w moich wspomnieniach. W końcu ja sama bardzo się zmieniłam w ciągu ostatnich lat, więc powinnam była się spodziewać, że także Aspen Creek uległo zmianie. I wcale nie musiało mi się spodobać.

Należy wybaczyć niewtajemniczonym przekonanie, że w Aspen Creek znajdują się tylko cztery budynki: stacja benzynowa z pocztą, szkoła, kościół i motel. Wtulone między drzewa i ponad wyciągi domy bardzo łatwo przeoczyć. Przed stacją benzynową stało kilka samochodów, ale poza tym miasteczko wyglądało na opuszczone. Pozory mylą. W Aspen Creek zawsze ktoś cię obserwował, ale jeśli nie robiłeś niczego niezwykłego – jak, powiedzmy, wyciąganie z furgonetki rannego wilkołaka – nikt cię nie zaczepiał.

Stałam pod drewnianym szyldem Motel w Aspen Creek, który przywołał wspomnienie znaku wskazującego drogę do miasta. Stary motel wyglądał dokładnie tak jak je te budowane w połowie ubiegłego wieku. Długi, wąski i pozbawiony wszelkich fanaberii, został zaprojektowany w taki sposób, by goście mogli parkować tuż przed pokojami.

Drzwi do recepcji były otwarte, ale w środku nikogo nie

zastałam. Wnętrze odremontowano, a końcowy rezultat miał swoisty rustykalny urok – co stanowiło gigantyczny krok naprzód w porównaniu z walącą się tandetą lat pięćdziesiątych, jaką pamiętałam.

Przeskoczyłam przez kontuar i chwyciłam klucz z jedyneką. Pokój numer jeden został z rozmysłem zaprojektowany przez Marroka do przetrzymywania niesfornych wilkołaków.

Znalazłam kawałek papieru i długopis. Zostawiłam notatkę na samym środku lady, by nikt jej nie przeoczył: Ranny w #1. Proszę nie przeszkadzać. Wróciłam do samochodu i podjechałam tyłem pod pokój.

Wytaszczenie Adama z furgonetki nie mogło być łatwe. Gdy go do niej wrzucałam, przynajmniej był nieprzytomny.

Otworzyłam wzmocnione drzwi pokoju. Kilka nowych mebli, łóżko i nocny stolik, wszystko na stałe przytwierdzone do ścian – nic, co pozwoliłoby mi przenieść wilkołaka ważącego dwa razy tyle co ja bez wyrządzenia krzywdy jemu albo sobie. Żadnego przedmiotu, który mógłby posłużyć za podest, co oznaczało, że musiałabym zrzucić Adama na ziemię z wysokości nieco ponad metra.

Koniec końców zdecydowałam, że lepiej będzie zadzwonić po pomoc, niż wyrzucić mu dodatkową krzywdę. Wróciłam do biura i podniosłam słuchawkę. Nie rozmawiałam z Samem, odkąd wyjechałam, ale pewne rzeczy są nam po prostu pisane. Mimo że to z jego powodu musiałam wyjechać, był pierwszą osobą, o której pomyślałam.

– Halo – kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki brzmiał nieznajomo.

Zaniemówiłam. Dopiero kiedy odezwał się ktoś inny, dotarło do mnie, jak bardzo chciałam usłyszeć Samuela.

– Marlie? Czy coś się stało w motelu? Mam przysłać Carla? – Jej telefon identyfikuje dzwoniącego, pomyślałam, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Kobieta mówiła nienaturalnym, pełnym napięcia głosem, jak gdyby była czymś poruszona. W końcu jednak udało mi się ją

rozpoznać i poczułam ulgę. Nie wiem, dlaczego Lisa Stoval odebrała telefon, ale fakt, że wspomniała o Carlu, i sposób, w jaki mówiła, dały mi do myślenia. Z drugiej strony, Lisa nigdy nie brzmiała wesoło, kiedy ze mną rozmawiała.

Pewne rzeczy mogły się zmienić, ale o innych zwyczajnie zapomniałam. W Aspen Creek mieszkało jakieś pięćset osób, z których około siedemdziesiąt to wilkołaki. Ja jednak rzadko zawracałam sobie głowę ludzką większością. Lisa i jej mąż Carl do tej większości należeli, tak jak i Marlie, przynajmniej w dniu, w którym wyjechałam. Miała wtedy sześć lat.

– Nie wiem, gdzie jest Marlie – odezwałam się wreszcie. – Mówi Mercedes, Mercedes Thompson. W recepcji nikogo nie ma. Byłabym naprawdę wdzięczna, gdybyś przysłała tu Carla albo powiedziała mi, z kim mogłabym się skontaktować. W mojej furgonetce leży ciężko ranny Alfa ze Stada Dorzecza Kolumbii. Potrzebuję pomocy, żeby go przenieść do pokoju. Najlepiej, gdybyś mi powiedziała, jak mogę złapać Brana.

Bran nie posiadał w domu telefonu – nie wtedy, gdy wyjeżdżałam. Z tego, co wiedziałam, miał teraz komórkę. Lisa, jak większość kobiet z Aspen Creek, nigdy mnie nie lubiła, ale nie należała do ludzi, których własne antypatie powstrzymywały przed zrobieniem tego, co słuszne.

– Bran i kilku innych wzięli nowe wilki na pierwsze polowanie. Marlie pewnie gdzieś się zamknęła i płacze. Lee, jej brat, był jednym z tych, którzy próbowali się Przeistoczyć. Nie dał rady.

Zupełnie zapomniałam! Jak mogłam o tym zapomnieć?

Ostatnia październikowa pełnia księżyca. Wszystkim ludziom, którzy pragnęli zostać wilkołakiem, dawano taką możliwość. W trakcie ceremonii Bran lub inny wilk napadał na nich w nadziei, że powstaną Przeistoczeni, Większości się nie udawało. Pamiętam październikowe napięcie, wyraźnie wyczuwalne w mieście, a po nim listopadowy smutek. Święto Dziękczynienia, miało inne znaczenie dla mieszkańców Aspen Creek niż dla pozostałych Amerykanów.

– Przykro mi – powiedziałam krótko, zbyt krótko w stosunku

do tego, co czułam. Wiedziałam jednak, że nie jestem w stanie zмагаć się ze śmiercią kolejnych chłopców, a w szczególności tych, których pamiętałam. – Lee był dobrym dzieciakiem.

– Przyślę Carla. – Głos Lisy brzmiał cierpko, jakby odmawiał mi prawa do odczuwania smutku i współczucia. Rozłączyła się bez słowa pożegnania.

Starłam się za dużo nie myśleć ani nie patrzeć na okrywający Maca brezent, kiedy siedziałam w furgonetce, czekając na pomoc. Nakarmiłam Adama pozostałymi hamburgerami. Zmarzły, ale wilkowi to nie przeszkadzało. Kiedy skończył jeść, zamknął oczy, nic sobie nie robiąc z mojej obecności.

W końcu przyjechał Carl. Zatrzymał poobijanego jeepa obok furgonetki. Był dużym mężczyzną i człowiekiem czynu, a nie słów. Objął mnie i mocno poklepał po plecach.

– Nie zachowuj się jak obca, Mercy – powiedział i uśmiechnął się na widok mojego zaskoczenia. Zmierzył moje włosy. Zapomniałam, że lubił to robić, tak jak zapomniałam, jak łatwo przychodziło mu okazywanie uczuć – nawet Branowi. – Lisa twierdzi, że masz tu Adama. Podobno w nie najlepszej formie.

Oczywiście wiedział, kto był Alfą ze Stada Dorzecza Kolumbii. Stado Adama znajdowało się najbliżej Aspen Creek.

Skinęłam głową i otworzyłam tylne drzwi furgonetki, żeby mógł zobaczyć, z czym mamy do czynienia. Adam wyglądał lepiej, niż kiedy wkładałam go do samochodu, choć w tym przypadku „lepiej” nie miało nic wspólnego z „dobrze”. Nie widziałam już żeber, ale jego ciało nadal pokrywały liczne rany, a sierść była pozlepiana krwią.

Carl zagwizdał.

– Pysk. Mam coś, co się nada. – Jak już wspominałam, Carl nie był wylewny.

Przyniósł rolkę bandaża. Adam na chwilę otworzył oczy, gdy go krępowaliśmy, ale nie stawiał oporu.

Kosztom nieustannego zrzędzenia z mojej strony, kilku przekleństw i odrobiny potu wyciągnęliśmy wilkołaka z furgonetki i wtaszczyliśmy do pokoju. Gdy już leżał na łóżku,

podziękowałam Carlowi za pomoc, a sama zaczęłam rozwijać bandażę. Chociaż robiłam to szybko, Adam drasnął mnie zębami w rękę. Popłynęła krew. Odskokczyłam, gdy się przekręcił i usiłował wstać, chcąc się obronić przed bólem, który mu zadaliśmy.

– Wychodź – rozkazał Carl.

Nie protestowałam. Naparł na drzwi, a ja przekręcałam klucz w zamku, którego nie dało się otworzyć od wewnątrz – właśnie na wypadek podobnych sytuacji. W oknach pokoju zamontowano kraty, a odpowietrzniki pozatykano. Numer jeden służył jako więzienie bądź, okazjonalnie, jako szpital. A czasem jako jedno i drugie.

Adamowi nic nie groziło – przynajmniej na razie. Kiedy jednak odzyska siły, może zacząć rozrabiać, chyba że wcześniej zdołam namierzyć Brana.

– Wiesz, dokąd Bran zabrał nowe wilki? – zapytałam, zatrzasnąwszy tylną klapę furgonetki. Carl nie zapytał mnie o Maca – nie miał nosa wilka, który pozwoliłby mu wyczuć, co się znajduje pod brezentem. Ja natomiast postanowiłam chwilowo nie wyciągać ciała. Bran zdecyduje, co z nim zrobić.

– Chyba nie chcesz za nim jechać, Mercy? To zbyt niebezpieczne. Może wrócisz ze mną do domu? Poczekamy, coś przekąsimy.

– Ile wilkołaków zostało w mieście? – drążyłam temat. – Czy jest tutaj ktoś, kto mógłby poskromić wilka Adama?

To właśnie ujemna strona bycia samcem dominującym – jeśli znajdujesz się pod wpływem zewu księżycy, pozostałe samce nie odstępują cię na krok.

– Adam jest jeszcze dość słaby, a Bran wróci przed zmrokiem – oznajmił Carl z wahaniem.

Oboje podskoczyliśmy, kiedy coś uderzyło w drzwi.

– Zabrał ich do Kanionu Kochanków – powiedział szybko, nie walcząc z tym, co nieuniknione. – Uważaj na siebie.

– Bran będzie miał kontrolę nad nowymi. Dam sobie radę.

– Nie o to się martwię. Zostawiłaś za sobą wrogów, dziewczyno.

Rozciągnęłam usta w wymuszonym uśmiechu. – Jestem, czym jestem, nic na to nie poradzę. Jeśli są moimi wrogami, to nie z mojego wyboru.

– Wiem. Ale i tak będą chcieli cię zabić, jeśli nadarzy się okazja.

Kochankami nazywano parę splecionych ze sobą drzew, które rosły w pobliżu wejścia do niewielkiego kanionu, zlokalizowanego jakieś piętnaście kilometrów na północ od miasta. Zaparkowałam obok dwóch starych Land-roverów, prawie nowego chevy tahoe i humvee – tej wersji z bajerami. Charles, syn Brana, był geniuszem finansowym, więc wilkołaki ze stada Marroka nigdy nie będą musiały żebrać na rogach ulic. Kiedy stąd wyjeżdżałam, miałam na koncie dziesięć tysięcy dolarów. Zarobiłam je dzięki Charlesowi, który zainwestował część moich niezbyt imponujących oszczędności.

Rozebrałam się w furgonetce, wyskoczyłam w głęboki po kolana śnieg i zatrzasnęłam drzwi. Tu, w górach, było zimniej niż w Troy, a śnieg pokrywała warstwa twardych kryształków lodu, które wbijały się w nagie stopy.

Zmieniałam kształt tak szybko, jak mogłam. Być może bezpieczniej byłoby szukać wilkołaków w ludzkiej postaci, ale nie miałam na sobie ciuchów odpowiednich na zimowe wędrówki po Montanie. Zresztą nie jestem pewna, czy istnieje odpowiedni rodzaj odzienia na takie wędrówki. W postaci kojota mróz tak bardzo mi nie przeszkadza.

Wychowywałam się wśród zapachów i odgłosów miasta. Woń lasu nie była wcale słabsza, była po prostu inna: jodła, osika i sosna zamiast spalin, przypalonego tłuszczu i ludzi. Usłyszałam wyraźne tra-ta-ta dzięcioła i ciche wycie wilka, zbyt niskie na szarego wilka amerykańskiego.

Padający śnieg mógł utrudniać tropienie, ale czułam zapach stada. Bran i jego towarzyszka, Leah, otarli się o gałąź białej sosny. Charles pozostawił ślad w miejscu, gdzie ziemię częściowo osłaniał gład. Gdy już nos doprowadzał mnie do właściwych miejsc, mogłam dostrzec odciski łap na starym śniegu tuż pod warstwą świeżego. Nie było trudno za nimi podążać.

Dotarłam do miejsca, w którym ślady się rozdzielały. Bran podążył w jedną stronę w towarzystwie nowych wilków – zdaje się, że było ich trzy – podczas gdy jego synowie, Charles i Samuel, oraz Leah pobiegli w drugą. Prawdopodobnie szukali zdobyczy, którą chcieli zagonić w kierunku reszty grupy.

Zawahałam się. Musiałam odszukać Brana, opowiedzieć mu, co się stało, i prosić go o pomoc. Zamiast tego podążyłam tropem Sama. Nic nie mogłam na to poradzić. Kochałam się w nim, odkąd skończyłam czternaście lat.

Nie żebym nadal się w nim kochała. Biegłam w dół zbocza, a potem ponownie w górę, na szczyt wzniesienia, gdzie śnieg nie był tak głęboki, ponieważ wiatr co jakiś czas wymiatał go do czysta.

Kiedy ostatni raz widziałam Samuela, miałam kilkanaście lat. Od tamtej pory nie zamieniłam z nim słowa, a i on nie próbował się ze mną skontaktować. Jednak to do niego zadzwoniłam po pomoc. O nikim innym nawet nie pomyślałam.

Gdy przerwałam rozmyślenia, uświadomiłam sobie, że las umilkł.

Zimą knieje są ciche. Ptaki, nie licząc kowalików, jemiołuszek cedrowych czy dzięcioła, które go wcześniej słyszałam, odlatują na południe. Jednak panująca cisza miała w sobie coś złowieszczonego, zbyt głęboka, by być wyłącznie zimowym bezruchem. Coś na mnie polowało.

Nie rozglądałam się ani nie przyspieszyłam. Wilkołaki ścigają stworzenia, które przed nimi uciekają.

Tak naprawdę nie odczuwałam strachu. Wiedziałam, że Bran gdzieś tam jest, a jeszcze bliżej Samuel. Wyczuwałam w wietrze ziemisto-korzenny zapach piżma, który mógł należeć tylko do niego. Ślady, za którymi podążałam, zostawiono kilka godzin wcześniej. Sam musiał wracać tą samą drogą, bo w przeciwnym razie znajdowałyby się zbyt daleko, bym mogła go wyczuć.

Nowe wilki towarzyszyły Branowi, a ten, który za mną szedł, był sam – w innym wypadku coś bym usłyszała. Nie musiałam się więc martwić, że niedoświadczony wilk pomylił mnie

z kojotem.

Nie sądziłam też, by to Charles próbował mnie podejść. Rozmyślne straszenie kogokolwiek było czymś poniżej jego godności. Samuel lubił płatać figle, ale wiatr nie kłamie.

A więc Leah. Nie zabiłaby mnie bez względu na to, co powiedział Carl – nie kiedy Bran mógł się o tym dowiedzieć – ale zrobiłaby mi krzywdę, gdyby nadarzyła się okazja, ponieważ mnie nie lubiła. Tak jak i pozostałe kobiety w stadzie Brana.

Zapach Samuela skierował mnie na wschód. Po tamtej stronie rosły głównie młode jodły, odrastające po pożarze, który musiał mieć miejsce jakieś dziesięć lat temu.

Przytulone do siebie tworzyły osłonę, która mnie nie mogła spowolnić, ale większego wilkołaka – z pewnością. Usiadłam i zaczęłam drapać się za uchem, by ukradkiem zerknąć za siebie. Niczego nie zauważyłam, więc myśliwy był jeszcze dość daleko. Pomknęłam w kierunku gęściej rosnących drzew.

Wilczyca zaskowyczała pieśń łowcy. Kiedy wilk poluje, instynkt bierze nad nim górę. Gdyby Leah pomyślała, nie wydałaby z siebie żadnego dźwięku, ponieważ natychmiast odpowiedziało jej chóralne zawodzenie. Wycie większości wilków dochodziło z odległości około dwóch kilometrów.

Samuel znajdował się bliżej, nie więcej niż sto metrów ode mnie. Zmieniłam kierunek biegu i przedarłam się przez gąszcz młodych drzew. Zamarł na mój widok. Przypuszczam, że spodziewał się sarny bądź łośa, a nie kojota. A na pewno nie mnie.

Samuel był duży, nawet jak na wilkołaka. Jego sierść miała kolor zimy, a lodowata, biało-błękitna tęczęwka czyniła jego oczy jeszcze bardziej przerażającymi. Zanurkowałam pod jego brzuchem, by znaleźć się pomiędzy mną a moją Prześladowczynią.

Zdążył jedynie rzucić mi zaskoczone spojrzenie, zanim zjawiała się Leah – srebrno-złota łowczyni, na swój sposób równie piękna, co Samuel. Mieniła się światłem i ogniem w miejscach, gdzie on lśnił lodem. Zobaczyła Samuela i wpadła w poślizg, próbując

się zatrzymać. Przypuszczam, że była tak skoncentrowana na pościgu, że nie zwróciła uwagi na wołanie drugiego wilka.

Dokładnie widziałam moment, w którym Samuel zdał sobie sprawę, kim jestem. Zadarł głowę i znieruchomiał. Nie potrafiłam stwierdzić, co w tej chwili odczuwał. Głęboko odetchnął i przeniósł wzrok na Leah.

Leah padła na grzbiet, choć jako żona Brana powinna zajmować w stadzie wyższą pozycję niż Samuel.

Niewzruszony tym gestem uległości Sam pokazał kły i wydał z siebie głęboki, dudniący dźwięk, od którego zadrżała moja pierś. Poczulałam się jak za dawnych czasów, kiedy bronił mnie przed resztą stada.

Jakiś wilk zawył bliżej niż poprzednio. Samuel przestał warczeć i odpowiedział na wołanie. Patrzył wyczekująco na północ. Po kilku minutach pojawiły się dwa wilki. Pierwszy, cynamonowy, miał czarne końcówki łap i był nieco większy od Samuela.

Drugi, znacznie mniejszy, z daleka mógł uchodzić za jednego ze zwykłych wilków, które dopiero w tym dziesięcioleciu zaczęły powracać do Montany. Jego sierść mieniła się wszystkimi odcieniami szarości. Oczy miał bladożłote, a koniec ogona biały.

Charles, cynamonowy wilk, zaczął się przemieniać. Charles nie został stworzony – urodził się jako wilkołak. To był jedyny taki przypadek, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

Matka Charlesa, córka szamana z plemienia Saliszów, umierała, kiedy Bran spotkał ją krótko po tym, jak przybył do Montany. Podobno poraziło go jej piękno. Chcąc ją utrzymać przy życiu. Przeistoczył ją i uczynił swoją towarzyszką. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, by Branem mogła zawładnąć miłość od pierwszego wejrzenia, ale może dwieście lat temu był inny.

W każdym razie, gdy zaszła w ciążę, wykorzystwała przekazaną jej przez ojca wiedzę o magii, by powstrzymać przemiany podczas pełni księżyca. Wilkołaczyce nie mogą mieć dzieci – przemiana zachodzi zbyt gwałtownie, by płód miał szansę

przetrwać. Matka Charlesa dysponowała własną magią. Udało jej się donosić dziecko, ale była do tego stopnia osłabiona porodem, że niedługo później zmarła. Pozostawiła synowi dwa dary. Po pierwsze, przemieniał się łatwiej i szybciej. Po drugie, sam odziedziczył część magii matki, magii niespotykanej wśród wilkołaków. Stado Brana nie musiało wynajmować czarownic – miało Charlesa.

Mniejszy z dwóch wilków biegł w moją stronę. Samuel niechętnie odsunął się na bok, cały czas jednak stojąc pomiędzy mną a Leah.

Bran nie roztaczał wokół siebie aury władzy, nie tak jak jego synowie czy Adam. Nie jestem pewna, w jaki sposób tak długo udawało mu się sprawować rządy. Powiedziano mi, że czasem inne wilkołaki, których zmysły są czulsze niż moje, z powodu jego gabarytów brały go za prawdziwego wilka lub jakąś wilczo-psią hybrydę.

Nie wiem, ile ma lat. Wiem tylko tyle, że był już stary, kiedy pod koniec XVIII wieku przybył do Nowego Świata, by pracować jako traper. Zawędrował w okolice Montany wraz z walijskim kartografem Davidem Thompsonem i osiedlił się tutaj wraz ze swą towarzyszką z plemienia Saliszów.

Podszedł do mnie i przytknął pysk do mojego ucha. Nie musiałam pokornie padać, by być od niego niżej, ale i tak się pochylałam. Delikatnie chwycił w zęby mój nos, po czym go wypuścił. Wszystko to stanowiło formę powitania i łagodnej reprimendy – aczkolwiek nie wiedziałam, na czym polegała moja wina.

Przemknął obok Samuela i spojrzał na swoją żonę. Która nadal leżała na śniegu. Zaskomlała lękliwie, a on obnażył kły, niezadowolony. Wyglądało na to, że chociaż kiedyś osobiście mnie poprosił, bym wyjechała, nie miałam być postrzegana jako łatwa zdobycz.

Tymczasem Charles skończył przemianę i stał teraz przy drzewach, wysoki i ludzki. Rysy twarzy miał tak charakterystyczne dla Saliszów, jak gdyby po ojcu odziedziczył

wyłącznie umiejętność przyjmowania zwierzęcej postaci.

Słyszałam, że rdzenni Amerykanie wstydzą się nagości. Charles stanowił potwierdzenie tej teorii wykorzystał magię, aby się odziać w podszyte futrem spodnie z jeleniej skóry, które wyglądały jak z innego stulecia.

Ja, jak większość zmiennokształknych, nago czuję się równie swobodnie, co w ubraniu – chyba że akurat przebywam w Górach Skalistych Montany w środku listopada. Przy wiejącym z północnego zachodu chłodnym kanadyjskim wietrze i niskiej temperaturze, która dodatkowo spada, gdy wreszcie przestaje sypać śnieg, dobrze mieć na sobie coś więcej niż nagą skórę.

– Mój ojciec wita cię na terytorium Marrokan – ton głosu Charlesa był płaski, charakterystyczny dla rodaków jego matki. Miał w sobie jednak odrobinę walijskiego zaśpiewu, z którym Bran już nie mówił, chyba że się naprawdę wściekł. – Nurtuje go jednak pytanie, dlaczego zdecydowałaś się przyjechać właśnie teraz.

Przybrałam ludzką postać. Szybko odgarnęłam od siebie śnieg i uklęknęłam, by mieć głowę niżej niż Bran. Zassałam przez zęby powietrze, czując śnieg pod goleniami i zimny wiatr na skórze. Samuel starał się mnie zasłonić przed najgorszymi podmuchami.

Pomogło, ale niewystarczająco.

– Przyjechałam w interesach stada – oznajmiłam.

Charles uniósł brwi.

– Ciągnie się za tobą zapach krwi i śmierci. Zawsze miał dobry nos. Przytaknęłam.

– Przywiozłam Alfę ze Stada Dorzecza Kolumbii. Jest ciężko ranny. Przywiozłam również zwłoki innego wilka, bo mam nadzieję, że ktoś z was będzie mi mógł powiedzieć, jak zginął i kto go zabił.

Bran cicho mruknął, a Charles skinął głową.

– Opowiedz nam tylko to, co najważniejsze. Szczegóły później.

Opowiedziałam. Mówiłam tak zwięźle, jak to możliwe.

Zaczęłam od historii Maca, a skończyłam na jego śmierci, ranach Adama i porwaniu Jesse. Gdy już zamilkłam, szczękałam

zębami i ledwo sama siebie rozumiałam.

Przemieniłam się w kojota, ale mimo to drżałam z zimna. Bran zerknął na Samuela, który szczechnął i rzucił się biegiem w kierunku miasta.

– Bran dokończy polowanie z nowymi – powiedział Charles. – Ich pierwsze łowy nie powinny zostać zakłócone. Samuel zaopiekuje się Adamem. Pobiegnie na przełaj do miasta, więc dotrze tam przed nami. Ja pojedę z tobą i zajmę się martwym wilkiem.

Zanim Charles skończył mówić, Bran potruchtał do lasu.

Leah podniosła się z pełnej pokory pozycji, warknęła – jakby to przeze mnie wpakowała się w kłopoty – i podążyła za mężem.

Charles, nadal w ludzkiej postaci, ruszył w stronę samochodów. Nigdy nie był zbyt rozmowny i teraz, gdy miałam cztery łapy i nie mogłam mówić, nie zawracał sobie mną głowy. Łaskawie czekał przy furgonetce, aż się przemienię i ubiorę.

Nie sprzeciwił się, że to ja będę prowadzić, jak by to zrobiła Samuel. Nigdy nie widziałam Charlesa w roli kierowcy – wolał jeździć konno lub biegać jako wilk. Zajął miejsce pasażera i zerknął na przykryte brezentem ciało. Bez żadnego komentarza zapiął pas. Dojechaliśmy do motelu. W recepcji zastaliśmy Carla z młodą kobietą o zaczerwienionych oczach. To musiała być Marlie, chociaż w niczym nie przypominała sześciolatniej dziewczynki, którą kiedyś znałam.

– Mercedes potrzebuje pokoju – oznajmił Charles.

Carl nawet się nie odezwał, po prostu wręczył mi klucz.

– Ten znajduje się z dala od drogi i najdalej od jedynek.

Na kluczu widniał znak: #18.

– Nie wiesz, że nie powinno się umieszczać na kluczu numeru pokoju? – zapytałam.

– Nie mamy zbyt wielu problemów z włamaniami – odparł z uśmiechem Carl. – Poza tym wiem, że przez kilka lat tu pracowałaś. Pomijając jedynekę, w pozostałych pokojach zamontowane są tylko trzy różne zamki.

Uśmiechnęłam się i podrzuciłam klucz.

– To prawda.

Charles otworzył mi drzwi, gdy wychodziliśmy. – Jeśli zechcesz wyciągnąć swój bagaż i dać mi kluczyki, to zajmę się ciałem. Musiałam mieć zdziwioną minę.

– Nie martw się – powiedział oschle. – Carl będzie prowadził.

– Nie mam bagażu – oznajmiłam. Podałam mu kluczyki, ale chwyciłam jego rękę, zanim odszedł. – Mac był dobrym dzieciakiem. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam.

Charles nigdy nikogo nie dotykał bez powodu. Zawsze sądziłam, że mną gardzi, chociaż traktował mnie z taką samą uprzejmą rezerwą, z jaką odnosił się do wszystkich. Położył mi jednak rękę na karku i przyciągnął do siebie.

– Zajmę się nim – obiecał i ruszył w stronę furgonetki.

– Nazywał się Alan MacKenzie Frazier. Skinął głową.

– Dopilnuję, by go dobrze potraktowano.

– Dziękuję. – Szybko podążyłam w stronę pokoju, żeby się znów nie rozpłakać.



Rozdział 6

Na nocnym stoliku leżał starannie ułożony stos „National Geographic” i kryminał w miękkiej oprawie. Jeśli dobrze sobie przypominam, pierwotnie zostawiano w pokojach gazety, aby zrekompensować klientom brak telewizji. Kiedy tu sprzątałam, tak głęboko w góry nie docierał żaden sygnał.

Teraz z dachu motelu sterczała antena satelitarna, a w pokoju znajdował się niewielki odbiornik ustawiony w stronę łóżka i małej kuchni.

Ponieważ nie interesowało mnie oglądanie powtórek oper mydlanych, chaotycznie przerzucałam strony magazynów. Wyglądały znajomo. Może zawartości sterty nie zmieniano, odkąd skończyłam tutaj pracować? Najnowszy egzemplarz pochodził z maja 1976, więc było to możliwe. Albo po prostu przypadkowe stosy „National Geographic” po latach pojawiania się w przeróżnego rodzaju poczekalniach nabierają pewnej identyczności.

Zaczęłam się zastanawiać, czy Jesse nie leży w jakimś szpitalu. W moim umyśle na moment pojawił się też obraz kostnicy, ale natychmiast go odrzuciłam. Panika nikomu nie pomoże, trzeba po prostu robić swoje.

Podniosłam książkę i usiadłam na łóżku. Okładka ze szkicem

obory w stylu Wisconsin nie wyglądała zachęcająco, ale i tak zaczęłam czytać. Przestałam po pierwszym zdaniu. Nie mogłam znieść siedzenia z założonymi rękami.

Wyszłam z pokoju. Na dworze zrobiło się jeszcze mroźniej, a ja miałam na sobie tylko koszulkę, więc szybko pobiegłam do jedyńki. Klucz miałam w kieszeni, ale nie musiałam z niego korzystać.

Adam leżał na boku z pyskiem skrępowanym pasem.

Pochylał się nad nim Samuel, ubrany w parę dżinsów i gumowe rękawiczki. Nie mogłam oderwać wzroku od tej sceny – nie ze względu na widok nagiego torsu Sama, lecz z powodu troski o rannego wilkołaka. Oparty o ścianę Charles rzucił mi zaciekawione spojrzenie, ale nic nie powiedział.

– Zamknij drzwi – warknął Samuel, nie podnosząc wzroku. – Cholera, Mercy, powinnaś była nastawić kości, zanim go wrzuciłaś do samochodu na cały dzień. Kto jak kto, ale ty doskonale wiesz, jak szybko się goimy. Będę musiał ponownie złamać mu nogę.

Samuel, najbardziej opanowany wilkołak, jakiego kiedykolwiek spotkałam, nigdy wcześniej na mnie nie krzyknął.

– Nie potrafię nastawiać kości – powiedziałam, wkładając dłonie pod pachy. Miał jednak rację. Wiedziałam, że rany wilkołaków goją się niewiarygodnie szybko – po prostu nie pomyślałam, co to oznaczało w przypadku złamania. Nawet nie wiedziałam, że Adam złamał nogę. Idiotka. Powinnam była zadzwonić do Darryla.

– Naprawdę tak trudno nastawić nogę? – kontynuował Samuel po krótkiej przerwie. – Wszystko, co musisz zrobić, to pociągnąć. – Jego ręce delikatnie wyprostowały nogę Adama.

– Ktoś w jego stadzie na pewno ma wykształcenie medyczne. Mogłaś zadzwonić po pomoc, skoro tobie zabrakło odwagi, by to zrobić. – Zwrócił się do Adama: – Przygotuj się.

Nie widziałam, co zrobił. Usłyszałam jedynie trzask kości, a Adam wierzgnął i wydał z siebie charczący dźwięk, którego nigdy więcej nie chciałabym usłyszeć.

– Istniało ryzyko, że ktoś z jego stada był zamieszany w napaść – wyszeptalam. – Adam nie odzyskiwał przytomności, więc nie mogłam go zapytać. A oni nie mają w stadzie nikogo na tyle silnego, by poskromić wilka Adama.

Samuel zerknął na mnie i zaklął. – Jeśli przyszłaś tu tylko po to, żeby biadolić, to lepiej się wynoś. Pomimo swojego stanu Adam zdołał podnieść głowę.

Zawarczał.

– Przykro mi. – Wyszłam, zamykając za sobą drzwi.

Spędziłam dwadzieścia minut, gapiąc się w pierwszą stronę kryminału, kiedy ktoś zapukał. Mój nos powiedział mi, że to Samuel, więc nie otworzyłam.

– Mercy? – Jego głos brzmiał tak, jak go zapamiętałam, delikatnie, z odrobiną celtyckiego akcentu.

Wpatrzona w drzwi pomyślałam, że warto nazajutrz wyjechać skoro świt. Dzięki temu zwiększę szanse na odnalezienie Jesse. Kiedy Adam wydobrzeje, ktoś inny może go odwiedzić do Tri-Cities. No i jeśli wyjadę dostatecznie wcześnie, uniknę rozmowy z Samuelem.

– Mercy. Wiem, że mnie słyszysz.

Nie odpowiadałam. Nie chciałam z nim rozmawiać.

Miał rację – byłam bezużyteczna. Zmusiłam Adama do sześciogodzinnej podróży z powodu przypadkowej uwagi Darryla, uwagi, która, jak zaczynałam myśleć, nic nie znaczyła. Oczywiście, jak powiedziałam Samuelowi, stado musiałoby przywieźć Adama do Montany lub przynajmniej posłać po dominującego samca, ponieważ Alfa potrzebował opieki, dopóki sam się nie kontrolował. Ale przynajmniej nastawiliby jego nogę. Gdyby nie moja głupota, Darryl i stado już by szukali Jesse, a Adam czułby się teraz znacznie lepiej.

Dorastając w świecie silników i przegubów homokinetycznych, każdego dnia umacniałam się w przekonaniu, że w życiu trzeba być fachowcem. Gdyby Adam był samochodem, wiedziałabym, co zrobić. W Aspen Creek zawsze robiłam coś nie tak – najwyraźniej niektóre rzeczy wcale

się nie zmieniły.

– Posłuchaj, Mercy. Przepraszam. Skoro nie znasz się na pierwszej pomocy i nie mogłaś ufać jego stadu, to podjęłaś słuszną decyzję.

Głos Samuela był delikatny i słodki jak melasa, ale moja matka powiedziała mi kiedyś, że to pierwsza rzecz, która wychodzi z ust człowieka, jest prawdą. Gdy masz okazję przemyśleć swoje słowa, zmieniasz je na takie, które łatwiej zaakceptować. Mówisz coś, co według twojej oceny bardziej się spodoba, coś, dzięki czemu osiągniesz zamierzony efekt.

Wiedziałałam, czego chce Samuel; czego zawsze ode mnie chciał, nawet jeśli na chwilę o tym zapomniał, kiedy zajmował się ranami Adama.

– Adam zbeształ mnie za to, jak się wobec ciebie zachowałem – ciągnął przymilnym głosem. – Miał rację. Byłem wściekły, bo nie lubię nikomu niepotrzebnie robić krzywdy, no i wyładowałem gniew na tobie. Czy mogę wejść i porozmawiać z tobą zamiast z drzwiami?

Znużona potarłam twarz. Nie miałam już szesnastu lat, żeby uciekać przed problemami, bez względu na to, jak kuszące wydawało się takie rozwiązanie. Poza tym, stwierdziłam niechętnie, były pewne rzeczy, o których musiałam mu powiedzieć.

– W porządku. W porządku, Mercy. Do zobaczenia rano.

Już odchodził, kiedy otworzyłam drzwi.

– Wejdz – rzuciłam i zadrżałam, kiedy przeszył mnie chłód wiatru. – I lepiej się pospiesz. Jest zimniej niż w lodówce.

Zanim wszedł do środka, zatupał, strzepując z butów śnieg. Położył płaszcz na stojącym przy drzwiach stoliku. Miał na sobie koszulkę. Mieszkańcy miasteczka trzymali w domach dodatkowe ubrania na wypadek, gdyby ktoś musiał szybko coś na siebie narzucić. W większości unisex, jak dzinsy, dresy i bluzy. Koszulka, którą ubrał, nieco zbyt ciasna, przylegała do niego jak druga skóra. Gdyby miał kilka gramów tłuszczu więcej lub trochę mniej mięśni, wyglądałby głupio, ale był zbudowany jak

chippendales.

Chociaż miał cudowne ciało, nie jestem pewna, czy ktokolwiek poza mną nazwałby go przystojnym. z pewnością brakowało mu uderzająco pięknych rysów Adama. Oczy Sama były głęboko osadzone, nos zbyt długi, a usta za szerokie. W ludzkiej postaci szarość tęczy i brąz włosów, gdzieniegdzie rozjaśnionych słońcem, prezentowały się zdecydowanie mniej imponująco od barw, jakie przybierał w formie wilka.

Gdy mu się przyglądałam, nie potrafiłam obiektywnie stwierdzić, do jakiego stopnia był atrakcyjny; był po prostu Samem, moim przyjacielem, ukochanym i obrońcą.

Opuściłam głowę, by ukryć twarz. Najpierw musiałam zapanować nad gniewem, który się na mej malował – i nad pozostałymi uczuciami, które mną targły. Jeśli dorobi sobie do tego gestu własną teorię, to nie z mojej winy. Nie po to go wpuściłam, by się kłócić.

– Nie sądziłem, że będziesz chciała ze mną rozmawiać – powiedział charakterystycznym, ciepłym głosem.

– Ani ja – odrzekłam ponuro, wbijając wzrok w stopy. Nie wytrzymałabym, gdybym musiała na niego patrzeć. – Ja również jestem ci winna przeprosiny.

– Nie – zaprotestował ostrożnie. Najwyraźniej był zbyt sprytny, by dać się nabrać na uległe spojrzenie. – Nie masz za co przepraszać. Niesłusznie dałem ci po uszach.

– Nic się nie stało. Pewnie miałeś rację. Znalazłam martwego Maca o krok od moich drzwi i Adama o krok od śmierci, więc spanikowałam. – Usiadłam na łóżku, ponieważ znajdowało się najdalej od Samuela. Dopiero wtedy odważyłam się na niego spojrzeć. – Moje przeprosiny są cholernie spóźnione. Powinnam była z tobą porozmawiać, zanim wyjechałam. Powinnam była ci powiedzieć, że postanowiłam zamieszkać w Portland. – Ale bałam się, że mogłabym zrobić coś głupiego, na przykład strzelić mu w łeb lub, co gorsza, zacząć płakać – tego jednak nie musiał wiedzieć.

Znikł gdzieś pogodny nastrój, zwykle widoczny na jego twarzy.

Została tylko naturalna ostrożność, jak gdyby spodziewał się, że chcę go zaprowadzić prosto w pułapkę.

– Rozmawiałem z ojcem. Powiedział mi, że cię przekonał, byś wróciła do matki, zamiast ze mną uciekać.

– Jak długo na mnie czekałeś? – Kiedy Bran przyłapał nas na pieszczotach i oznajmił, że wysyła mnie do Portland, Samuel postanowił zabrać mnie gdzieś daleko. Miałam się z nim spotkać w lesie dwa kilometry od mojego domu, ale Marok wiedział – taki już był. Wytłumaczył mi, dlaczego Samuelowi tak bardzo na mnie zależy, a ja nie potrafiłam zaakceptować powodu, który mi tak jasno wyłożył.

Więc podczas gdy Sam czekał, Charles wiozł mnie do Libby na poranny pociąg do Portland.

Samuel odwrócił głowę. Nie odpowiedział. Na swój własny sposób był najuczciwszą osobą, jaką znałam. Czyniło to jego zdradę jeszcze bardziej bolesną. Nigdy nie chciał, abym uwierzyła, że mnie kocha, i ja o tym wiedziałam. Powiedział mi, że będzie czekał. Z pewnością czekał jeszcze długo po tym, jak zdał sobie sprawę, że nie przyjdę.

– Tak też myślałam – powiedziałam cicho. Niech to szlag. Nie powinien nadal tak na mnie działać. Złapałam się na tym, że oddycham głębiej niż zwykle tylko po to, by lepiej czuć jego zapach.

– Powinnam była ci powiedzieć, że zmieniłam zdanie – odezwałam się, resztkami sił kończąc to, co zaczęłam. – Przepraszam, że cię zostawiłam bez słowa. Nie postąpiłam ani słusznie, ani uczciwie.

– To ojciec kazał ci wyjechać bez pożegnania – rzekł Samuel. Głos miał obojętny, ale odwrócił się do mnie plecami i wbił wzrok w mokrą plamę na dywanie, która powstała wokół jego butów.

– Nie należę do jego stada – warknęłam. – Zawsze dawano mi to do zrozumienia. Nie musiałam go słuchać. Źle zrobiłam, że jednak posłuchałam, i już wtedy zdawałam sobie z tego sprawę. Przykro mi. Nie dlatego, że wyjechałam, bo to była słuszna decyzja, ale dlatego, że cię nie uprzedziłam. Stchórzyłam.

– Wiem od ojca, co ci powiedział – zaczął spokojnie, choć między jego słowa wplotła się nuta gniewu. – Powinnaś była się tego spodziewać. Niczego nie ukrywałem.

Nic w jego głosie ani postawie nie świadczyło, by miał pojęcie, jak wielką wyrządził mi krzywdę. Jakkolwiek czyniło go to w moich oczach głupcem, czułam się lepiej, wiedząc, że zadał mi ból nieumyślnie.

Nasze spojrzenia się spotkały. Znów poczułam ten magnetyzm, tak mi niegdyś znajomy. Po części był to fizyczny pociąg, ale i siła dominującego wilka. Zanim się zorientowałam, co robię, znalazłam się na środku pokoju.

– Posłuchaj, Samuelu – powiedziałam, zatrzymując się gwałtownie. – Jestem zmęczona. Miałam ciężki dzień. Nie chcę się z tobą kłócić o sprawy, które należą do przeszłości.

– W porządku – jego głos był miękki. Lekko skinął głową. – Jutro porozmawiamy dłużej.

Założył płaszcz i chwycił za kłamek.

– Prawie bym zapomniał. Charles i Carl zabrali trupa...

– Maca – powtórzył za mną przepraszającym tonem. Lepiej by było, gdyby tego nie zrobił, bo przez jego współczucie do oczu napłynęły mi łzy. – Zabrali Maca do naszej kliniki i odstawili twój samochód na miejsce. Charles dał mi kluczyki, kiedy mu powiedziałem, że idę cię przeprosić. Sam by ci je oddał, ale tak szybko wyszłaś z pokoju.

– Zamknął furgonetkę? – zapytałam. – Trzymam w niej broń załadowaną na wilkołaki – Wspominając o broni, przypomniałam sobie o czymś jeszcze, co nie dawało mi spokoju. – Och, i leży tam strzałka z jakimś środkiem odurzającym. Znalazłam ją obok Adama, kiedy go przenosiłam.

– Furgonetka jest zamknięta. Charles znalazł Strzałkę i zostawił ją w laboratorium, bo stwierdził, że pachnie srebrem i Adamem. Dopilnuję, by ją dokładnie zbadano.

– Mac powiedział, że przeprowadzano na nim eksperymenty. Podobno odkryli jakiś narkotyk, który działa na wilkołaki.

Samuel pokiwał głową.

– Pamiętam, mówiłaś nam o tym.

Ostrożnie, by nie dotknąć jego dłoni, chwyciłam kluczyki. Uśmiechnął się, jakbym zrobiła coś znaczącego, i uświadomiłam sobie, że nie powinnam być aż tak ostrożna.

Gdybym nic do niego nie czuła, nie przeszkadzałby mi jego dotyk. Żyjąc pośród normalnych ludzi, zapomniałam, jak trudno ukryć cokolwiek przed wilkołakami.

– Dobranoc, Mercy – powiedział.

Wyszedł. W pokoju zrobiło się pusto. Lepiej wyjadę z samego rana, pomyślałam, słuchając, jak pod jego stopami skrzypi śnieg.

Kiedy po raz trzeci czytałam czternastą stronę kryminału, znów ktoś zapukał do drzwi.

– Przyniosłem obiad – oznajmił przyjemny męski tenor.

Odłożyłam książkę i wstałam. W progu stał mężczyzna o włosach koloru piasku i nijakiej twarzy. Przez ramię miał przewieszoną ciemnoniebieską kurtkę, a w rękach trzymał plastikową tacę, załadowaną dwiema owiniętymi w folię kanapkami i dwoma styropianowymi kubkami gorącej czekolady. Może to przez jedzenie, ale przyszło mi do głowy, że skoro Bran tak się starał wyglądać jak chłopiec na posyłki, to miał w tym jakiś cel. Nie lubił rzucać się w oczy.

Rozciągnął usta w uśmiechu, widząc, że nie chcę się odsunąć od drzwi.

– Charles twierdzi, że z Adamem wszystko w porządku i że Samuel zrobił z siebie głupka.

– Już przeprosił – oznajmiłam, wpuszczając go wreszcie do środka.

Całe wyposażenie niewielkiej kuchni stanowił piecyk z dwoma palnikami, lodówka wielkości sześciopaka, mały stół przykryty ceratą i dwa krzesła. Bran rzucił kurtkę na łóżko i postawił tacę na stole. Przełożył jej zawartość tak, by po każdej stronie znalazły się kanapka i kubek.

– Charles powiedział, że nie masz niczego na chłodne wieczory, więc przyniosłem ci kurtkę. Pomyślałem też, że pewnie chciałabyś coś zjeść. Potem przedyskutujemy, co zrobić z twoim

Alfą i jego córką.

Usiadł na krześle i ręką wskazał drugie. Zdałam sobie sprawę, że przez cały dzień nic nie jadłam, a mimo to nie czułam głodu.

Tak jak powiedział, nie rozmawialiśmy, podczas gdy on pochłaniał, a ja skubałam kanapkę o aromacie lodówki. Za to kakao z gęstą pianką smakowało prawdziwą wanilią.

Zjadł pierwszy, ale cierpliwie poczekał, aż skończę. Kanapka była z gatunku tych ogromnych i długich wielowarstwowców, wymyślonych po to, by zaspokajać głód na cały tydzień. Nie dałam jej rady i część zawięłam z powrotem w folię. Bran zjadł całą, ale wilkołaki zawsze dużo jedzą.

Moja przybrana matka lubiła mawiać: „Nigdy nie głodź wilkołaków, bo mogą cię poprosić, żebyś dołączyła do nich w trakcie obiadu”. A potem klepała swojego męża po głowie, nawet jeśli był w ludzkiej postaci.

Nie wiem, dlaczego akurat wtedy o tym pomyślałam ani dlaczego do moich oczu znów chciały napłynąć łzy. Moi przybrani rodzice nie żyli od siedemnastu lat. Ona zmarła, próbując stać się wilkołakiem, bo, jak mi powiedziała, każdy rok odciskał na niej piętno starości, a na nim nie. Na świecie istnieje o wiele mniej kobiet, które wzywa księżyc, ponieważ większości nie udaje się przeżyć Przeistoczenia. Mój przybrany ojciec zmarł z żalu miesiąc później. Miałam wtedy czternaście lat.

Wzięłam łyk kakao i czekałam. Bran ciężko westchnął. Z nogami w powietrzu balansował na krześle.

– Nie robi się tak – powiedziałam. Uniósł brwi.

– Jak?

– Nie huśta się na krześle, chyba że się jest nastolatkiem i chce zaimponować dziewczynie.

Natychmiast postawił wszystkie cztery nogi krzesła na podłodze.

– Dzięki. – Bran lubił pozować na tak ludzkiego, jak to tylko możliwe, ale okazywał wdzięczność w nieco szorstki sposób.

Popiłam szybko kakao, żeby nie dostrzegł mojego rozbawienia. Oparł łokcie o stół.

– Co teraz planujesz, Mercy?

– To znaczy?

– Adam jest bezpieczny i dochodzi do zdrowia. My się dowiemy, jak zginął twój przyjaciel. Co ty zamierzasz zrobić?

Bran był przerażający. Miał pewne zdolności parapsychologiczne – a przynajmniej tak utrzymywał. Potrafił przemawiać do każdego wilkołaka, jakiego znał, za pomocą samych myśli. To dlatego Charles mógł wystąpić w roli jego rzecznika, kiedy spotkaliśmy się w lesie. Bran wykorzystywał tę umiejętność między innymi do kontrolowania stad w północnych Stanach. Dzięki temu, jak twierdził, inni go słyszeli, podczas gdy on nie musiał słuchać ich wcale.

Według niektórych plotkarzy, miał więcej zdolności, ale nikt dokładnie nie wiedział, jakiej natury. Wieść gminna niosła, że potrafi również czytać w myślach. Jedno nie ulegało wątpliwości – jeśli narozrabiałeś, nie miałeś szans ukryć przed nim prawdy.

Moja przybrana matka zawsze się śmiała i mawiała, że jego reputacja wzięła się z przekonania, iż jest nieomylny. Winny sam się ujawniał wyrazem twarzy – wystarczyło, że Bran na niego spojrzał. Może miała rację, ale spróbowałam kiedyś wyglądać na niewinną i nic to nie pomogło.

– Wyjeżdżam jutro rano. – Wcześniej, dodałam w myślach. Żeby nie natknąć się na Samuela – ale także dlatego, by zacząć szukać Jesse.

Bran potrząsnął głową. – Po południu.

Poczułam, jak moje brwi unoszą się mimowolnie.

– Cóż – odparłam łagodnie. – Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś, skoro wiedziałaś, co zamierzam zrobić?

Bran posłał mi niewinny uśmiezek.

– Jeśli poczekaś do popołudnia, Adam będzie gotowy do podróży, a do tego czasu powinniśmy już coś wiedzieć na temat śmierci twojego młodego... na temat śmierci Alana MacKenzie'ego Fraziera. Samuel pojechał do laboratorium przeprowadzić sekcję i testy.

Pochylił się w moją stronę.

– To nie twoja wina, Mercy. Rozlałam kakao po koszulce.

– Kur... – Przerwałam w pół słowa. Bran nie lubił przekleństw. – Potrafisz czytać w myślach.

– Znam ścieżki, którymi chadzają twoje myśli – powiedział z lekkim uśmiechem, który niemal, naprawdę niemal, nie był uśmiechem wyższości. Podał mi rolkę papierowego ręcznika.

Kakao było jeszcze gorące, ale nie parzyło. Podeszłam do zlewu, a Bran kontynuował. – Jeśli nie zmieniłaś się bardziej, niż myślę, to pewnie czujesz się teraz winna. Zawsze tak było, zawsze, kiedy ktoś ucierpiał, uważałaś, że to twoja wina. Adam opowiedział mi tę część historii, którą zna, i nie ma ona z tobą nic wspólnego.

– A więc potrafisz czytać w myślach. Adam jest wilkiem i nie może mówić. – Prawie udało mi się zetrzeć plamę, ale żałowałam, że nie zabrałam ze sobą dodatkowych ubrań.

– Już nie jest – odpowiedział Bran z uśmiechem. – Czasem sama przemiana pomaga w regeneracji. Zwykle musimy się zmieniać z człowieka w wilka, ale to działa w obydwie strony. Adam nie był zadowolony z Samuela. – Jego uśmiech poszerzył się. – Ochrzanił go, gdy tylko przybrał ludzką postać. Powiedział, że wymaganie od przypadkowej osoby zajmowania się tym, co wymaga znajomości rzeczy, to amatorski błąd. Powiedział, że wolałby nie mieć do czynienia z kimś, kto „partaczyłby” przy jego ranach. Powiedział również, że czasem masz więcej odwagi niż rozsądku. – Bran popchnął styropianowy kubek w moją stronę. – Z tym się akurat zgadzam i właśnie dlatego prosiłem Adama, by miał na ciebie oko, kiedy wprowadziłaś się na terytorium jego stada.

Och! pomyślałam, usiłując ukryć zdumienie. Więc Adamowi kazano mnie pilnować? Wcześniej sądziłam, że ten osobliwy związek, który nas łączył, opiera się na zupełnie innych podstawach. Świadomość, że Bran kazał mnie obserwować, zmieniała sens wszystkich rozmów z Adamem. Umniejszała ich znaczenie.

– Nie lubię kłamstw – ciągnął Bran. Zorientowałam się, że nie

zdołałam całkowicie ukryć wywołanego przez jego wyznanie bólu. – Nawet kłamstw powstałych w wyniku niedopowiedzenia. Z trudną prawdą można sobie poradzić, zatriumfować nad nią, ale kłamstwa potrafią zniszczyć duszę.

– Kiedy to mówił, wyglądał tak, jakby miał w tym temacie sporo doświadczenia. – Ta awersja powoduje, że zaczynam węszyć, kiedy powinienem się raczej wycofać.

Zamilkł. Chyba chciał mi dać szansę na odpowiedź, ale nie miałam pojęcia, dokąd to wszystko zmierzą. – Pociągnął kolejny łyk kakao. – Niektórzy sądzą, że nie powinniśmy ujawniać ci prawdy na temat śmierci Bryana. – Bryan był moim przybranym ojcem.

Przypomniałam sobie poranek krótko po Bożym Narodzeniu, kiedy obudził mnie dobiegający z kuchni głos Brana. Kiedy wyszłam z pokoju, Bran oznajmił, że policja znalazła ciało Bryana w rzece Kootenai.

Wilkołakowi nie jest łatwo popełnić samobójstwo. Nawet srebrne kule nie zawsze zadają rany, po których organizm nie potrafiłby się zregenerować. Obcięcie głowy gwarantuje sukces, ale raczej trudno je wykonać własnoręcznie. Za to doskonale sprawdza się głęboka woda. Wilkołaki są niezwykle umięśnione. Zazwyczaj trudno im pływać nawet wtedy, gdy się starają – podobnie jak szympany mają zbyt dużo mięśni w stosunku do ilości tłuszczu, by się utrzymać na wodzie.

– Niektórzy ze stada chcieli ci powiedzieć, że Bryan miał wypadek – głos Brana wydawał się nieobecny. – Według nich, czternastolatka nie poradziłaby sobie ze świadomością, że jej opiekun popełnił samobójstwo, szczególnie po śmierci jego towarzyszek.

– Evelyn – wtrąciłam. Bran miał tendencję do lekceważenia ludzi ze swojego otoczenia, tak jakby w ogóle nie istnieli. To dlatego, jak powiedział mi kiedyś Samuel, że ludzie byli tacy wąтли i delikatni, a Bran towarzyszył śmierci zbyt wielu z nich. Ale, do diabła, skoro ja mogłam sobie poradzić ze śmiercią Evelyn w wieku czternastu lat, to Bran też mógł. Zgromił mnie

wzrokiem.

– Faktycznie, miała na imię Evelyn. – Westchnął. – Kiedy zdecydowałaś się zamieszkać sama, zamiast pojechać do matki, nie stawałem ci na drodze. Dowiodłaś swojej odwagi i pomyślałem wtedy, że masz prawo samodzielnie podejmować decyzje. – Przesuwał wzrokiem po ścianach. – Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie?

Przytaknęłam i w końcu usiadłam. Choć tego wieczoru nie należało, bym ściśle przestrzegała utartych zasad, czułam się niezręcznie, kiedy nad nim stałam.

– Miałaś szesnaście lat – ciągnął. – Po pierwsze, byłaś zbyt młoda dla niego. Po drugie, zbyt młoda, rozumieć, czego od ciebie chciał. Kiedy Bran przyłapał mnie z Samuelem w lesie, bez słowa wyjaśnienia kazał mi wrócić do domu. Zjawił się następnego ranka i powiedział, że rozmawiał już z moją matką. Odsyłał mnie. Powiedział, że mam się spakować. Zrobiłam to, ale nie po to, by jechać do Port land. Spakowałam się, żeby uciec z Samuelem. Pobierzemy się, powiedział Sam. Nawet nie przyszło mi do głowy, że w wieku szesnastu lat nie tak łatwo wyjść za mąż bez zgody rodziców. Bez wątpienia jednak Samuel znalazłby sposób na ominięcie i tego problemu. Postanowiliśmy zamieszkać w dużym mieście, z dala od stada.

Kochałam Samuela. Kochałam go, odkąd zmarł mój przyrodni ojciec, a Samuel przejął jego rolę. Bryan był wspaniały, lecz Samuel zapewniał o wiele skuteczniejszą ochronę. Nawet kobiety mniej mi dokuczały, odkąd stał za moimi plecami. Zabawny i czarujący Samuel... Beztroska to rzadka cecha wśród wilkołaków, ale Samuel nie mógł narzekać na jej brak.

Pod jego skrzydłami nauczyłam się radości – niezwykle uwodzicielskiego uczucia.

– Powiedziałaś, że Samuel mnie nie kocha. – W ustach czułam posmak trocin. Do dziś nie mam pojęcia, jak się dowiedział o planach Samuela. – Powiedziałaś, że potrzebuje partnerki, która będzie mogła rodzić mu dzieci.

W związkach między wilkołakami a samicami człowieka

dochodzi do poronienia w ponad połowie przypadków ciąży. Donoszą tylko te kobiety, których dzieci są w pełni ludźmi. U wilkołaczyc poronienie następuje podczas pierwszej pełni księżyca. Kojoty i wilkołaki mogą się krzyżować, wydając na świat zdolne do życia potomstwo – czemu więc nie spróbować?

Samuel zdawał sobie sprawę, że niektóre z naszych dzieci mogą być ludźmi, niektóre zmiennokształtnymi, a niektóre wilkołakami – ale wszystkie będą żyły.

Dopiero gdy Bran mi to wytłumaczył, zrozumiałam, dlaczego Leah żywiła do mnie niechęć, niechęć, która stała się udziałem wszystkich wilkołaczyc w stadzie.

– Nie powinienem był tego mówić w taki sposób.

– Próbujesz mnie przeprosić? – Nie wiedziałam, co chciał mi przekazać. – Miałam szesnaście lat. Samuel może i wygląda młodo, ale, o ile dobrze pamiętam, był wtedy dorosły. Ile ma teraz, pięćdziesiąt lat? Sześćdziesiąt?

Kiedy go kochałam, w ogóle mi to nie przeszkadzało. Nigdy nie dawał mi do zrozumienia, że jest starszy. Wilkołaki nie rozmawiają o przeszłości, nie w taki sposób jak ludzie. Większość z tego, co wiedziałam o Branie, dowiedziałam się od człowieka – przybranej matki, Evelyn.

– Byłam młoda i głupia. Musiałam wysłuchać, co masz mi do powiedzenia. Więc jeśli szukasz przebaczenia – przestań. Nie potrzebujesz go. Jestem ci winna podziękowania.

Podniósł głowę. W ludzkiej postaci jego oczy miały barwę wpadającego w żółć brązu, jak oświetlony słońcem liść dębu.

– Nie przepraszam. Nie ciebie. Tłumaczę. – Jego twarz rozjaśnił uśmiech i podobieństwo do Samuela, zazwyczaj prawie niezauważalne, stało się nagle bardzo wyraźne. – A Samuel ma więcej niż sześćdziesiąt. Odrobinę więcej. – Rozbawienie, tak jak gniew, momentami zabarwiało głos Brana akcentem jego ojczystego kraju, Walii. – Samuel to mój pierworodny. Wpatrywałam się w niego zaskoczona, Samuel nie posiadał cech typowych dla starszych wilków. Prowadził samochód, miał

stereo i komputer. Co więcej, lubił towarzystwo – nawet ludzkie – a Bran wykorzystywał go do kontaktów z policją i rządowymi oficjelami, kiedy zachodziła taka potrzeba.

– Charles urodził się kilka lat po twoim przyjeździe do Montany z Davidem Thompsonem. Kiedy to było... W 1812?

– Na studiach sporo przeczytałam o Davidzie Thompsonie, zainteresowana jego związkiem z Branem. Urodzony w Walii kartograf i traper prowadził dzienniki, ale nigdy nie wspomniał o wilkołaku z imienia. Ciekawiło mnie, czy Bran pojawił się w nich pod innym imieniem, czy też został przez Thompsona pominięty. Thompson wiedział, czym był Bran, a dzienniki traktował raczej jako zapis dla pracodawców niż pamiętnik.

– Przyjechałem z Thompsonem w 1809 – poprawił mnie Bran. – Myślę, że Charles urodził się na wiosnę w 1813. Do tego czasu rozstałem się już z Thompsonem i Northwest Company, a Saliszowie nie liczą czasu za pomocą kalendarza gregoriańskiego. Samuela urodziła moja pierwsza żona, kiedy byłem jeszcze człowiekiem.

Nigdy wcześniej Bran nie powiedział przy mnie tak wiele o przeszłości.

– Kiedy to było? – zapytałam, ośmielona jego otwartością.

– Dawno temu – wzruszył ramionami. – Kiedy rozmawiałem z tobą tamtej nocy, skrzywdziłem Samuela. Doszedłem do wniosku, że być może jestem zbyt gorliwy, jeśli chodzi o pogoń za prawdą, no i przedstawiłem ci tylko jej część.

– Och...

– Powiedziałem ci tyle, ile uważałem za konieczne. Ale w świetle wydarzeń, które potem nastąpiły, musiałem przyznać, że nie doceniłem swojego syna. A przeze mnie nie doceniłaś go i ty.

Nie znosiłam, kiedy Bran mówił tak niejasno. Chciałam mu to wytknąć, ale nagle zauważyłam, że nie patrzy mi w twarz. Przyzwyczajona do życia wśród ludzi, u których język ciała nie odgrywa tak istotnej roli w komunikacji, prawie to przeoczyłam. Alfy – a ten Alfa w szczególności – nigdy nie unikają kontaktu

wzrokowego podczas rozmowy. Musiał się czuć naprawdę źle z tym, co zrobił.

Ściszyłam więc głos i rzekłam po prostu:

– Powiedz mi teraz.

– Samuel jest stary. Prawie tak stary jak ja. Jego pierwsza żona umarła na cholere, druga ze starości. Trzecia przy porodzie. W sumie jego żony poroniły osiemnaścioro dzieci. Kilko zmarło jako niemowlęta i tylko ośmioro dożyło do trzecich urodzin. Jedno zmarło ze starości, czworo z powodu zarazy, troje po nieudanym Przeistoczeniu. Samuel nie ma żadnych żyjących dzieci i tylko jedno z tych, które się urodziły przed jego Przeistoczeniem, dożyło dorosłego wieku.

Zamilkł i spojrzał mi w oczy.

– Być może to ci uzmysłowi, ile znaczył dla niego fakt, że znalazł w tobie partnerkę, która mogła mu dać dzieci mniej narażone na kaprysy losu. Dzieci, które mogły się urodzić wilkołakami, jak Charles. Od naszej ostatniej rozmowy miałem dużo czasu na rozmyślania i w końcu zrozumiałem, że o tym również powinienem był ci powiedzieć. – Uśmiechnął się słabo. – Nie ty jedna wzięłaś Samuela za młodego wilka. Gdy Samuel stąpał po ziemi jako człowiek, nie było niczego dziwnego w ślubie szesnastolatki z o wiele starszym mężczyzną. Czasem my, wilkołaki, nie potrafimy nadążyć za tempem zmian w rozumieniu tego, co jest dobre, a co złe.

Czy poczułabym się inaczej, gdybym wcześniej znała rozmiar cierpienia Samuela? Namiętna, spragniona miłości nastolatka zostaje postawiona w obliczu suchych faktów – czy byłabym w stanie ponad liczbami dostrzec ból, który zadała mu każda z tych śmierci?

Myślę, że nie zmieniałabym decyzji. Nadal nie wyszłabym za kogoś, kto mnie nie kochał, ale pewnie pomyślałabym o Samuelu życzliwiej. Zostawiłabym list albo zadzwoniła z domu matki. Być może nawet zacisnęłabym zęby i porozmawiała z nim twarzą w twarz, gdybym nie czuła się tak zraniona i wściekła.

Nie chciałam się przekonać, w jaki sposób słowa Brana

wpłynęły na moje uczucia. Nie miało to żadnego znaczenia. Nazajutrz wyruszałam do domu.

– O niektórych sprawach sam wtedy nie wiedziałem – Bran znów się uśmiechnął, ale bez krzty radości. – Czasami za bardzo wierzę we własne siły. Zapominam, że nie jestem wszechwiedzący. Dwa miesiące po twoim wyjeździe Samuel zniknął.

– Był zły, że się wtrąciłeś? Bran potrząsnął głową.

– Z początku może tak, ale wszystko sobie wyjaśniliśmy w dniu, w którym nas opuściłaś. Pewnie by się wściekł, gdyby nie to, że czuł się winny. Chciał wykorzystać potrzebę dziecka. – Poklepał mnie po dłoni. – Wiedział, co robi. Wiedział, jak ty byś się z tym czuła, bez względu na to, co sobie albo tobie wmawiał. Nie rób z niego ofiary. Żaden problem.

– Nie będę. Więc skoro nie był na ciebie zły, to dlaczego odszedł?

– Rozumiesz, jacy jesteśmy, bo się wśród nas wychowałam – powiedział wolno. – Tylko że czasami nawet ja nie dostrzegam ukrytych znaczeń. Samuel widział w tobie odpowiedź na ból, lecz nie na potrzeby serca. Ale tak naprawdę czuł do ciebie znacznie więcej – i wątpię, czy sam o tym wiedział.

– Co przez to rozumiesz?

– Zmarniał, kiedy wyjechałaś – anachroniczne słowo dziwaczenie zabrzmiało w ustach tak młodo wyglądającego mężczyzny. – Schudł, nie mógł spać. Pierwszy miesiąc spędził prawie wyłącznie w postaci wilka.

– Co według ciebie się stało?

– Opłakiwał utraconą towarzyszkę. Pod pewnymi względami wilkołaki nie różnią się tak bardzo od swych dzikich kuzynów. Zanim zdążyłem to sobie uświadomić, Samuel zniknął. Przez dwa lata otwierałem gazety z obawą, że natknę się na doniesienie o odnalezionym na dnie rzeki ciele, tak jak to było z Bryanem. Dzięki Charlesowi namierzyliśmy Samuela, kiedy zaczął korzystać ze swojego konta. Kupił jakieś papiery i wrócił na studia. – Wiedziałaś, że wcześniej Samuel skończył

medycynę. – Znów został doktorem medycyny, otworzył na jakiś czas klinikę w Teksasie. Wrócił do nas dwa lata temu.

– Nie kochał mnie – powiedziałam. – Nie tak jak mężczyzna powinien kochać kobietę.

– Nie – przytaknął Bran. – Ale wybrał cię na towarzyszkę życia.
– Wstał i założył płaszcz. – Nie zaprzataj sobie tym głowy. Po prostu pomyślałem, że powinnaś wiedzieć. Prześpij się.



Rozdział 7

Następnego ranka poszłam w pożyczonej kurtce na stację benzynową i kupiłam burrito. Było gorące, a może nawet smaczne – nieważne, z głodu pożarłabym wszystko.

Młody mężczyzna stojący za kasą chciał mi zadać jakieś pytania, ale onieśmieliłam go spojrzeniem. Miejscowi wiedzieli, że wdawanie się w pojedynki typu „kto dłużej wytrzyma” to nie najlepszy pomysł. Nie byłam żadnym cosiołakiem, ale on też nie i dlatego o tym nie wiedział. Cóż, to niezbyt przyjemne zastraszać ludzi, tylko że ja nie czułam się szczególnie przyjemnie.

Odczuwałam potrzebę działania, a utknęłam w Aspen Creek na cały ranek. Czekanie oznaczało zmartwienia. Co Jesse właśnie przechodziła w rękach porywaczy? Czy mogłam zrobić cokolwiek, by zapobiec śmierci Maca? Czekanie oznaczało ponowne przeżywanie dawnego upokorzenia, ponieważ na własną prośbę utwierdzono mnie w przekonaniu, że mężczyzna, którego kochałam, próbował mnie wykorzystać. Pragnęłam uciec z Aspen Creek, gdzie wspomnienia samotnej szesnastolatki nie odstępowały mnie na krok bez względu na to, jak bardzo starałam się od nich uciec. Jednak posłuszeństwo wobec Brana było czymś niekwestionowanym – szczególnie gdy

jego rozkazy miały sens. Co nie znaczyło, że musiałam być miła.

Ruszyłam w stronę motelu. Z moich ust wydobywała się mgiełka, a pod butami skrzypiał śnieg. Nagle ktoś zawołał:

– Mercy!

Spojrzałam za siebie. Na chodniku zatrzymała się ciężarówka – najwyraźniej na mój widok, ale kierowca nie wyglądał znajomo. Blask słońca na śniegu utrudniał wychwycenie szczegółów, więc przysłoniłam oczy dłonią i zawróciłam.

W tej samej chwili kierowca wyłączył silnik, wyskoczył z samochodu i przebiegł przez ulicę.

– Dowiedziałem się, że przyjechałaś – powiedział. – Wpadłbym wcześniej w odwiedziny, ale byłem przekonany, że wyjedziesz skoro świt.

Choć głos brzmiał znajomo, nie pasował do rudych kręconych włosów i gładkiej twarzy. Mężczyzna przez moment wyglądał na zaskoczonego, a nawet urażonego, że go nie rozpoznaje. Potem się roześmiał i potrząsnął głową, – Zupełnie zapomniałem! Chociaż co rano stoję przed lustrem, do dziś mam wrażenie, jakbym patrzył na nieznajomego.

Bładoniebieskie oczy o łagodnym spojrzeniu pasowały do głosu, ale naprowadził mnie dopiero śmiech.

– Doktor Wallace? To naprawdę pan?

Mężczyzna wcisnął ręce w kieszenie, przechylił głowę i obdarzył mnie figlarnym uśmiechem.

– Jasne jak księżyc, Mercedes Thompson, jasne jak księżyc.

Carter Wallace był weterynarzem w Aspen Creek. Nie, zwykle nie leczył wilkołaków, ale pozostawały psy, koty i żywy inwentarz w ilości wystarczającej, by miał pełne ręce roboty. Jego dom stał najbliżej tego, w którym dorastałam, a on sam pomógł mi przetrwać pierwsze miesiące po śmierci przybranych rodziców.

Doktor Wallace, jakiego pamiętałam, był łysiejącym mężczyzną w średnim wieku o twarzy i dłoniach spalonych słońcem i z brzuszkiem zakrywającym sprzączkę paska. Ten, który przede mną stał, tak szczupły, że chyba przegłodzony, miał

bladą skórę dwudziestolatka – ale największa różnica wcale nie tkwiła w wyglądzie.

Znany mi Carter Wallace był człowiekiem flegmatycznym i łagodnym. Sama widziałam, jak pieszczotliwym głosem wywabił ze sterty opon skunksa, który niczego nie opryskał, i jak uspokajał przerażonego konia, jednocześnie przecinając zaplątany w jego nogi drut kolczasty. Tamten mężczyzna miał w sobie coś uspokajającego, coś solidnego i trwałego – przypominał wiekowy dąb.

Kiedyś. Teraz z jego oczu, nadal jasnych i życzliwych, wyzierało coś drapieżnego, zapowiedź przemocy tak namacalna, że prawie poczułam zapach krwi.

– Jak długo jest pan wilkołakiem? – zapytałam.

– W zeszłym miesiącu minął rok. Wiem, wiem. Przysięgałem, że nigdy tego nie zrobię. Zbyt dużo i jednocześnie zbyt mało wiedziałem o wilkołakach. Ale rok temu musiałem przejść na emeryturę, ponieważ moje ręce odmówiły posłuszeństwa. – Z lekkim niepokojem spojrzał na swoje dłonie i nieco się odprężył, kiedy poruszył palcami. – Pogodziłem się z tym. Jeśli jest coś, do czego weterynarz się przyzwyczaja – szczególnie tutaj – to z pewnością są to starość i śmierć. Getry znowu zaczął mnie namawiać, ale jestem uparty. Mały artretyzm i nieustępliwość Gerry'ego to jeszcze za mało, bym zmienił zdanie. – Gerry był wilkołakiem i synem doktora.

– A więc co? – zapytałam.

– Rak kości. – Wallace potrząsnął głową. – Zaawansowany, tak powiedzieli. Miesiące leżenia w łóżku z nadzieją, że się umrze, zanim morfina przestanie uśmierzać ból. Każdy ma swoją cenę, a to był zbyt wielki ciężar jak na moje starcze barki. Więc poprosiłem Brana.

– Większość chorych ludzi umiera podczas Przeistoczenia.

– Bran twierdzi, że jestem zbyt uparty, by umrzeć – znów uśmiechnął się szeroko. Wyraz jego twarzy zaczął mnie niepokoić, ponieważ była w nim pewna agresywność, coś, co do mojego doktora Wallace'a zupełnie nie pasowało. Już

zapomniałam, jakie to dziwne uczucie znać tę samą osobę z obydwu stron Przeistoczenia, zapomniałam, jak bardzo wilk wpływa na charakter człowieka. Szczególnie gdy ten człowiek nie potrafi nad sobą panować.

– Myślałem, że do tej pory będę już praktykować – ciągnął doktor – ale Bran każe czekać. – Zakołysał się na piętach i zamknął oczy, jak gdyby dostrzegł coś, czego ja nie widziałam. – To przez zapach krwi i mięsa. Wszystko jest w porządku, dopóki nic nie krwawi. – Ostatnie zdanie wypowiedział szeptem, w którym wyczułam żądzę.

Głęboko odetchnął. Gdy uniósł powieki, jego oczy były tylko o ton ciemniejsze niż śnieg.

– Wiesz, przez całe lata uważałem, że wilkołaki niewiele się różnią od innych drapieżników. – Na przykład od rekina ludojada, jak mi kiedyś powiedział, czy od niedźwiedzia grizzly.

– Pamiętam – odparłam.

– Niedźwiedzie grizzly nie atakują swoich rodzin, Mercy. Nie odczuwają pragnienia krwi ani przemocy. – Zacisnął powieki.

– Kilka dni temu omal nie zabiłem córki, ponieważ powiedziała coś, z czym się nie zgadzałem. Gdyby Bran nie przyszedł. – potrząsnął głową. – Stałem się potworem, nie zwierzęciem. Już nigdy nie będę weterynarzem. A moja rodzina nie będzie bezpieczna, dopóki żyję.

Dwa ostatnie słowa rozbrzmiały echem w mojej głowie. Cholera, cholera i jeszcze raz cholera. Po takim czasie powinien bardziej nad sobą panować. Skoro został Przeistoczony okrągły rok temu, a instynkty nadał brały w nim górę, nigdy nie nauczy się samokontroli potrzebnej, by przeżyć. Wilki, które nad sobą nie panują, są eliminowane dla dobra stada. Pozostawało pytanie, dlaczego Bran jeszcze się tym nie zajął. Pytanie, na które chyba znałam odpowiedź.

Doktor Wallace był jednym z nielicznych ludzi, których Bran uważał za przyjaciół.

– Mam nadzieję, że Gerry zdąży wrócić na Święto Dziękczynienia, ale cieszę się, że miałem okazję zobaczyć chociaż

ciebie, zanim znów wyjedziesz.

– A gdzie jest Gerry? – Gerry często podróżował, załatwiając interesy Brana, ale z pewnością znalazłby czas, żeby się spotkać z ojcem, zanim...

Dopiero kiedy doktor Wallace przetarł dłonią mój policzek, zdałam sobie sprawę, że płaczę.

– Wyjechał w interesach. Sprawuje nadzór nad samotnymi wilkami, które mieszkają tam, gdzie nie ma kto ich pilnować. To ważne.

Z pewnością, ale skoro doktor miał wkrótce umrzeć, Getry powinien tu być.

– Zwykle łatwiej jest żyć niż umierać, moja Mercy – powiedział Wallace życzliwie, powtarzając ulubione powiedzonko mojego przybranego ojca. – Tańcz, kiedy śpiewa księżyc, i nie płacz z powodu kłopotów, które jeszcze nie nadeszły.

Tym razem uśmiechnął się łagodnie i przez chwilę widziałam go dokładnie takim, jakim go pamiętałam.

– Zimno dziś, a ta kurteczka pewnie niewiele pomaga. Idź i się rozgrzej, dziewczyno.

Nie wiedziałam, jakimi słowami go pożegnać, więc się nie odezwałam. Po prostu odeszłam.

Kiedy mniejsza wskazówka zegara przeskoczyła na godzinę dwunastą, poszłam do furgonetki, którą Charles – albo Carl – zaparkował tuż przed drzwiami jedyńki. Jeśli Adam nie jest gotowy do podróży, będzie musiał łapać okazję, pomyślałam.

Nie wytrzymam w Aspen Creek ani minuty dłużej. Sprawdziłam poziom płynu w chłodnicy, ponieważ furgonetka miała przeciek, którego jeszcze nie naprawiłam. Kiedy zatrzasnęłam klapę, moim oczom ukazał się Samuel.

Trzymał wypchaną płócienną torbę.

– Co robisz? – zapytałam ostrożnie.

– Ojciec ci nie powiedział? – Na jego twarz wypłynął leniwy uśmiech, który zawsze przyspieszał rytm mojego serca. Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że wciąż na mnie działa. – Jadę z tobą. Ktoś musi się zająć zbirami, które napadły na Adama,

bo on sam ledwo rusza palcami.

Obróciłam się na pięcie, ale stanęłam w pół kroku, bo nie miałam pojęcia, gdzie szukać Brana. Samuel miał rację, niech go szlag. Potrzebowaliśmy pomocy. Na szczęście, zanim zdążyłam wymyśleć odpowiednie przeprosiny za nieco zbyt jawnie okazane zaniepokojenie, otworzyły się drzwi pokoju numer jeden.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Adamowi ubyło chyba dziesięć kilogramów. Rozpięta kurtka odkrywała nagi tors, upstrzony czerwonymi plamami i siniakami we wszystkich odcieniach fioletu, błękitu i czerni. Nie zauważyłam jednak żadnej otwartej rany. Adam zawsze dbał o wygląd, lecz teraz jego twarz pokrywał zarost, a włosy miał nieuczesane. Kurczowo ściskając laskę, kuśtykał w stronę samochodu.

Zaskoczyło mnie, że potrafił już samodzielnie chodzić, i najwyraźniej nie udało mi się ukryć tej reakcji, ponieważ posłał mi wątyły uśmiech.

– Motywacja wspomaga leczenie. Muszę odnaleźć Jesse.

– Motywacja wspomaga głupotę – mruknął Sam. Kąciki ust Adama powędrowały jeszcze wyżej, ale nazywanie jego uśmiechu radosnym byłoby co najmniej ryzykowne.

– Muszę odnaleźć Jesse – to wszystko, co miał do powiedzenia w odpowiedzi na dezaprobatę Samuela. – Mercy, masz doskonałe wyczucie czasu. Dzięki.

Wciąż nie potrafiłam rozgryźć, co tak naprawdę nas łączy, a świadomość, że Adam miał się mną opiekować, wcale nie pomagała w rozwikłaniu tej zagadki. Mimo to pokusa dogryzienia mu wydawała się nie do odparcia – traktował życie tak poważnie.

– Polecam się na przyszłość – rzuciłam od niechcienia i z zadowoleniem spostrzegłam błysk gniewu w jego oczach, zanim wybuchnął szczerym śmiechem.

Musiał się zatrzymać, by złapać oddech.

– Cholera jasna – powiedział, zamykając oczy. – Nie zmuszaj mnie do tego.

Samuel momentalnie ruszył w jego kierunku, ale Adam zrobił kolejny krok o własnych siłach.

– Chcesz się położyć? – zapytałam. – Czy wolisz siedzieć na tylnej kanapie? Przednie siedzenie odpada, ciężko ci będzie wsiadać i wysiadać.

– Usiądę – mruknął. – Będę kwiczeć, jeśli położysz mnie na zebrach. Bynajmniej nie z radości.

Usunęłam się na bok, pozwalając, by Samuel pomógł mu wsiąść.

– Mercy – usłyszałam za plecami głos Brana. Znów mnie zaskoczono, bo za bardzo koncentrowałam się na wyrazie twarzy Adama. – Chciałem przyjść wcześniej, żeby ci powiedzieć, że Samuel jedzie z wami, ale musiałem coś załatwić. Trwało to nieco dłużej, niż się spodziewałem. – Podał mi kilka koców.

– Wiedziałeś, że go ze mną wyślesz, kiedy wczoraj rozmawialiśmy?

Uśmiechnął się.

– Brałem taką możliwość pod uwagę. Później odbyłem z Adamem jeszcze jedną rozmowę, która sporo wyjaśniła. Wysłałem do Chicago Charlesa z kilkoma wilkami. – Uśmiechnął się szerzej i znacznie, znacznie drapieźniej. – Dowie się, kto próbuje tworzyć nowe wilki bez pozwolenia, i dopilnuje, by załatwiono tę sprawę. Najlepiej raz na zawsze.

– Dlaczego nie wyślesz Samuela, a mi nie dasz Charlesa?

– Samuel ma za słaby żołądek, by sobie poradzić w Chicago – wtrącił Adam, z trudem oddychając. Zerknęłam w jego stronę. Siedział na środku kanapy, a jego czoło błyszczy od potu.

– Samuel to lekarz. Jest wystarczająco dominujący, by powstrzymać naszego przyjaciela Adama przed zjadaniem niewinnych ludzi, zanim nasz przyjaciel Adam nie wydobrzeje – dodał Samuel, wysiadając z furgonetki i wyrywając mi koce z rąk.

– Samuela długo nie było. Pomijając Adama, chyba tylko Darryl kiedykolwiek go widział. Dopóki się nie dowiemy, co jest grane, lepiej węszyć po cichu – wyjaśnił Bran z wyrazem twarzy,

który złagodniał pod wpływem rozbawienia.

– Sądzymy, że nadchodzi czas, by się ujawnić. Coraz trudniej żyć w ukryciu – powiedział Samuel, kiedy skończył owijać Adama w koce. – Ale wolelibyśmy kontrolować sytuację, zamiast pozwolić, by grupa morderczych wilków zdradziła światu nasze istnienie, zanim będziemy gotowi.

Musiałam wyglądać na zszokowaną, bo Bran wybuchnął śmiechem.

– To tylko kwestia czasu. Nieludzie podjęli słuszną decyzję. Rozwój medycyny, nadzór satelitarny i kamery cyfrowe powodują, że skrywanie naszych tajemnic staje się coraz trudniejsze. Bez względu na to, ile wilczarzy irlandzkich i mastiffów angielskich wyhoduje i skrzyżuje George Brown, to i tak nie będą wyglądać jak wilkołaki.

W Aspen Creek mieszkały trzy lub cztery osoby hodujące ogromne psy których obecnością tłumaczono doniesienia o dziwacznych śladach i nienaturalnie wyglądających zwierzętach, Mastiffy George a Browna, również wilkołaka, zdobyły nawet w kraju kilka nagród. Psy, w przeciwieństwie do większości kotów, raczej lubiły się z wilkołakami.

– Szukacie gęby na plakat? Wilkołaczego Kierana McBride'a?

– zapytałam.

– Nie – mruknął Adam. – Wśród wilkołaków nie ma żadnych Kieranów McBride'ów. Niewinni i mili to my nie jesteśmy. Ale może uda tłą znaleźć jakiegoś bohatera, funkcjonariusza policji albo kogoś w armii.

– Wiedziałaś o tym?

– Słyszałem plotki. – Ostatnie, czego nam potrzeba, to żadnego łajdaka, który biega na wolności po Tri-Cities, wykorzystując wilkołaki do zabijania ludzi – oznajmił Bran. Zerknął przez moje ramię na syna. – Znajdź tego łotra, Samuelu, i pozbądź się go, zanim wplącze we wszystko ludzi. – Bran był jedyną znaną mi osobą, w której ustach słowa takie jak „łotr” brzmiały niczym najgorsze przekleństwa. Z drugiej strony, mógłby tym samym tonem głosu powiedzieć „króliczek”, a na karku poczułabym

dreszcz.

Teraz też drżałam, ale bardziej z zimna niż ze strachu. W Tri-Cities temperatura w większość dni nadal nie spadała poniżej zera. Jak na listopad, w Montanie nie było szczególnie zimno – na przykład nie czułam zamarzającej w nosie wilgoci, więc jeszcze nie dobiło do minus dziesięciu – tym niemniej moje ciepłolubne ciało zwykle nie musiało znosić ujemnych temperatur.

– Gdzie twoja kurtka? – zapytał Bran, słysząc, jak szczękam zębami.

– Zostawiłam w pokoju. Nie należy do mnie. Potrząsnął głową.

– No to lepiej ruszajcie, zanim zamarznie na kość. – Spojrzał na Samuela. – Informuj mnie o wszystkim.

– Bran – powiedział Adam. – Dziękuję.

Stary wilkołak rozciągnął usta w uśmiechu. Musnął mnie, wsuwając rękę do furgonetki, i ostrożnie uściśnął Adamowi dłoń.

– Do usług.

Cofnął się i zasunął drzwi z odpowiednią siłą, by z powrotem nie odskoczyły. Mnie nauka ich obsługi zajęła trzy miesiące.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął wizytówkę. Na białym tle widniało nazwisko i dwa numery telefonów.

– Żebyś mogła do mnie dzwonić, kiedy zatęsknisz – wyjaśnił.

– Pierwszy jest na komórkę, więc nie ryzykujesz, że odbierze Leah.

– Co takiego robi Gerry, że nie może teraz być z doktorem Wallace'em? – zapytałam odruchowo.

– Użala się nad sobą – wypalił Samuel.

Bran położył rękę na ramieniu syna, ale zwrócił się do mnie:

– Przypadek Cartera jest tragiczny i niezwykły. Zwykle jeśli wilkołak ginie podczas pierwszego roku po Przeistoczeniu, to dlatego, że człowiek nie panuje nad instynktami wilka.

– Myślałam, że to wszystko kwestia samokontroli.

Przytaknął.

– To prawda, ale w przypadku Cartera nie chodzi o brak silnej woli. To coś więcej.

– On nie chce być wilkołakiem – wtrącił Samuel. – Nie chce czuć żądzы krwi ani zewu polowania. – Jego oczy na moment zalśniły w słońcu. – On nie chce zabierać życia, on chce je przywracać.

I to cię dręczy, prawda, doktorze Samuelu Cornick? Samuel nie miał w zwyczaju uzewnętrzniać przy mnie swoich uczuć. Sądzę, że po części ze względu na mój wiek, a po części ze względu na taki, a nie inny charakter. Wiedziałam jednak, że czasami wpadał w kłopoty, ponieważ siła jego instynktu uzdrawiania nie dorównywała sile instynktu zabijania. Kiedyś mi powiedział, że przed każdą operacją musiał się porządnie najeść. Czyżby uważał, że doktor Wallace, który wolał umrzeć, niż żyć z tym konfliktem, był od niego lepszym człowiekiem?

– Jeśli Carter nie zaakceptuje wilka jako części siebie, nie będzie w stanie nad nim panować. – Kąciki ust Brana opadły. – Mercy, on stanowi zagrożenie, z każdą pełnią coraz większe. Jedyne, co musi zrobić, to choć raz zapomnieć o swych niezłomnych zasadach. Wtedy zaakceptuje to, czym jest, i wszystko będzie w porządku. Jeśli mu się to wkrótce nie uda, to nie uda się nigdy. Nie mogę pozwolić, by ujrzał kolejną pełnię księżyca.

– To Gerry namówił go na Przeistoczenie – oznajmił Samuel zmęczonym głosem. – Wie, że niedługo ktoś będzie musiał... zaopiekować się Carterem. Gdyby tu był, obowiązek spadłby na niego, a on nie potrafi tego zrobić.

– Ja się tym zajmę. – Bran wziął głęboki oddech. – Robiłem to już wcześniej. Nie każdy jest tak silny jak ty, Samuelu – położył dłoń na ramieniu syna. Ze słów i postawy Brana przebijał ogromny smutek. Natychmiast przypomniałam sobie o dzieciach Samuela, które nie przeżyły Przeistoczenia.

– Wsiadaj, Mercy – ponaglił mnie Sam. – Cała się trzęsiesz.

Bran objął moją głowę i pocałował mnie w czoło, potem wszystko zepsuł, mówiąc: – Pozwól chłopcom się tym zająć, co, Mercedes? – Jasne. – Odwróciłam się w stronę furgonetki.

– Uważaj na siebie.

Dumnym krokiem obeszałam samochód. Nie klęłam pod nosem tylko dlatego, że wilkołaki wszystko by usłyszały.

Przekręciłam kluczyk. Silnik początkowo protestował, ale nie był uparty. Pozwoliłam, by się rozgrzewał, podczas gdy Samuel wymieniał z ojcem ostatnie uwagi.

– Jak dobrze Bran cię zna? – zapytał cicho Adam. Hałas silnika i radio najprawdopodobniej wystarczająco zagłuszały szepty.

– Niezbyt dobrze, jeśli sądzi, że zostawię sprawy w waszych rękach – mruknęłam.

– Właśnie na to liczyłem – powiedział z takim zadowoleniem, że musiałam się odwrócić w jego stronę. Uśmiechnął się, zmęczony. – Samuel jest dobry, Mercy, ale nie zna Jesse, nie zależy mu na niej. Ja przez jakiś czas niewiele pomogę. Potrzebuję cię ze względu na Jesse.

Samuel otworzył drzwi od strony pasażera i wskoczył na siedzenie. Zaczęłam cofać.

– Tato chce dobrze – powiedział, udowadniając, że zna mnie lepiej niż jego ojciec. – Przyzwyczaił się, że ludzie go słuchają. Ale ma rację, Mercy. Nie powinnaś grzebać w sprawach wilkołaków, to nie na twoje siły.

– Mam wrażenie, że idzie jej całkiem nieźle – wtrącił łagodnym głosem Adam. – Dwa dni, dwa trupy, zero zadrapań.

– Szczęście, nic więcej – Samuel nie dawał za wygraną.

– Czyżby? – W lusterku zobaczyłam, jak Adam zamyka oczy, kończąc prawie szeptem: – Możliwe. Kiedy byłem w wojsku, trzymaliśmy takich szczęściarzy tam, gdzie mieliśmy z nich najwięcej pożytku.

– Adam chce, żebym mu pomogła odszukać Jesse. –

Docisnęłam pedał gazu, kiedy już zostawiliśmy Aspen Greek za plecami.

Od tego momentu rozmowa przestała się kleić. Adam rzucił kilka kąśliwych komentarzy i oparł się wygodnie, by podziwiać fajerwerki. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej tak zapamiętała kłóciła się z Samuelem, tylko że teraz już nie byłam zakochaną szesnastolatką.

Kiedy dałam mu do zrozumienia, że nie mam ochoty na dalsze dyskusje, Samuel odpiął pas i prześliznął się na tylne siedzenie.

– Nigdy nie drzyj kotów z Mercy o coś, na czym jej zależy – poradził Adam, rzecz jasna ogromnie rozbawiony. – Nawet jeśli przestanie głędzić, i tak zrobi to, co chce.

– Lepiej się zatkaj, może czymś do jedzenia – warknął Samuel głosem, który zdawał się zupełnie do niego nie pasować.

Usłyszałam, jak podnosi pokrywę przenośnej lodówki. Furgonetkę wypełnił słodki, metaliczny zapach krwi.

– Mmm, surowy stek...

W głosie Adama nie usłyszałam zachwyty, ale zjadł, a potem usnął. Samuel wrócił na przednie siedzenie.

– Nie pamiętam, żebyś była taka uparta.

– Może nie byłam. Albo może ty nie próbowałeś mi rozkazywać. Nie należę do twojego stada ani do stada Brana, nie jestem wilkołakiem. Nie masz żadnego prawa mówić mi, co mam robić.

Mruknął coś pod nosem i przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. W końcu się odezwał:

– Jadłaś już obiad?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Myślałam, że zahaczymy o Sandpoint. Rozrosło się, odkąd ostatnio tamtędy przejeżdżałam.

– Turyści – rzucił Samuel z niesmakiem. – Każdego roku coraz więcej. – Ciekawe, czy jeszcze pamiętał, jak wyglądało to miejsce, gdy je odwiedził po raz pierwszy?

Zatrzymaliśmy się i kupiliśmy kawałki smażonego kurczaka w ilości wystarczającej, by nakarmić drużynę małych baseballistów – albo dwa wilkołaki plus resztki dla mnie.

Adam rzucił się na jedzenie z dzikością w oczach. Proces regeneracji wymaga ogromnych zasobów energii i białka.

Ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Adamie, co się wydarzyło tamtej nocy, kiedy zostałeś zaatakowany? – zapytałam w końcu. – Opowiadałeś już o tym Branowi i pewnie Samuelowi, ale chciałabym wiedzieć.

Adam wytarł ręce w papierowe ręczniki – najwyraźniej nie uważał, by kurczak był dość „palce lizać”.

– Zebrałem wilki ze stada, żeby przedstawić im Maca i opowiedzieć o twoich przygodach z porwaczami.

Skinęłam głową.

– Jakies piętnaście minut po wyjściu ostatniego z nich, około wpół do czwartej nad ranem, ktoś zapukał do drzwi. Mac zdążył już powrócić do ludzkiej formy i poszedł otworzyć. – Przerwał. Poprawiłam lusterko, by widzieć jego twarz, nic z niej jednak nie potrafiłam wyczytać.

– Byłem w kuchni, więc nie wiem, co dokładnie zaszło. Sądząc po odgłosach, powiedziałbym, że strzelili do niego, gdy tylko otworzył drzwi.

– Niezbyt mądrze – skomentował Samuel. – Powinni wiedzieć, że usłyszysz strzały – nawet broń obezwładniająca nie jest wystarczająco cicha.

Adam chciał wzruszyć ramionami. Na jego twarzy wykwitł grymas bólu.

– Niech mnie – wybaczyć, Mercedes – niech mnie szlag, jeśli wiem, o co im chodziło.

– Zabili go nieumyślnie, prawda? – Już wcześniej rozmyślałam o całej sprawie. Pistolet na srebrne kule jest znacznie pewniejszy niż strzałka z eksperymentalnymi środkami.

– Tak sądzę – przytaknął Samuel. – Wyglądało to raczej na silną reakcję alergiczną na srebro.

– W strzałce, którą znalazła Mercedes, było srebro? Tak jak myślał Charles? – zapytał Adam.

– Tak – odrzekł Samuel. – Wysłałem strzałkę do analizy wraz z próbką krwi Maca. Połączenie azotanu srebra z DMSO i specjalnym K.

– Z czym?

– Specjalne K to ketamina – wyjaśnił Adam. – Środek do znieczulania zwierząt, jak również odprężający narkotyk. Na wilkołaki nie działa. Azotanu srebra używa się do wywoływania filmów. Co to jest DMSO?

– Za pomocą azotanu srebra łatwo uzyskać srebro w płynnej postaci – powiedział Samuel. – Stosuje się go również przy leczeniu infekcji oczu, chociaż nie polecałbym go żadnemu wilkołakowi.

– Nigdy nie słyszałam, by wilkołaki cierpiały na infekcje oczu – wtrąciłam, choć rozumiałam, co miał na myśli.

Samuel odpowiedział uśmiechem i kontynuował:

– DMSO – dimetylosulfotlenek. Ma wiele osobliwych właściwości. Nas najbardziej interesuje to, że DMSO może przenikać przez błony półprzepuszczalne organizmu, przenosząc ze sobą inne związki.

Skupiałam wzrok na drodze. Zbliżyłam prawą dłoń do nawietrznika, by ją nieco rozgrzać. Uszczelki w oknach wymagały wymiany, a ogrzewanie nie było w stanie sprostać temperaturom Montany. Zabawne, ale nie pamiętam, żebym czuła chłód, kiedy jechałam w przeciwną stronę. Cóż, nie ma miejsca na niewygodę, gdy się próbuje uratować komuś życie.

– Coś o tym miałam na ćwiczeniach z chemii na pierwszym roku – powiedziałam. – Mieszaliśmy to z olejkami miętowymi i wkładaliśmy do środka palec – czułam wtedy smak mięty.

– Zgadza się – przytaknął Samuel. – O to właśnie chodzi. Bierzymy DMSO, mieszamy z roztworem srebra i, czary mary, srebro wnika do ciała wilkołaka. Zatrzuwa je, dzięki czemu środek odurzający, w tym przypadku ketamina, działa bez żadnych przeszkód. W normalnej sytuacji układ immunologiczny wilkołaka nie pozwoliłby, żeby narkotyki wywarły jakikolwiek efekt.

– Sądzisz, że Mac zmarł od srebra lub z powodu przedawkowania ketaminy? – zapytał Adam. – Strzelili do niego tylko dwa razy. Do mnie co najmniej cztery.

– Im młodszy wilkołak, tym silniejsza reakcja na srebro. Sądzę przede wszystkim, że gdyby nie kilka miesięcy troskliwej opieki, jaką mu zapewнили, faszcerując go srebrem, wyszedłby z tego cało.

– Oczywiście azotan srebra i ketaminę stosunkowo łatwo

zdobyć. A co z tym DMSO? – dociekał Adam.

– Ja mogę go dostać. Co prawda na receptę, ale założę się, że jest również dostępny u dostawców artykułów weterynaryjnych.

– Więc musieli współpracować z lekarzem? – zapytałam.

Samuel potrząsnął głową. – Nie, jeśli chodzi o rynek weterynaryjny. No i myślę, że nietrudno to zdobyć w aptece. DMSO nie należy do tej kategorii środków, których dystrybucję z jakichś względów trzeba uważnie śledzić. Przypuszczam, że bez większych przeszkód mogli narobić tyle tego swojego szajsu, ile chcieli.

– Świetnie – westchnął Adam. Przymknął powieki, prawdopodobnie wyobrażając sobie armię najeźdźców uzbrojonych w środki odurzające, które działają na wilkołaki.

– Więc zabili Maca – powiedziałam, kiedy stało się jasne, że Adam nie zamierza kontynuować. – Co było potem?

– Wyrwałem z kuchni gotowy do ataku i od razu oberwałem strzałką. Cóż, chyba uwierzyłem, że jestem kuloodporny, więc dostałem za swoje. Czymkolwiek mnie potraktowali, natychmiast zważyło mnie z nóg. Kiedy się obudziłem, ręce i nogi miałem skrępowane kajdankami. Nie byłem w stanie nic zrobić, ledwo się ruszałem.

– Widziałeś ich? W pokoju Jesse wyczułam człowieka, tego samego, którego spotkałam pod warsztatem.

Adam poruszył się gwałtownie, chwytając za pas.

– Adam – głos Samuela był cichy, ale dobitny. Adam skinął głową. Wyciągnął szyję, by rozładować nagromadzone napięcie.

– Dzięki. Jest mi trudniej, kiedy wpadam w gniew. Tak, znałem jednego z nich, Mercedes. Wiesz, jak zostałem wilkołakiem?

Zaskoczyło mnie to pytanie, ale Adam nigdy niczego nie mówił bez powodu.

– Wiem tylko, że podczas wojny w Wietnamie, kiedy służyłeś w jednostkach specjalnych.

– Zgadza się. W zwiadzie dalekiego zasięgu. Mielśmy zdjąć pewnego paskudnego dowódcę, ja i pięciu innych – taka wycieczka zamachowców. Już to wcześniej robiliśmy.

– Ten dowódca był wilkołakiem?

Adam roześmiał się, choć nie wyglądał na wesołego.

– Urządził nam krwawą łaźnię. Zginął z rąk własnych ludzi, kiedy pożerał biednego McCue'a. – Zamknął oczy i szepnął: – Nadal słyszę jego wrzask.

Zapanowała cisza, ale po chwili ciągnął dalej:

– Ci, którzy zabili wilkołaka, uciekli i zostawili nas samych. Pewnie się bali, że znowu wstanie, mimo że ścięli mu głowę. Po jakimś czasie – długim czasie, co uzmysłowiłem sobie znacznie później – odkryłem, że mogę się ruszać. Zginęli wszyscy oprócz Christiansena i mnie. Wspólnymi siłami jakimś cudem udało nam się stamtąd wydostać. Odnieśliśmy na tyle poważne rany, że odesłali nas do domu. Christiansenowi i tak dużo nie zostało do końca służby, a mnie posądzali o paranoję – ciągle bredziłem o wilkach. Wywieźli nas stamtąd dość szybko, dzięki czemu żaden z lekarzy nie zauważył, jak szybko dochodzimy do siebie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Samuel. Adam zadrżał i szczerzej owinął się kocami.

– Przepraszam. Nieczęsto o tym mówię, to trudniejsze, niż sądziłem. W każdym razie mój kumpel z wojska, który wrócił do kraju kilka miesięcy wcześniej, usłyszał, że jestem w domu, i przyjechał w odwiedziny. Upiliśmy się – to znaczy ja tylko próbowałem. Chociaż wypiliśmy rzekę whiskey, byłem niemal zupełnie trzeźwy. Rozluźniłem się jednak na tyle, by opowiedzieć mu o wilkołaku. Bogu dzięki, że to zrobiłem. Uwierzył. Zadzwoił po jakiegoś krewnego i razem mi wytłumaczyli, że podczas najbliższej pełni zrobię się włochaty i kogoś zabiję. Wciągnęli mnie do swojego stada i zapewnili opiekę, dopóki nie nauczyłem się samokontroli.

– A co z tym drugim? – zapytałam.

– Z Christiansenem? Odszukali go moi przyjaciele, choć, niestety, odrobinę za późno. Okazało się, że jego żona ma innego faceta. Kiedy Christiansen wszedł do domu, wpadł prosto na spakowane walizki. Żona i kochanek czekali z papierami

rozwodowymi.

– Co się stało? – zapytał Samuel.

– Poćwiartował ich. – Adam napotkał w lusterku mój wzrok.

– Gniew może doprowadzić do Przeistoczenia nawet podczas pierwszego miesiąca.

– Wiem – przytaknęłam.

– Zdołali go namówić, by pozostał w stadzie, dopóki nie nauczy się wszystkiego, co potrzebne do przetrwania. O ile mi jednak wiadomo, nigdy oficjalnie do stada nie przystąpił – przez te wszystkie lata żył jako samotny wilk.

Samotnym wilkiem nazywa się samca, który świadomie żyje poza stadem bądź nie potrafi znaleźć takiego, które chciałoby go przyjąć. Samice, tak na marginesie, nie mają wyboru. Wilkołaki jeszcze nie wkroczyły w dwudziesty wiek – nie mówiąc o dwudziestym pierwszym – jeśli chodzi o sprawy kobiet.

Dobrze, że nie jestem wilkołaczycą – albo może szkoda, bo ktoś wreszcie musi zrobić z tym porządek.

– Christiansen był jednym z wilków, które przyszyły do twojego domu? – zapytałam.

Adam przytaknął.

– Co prawda nie widziałem go ani nie słyszałem – trzymał się ode mnie z daleka – ale wyczułem. Jego oraz kilku ludzi i trzy bądź cztery inne wilkołaki.

– Ty zabiłeś dwóch, ja jednego. – Próbowałam sobie przypomnieć, co jeszcze wyczułam w domu Adama, ale koncentrowałam się wtedy na zapachu Jesse i człowieka. Poza tym wcześniej przebywało tam wielu członków stada Adama, a ja znałam z imienia tylko kilku. – Poznałabym tego mężczyznę. Człowieka, z którym ja i Mac mieliśmy nieprzyjemność się zetknąć, ale poza nim nikogo więcej.

– Jestem niemal pewien, że zamierzali trzymać mnie z daleka od całego bajzlu, ale plan nie wypalił – kontynuował Adam. – Po pierwsze, zabili Maca. Wnioskując po tym, co mi mówiłaś o spotkaniu pod warsztatem, wydaje się mało prawdopodobne, by zrobili to celowo.

– Zostawili ciało pod moimi drzwiami.

– Pod twoimi drzwiami? – Adam zmarszczył czoło. – Ostrzeżenie? – Widziałam, że przetrawia tę myśl i że za chwilę dojdzie do tego samego wniosku co ja. – Nie wtrącaj się w nasze sprawy, to nie skończysz zimna jak ten chłopak.

– Wpadli na pomysł, jak się pozbyć nadprogramowego trupa. Ktoś podrzucił ciało, ale zdążył odjechać, zanim wyszłam. Ci, którzy zostali w twoim domu, chwilę później dali nogę, prawdopodobnie z Jesse. Ja dotarłam na miejsce w samą porę, by zabić wilkołaka, z którym walczyłeś. – Usiłowałam sobie przypomnieć, która była wtedy godzina. – Zgaduję, że działo się to mniej więcej o czwartej trzydzieści nad ranem.

Adam potarł czoło.

– A więc strzelali do Maca, strzelali do Adama, potem czekali, aż Mac umrze – odezwał się Samuel. – Następnie podrzucili ciało pod twój dom, Adam się obudził, a oni zabrali Jesse i uciekli, zostawiając w domu trzy wilkołaki. Po co? Żeby zabiły Adama? Ale dlaczego w takim razie zabrali Jesse? Raczej nie przypuszczali, że te wilki zginą.

– Pierwszy wilk, którego zabiłam, był młody. Bardzo młody – powiedziałam wolno. – Jeśli pozostałe też były, to mogły przestać się kontrolować, a pozostali uciekli, bo nie mogli ich uspokoić.

– Christiansen nie jest nowy – wtrącił Adam.

– Widziałam jedną samicę, jednego wilka płowo-żółtego, w typie Leah, tylko ciemniejszego, i jednego o bardziej typowej maści, różne odcienie szarości z dodatkiem bieli. Nie pamiętam żadnych znaków szczególnych.

– Christiansen jest rudo-żółty.

– Zatem pytanie, czy planowali porywać Jesse, czy też usiłowali naprawić coś, co spieprzyli?

– Jesse – powiedział Adam nieobecny głosem, jakby nie dosłyszał pytania. – Obudziłam się, ponieważ Jesse krzyczała, teraz sobie przypominam.

– W salonie znalazłam parę połamanych kajdanek. – Nieco zwolniłam, aby nie jechać zbyt blisko przyczepy kempingowej,

która wlokła się przed nami po zboczu góry. – Srebrne kajdanki na ręce. Po podłodze walały się kawałki mebli, szkło i martwe wilkołaki. Przypuszczam, że kajdanki na nogi też gdzieś tam leżały. – Do głowy przyszła mi pewna myśl. – Może po prostu przyjechali po Maca i chcieli dać nauczkę Adamowi za to, że go przyjął do stada?

Samuel potrząsnął głową.

– Mercy, ciebie mogli chcieć ukarać albo ostrzec, ale stado świeżutkich wilkołaków – szczególnie gdy dowodzi nimi doświadczony wilk – nie będzie wkurzać Alfę tylko po to, by mu „dać nauczkę” za wtrącanie się w cudze sprawy. Po pierwsze, chyba nie ma lepszego sposobu na wkurzenie samego Marroka. Po drugie, jest jeszcze Adam. Adam to nie tylko Alfa Dorzecza Kolumbii, to także najsilniejszy Alfa w Stanach, zaraz po Branie, oczywiście.

Adam mruknął, niewzruszony oceną Samuela.

– Mamy za mało informacji, by odgadnąć, o co im chodziło. Mac został zabity albo celowo, albo przez przypadek. Prawie zabili mnie i porwali Jesse. Wywęszyłaś w moim domu tego człowieka, co wskazuje, że całe zajście ma coś wspólnego z historią Maca. Obecność Christiansena oznacza, że ma coś wspólnego ze mną. Niech mnie diabli, jeśli wiem, co może łączyć mnie i Maca.

– Mercy – oznajmił Samuel.

– No tak, zapomniałam ci powiedzieć, Samuelu, że kiedy cię nie było, wstąpiłam do tajnego stowarzyszenia czarnych charakterów – powiedziałam zirytowana. – Obecnie próbuję skompletować harem umięśnionych i płodnych wilkołaków. Proszę cię. Pamiętaj, że nie znałam Maca, dopóki się przypadkiem nie przypałał jakiś czas po tym, jak te łajdaki schrzaniły mu życie.

Samuel zadowolony, że celnie zarzucił przynętę, poklepał mnie po nodze.

Zerknęłam w lustro i zobaczyłam, że zwykle czekoladowe oczy Adama jaśniały jak dwa bursztyny, wpatrzone w dłoń

Samuela. Skierowałam uwagę z powrotem na drogę, by się upewnić, czy jadąca przede mną przyczepa ponownie nie zwolniła. Za nami sunęły pod górę cztery samochody.

– Nie dotykaj jej – syknął Adam. W jego głosie pojawiła się groźba, którą on sam musiał dosłyszeć, bo zaraz dodał: – Proszę.

Dopiero to ostatnie słowo powstrzymało mnie przed wygłoszeniem zjadliwego komentarza, który już mi się cisnął na usta. Przypomniałam sobie, że Adam wciąż cierpi, że zмага się ze swoim wilkiem, a prowadzona przez nas rozmowa z pewnością go nie uspokajała.

Ale to nie mój charakterek stanowił teraz problem. Dłoń Samuela powędrowała wyżej, aż w końcu zacisnęła się na moim udzie. Nie na tyle mocno, by bolało. Nie jestem pewna, czy Adam w ogóle by to zauważył, gdyby Samuel nie wydał z siebie gardłowego, wyzywającego warknięcia.

Nie czekałam na rozwój sytuacji. Gwałtownie skręciłam i wdepnęłam w hamulec, gdy tylko furgonetka znalazła się na poboczu. Odpięłam pas i spojrzałam do tyłu. Adam ciężko dyszał, rozdrażniony zachowaniem Samuela i bólem spowodowanym przez ostre hamowanie.

– Ty – powiedziałam, celując w niego palcem. – Zostań na miejscu. – Czasami stanowczy ton głosu wystarczy, by nawet Alfa posłuchał polecenia. Szczególnie jeśli każe mu się siedzieć w miejscu, gdy ból utrudnia mu wykonanie jakiegokolwiek ruchu.

– Ty – rzuciłam do Samuela. – Wysiadaj. Już.

Wyrwałam nogę spod dłoni Samuela i wyskoczyłam z furgonetki, której drzwi o mało co nie przyozdobiły maski mijającej nas ciężarówki.

Nie miałam pewności, czy którykolwiek z nich zechce mnie posłuchać. Nie ma jednak nic przyjemnego w prowadzeniu samochodu w towarzystwie dwóch wilków, które wprost marzą o tym, by się pozagryzać. Samuel otworzył drzwi, kiedy wyniosłym krokiem obeszłam przód furgonetki. Zanim zdążyłam odejść na odległość kolejnych sześciu kroków, już przy

mnie stał.

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz?! – wrzasnęłam, przekrzykując mijające nas samochody. Okej, ja też miałam ochotę ich pozagryzać. – Myślałam, że masz dbać o Adama, a nie go prowokować.

– Nie należysz do niego – odparował, mocno zaciskając białe zęby.

– Oczywiście, że nie! – syknęłam rozdrażniona i nieco zdesperowana. – Ani do niego, ani do ciebie. Na litość boską, Sam, on nie twierdzi, że do niego należę! Po prostu poczuł się tak, jakbyś naruszał jego terytorium. Prosił cię o pomoc –

Ktoś mi powinien przyznać doktorat w dziedzinie psychologii wilkołaków. Coś mi się w końcu należało za znoszenie tych bzdur. – To nie było wyzwanie, głupku. On próbuje zapanować nad swoim wilkiem po tym, jak prawie został zabity. Dwa wilkołaki, z których żaden nie posiada partnerki, zawsze się spierają o terytorium w obecności samicy, wiesz o tym lepiej niż ja. Powinieneś kontrolować sytuację, zamiast zachowywać się gorzej od niego. – Wciągnęłam w płuca skażone ruchem ulicznym powietrze.

Samuel milczał. Oparł ciężar ciała na piętach – znak, że zamierzał wycofać się z kłótni.

– Nazwałaś mnie Samem – powiedział niespodziewanie tonem głosu, który przeraził mnie równie mocno, co wciąż wyczuwalna agresja. Nie miałam bladego pojęcia, co sprawiło, że się w taki sposób zachowywał. Samuel, którego znałam, był wyrozumiały – szczególnie jak na wilkołaka.

Zaczynałam myśleć, że nie tylko ja jedna zmieniłam się przez te lata. Nie wiedziałam, jak zareagować. Przede wszystkim nie wiedziałam, jakie miało znaczenie, że nazwałam go Samem.

Postanowiłam zignorować tę uwagę.

– Jak masz mu pomóc zapanować nad wilkiem, skoro sam się nie kontrolujesz? Co się z tobą dzieje?

Samuel był dobry w poskramianiu instynktów. Do jego zadań należało uczenie nowych wilkołaków panowania nad nimi,

by pozwolono im żyć. To nie przypadek, że większość wilków, jak na przykład Adam, ma bzika na punkcie samokontroli. Nie wiedziałam, co zrobić z Samuelem – miałam za to pewność, że nie wpuszczę go do furgonetki, zanim się nie upora z tym, co go dręczyło.

– Nie chodzi tylko o to, że jesteś kobietą – mruknął w końcu, chociaż prawie go nie dosłyszałam, bo tuż obok nas przemknęły dwa motocykle.

– W takim razie o co?

Spojrzał na mnie jak zbity pies i zdałam sobie sprawę, że jego słowa nie miały dotrzeć do moich uszu.

– Mercedes... Mercy. – Odwrócił głowę i wbił wzrok w zbocze góry, jak gdyby kryło w sobie jakąś tajemnicę, którą pragnął odkryć. – Jestem niespokojny jak szczeniak. Ty pożerasz moją kontrolę.

– A więc to wszystko moja wina? – zapytałam z niedowierzaniem. Tego już było za wiele, przerażał mnie nie na żarty. Z pewnością nie zamierzałam brać winy na siebie. Zupełnie niespodziewanie zaczął się śmiać. Niespodziewanie i z taką swobodą, jak gdyby nigdy nie istniały gniew, agresja i potrzeba dominacji, które jeszcze przed chwilą przesycaly powietrze. Zostaliśmy tylko my dwoje i ciepła woń Samuela, zapach domu i lasu.

– Czekaj tu, Mercy, i rozkoszuj się spalinami – powiedział, kiedy mijająca nas ciężarówka zostawiła za sobą chmurę czarnego dymu. – Daj mi kilka minut. Spróbuję oczyścić atmosferę. – Odwrócił się i zrobił dwa kroki w kierunku furgonetki. – Zawołam cię, jak skończę.

– Żadnej przemocy? Położył dłoń na sercu.

– Przysięgam.

Trwało to na tyle długo, że zaczęłam się martwić, ale w końcu otworzył drzwi i skinął na mnie ręką. Nie mógł opuścić szyby, bo nie miał kluczyków, a okna były elektryczne. Z jakiegoś tajemniczego powodu jednocześnie działało tylko jedno, nawet przy pracującym silniku.

Wdrapałam się na siedzenie i ostrożnie spojrzałam na Adama – miał zamknięte oczy.



Rozdział 8

Gdy tylko napis roaming zniknął z wyświetlacza komórki, zadzwoniłam do Zee.

– Kto mówi?

– Mercy.

– Nie powiedziałaś, że ta część była do busa wampira – powiedział krótko.

Potarłam twarz.

– Nie stać mnie na zapłacenie procentu, jaki ty im dawałeś – wyjaśniłam, nie po raz pierwszy zresztą. Dorzecze Kolumbii obejmuje Richland, Kennewick i Pasco oraz mniejsze miasta, jak Burbank i West Richland. W tym obszarze, który podlegał jurysdykcji wampirów, za każdy interes trzeba było zapłacić pewną sumę pieniędzy w zamian za „ochronę”. „Ochronie” podlegały istoty nadprzyrodzone zbyt słabe, by się postawić. Tak, zgadliście – jak mafia, wampiry chroniły tylko przed samymi sobą.

– Poszliśmy na układ – oni płacą za części, ja dbam o ich samochody. Dzięki temu zachowują twarz, a ja muszę naprawiać busa Stefana i od czasu do czasu jakiegoś mercedesa albo BMW. Stefan nie jest zły jak na wampira.

Z siedzenia obok dobiegło warknięcie.

– Wszystko w porządku – powiedział Adam do Samuela. – Pilnujemy jej. I ma rację, Stefan nie jest zły jak na wampira – podobno wywiera nacisk na pewne osoby, żeby nikt jej nie niepokoił.

Nie wiedziałam, że któryś z wampirów w ogóle zamierzał mnie niepokoić – albo że Stefan troszczył się o mnie tak bardzo, by je powstrzymać.

– Nie miałem o tym pojęcia – powiedział Zee, który z pewnością usłyszał komentarz Adama. Zawahał się. – Wampiry to zawsze złe wieści. Mercy. Im mniej masz z nimi do czynienia, tym lepiej. Wypisanie i wysłanie czeku raz w miesiącu jest bezpieczniejsze niż załatwianie z nimi interesów twarzą w twarz.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – przypomniałam mu raz Jeszcze. – Mam długi i nie wygląda na to, żebym skończyła je spłacać, zanim nie dobieję do twojego wieku.

– Dobra, wszystko jedno. – Westchnął. – Tak czy inaczej nie musiałem załatwiać z nimi interesów. Twój nowy dostawca przysłał złą część. Odesłałem ją i zamieniłem słówko z działem sprzedaży. Właściwa część powinna przyjść w piątek, nie dadzą rady wcześniej wysłać z powodu Święta Dziękczynienia. Zadzwoń na numer, który zapisałaś na teczce, i zostawiłem wiadomość. Co to za wampir, który nagrywa sobie piosenkę ze Scooby'ego Doo na automatycznej sekretarce? – Pytanie najwyraźniej było retoryczne, bo ciągnął dalej. – Przyszła też jakaś kobieta. Podobno przysłał ją twój przyjaciel z Politzei.

Potarłam czoło. Zupełnie zapomniałam o kobiecie od Tony'ego.

– Już wiesz, co nie tak z jej samochodem?

– Mercy! – wypalił urażony.

– Nie chciałam cię obrazić. Coś poważnego?

– Okablowanie. Mercy...

Uśmiechnęłam się szeroko, ponieważ widziałam, jaki efekt wywarła ta kobieta na Tonym. Praca jest moją żoną.

– Podoba ci się – zauważyłam. Zee chrząknął. – Powiedziałeś jej, ile musi zapłacić?

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem na ten temat. Na całym ciele ma wypisaną biedę i dumę. Nie pozwoliła się podwieźć do domu i poszła z dziećmi pieszo. Nie ma numeru domowego, tylko do pracy.

Zaśmiałam się w duchu. Z pewnych powodów Zee nie posiadała takiego majątku, jaki starszym niełudziom udaje się zazwyczaj zgromadzić. Cóż, ja najprawdopodobniej też nigdy nie będę bogata.

– Dobra – powiedziałam. – Mów, co wymyśliłeś.

– Zadzwoń na Polizei. – Zee znał Tony'ego i nawet go lubił, chociaż robił, co mógł, żeby to ukryć. Po prostu uważał, że nie należy nawiązywać zbyt bliskich znajomości z przedstawicielami władz ludzkiego świata. Miał rację – ale ja nie zawsze postępuję zgodnie z tym, co podpowiada rozsądek. Gdyby tak było, nie siedziałabym teraz w furgonetce z dwoma wilkołakami. – No i?

– Tony powiedział, że jej starszy syn rozgląda się za jakąś popołudniową robotą.

Nie zamierzałam mu przerywać. Zabawnie było słuchać, jak cierpi katusze. Lubiał pozować na gruboskórnego zrzędcę, ale serce miał miękkie jak ciepły wosk.

– Teraz, kiedy Tad wyjechał, przydałaby ci się dodatkowa para rąk.

I kiedy nie żyje Mac, pomyślałam i straciłam ochotę na przekomarzanki ze starym gremlinem.

– W porządku, Zee, Jak będziesz z nią rozmawiał, powiedz jej, żeby przysłała tego chłopaka. Jeśli się sprawdzi, dostanie pracę. Zakładam że samochód już naprawiłeś?

– Ja. Ale będziesz musiała sama z nią porozmawiać, chyba że jutro też mnie potrzebujesz. Ona pracuje na dziennej zmianie.

– Nie, nie będę cię potrzebowała. Jutro jest Święto Dziękczynienia. Warsztat będzie nieczynny, o ile nie zapomnisz wywiesić stosownej informacji.

– Nie ma problemu. – Zawahał się. – Wpadłem na trop, który być może pozwoli ci dotrzeć do Jesse. Właśnie miałem do ciebie dzwonić w tej sprawie, jedna z niełudzi, która nadal się ukrywa,

powiedziała mi, że coś na ten temat wie. Nie chciała zdradzić, o co chodzi, dopóki z tobą nie porozmawia.

„Nadal się ukrywa” oznaczało dwie możliwości – albo Szarzy Panowie jeszcze jej nie zauważyli, albo była z gatunku tych potężnych tudzież potężnie okropnych. Tym razem to Adam zawarczał. Uroki przeprowadzania prywatnej rozmowy w obecności wilkołaków... Choć, szczerze mówiąc, zupełnie mi nie przeszkadzało, kiedy to ja podsłuchiwałam.

– Jesteśmy jakąś godzinę drogi od miasta – powiedziałam. – Mógłbyś zorganizować spotkanie dzisiaj wieczorem w wybranym przez nią miejscu?

– W porządku – odparł Zee i odłożył słuchawkę.

– Wszystko słyszeliście?

– Adam nie idzie – oznajmił stanowczo Samuel. – Nie, Adamie, dobrze wiesz dlaczego.

Adam westchnął.

– W porządku. I zgadzam się też, że nie powinienem zostawać sam, ale chcę, żeby Mercy tam była. Możemy zadzwonić do Darryla i...

Samuel uciszył go gestem ręki.

– Mercy, dlaczego postanowiłaś jechać z Adamem aż do Montany, zamiast zadzwonić do jego stada?

– Przez głupotę.

– Możliwe. Pozwól mnie to ocenić.

– Właśnie miałam dzwonić do Darryla, ale o czymś sobie przypominałam. Chodzi o pewną rozmowę Darryla z Benem, w której przypadkiem uczestniczyłam. Jak się nad tym teraz zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że nie było w niej niczego nadzwyczajnego.

– Dlaczego w ogóle z tobą rozmawiali? – zapytał Adam łagodnym tonem, tym samym, którym zwykł maskować gniew.

– Potrafię o siebie zadbać, Adamie – powiedziałam. – Wpadłam na nich, kiedy wynosiłam śmieci. Darryl kazał Benowi zostawić mnie w spokoju. Powiedział: „nie teraz”. Nie wiem, dlaczego na tej podstawie doszłam do wniosku, że musiał coś wiedzieć

o wydarzeniach, które później nastąpiły.

– Najpierw poczułaś niepokój – rozważał na głos Samuel. – Potem doszłaś do tego niemądrego wniosku.

– Tak. – Moje policzki oblały się rumieńcem.

– Co teraz czujesz, kiedy myślisz o stadzie Adama?

Otworzyłam usta i zamarłam.

– Niech to cholera – powiedziałam w końcu. – Coś jest nie tak. Adam nie powinien wracać do stada, dopóki nie wydobrzeje na tyle, by się samemu bronić.

Samuel rozciągnął usta w chytrym uśmieszku.

– Co znowu? – zapytałam.

– Coś zauważyłaś – odezwał się Adam. – Coś w moim domu, może jakiś zapach, na podstawie którego uznałaś, że ktoś z mojego stada jest we wszystko zamieszany. Instykt – skwitował ponuro. – Też wydało mi się dziwne, że napastnicy przyjechali zaraz po wyjściu moich wilków.

Potrząsnęłam głową.

– Słuchaj, ja nic nie wiem.

– Nie zamierzamy nikogo zabijać – uspokoił mnie Samuel – A przynajmniej nie na podstawie tego, co sugeruje ci instykt. Mimo to nie zaszkodzi zachować ostrożność. Dodzwoń do swojego przyjaciela Sprawdzimy jego informacje jutro, kiedy Adam będzie w stanie na tyle się kontrolować, by zostać bez opieki.

– Nie – zaprotestował Adam.

– Na pewno nie. – Dziwnie się czułam, kiedy mu przytakiwałam. – Im szybciej odnajdziemy Jesse, tym lepiej.

– Nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie – odparł Samuel. – I na pewno nie pozwolę ci iść bez obstawy na spotkanie z cholera wie jakim nieczłowiekiem.

– Musimy odnaleźć Jesse – nie dawałam za wygraną.

– Najważniejsza jest moja córka. Samuel spojrzał na Adama.

– Znasz jakiegoś dominującego wilka, któremu możesz zaufać? Kogoś, kto nie czeka na okazję, by objąć po tobie przywództwo?

– Warren – Adam i ja wypowiedzieliśmy to imię jednocześnie.

Warren był moim ulubieńcem, jedynym wilkiem, od którego towarzystwa nigdy nie stroniłam. Poznałam go krótko po przeprowadzce, kiedy jeszcze nie wiedziałam, że w Tri-Cities żyje jakieś stado.

Odkąd Bran odesłał mnie z Montany, nie spotkałam żadnego wilkołaka i z pewnością nie spodziewałam się spotkać jednego za kasą na miejscowej stacji benzynowej. Pracownik o imieniu Warren obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, ale obok nas stali inni ludzie, więc bez słowa wydał mi resztę.

Odebrałam pieniądze z uśmiechem i skinęłam głową. Póinlej przeważnie się ignorowaliśmy, dopóki pewnej nocy do kasy nie podeszła kobieta z podbitym okiem, żeby zapłacić za benzynę, którą tankował jej mąż. Podała Warrenowi pieniądze, a następnie mocniej ścisnęła dłoń stojącego u jej boku chłopca. Zapytała, czy w sklepie nie ma drugiego wyjścia.

Warren uśmiechnął się do niej łagodnie i zaprowadził na tyły sklepu, do niewielkiego biura, o którego istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia. Poprosił, bym popilnowała kasy, a sam wyszedł na zewnątrz i odbył krótką rozmowę ze stojącym przy dystrybutorze mężczyzną. Wrócił i wręczył wystraszonej kobiecie dwieście dolarów od męża, który odjechał z prędkością wskazującą na stan silnego wzburzenia bądź przerażenia.

Poczekaliśmy z maltretowaną dwójką na jejmość prowadzącą miejscowe schronisko dla kobiet. Kiedy już odjechała wraz z nowymi klientami, przedstawiłam się Warrenowi i uścisnęłam mu dłoń.

Warren był dobrym facetem, był bohaterem – jak również samotnym wilkiem. Minęło trochę czasu, zanim mi wytłumaczył z jakiego powodu.

Być może w innym czasie i miejscu nie miałoby znaczenia, że jest gejem. Tylko że większość wilkołaków dzierżących w Stanach władzę urodziła się w czasach, kiedy homoseksualizm stanowił przekleństwo, a w niektórych miejscach karano go śmiercią.

Jeden z moich profesorów opowiedział mi niegdyś

interesującą anegdotę na temat ostatniego oficjalnego aktu prawodawczego monarchii brytyjskiej. Podobno królowa Wiktoria odmówiła podpisania uchwały, na mocy której kontakty seksualne między osobami tej samej płci stawały się nielegalne. Miałabym o niej lepsze mniemanie, gdyby nie drobny szczegół – jedynym powodem sprzeciwu był brak wiary w to, że kobiety mogły się oddawać podobnym bezceństwow. Parlament wprowadził stosowną poprawkę, by uchwała dotyczyła wyłącznie mężczyzn, a królowa ją podpisała. Oświeceniemu z pewnością królowa Wiktoria nie hołdowała. Jak zdążyłam zaobserwować, nie hołdowały mu również wilkołaki.

Nie było też mowy, by Warren mógł ukrywać swoją orientację przed innymi wilkami. Jak to wcześniej zademonstrowali Adam i Samuel, wilkołaki wyśmienicie potrafią wyczuć podniecenie. Nie tylko na podstawie specyficznego zapachu, ale również podwyższonej temperatury ciała i przyspieszonego bicia serca. Podniecenie u wilkołaka zwykle pobudza instynkt rywalizacji wszystkich znajdujących się w pobliżu samców.

Krótko mówiąc, samiec wilka, który odczuwa pociąg do przedstawicieli tej samej płci, wdaje się w wiele bójek. Niezbitym dowodem umiejętności walki Warrena był fakt, że udało mu się tak długo przeżyć. Tak czy inaczej, stado nie zaakceptuje wilka, który sprawia zbyt wiele kłopotów. Całe stulecie swojego życia Warren spędził odcięty od pobratymców.

To ja go przedstawiłam Adamowi, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Adam postanowił zostać moim sąsiadem. Zaprosiłam Warrena na obiad i kiedy się z czegoś śmialiśmy – już nie pamiętam z czego – zawył jeden z wilków Adama. Nigdy nie zapomnę wyrazu pustki i żalu malującego się na twarzy Warrena.

Kiedy dorastałam, słyszałam to bez przerwy – wilki powinny żyć w stadzie. Nawet teraz nie do końca to rozumiem, ale wyraz twarzy Warrena uświadomił mi wtedy, że samotność nie była dla wilka niczym przyjemnym.

Następnego ranka zapukałam do drzwi Adama. Wysłuchał

mnie uprzejmie i wziął ode mnie kartkę z numerem telefonu. Wychodziłam z przeświadczeniem, że odniosłam porażkę. Dopiero Warren opowiedział mi, co się później stało. Adam wezwał go na dwugodzinne przesłuchanie.

Na koniec oznajmił że dopóki wilk słucha rozkazów, to, jeśli o niego chodzi, może posuwać nawet kaczkę. Sądząc po szerokim uśmiechu Warrena, kiedy to opowiadał, Adam nie użył dokładnie takich słów. Ordynarność jest bronią, z której Adam korzysta tak samo, jak ze wszystkich pozostałych: rzadko, ale niezwykle skutecznie.

Przypuszczalnie niektórym mogłoby się wydać dziwne, że to Warren jest najlepszym przyjacielem Adama, choć Darryl zajmuje w stadzie wyższą pozycję. Adam i Warren to bohaterowie identyczni jak dwa groszki w strączku – pomijając orientację seksualną.

Reszta stada nie była zadowolona z takiego obrotu spraw. Niewiele zmieniał fakt, że większość wilków z Dorzecza Kolumbii jest jeszcze młodsza od Adama, a ostatnie dziesięciolecia były świadkiem ogromnego postępu, jeśli chodzi o tolerancję wobec odmiennej orientacji. No a z drugiej strony, nikt nie chciał prowokować Alfę. Ani Warrena.

Warren nigdy nie dbał o zdanie pozostałych wilków. Znalazł stado, coś, do czego mógł należeć. Jeśli potrzebował przyjaciół, miał mnie i Adama. To mu wystarczało. Warren nie zdradziłby Adama. Bez Adama nie miałby stada.

– Zadzwoń do niego – powiedziałam z ulgą. Odebrał po drugim sygnale.

– Tu Warren. Czy to ty, Mercy? Gdzie się podziewałaś? Wiesz, gdzie są Adam i Jesse?

– Adam był ranny. Ci, którzy go pokieroszowali, zabrali Jesse.

– Powiedz mu, żeby nikomu nic nie mówił – wtrącił Samuel.

– Kto to? – ton głosu Warrena nagle stał się chłodny.

– Samuel – odpowiedziałam. – Syn Brana.

– Czy to zamach stanu?

– Nie – odezwał się Adam z tylnego siedzenia. – Przynajmniej

nie ze strony Brana.

– Przepraszam – rzuciłam zirytowana. – To ja rozmawiam.

Moglibyście udawać, że to prywatna rozmowa? Ciebie to też dotyczy, Warren. Przestań podsłuchiwać wilkołaki w mojej furgonetce.

– W porządku – burknął z południowoteksańskim akcentem nieco spokojniejszy Warren, uroczo przeciągając samogłoski. – Jak się dzisiaj czujesz, Mercy? – zaczął słodko, ale stopniowo jego głos stawał się ostrzejszy. – Dotarły do ciebie może te niewiarygodne plotki, że ktoś wtargnął do domu Alfy i że Adam i jego córka zniknęli? I że jedyną wskazówką jest wiadomość nagrana na sekretarce pieprzonej rosyjskiej czarownicy? Wiadomość, której owa czarownica nie pozwoliła nikomu innemu odsłuchać?

Wiadomość, którą, jak mówią, ty zostawiłaś, tylko że nigdzie nie można cię znaleźć?

Samuel odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i powiedział:

– Przekaż mu, że wszystko wyjaśnisz, kiedy dotrzemy na miejsce.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Z każdą chwilą czuję się coraz lepiej, Warrenie. Dzięki za troskę. Montana jest urocza, ale nie polecam na listopadowe wakacje, chyba że szusujesz.

– Od dwudziestu lat nie miałem nart na nogach – mruknął Warren. – Adam też jeździł podczas waszego małego wypadu w góry?

– Niestety, zdrowie mu nie pozwoliło. Wiozę lekarza, ale oboje musimy dziś wieczorem wyjść i tak się zastanawialiśmy, czy nie zechciałbyś trochę poniańczyć.

– Bardzo chętnie. Dziś w nocy i tak nie pracuję. Mówiłaś, że Jesse została porwana?

– Tak. I na razie zachowaj tę informację dla siebie.

– Dziś rano w drodze do pracy przejeżdżałem obok waszych domów – powiedział wolno Warren. – Straszne zamieszanie. Wydaje mi się, że to tylko stado węszy, ale jeśli chcielibyście

uniknąć spotkania, to może wszyscy powinniście zatrzymać się u mnie na noc.

– Wydaje ci się, że to stado? – zapytał Adam. Warren parsknął.

– A kto by mnie o czymkolwiek informował? Darryl? Auriele zadzwoniła i powiedziała, że zniknąłeś, ale gdy stado rządzi się bez ciebie, kobiety zwykle nie mają wiele do gadania. Reszta pewnie was szuka, ale to wszystko, co wiem. Jak długo musicie się ukrywać?

– Dzień lub dwa – głos Adama zabrzmiał obojętnie, ale same słowa powiedziały Warrenowi wszystko, co musiał wiedzieć.

– Przyjdźcie do mnie. Nie sądzę, by ktokolwiek oprócz ciebie i Mercy wiedział, gdzie mieszkam. Dla wszystkich znajdzie się miejsce – chyba że macie tam jeszcze kilka osób, o których nic nie wiem.

Każde z miast w Tri-Cities ma własny klimat i to właśnie w Richland najsilniej odcisnęło się szaleństwo świtającej epoki nuklearnej. Kiedy rząd zdecydował o budowie fabryki plutonu na potrzeby wojska, musiało powstać również miasteczko. Zatem tu i tam postawiono budynki w dwudziestu sześciu rodzajach zaprojektowane tak, by dać schronienie pracownikom przemysłu nuklearnego. Każdy rodzaj domu otrzymał oznaczenie literowe, od A począwszy, a na Z skończywszy.

Nie potrafię rozpoznać ich wszystkich, lecz duże bliźniaki, typ A i B, są dość charakterystyczne. Domy typu A wyglądają mniej więcej jak farmy na wschodzie – dwupiętrowe sześciokąty bez wyrazu. Domy typu B też są sześciokątami, ale mają tylko jedno piętro. Większość z nich wygląda obecnie nieco inaczej, niż kiedy powstały – dodano werandy, bliźniaki zamieniono w siedziby jednorodzinne, a później z powrotem w bliźniaki. Niezależnie od tych modyfikacji ze wszystkich przebija pewna surowa masywność, której nie mogą się przeciwstawić nawet ceglane fasady, tarasy i cedrowe elewacje.

Warren był właścicielem połowy bliźniaka typu A wraz z klonem zajmującym większą część frontowego trawnika.

Kiedy podjechałam, siedział na werandzie. Gdy go spotkałam

po raz pierwszy, sprawiał wrażenie cierpiętnika, co to już wszystko widział i wszystko przeżył. Jego obecny kochanek przekonał go do ścięcia włosów i wprowadził nieco porządku do jego garderoby. Warren nie nosił już dziurawych dżinsów, a koszula, którą miał na sobie, wyglądała na wyprasowaną w niezbyt odległej przeszłości.

Udało mi się zaparkować bezpośrednio przed jego domem. Warren zeskoczył ze schodów i otworzył przesuwane drzwi furgonetki.

Krótkim spojrzeniem otaksował Adama.

– Mówisz, że to się stało przedwczoraj w nocy? – zapytał.

– Ta. – jego akcent był na tyle wyrazisty, że czasem nieświadomie sama zaczynałam go naśladować, chociaż moja noga nigdy nie powstała w Teksasie.

Warren wepchnął kciuki w kieszenie i zaczął się kołysać na obcasach wysłużonych kowbojskich butów.

– Cóż, szefie – powiedział przeciągle. – Chyba powinienem dziękować niebiosom, że jeszcze żyjesz.

– Ja też podziękuję, tylko najpierw wykombinuj, jak pomóc mi stąd wyjść – warknął Adam. – Rano czułem się całkiem nieźle, ale zawieszenie tego czegoś pozostawia sporo do życzenia.

– Nie wszyscy mogą jeździć mearedesami – rzuciłam beztrosko. – Warren, to jest syn Brana, doktor Samuel Cornick. Przyjechał, by nam pomóc.

Warren i Samuel zmierzyli się wzrokiem jak para kowbojów w westernie z lat pięćdziesiątych. Następnie, w reakcji na jakiś niewidoczny dla mnie sygnał, Samuel uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Miło cię poznać – powiedział.

Warren uściśnął Samuelowi dłoń w milczeniu, ale powitanie chyba sprawiło mu przyjemność. Zwrócił się do Adama:

– Obawiam się, że łatwiej będzie cię wnieść, szefie. Musimy pokonać schody na zewnątrz i wewnątrz prowadzące do sypialni.

Adam zmarszczył brwi, niezadowolony. Pokiwał głową.

– W porządku.

Z wilkołakiem na rękach Warren wyglądał co najmniej dziwnie. Sylwetką przypominał maratończyka, a Adam był dość krępej budowy ciała. Cała sytuacja należała do rodzaju tych, w których wilkołaki nie powinny się zbyt często pokazywać publicznie.

Otworzyłam im drzwi, ale zostałam w salonie, podczas gdy Warren wspinał się po schodach. Samuel czekał ze mną.

Połowa bliźniaka Warrena liczyła więcej metrów kwadratowych niż moja przyczepa, ale w otoczeniu ciasnych pomieszczeń i schodów zawsze odnosiłam wrażenie, że mój dom jest przestronniejszy.

Warren wygodnie umeblował pokoje zdobyciami z garażowych wyprzedaży. Zapełnione książkami regały stanowiły doskonały przykład eklektyzmu – było tam wszystko, od pozycji naukowych po wymiętoloną makulaturę z antykwariatów. Z niektórych książek wciąż nie zerwano nalepek z cenami.

Samuel usiadł po tej dobrej stronie obitej pluszem kanapy i wyciągnął przed siebie nogi. Odwróciłam się i kciukiem przesunęłam po grzbietach książek ustawionych na najbliższym regale. Czulałam, że na mnie patrzy, ale nie wiedziałam, o czym myśli.

– Och, Mercy – usłyszałam cichy głos. – Ten jest ładny. Dlaczego z nim nie flirtujesz?

Spojrzałam w stronę kuchni. Kyle, obecny kochanek Warrena, stał oparty o futrynę w typowo Kyle'owej pozycji. Zwykł ją przybierać, gdy chciał się popisać opalonym ciałem i szytymi na miarę ubraniami.

Poza ta mogła zwieść. Podobnie jak przymknięte powieki i wydęte w stylu Marilyn Monroe usta, miała na celu zakamuflowanie inteligencji, która uczyniła Kyle'a najlepiej opłacanym w mieście prawnikiem do spraw rozwodowych.

Kiedyś mi powiedział, że przyznawanie się do homoseksualizmu tak samo dobrze wpływa na interesy jak reputacja rekina. Rozwodzące się kobiety najczęściej wolały mieć

do czynienia z nim niż z prawnikami własnej płci.

Samuel zeszytniał i posłał mi przenikliwe spojrzenie. Wiedziałam, co oznaczało: nie chciał, aby jakikolwiek człowiek mieszał się w sprawy wilkołaków. Zignorowałam go. Niestety, Kyle nie – dostrzegł dezaprobatę i źle odczytał jej przyczynę.

– Miło cię widzieć – powiedziałam. – Kyle, poznaj doktora Samuela Cornicka, przyjechał z wizytą z Montany. – Nie chciałam wchodzić w szczegóły. To Warren powinien zdecydować, ile Kyle'owi powiedzieć. – Samuelu, to jest Kyle Brookes.

Kyle odepchnął się od futryny i leniwym krokiem wszedł do salonu. Pocałował mnie w policzek, a następnie usiadł na kanapie tak blisko Samuela, jak tylko zdołał.

Nie żeby czuł do niego pociąg – po prostu postanowił dopuścić się małej zemsty. W obliczu niezręcznych sytuacji Warren zazwyczaj wycofywał się na z góry upatrzoną pozycję. Kyle był ulepiony z zupełnie innej gliny. Hołdował zasadzie, że draniom należy dać popalić.

Poza tym łatwo się obrażał i wpadał w złość, ale nie mógł wiedzieć, że to nie jego orientacja seksualna wywołała reakcję Samuela. Kyle nie miał pojęcia o zwierzęcej stronie Warrena. Stanowczo odradzano dyskusowanie tej kwestii z kimkolwiek oprócz stałych partnerów – co w przypadku samców wilkołaka oznaczało wyłącznie samice – a kara za nieposłuszeństwo była surowa. Nie istnieją więzienia dla wilkołaków. Ci, którzy łamią prawo, są karani fizycznie, a w szczególnych przypadkach zabijani.

Z ulgą stwierdziłam, że Samuel wydawał się bardziej rozbawiony niż poirytowany ostentacyjnym zachowaniem Kyle'a. Za to Warren, wracając z sypialni, stanął jak wryty na widok jego dłoni spoczywającej na udzie Samuela. Po chwili spokojnie ruszył w dół schodów, ale w powietrzu dało się wyczuć napięcie. Nie był zadowolony. Nie potrafiłam powiedzieć, czy z powodu zazdrości, czy lęku o zdrowie kochanka. Nie znał Samuela, ale wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jak wilkołaki reagują w podobnych sytuacjach.

– Kyle, myślę, że powinieneś na kilka dni zaopiekować się swoim domem – powiedział jednostajnie, wyjątkowo nie zaciągając samogłosek.

Kyle był właścicielem luksusowej willi na jednym ze wzgórz w West Richland. Wprowadził się do Warrena, kiedy Warren odrzucił propozycję, by wprowadzić się do niego.

Słyszając słowa kochanka, zdębiał.

– Przez kilka dni muszę tu kogoś ukrywać – wyjaśnił Warren. – To nic nielegalnego, ale nie będzie tu bezpiecznie.

W jednej chwili Samuel stał się dla Kyle'a niewidoczny.

– Kochanie, jeśli mnie tu nie chcesz, to już znikam. Powinienem chyba przyjąć zaproszenie Geordiego na Święto Dziękczynienia.

– To tylko parę dni – powiedział Warren z miłością w oczach.

– Czy to ma coś wspólnego z tym, co cię tak od kilku dni niepokoi?

Warren zerknął na Samuela, po czym skinął głową. Po chwili Kyle odpowiedział tym samym.

– W porządku. Kilka dni. Zostawię tu swoje rzeczy.

– Zadzwoń do ciebie.

– Zadzwoń.

Wyszedł, ostrożnie zamykając drzwi.

– Musisz mu powiedzieć. Powiedz mu o wszystkim, bo inaczej go stracisz. – Lubiłam Kyle'a, a nawet ślepy by zauważył, że Warren naprawdę go kochał.

Warren zaśmiał się półgębkiem.

– Na pewno będzie wniebowzięty, kiedy się dowie, że sypia z potworem. Myślisz, że to wszystko załatwi? – Wzruszył ramionami i próbował udawać, że się nie przejmuje. – Mercy, on mnie zostawi prędzej czy później. Absolwent Cornell i pracownik nocnej zmiany na stacji benzynowej to niezbyt szczęśliwe połączenie.

– Nie zauważyłam, żeby mu to przeszkadzało. Wyłazi ze skóry, by cię uszczęśliwić. Chyba jesteś mu coś winien.

– To zabronione – wtrącił zdecydowanie Samuel, choć z nutą

żalu w głosie. – Nie może mu powiedzieć.

– A niby co Kyle miałyby zrobić? – Nawet nie próbowałam ukryć oburzenia. – Powiedzieć wszystkim, że Warren jest wilkołakiem? Nie, nie on. Nie zaszedłby tak daleko, gdyby miał niewyparzony język – i nie należy do tego rodzaju osób, które mogłyby kogokolwiek zdradzić. Kyle to prawnik, jego praca polega między innymi na trzymaniu gęby na kłódkę. Poza tym jest zbyt dumny, by ryzykować, że stanie się bohaterem pierwszej strony jakiegoś szmatławca.

– W porządku, Mercy – Warren poklepał mnie po ranieniu. – Jeszcze mnie nie zostawił.

– Ale to zrobi, jeśli nie przestaniesz go okłamywać.

Obaj tylko na mnie spojrzeli. Warren miał stracić Kyle'a, ponieważ ktoś zdecydował, że dopiero po zawarciu związku małżeńskiego można powiedzieć drugiej połowie całą prawdę. Jakby to nie był przepis na katastrofę.

Nie wątpiłam, że Kyle również kochał Warrena. Bo z jakiego powodu miałyby mieszkać w połowie bliźniaka typu A, skoro miał do dyspozycji nowoczesne, klimatyzowane monstrum z basenem? A Warren zamierzał to wszystko odrzucić.

– Idę się przejść – zakomunikowałam. Miałam dość wilkołaków jak na jeden dzień. – Wrócę, jak zadzwoni Zee.

Trzasnęłam drzwiami – brakowało mi dobrych manier Kyle'a. Ogarnięta wściekłością, omal go nie przeoczyłam. Siedział w jaguarze ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni. Zanim zdążyłam wpaść na lepszy pomysł, otworzyłam drzwi i wśliznęłam się do środka.

– Park Howard Amon – rzuciłam.

Kyle spojrzał mi w oczy, ale jego twarz przybrała ten zimny, prawniczy wyraz, więc nie mogłam stwierdzić, o czym myśli. Za to nos zaopatrzył mnie w wystarczającą ilość informacji, bym wiedziała, jak się czuje: zły, urażony i zniechęcony.

To, co miałam zrobić, bez wątpienia było niebezpieczne. Warren milczał nie tylko ze względu na obowiązek posłuszeństwa wobec Alfego. Gdyby Kyle rzeczywiście zaczął

rozpowiadać na prawo i lewo o wilkołakach, zostałby uciszony. Mnie nie potraktowaliby lepiej, gdyby się dowiedzieli, że to ja go uświadomiłam. Nie miało znaczenia, kto i jak bardzo mnie lubił. Czy znałam Kyle'a na tyle dobrze, by mu powierzyć nasze życie?

Jaguar mknął przez miasto jak tygrys przez dżunglę, zwinnie omijając samochody, których o popołudniowej porze nie było zbyt wiele na drogach. Ani twarzą, ani sposobem prowadzenia Kyle nie zdradzał gniewu, który wzmagił tętno, i bólu, który ten gniew podsycał – ale ja je czułam.

Zaparkował na południowym krańcu Howard Amon. Miejsca było sporo: listopad nie należy do tych miesięcy, kiedy ludzie wpadają na pomysł, by poleżeć nad rzeką.

– Jest zimno – powiedział. – Może porozmawiamy w samochodzie?

– Nie – rzuciłam i wysiadłam. Miał rację, było zimno. Nie z powodu wiatru, ale przesycającej powietrze wilgoci, którą dodatkowo wzmagala bliskość Kolumbii. Zadrzałam w swojej poplamionej kakao koszulce – choć może nie z powoduchłodu, a zdenerwowania. Podjęłam już decyzję i miałam nadzieję, że nie pomyliłam się co do Kyle'a.

Tymczasem Kyle otworzył bagażnik. Podał mi płaszcz, a SA ubrał lekką kurtkę.

– Załóż, zanim zsiniejesz.

Byliśmy z Kyle'em podobnego wzrostu, więc płaszcz całkiem nieźle na mnie leżał. Owinęłam się nim i zapachem drogiej wody kolońskiej.

– Podoba mi się. Muszę sobie taki kupić. Uśmiechnął się, ale jego oczy były zmęczone.

– Chodźmy na spacer. – Wzięłam go pod rękę i ruszyliśmy przez pusty plac zabaw w stronę rzeki.

Warren miał rację. Uświadomienie Kyle'owi, że jego partner jest potworem, nie musiało wpłynąć pozytywnie na ich relacje. Miałam jednak przecucie, że dzisiejszy dzień może być kroplą, która przepełni czarę, jeśli ktoś Kyle'a nie oświeci.

– Kochasz Warrena? – zapytałam. – Nie chodzi mi o miłość w znaczeniu dobry seks i świetne towarzystwo. Chodzi mi o miłość typu „nie opuszczę cię aż do śmierci”.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy się zawahał.

– Jediną osobą z mojej rodziny, z którą nadal rozmawiam, jest moja siostra Ally. Kilka miesięcy temu powiedziałem jej o Warrenie. Dopiero kiedy sama o tym wspomniała, zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie mówiłem jej o żadnym z moich kochanków.

Położyłam dłoń na jego ramieniu, a on przykrył ją swoją.

– Moi rodzice przez dziesięć lat nie przyjmowali do wiadomości, że jestem gejem. Kiedy matka po raz kolejny umówiła mnie z jakąś kobietą z dobrym rodowodem, postanowiłem załatwić sprawę raz na zawsze – w efekcie czego zostałem wydziedziczony. Ally zadzwoniła, gdy tylko się dowiedziała, i od tego czasu unikamy tematu mojej orientacji. Kiedy z nią rozmawiam, czuję się tak, jakbym nosił na piersi szkarłatną literę i jakbyśmy oboje usiłowali udawać, że jej tam nie ma. – Parsknął śmiechem, w którym wyczułam gorycz i gniew. Kiedy się jednak odezwał, głos miał opanowany. – Ally poprosiła, żebym przyprowadził do niej Warrena. – Spojrzał mi w oczy, chcąc mi dać do zrozumienia, ile to dla niego znaczyło.

Przyspieszyliśmy kroku. Park zwęził się do pasa trawnika przedzielonego ścieżką. Brzeg rzeki stracił wypielęgnowany charakter na rzecz bardziej naturalnej gęstwiny krzaków i pożółkłej, sięgającej do kolan trawy. Na szczycie wzniesienia, z którego rozciągał się widok na rzekę, stała metalowa, szeroka huśtawka. Pociągnęłam Kyle'a w jej stronę.

Usiedliśmy.

Było niezmiernie istotne, aby powiedzieć to jak należy.

Teraz, kiedy nadszedł moment prawdy, zaczęłam się obawiać, że wszystko zepsuję.

Kołysząc się leniwie, obserwowaliśmy płynącą wodę, prawie czarną w zapadającym zmroku pochmurnego dnia. Kyle potarł energicznie twarz, by ją rozgrzać – i zetrzeć łzy.

– Boże – powiedział, a ja się wzdrygnęłam. Nie jestem wampirem, który nie może ścierpieć dźwięku Jego imienia, ale nie lubię, kiedy się go używa nadaremno. Choć może wcale nie nadaremno, pomyślałam, gdy Kyle zaczął mówić dalej.

– Kocham go – rzucił, jakby wyrwano mu słowa z gardła. – Ale on się przede mną zamyka. Ludzie dzwonią w środku nocy, a on wychodzi, nic mi nie mówiąc.

Na ścieżce, którą przyszlismy, pojawił się samotny rowerzysta w przylegającym do ciała kostiumie entuzjasty kolarstwa. Mignął nam przed oczyma szprychami i niebieską lycrą Supermana.

– Ładne nogi – zauważył Kyle.

To była nasza stara gra. Razem z Kyle'em wymienialiśmy uwagi na temat mężczyzn, a Warren udawał, że go to irytuje.

– Za drobny. Nie lubię, kiedy mężczyzna jest ode mnie lżejszy.

Kyle odchylił się i spojrzał w niebo. Położyłam mu głowę na ramieniu.

– W zeszłym miesiącu, kiedy byliśmy w Seattle, przegonił grupę podpitych wsioków bluzgających na gejów, po prostu odstraszył ich kilkoma słowami. Ale ten Darryl traktuje go jak... jak śmiecia, a Warren pokornie to znosi. Nie potrafię tego zrozumieć. No i jeszcze ta dzisiejsza sytuacja... – Zaczerpnął powietrza, gotując się na najgorsze. – Czy on jest zamieszany w jakieś narkotyki?

Szybko potrząsnęłam głową.

– Nie. W nic nielegalnego. – Przynajmniej na razie, dodałam w myślach.

– Zatem jest nieczłowiekiem? – zapytał bez skrępowania, jakby zupełnie się nie przejmował taką ewentualnością.

– Wszyscy nieładzie ujawnili się lata temu. Parsknął.

– Jesteś zbyt inteligentna, żeby w to wierzyć. Znam kilku lekarzy i nauczycieli, którzy nadal utrzymują w tajemnicy swoją orientację, a ryzykują co najwyżej utratę pracy. Żadna grupa idiotów nie spali im domów. – Prawie czułam, jak Kyle zaczyna przyzwyczajając się do myśli, że Warren jest nieczłowiekiem, i w jednej chwili napięcie znacznie opadło. – To by wyjaśniało kilka

spraw. Na przykład jego siłę. Albo to, że wie, kto stoi za drzwiami, zanim je otworzy. Cóż, bycie nieczłowiekiem to niezupełnie to samo, co bycie wilkołakiem. Ale skoro potrafił zaakceptować jedno, to może i z drugim sobie poradzi, pomyślałam pełna nadziei.

– Warren nie jest nieczłowiekiem – powiedziałam. Zaczęłam wyjaśniać, czym tak naprawdę jest, ale słowa uwięzły mi w gardle.

– To on powinien mi to mówić – oznajmił Kyle.

– Racja. Ale nie może.

– Masz na myśli, że nie chce mi powiedzieć.

– Nie. Nie może. – Potrząsnęłam głową. – Nie mam wielu przyjaciół. Nie takich, co to przychodzą zjeść z tobą popcorn i obejrzeć jakiś głupawy film. Ty i Warren jesteście kimś w tym rodzaju. Nie mam też wielu przyjaciółek. Moja praca nie sprzyja zawieraniu znajomości z kobietami.

– To dość smutne – skomentował Kyle. – Ty i Warren jesteście jedynymi osobami, z którymi ja jem popcorn – dodał.

– To wręcz żenujące. – Przekomarzanki dodały mi odwagi. Wstrzymałam oddech i po prostu powiedziałam: – Warren jest wilkołakiem.

– Czym? – Kyle przestał się kołysać.

– Wilkołakiem. No wiesz, takie coś z dużymi kłami, co to pod wpływem księżyca biega na czterech łapach.

Spojrzał mi w twarz. – Mówisz poważnie. Przytaknęłam.

– A ty milczysz jak grób.

– Och?

– To dlatego Warren nie mógł ci powiedzieć. Zakazał mu Adam, Alfa stada. Jeśli piśniesz komuś słówko, władzom albo gazetom, to zginiesz niezależnie od tego, czy ktokolwiek ci uwierzy. – Wiedziałam, że mówię zbyt szybko, ale nie potrafiłam zwolnić. Wcześniej, w towarzystwie Samuela i Warrena, nie wydawało się to takie niebezpieczne, bo im prawdopodobnie na mnie zależało. Problem w tym, że w mieście żyło całe mnóstwo wilkołaków, które chętnie by mnie ukatrupiły

– mnie i Kyle'a – za to, co właśnie powiedziałam. – Warren musiałby z nimi walczyć ale jest ich zbyt wielu. Zginałby razem z tobą. Kyle podniósł rękę.

– Zaraz, chwilę. Nie sadzisz, że jest nieco za wcześnie, żeby nas zabijać? Wzięłam głęboki oddech.

– I mam nadzieję, że nic się wam nie stanie. Musisz mi po prostu zaufać – oni traktują swoje tajemnice bardzo poważnie. Jak ci się wydaje, dzięki czemu do tej pory pozostają w ukryciu?

– Mercy. – Chwycił mnie za rękę. Jego była zimna, może z powodu wiatru. – Wilkołak?

Nie uwierzył – najgorsza z możliwości.

– Dwadzieścia lat temu nikt nie wierzył w istnienie nie ludzi.

Słuchaj, mogę ci to udowodnić.

Zerknęłam w stronę kępy nagich krzaków. Nie były dość gęste, by mnie zasłonić, ale na rzece nie widziałam łodzi, a jeśli żaden rowerzysta nie nadjedzie w nieodpowiednim momencie... Mogłabym po prostu zmienić postać w ubraniu – robię się przecież mniejsza, a nie większa – ale wolałam już dostać mandat za obsceniczne zachowanie. Kojot w ludzkim ubraniu wygląda nedorzecznie.

– Zaczekaj tutaj. – Zdjęłam płaszcz, by go nie ubrudzić, zeskoczyłam z huśtawki i przebrnęłam przez pożółkłą trawę. Zrzucałam z siebie ciuchy tak szybko, jak potrafiłam, i przemieniłam się, gdy tylko ostatnia część mojej garderoby spadła na ziemię.

Wyszłam na ścieżkę i usiadłam, usiłując wyglądać niegroźnie.

– Mercy? – Twarz Kyle'a znów przybrała chłodny wyraz prawnika, co mogło sugerować, jak bardzo był zszokowany. Naprawdę mi nie wierzył. Zamerdałam ogonem i zawylałam. Zszedł z huśtawki jak bardzo, bardzo stary człowiek.

– Kojot?

Ruszył za mną, kiedy pobiegłam po rzeczy. Przemieniłam się na jego oczach. Błyskawicznie wskoczyłam w ciuchy, ponieważ usłyszałam nadjeżdżający rower.

– Nie jestem wilkołakiem – oznajmiłam, poprawiając włosy. –

Ale nic lepszego nie zobaczysz, zanim nie namówisz Warrena, żeby się dla ciebie przemienił.

Kyle burknął zniecierpliwiony i zajął się moją fryzurą.

– Wilkołaki są większe. – Czułam, że powinnam go ostrzec. – Dużo większe. Nie wyglądają jak wilki. Wyglądają jak naprawdę, naprawdę duże wilki, które mogłyby cię zjeść.

– W porządku – odparł, robiąc krok w tył. Myślałam, że chodzi mu o moje włosy, dopóki nie zaczął mówić dalej. – Warren jest wilkołakiem.

Spojrzałam w jego twarz prawnika i westchnęłam.

– Nie mógł ci powiedzieć. Słuchaj, jeśli ja ci mówię, a ty nie robisz nic głupiego, to oboje jesteśmy bezpieczni. Ale gdyby on ci powiedział, zlekceważyłby bezpośredni rozkaz. Bez względu na twoją reakcję zostałyby ukarany.

Kyle nadal nie dawał po sobie niczego poznać. Zamknął się w sobie do tego stopnia, że nie potrafiłam wyczuć jego emocji. Większość ludzi nie posiada tak żelaznej samokontroli.

– Czy jego... stado – na chwilę zaciął się na tym słowie. – Czy oni nie pomyślą, że to Warren mi powiedział?

– Wiele wilkołaków potrafi wyczuć kłamstwo. Zorientują się, jak poznałeś prawdę.

Wrócił na huśtawkę i przyniósł mi płaszcz.

– Opowiedz mi o wilkołakach.

Właśnie wyjaśniałam, jak niebezpieczny potrafi być wilkołak i dlaczego flirtowanie z Samuelem – czy Darrylem – nie należało do najbardziej błyskotliwych pomysłów, kiedy zadzwonił telefon.

Dzwonił Zee.

– Interesy? – zapytał Kyle, gdy już się rozłączyłam.

– Tak. – Zagryzłam wargę. Uśmiechnął się.

– W porządku. Myślę, że zdradziłaś mi dość tajemnic jak na jeden dzień. Rozumiem, że musisz teraz wracać do Warrena?

– Na razie z nim nie rozmawiaj. Oswój się z tym, co już wiesz. Jeśli będziesz miał pytania, dzwoń.

– Dzięki, Mercy. – Chwycił mnie pod ramię. – Ale resztę muszę omówić z Warrenem – kiedy już skończy załatwiać swoje

sprawy.



Rozdział 9

Kiedy weszłam, Samuel i Warren siedzieli w przeciwległych kątach salonu, a w powietrzu wisiał gęsty zapach gniewu. Patrząc na nich, nie mogłam stwierdzić, czy byli źli na siebie, czy na coś innego. Wilkołaki zawsze są gotowe o coś się pozłościć. Już zapomniałam, jak to jest.

Oczywiście nie tylko ja miałam dobry nos. Siedzący bliżej drzwi Warren wziął głęboki oddech.

– Była z Kyle'em – powiedział apatycznym głosem. – Pachnie jak woda kolońska, którą mu kupiłem. Powiedziałaś mu. – Obrzucił mnie przekleństwami, ale bardziej z powodu bólu niż gniewu. Poczułam ukłucie winy.

– Ty nie zamierzałaś mu powiedzieć – rzekłam. To nie były przeprosiny. – A zasługuje, by wiedzieć, że nie musi przechodzić przez to całe gównu wyłącznie z twojego powodu.

Warren potrząsnął głową i spojrzał na mnie zrozpaczonym wzrokiem.

– Masz jakieś życzenie przed śmiercią? Za to, co zrobiłaś, Adam może kazać zabić ciebie i Kyle'a. Już to wcześniej widziałem.

– Tylko mnie, nie Kyle'a – powiedziałam.

– Tak, do cholery, Kyle'a też.

– Tylko jeśli twój kochanek postanowi pójść do prasy albo na policję – wtrącił Samuel łagodnym głosem, ale Warren i tak spiorunował go wzrokiem.

– Podjęłaś zbyt duże ryzyko, Mercy – powiedział, odwracając głowę w moją stronę. – Jak myślisz, jak się będę czuł, jeśli stracę was oboje? – Cały gniew nagle go opuścił, zostało jedynie cierpienie. – Może miałaś rację. To był mój obowiązek. Moje ryzyko. Jeśli miał się dowiedzieć, to wyłącznie ode mnie.

– Nie. Ty należysz do stada i przysięgałeś posłuszeństwo. – Adam zakołysał się u szczytu schodów, wsparty na lasce. Miał na sobie białą koszulkę i dżinsy. – Gdybyś mu powiedziała, musiałbym postąpić zgodnie z prawem, bo w innym wypadku ryzykowałbym bunt stada.

Odniosłam wrażenie, że usiadł na schodku gwałtowniej, niż zamierzał. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Samuel i ja możemy zaświadczyć, że to ty powiedziałaś wszystko Kyle'owi. Pomimo sprzeciwów Warrena, mógłbym jeszcze dodać. A jak to usilnie podkreślasz, nie należysz do stada.

– Adam spojrzał na Warrena. – Już dawno temu dałbym ci pozwolenie, ale ja też muszę przestrzegać pewnych zasad.

– Wiedziałaś, że mam zamiar wyśpiewać wszystko Kyle'owi – powiedziałam.

– Przez chwilę myślałem, że będę musiał zejść i kategorycznie ci tego zabronić, żebyś wreszcie rzuciła się za nim w pogoń.

– Ty podstępny draniu – wypaliłam. Tego już za wiele. Czas ściągnąć koła ze starego Królika.

– Dziękuję – obdarzył mnie skromnym uśmiechem.

A kiedy już odbijemy Jesse, zabiorę się za graffiti.

– Jak to przyjął? – zapytał Warren. Wstał z kanapy i podszedł do okna. Trzymał ręce swobodnie wzdłuż ciała, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Nie pobiegł na policję – odparłam. Zastanawiałam się, w jaki sposób podsycić jego nadzieję. W końcu jednak doszłam do wniosku, że lepiej tego nie robić, na wypadek gdybym pomyliła się co do Kyle'a. – Powiedział, że z tobą porozmawia,

kiedy zakończy się ta sprawa.

Warren przytknął dłonie do twarzy w geście bardzo podobnym do tego, jaki wcześniej uczynił Kyle.

– Przynajmniej to nie koniec. Jeszcze nie. Nie potrafiłam znieść jego smutku. Położyłam mu rękę na ramieniu i powiedziałam:

– Jeśli niczego nie zepsujesz, to powinien się z tym pogodzić.

Razem z Samuelem jechaliśmy na spotkanie z Zee i jego informatorką. Nadal nie wiedziałam, czy powinnam być wściekła na Adama za to, że mną manipulował. Tylko że tak naprawdę nie posunął się do manipulacji, prawda? Jedyne, co zrobił, to po całym zamieszaniu przypisał sobie wszystkie zasługi.

Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle nieco zbyt blisko minivana. Dłoń Samuela znalazła się na desce rozdzielczej, a on sam wstrzymał oddech. Zrobiłam minę do dziecka, które wyplątało się z pasa i odwróciło w naszą stronę. Dzieciak pociągnął palcami powieki i wystawił język.

– Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko wypadkom drogowym – powiedział Samuel. – Po prostu wolę, gdy dochodzi do nich z jakiegoś ważnego powodu.

– Co? – Zerknęłam na niego, a potem znów przed siebie. Tył minivana tworzył wszechogarniającą ścianę nieco ponad pół metra od przedniej szyby. Nagłe oświetlenie przywołało uśmiech na moją twarz.

– Vanagony mają zupełnie płaską maskę – powiedziałam uspokajająco. – Nasz zderzak znajduje się jakieś trzydzieści centymetrów od palców twoich stóp. Mógłbyś przejść między samochodami.

– Mógłbym wyciągnąć rękę i dotknąć tego dzieciaka. – Chłopiec zrobił kolejną minę, a Samuel nie pozostał mu dłużny, wkładając kciuki do uszu i rozpościerając palce w kształt łopat łośia. – Wiesz, do zadań Adama należało między innymi pilnowanie, byś nie biegała dookoła, rozpowiadając światu o wilkołakach.

Światło zmieniło się na zielone, a dzieciak pomachał nam smutno, kiedy minivan ruszył wjazdem na autostradę. My też przyspieszaliśmy, ale droga wiała się pod górę spiralą, więc

osiągnięcie prędkości autostradowej musiało chwilę potrwać.

Prychnęłam.

– Kyle to nie świat. – Zerknęłam na Samuela. – Poza tym wiedziałeś tak samo dobrze jak Adam, co zamierzałam zrobić. Gdybyś naprawdę miał coś przeciwko, nie pozwoliłbyś mi wyjść.

– Może uważam, że Kyle jest godny zaufania.

Prychnęłam po raz drugi.

– A księżyc jest zrobiony z zielonego sera. Wszystko ci jedno. Uważasz, że wilkołaki muszą się ujawnić tak jak nie ludzie. – Samuel nigdy nie bał się zmian.

– Nie będziemy w stanie dłużej się ukrywać – odparł, potwierdzając moje domysły. – Kiedy wróciłem na studia, uświadomiłem sobie, jak wielki postęp nastąpił w medycynie sądowej. Dziesięć lat temu musieliśmy się martwić wyłącznie laboratoriami wojskowymi i FBI. Wystarczyło kilka zaufanych wilkołaków w odpowiednich miejscach. Niestety, nie mamy ich aż tyle, żeby przeniknąć do laboratoriów policyjnych w każdym małym miasteczku. Odkąd metodzie się ujawnili naukowcy zwracają większą uwagę na różne anomalie, które wcześniej zwykli przypisywać awariom sprzętu lub zanieczyszczeniom próbek. Jeśli tato wkrótce nie skorzysta z odpowiedniej okazji, okazja skorzysta z niego.

– To przez ciebie w ogóle rozważa taką ewentualność. – To miało sens. Bran zawsze brał sobie do serca rady Samuela.

– Tato nie jest głupi. Kiedy zrozumiał, co nas czeka, doszedł do takiego samego wniosku. Zaplanował spotkanie wszystkich Alf tej wiosny. – Przerwał. – Zastanawiał się, czy nie skorzystać z wizerunku Adama, przystojnego bohatera wojny w Wietnamie.

– Dlaczego nie z wizerunku przystojnego, bezinteresownego lekarza, który od wieków ratuje ludziom życie?

– Widzisz, właśnie dlatego to tato dowodzi, a ty jesteś tylko sługą. Nie zapominaj, że według przekazów kultury masowej wszystko, co jest potrzebne, by zostać wilkołakiem, to ugryzienie przez innego wilkołaka. To tak jak z AIDS. Chwilę potrwa, zanim ludzie poczują się swobodnie w naszym towarzystwie. Lepiej

utrzymywać ich w przekonaniu, że wszystkie wilkołaki są w armii i policji. No wiesz –”aby służyć i bronić”.

– Nie jestem sługą – zaprotestowałam. – Sługi muszą podążać w orszaku.

Samuel roześmiał się, zadowolony, że znów zdołał zagrać mi na nerwach.

– Nie masz nic przeciwko, że powiedziałam Kyle'owi wcześniej? – zapytałam po chwili.

– Nie. Miałaś rację. Zbyt dużo ryzykuje, żeby pójść do gazet. No i należy do tego pokroju ludzi, których potrzebujemy po naszej stronie, żeby utrzymać tłumy pod kontrolą.

– Wykształcony, elokwentny, dobrze urodzony prawnik? – spróbowałam. Tak, to wszystko pasowało do Kyle'a. – Ale on jakby wykracza poza główny nurt.

Samuel wzdrygnął się.

– Bycie gejem wiąże się dzisiaj z pewnym prestiżem. Przypomniałam sobie rozmowę z Kyle'em na temat jego rodziny i stwierdziłam, że przynajmniej w niektórych kwestiach Samuel nie ma racji. Ale powiedziałam tylko:

– Dam znać Kyle'owi, że potrafisz go docenić.

Nieoczekiwanie Samuel uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej nie. Jeszcze będzie chciał ze mną flirtować.

– Mówiąc o niezręcznościach – co ciebie i Warrena wyprowadziło z równowagi?

– Głównie Warrena. Obcy, dominujący wilk wtargnął na jego terytorium, a on miał dodatkowe powody do zdenerwowania, bo sądził, że traci miłość swojego życia.

Wyniosłbym się na noc, gdybym wiedział, że ma aż takie skłonności do dominacji. No cóż, poradzę sobie, ale nie będzie to wygodna sytuacja.

– Warren to numer trzy Adama.

– Byłoby miło, gdyby ktoś uznał za stosowne wcześniej mnie o tym poinformować – gderał dalej Samuel. – Biorąc po uwagę, że Adam jest ranny, a jego bezpośredni zastępca nieobecny, rola Alfy przypada Warrenowi – nic dziwnego, że był tak niespokojnie

podniecony. Sam się szykowałem do wyjścia, kiedy wreszcie wróciłaś. – Spojrzał na mnie przenikliwie. – Jakie to dziwne, że przy tobie od razu spuścił z tonu. Tak jakby pojawił się zastępca Adama – albo jego towarzyszka.

– Nie należę do niego – oznajmiłam krótko. – I nie umawiam się z nim. Nie zajmuję w stadzie żadnej pozycji. Odbyłam jedynie długą i nieco spóźnioną rozmowę z Kyle'em – i właśnie to doprowadziło Warrena do szału.

Samuel wydał usta. Z jego oczu nie potrafiłam niczego wyczytać.

– Adam ogłosił przed stadem, że ma do ciebie wyłączne prawo. Wiedziałaś o tym?

Nie. Ze złości wciągnęłam powietrze głęboko w płuca, ale zaraz potem uświadomiłam sobie, jaki mógł być tego powód.

– Musiał się jakoś upewnić, że nikt ze stada nie zrobi mi krzywdy. Wilki zabijają przebywające na ich terytorium kojoty. Ogłaszając mnie swą towarzyszką, zagwarantował mi bezpieczeństwo. Rozumiem, że Bran go o to poprosił. To nie czyni ze mnie członka stada ani towarzyszki Adama. Pierwsze odpada, bo jestem kojotem, a drugie, bo najpierw trzeba mnie zapytać o zdanie.

Samuel zaczął się śmiać, choć jego głos nie brzmiał radośnie.

– Myśl sobie, co chcesz. Ile mamy czasu, zanim dojedziemy do tego baru? – zapytał.

– Jest na drugim końcu Pasco. Dziesięć minut.

– To może opowiedz mi o Zee i tej infbrmatorce. z którą mamy się spotkać.

– O infbrmatorce właściwie nic nie wiem. Tylko tyle, że posiada informacje, które mogą nas zainteresować. Zee to gremlin. Zaoferował mi pracę, gdy skończyłam studia, a po odejściu na emeryturę sprzedał mi warsztat. Nadal mi pomaga, kiedy go potrzebuję – albo kiedy się nudzi. Lubi rozkładać różne rzeczy na części pierwsze i sprawdzać, co z nimi nie tak. Do składania jest zdecydowanie mniej chętny.

– W pobliżu znajduje się rezerwat dla nie ludzi.

Przytaknęłam.

– Jakies sześćdziesiąt pięć kilometrów stąd, tuż za Walla Walla.

– Adam mówi, że tak duża liczba pomniejszych nie ludzi przyciągnęła sporo tych potężniejszych.

– Nic o tym nie wiem. Czuję zapach ich magii, ale nie mogę na tej podstawie stwierdzić, czy są potężni.

– Uważa, że to również z tego powodu w pobliżu Tri-Cities jest więcej wampirów, duchów i czego tam jeszcze niż, powiedzmy, w większym Spokane.

– Staram się nie mieszać w sprawy innych gatunków – oznajmiłam. – Nie mogę całkowicie unikać wilkołaków, nie z Adamem mieszkającym drzwi obok, ale się staram. Jedynymi nie ludźmi, z którymi pozostaję w kontakcie, są Zee i jego syn Tad.

– Nie ludzie chcą z tobą rozmawiać. – Samuel wyciągnął nogi i założył ręce na kark. – Według Adama, twój dawny szef jest jednym z najstarszych nie ludzi i, do twojej wiadomości, gremliny nie są zaliczane do tych pomniejszych. Co więcej, Warren twierdzi, że wampir Stefan odwiedza cię dość często. No i dochodzi do tego ten człowiek, policjant. Przyciąganie uwagi policji nie jest dobrym pomysłem.

Rzeczywiście zabrzmiało to tak, jakbym się ze wszystkimi spoufalała.

– Zee został zmuszony przez Szarych Panów do wyjścia z ukrycia – powiedziałam. – Ktoś zatem uważa, że należy do pomniejszych nie ludzi. Stefan kocha swojego busa, a ja pozwalałam, by mi pomagał przy naprawach.

– Słucham?

Zapomniałam, że Samuel nigdy nie spotkał Stefana.

– On nie jest jak większość wampirów. – Chociaż Stefan był jedynym wampirem, jakiego znałam, wiedziałam, jak powinni się zachowywać – ja też chodziłam do kina.

– Oni wszyscy są jak większość wampirów – oznajmił ponuro Samuel. – Niektórzy z nich po prostu lepiej niż inni to ukrywają.

Kłótnia z Samuelem nie przyniosłaby żadnego pożytku –

szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że w zasadzie się z nim zgadzałam.

– A policjant to nie moja wina – mruknęłam, mijając granicę Pasco. Zdaje się, że był to dobry moment na zmianę tematu, więc powiedziałam: – „Czarodziejska Góra” w Walla Walla to bar, gdzie turyści przychodzą pooglądać nieładzi. Ci, którzy me chcą robić za eksponaty w zoo, w większości przesiadują „U wujka Mike'a” tu, w Pasco. Podobno rzucono na to miejsce jakiś urok, dzięki czemu ludzie go unikają. Na mnie nie działa, ale nie wiem, jak z wilkołakami.

– Beze mnie nie wchodzisz – rzucił twardo Samuel.

– W porządku.

Nigdy nie kłóć się z wilkołakiem, dopóki nie będziesz musiała, przypomniałam sobie.

Bar „U wujka Mike'a” znajdował się po drugiej stronie rzeki, niedaleko Industrial Park w Pasco. Po obydwu stronach starego budynku stały magazyny niemiło potraktowane przez lokalne dzieciaki. Ściany „Wujka Mike'a” zawsze były świeże i czyste – trudno powiedzieć, czy te same dzieciaki powstrzymywała magia, czy ktoś z pędzlem i dużą ilością farby.

Zaparkowałam i wyłączyłam światła. Było koło siódmej, nieco za wcześnie na tłumy stałych bywalców, i na parkingu stały tylko cztery inne samochody. Między innymi ciężarówka Zee.

Wewnątrz lokalu panował mrok i nieuważna osoba mogła przegapić schodek, który prowadził z przedsionka do głównego pomieszczenia. Samuel na moment przystanął w drzwiach, ale była to raczej część taktyki, a nie reakcja na urok. Bar ciągnął się wzdłuż ściany po naszej prawej stronie. Na środku pomieszczenia znajdował się niewielki parkiet do tańca, wokół którego stały skupiska stolików.

– Tam – rzuciłam do Samuela. Ruszyłam w stronę odległego kąta, gdzie, sprawiając wrażenie zrelaksowanego, siedział Zee. Towarzyszyła mu umiarkowanie atrakcyjna kobieta, ubrana w konserwatywną biurową sukienkę.

Nigdy nie widziałam Zee bez osłony jego uroku. Nosił go już

tak długo, że czuł się wygodniej w przebraniu człowieka – a przynajmniej tak twierdził. Tym razem przybrał postać łysejającego mężczyzny średniego wzrostu z małym brzuszkiem. Twarz miał poraną zmarszczkami, ale nie w sposób, który odbierał jej urody – raczej nadawał charakteru.

Zee uśmiechnął się na nasz widok. On i kobieta zajęli już bezpieczne miejsca przy ścianie, więc usiedliśmy naprzeciwko. Samuel nie dał po sobie poznać, czy niepokoi go fakt, że ma za plecami większą część chwilowo pustego pomieszczenia. Przesunęłam swoje krzesło, by przynajmniej kątem oka widzieć, co się za nami dzieje.

– Cześć, Zee – powiedziałam. – Doktor Samuel Cornick. Samuelu, poznaj Zee.

Zee skinął głową, ale nie przedstawił towarzyszki. Zwrócił się do niej i powiedział:

– To są osoby, o których ci opowiadałem.

Kobieta zmarszczyła brwi i zaczęła stukać po stole długimi, wypielęgnowanymi paznokciami. Sposób, w jaki to robiła, nasunął mi myśl, że pod swoim urokiem mogła skrywać naprawdę długie szpony. Próbowałam określić jej zapach, ale Ostatecznie doszłam do wniosku, że albo żadnego nie miała, albo tak jak Zee pachniała żelazem i ziemią.

Kiedy już przestała wpatrywać się w swoje paznokcie i podniosła wzrok, powiedziała:

– Zee twierdzi, że zaginęło jakieś dziecko.

– Nastolatka – wyjaśniłam. Nieludzie nie lubią myśleć, że są celowo wprowadzani w błąd. – Człowiecza córka miejscowego Alfya.

– To mógłby być problem – powiedziała. – Ale rozmawiałam z Zee. Moje informacje nie mają nic wspólnego z nieludźmi, więc mogę się nimi swobodnie z wami podzielić. Zazwyczaj nie pomagam wilkom, ale nie lubię tych, którzy prowadzą swoje gierki kosztem niewinnych.

Czekałam.

– Pracuję w banku – odezwała się w końcu. – Nazwa nie jest

ważna. W każdym razie to bank, z którego korzystają miejscowe wampiry. Wpływy na ich kontach tworzą pewien stały wzór. – Miała na myśli, że ofiary wampirów dokonywały płatności regularnie każdego miesiąca. Pociągnęła łyk drinka. – Sześć dni temu ktoś dokonał niespodziewanego przelewu. – Przyjezdni zapłacili haracz.

– Wyprostowałam się na krześle. To brzmiało obiecująco. Suma wpłacona przez pojedynczego nieczłowieka czy wilka nie zwróciłaby niczyjej uwagi.

– Zanim przyszlście, rozmawiałem z wujkiem Mikelem – powiedział cicho Zee. – Nie słyszał o żadnych nowych w mieście, co oznacza, że te osoby zachowują się bardzo cicho.

– Musimy zapytać wampiry – oznajmił Samuel. – Adam będzie wiedział, jak do nich dotrzeć.

– Strata czasu. – Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer Stefana. Było dość wcześnie, dla wampira prawdopodobnie za wcześnie, ale Stefan sam kiedyś do mnie dzwonił o podobnej porze.

– Mercy – powiedział ciepło. – Wróciłaś już z wycieczki?

– Tak, Stefanie. Potrzebuję twojej pomocy.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Coś w jego głosie uległo zmianie, ale nie mogłam się tym teraz przejmować.

– Późną nocą z wtorku na środę grupa osób, do której należały obce wilkołaki, porwała córkę Alfę. Ona jest moją przyjaciółką, Stefanie. Ktoś mi powiedział, że twoja chmara może coś wiedzieć na temat nowego stada.

– Och, nie jestem odpowiedzialny za ten obszar. Chcesz, żebym zasięgnął informacji?

Zawahałam się. Niewiele wiedziałam o wampirach, wiedziałam natomiast, że dobrym zwyczajem było ich unikać. Formalny ton pytania kazał mi sądzić, że kryło się za nim coś więcej.

– Co dokładnie miałoby to oznaczać? – zapytałam ostrożnie. Stefan roześmiał się wesołym, zupełnie nieprzystającym do wampira śmiechem.

– Dla ciebie same dobre rzeczy. To znaczy, że wybierasz mnie na swojego reprezentanta. Dzięki temu zyskuję pewne prawa, których inaczej mógłbym nie mieć.

– Prawa do mnie?

– Żadnego, które bym wykorzystał – zapewnił. – Daje ci słowo. Mercedes Thompson. Nie zmuszę cię do zrobienia czegokolwiek wbrew twojej woli.

– W porządku. A więc tak, chciałabym, żebyś zasięgnął dla mnie informacji.

– Co wiesz?

Zerknęłam na siedzącą przy stole kobietę. Jej twarz niczego nie zdradzała.

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Doszły mnie słuchy, że twoja chmara wie o nowych w Tri-Cities. Oni mogą być grupą, której szukam. Jeśli nie ma w niej żadnych wilkołaków, to zapomnij o sprawie. Możliwe, że przeprowadzają jakieś eksperymenty z lekarstwami albo narkotykami.

– Postaram się czegoś dowiedzieć. Trzymaj telefon pod ręką.

– Nie jestem pewny, czy to było mądre – powiedział Zee, kiedy się rozłączyłam.

– Mówiłeś, że ona ma do czynienia z wilkołakami. – Kobieta spojrzała w moją stronę, wykrzywiając pogardliwie usta. – Nie mówiłeś, że ma też do czynienia z nieumarłymi.

– Jestem mechanikiem – wyjaśniłam. – Nie zarabiam wystarczająco dużo, by płacić wampirom gotówką, więc naprawiam im samochody. Stefanowi odnawiam starego busa. To jedyny wampir, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia.

Nie wyglądała na szczęśliwą, ale jej wargi powróciły do normalnego stanu.

– Doceniam pani poświęcenie – powiedziałam. Prawie „dziękuję”, które, wyrażone dosłownie, mogło nas wpakować w kłopoty. Dla niektórych nie ludzi – tych nieodpowiednich, można dodać – podziękowanie oznacza tyle samo, co przyznanie, że ma się wobec nich dług. A wtedy trzeba zrobić cokolwiek, o co poproszą. Zee bardzo starannie wypleniał ze mnie nawyk

dziękowania. – Alfa również będzie bardzo szczęśliwy, mogąc odzyskać córkę.

– Szczęście Alfy zawsze cieszy – odparła. Nie potrafiłam stwierdzić, czy powiedziała to szczerze, czy z przekąsem. Gwałtownie wstała, wygładzając suknię i dając mi czas, żebym zrobiła przejście. Zanim wyszła, zatrzymała się przy barze i szepnęła coś barmanowi.

– Pachnie jak ty – powiedział Samuel do Zee. – Też jest metalowcem?

– Gremlinem, proszę – zachnął się Zee. – To być może tylko nowa nazwa dla starej rzeczy, ale zawsze to jakiś argument. Ona jest trollem – występuje między naszymi gatunkami pewne dalekie pokrewieństwo. Trolle lubią pieniądze i lichwę. Wiele z nich pracuje w bankowości. – Spojrzał na mnie, marszcząc czoło. – Nie wchodź sama do tego gniazda wampirów, Mercy, nawet pod eskortą Stefana. Stefan wydaje się lepszy od pozostałych, ale żyję na tym świecie długo i wiem, że nie można ufać wampirom. Im są miłsze, tym groźniejsze.

– Nie zamierzam nigdzie wchodzić – uspokoiliam go. – Samuel ma rację, to nie wilki płacą haracz. To najprawdopodobniej jakieś osoby, które nie mają nic wspólnego z porwaniem. Zadzwoił mój telefon.

– Mercy?

Ton głosu Stefana brzmiał niepokojąco. Usłyszałam coś jeszcze, ale w barze zrobiło się tłoczniej i ktoś zgłosił muzykę.

– Poczekaj chwilę – prawie krzyknęłam, a potem skłamałam.

– Przepraszam, nic nie słyszę. Wyjdę na zewnątrz. – Skinęłam na Samuela i Zee.

Samuel wyszedł ze mną na parking. Zaczął mówić, ale przyłożyłam palec do ust. Nie wiedziałam, jak dobry słuch mają wampiry, a nie chciałam ryzykować.

– Teraz mnie słyszysz, Mercy? – Stefan był pobudzony.

– Tak – odpowiedziałam. Usłyszałam słodki kobiecy głos: „Zapytaj ją, Stefan.”

Stefan wstrzymał oddech, jak gdyby nieznajoma zrobiła coś,

co go zabolalo.

– Czy jest z tobą „U wujka Mike'a” jakiś obcy wilkołak?

– Tak. – Zaczęłam się rozglądać. Nie wyczuwałam w pobliżu niczego, co mogłoby wskazywać na obecność Stefana. Musiałabym go zauważyć. Najwyraźniej wampiry miały swój kontakt „U wujka Mike'a”, kogoś, kto potrafił stwierdzić, że Samuel jest wilkołakiem, i kto znał wilki Adama.

– Moja Pani się dziwi, że nie została poinformowana o nowym gościu.

– Wilki nie proszą o pozwolenie na przyjazd, nie twoją chmarę – powiedziałam. – Adam wie.

– Adam zniknął, pozostawiając stado bez przywódcy. Mówili oboje. Słowa Stefana wciśnięte ciasno pomiędzy jej brzmiały jak echo.

Ona prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że ją słyszę – Stefan o tym wiedział. Pokazałam mu kiedyś, czym jestem. Najwyraźniej nie uznał za stosowne podzielić się tą wiedzą z resztą chmary. Inna sprawa, że ktoś tak słaby jak ja niewiele interesował wampiry.

– Stado ma przywódcę – oznajmiłam.

– Stado jest słabe – odpowiedzieli. – A wilki ustanowiły precedens. Zapłaciły za wejście na nasze terytorium, ponieważ dominujemy nad małym stadem Adama.

Samuel zwęził oczy i ściągnął twarz. Ktokolwiek zapłacił wampirom, należał do grupy, która zabiła Maca i porwała Jesse.

– Więc wśród nowych gości są wilkołaki – powiedziałam ostro. – To nie są wilki Brana, nie należą do żadnego stada. To banici bez statusu. Sama zabiłam dwóch z nich, Adam kolejnych dwóch, a sam wiesz, że nie dysponuję zbyt dużą siłą. Prawdziwe wilki, wilki, które należą do stada, nigdy nie dałyby się zabić komuś tak słabemu jak ja. – To była prawda i miałam nadzieję, że oboje ją usłyszeli.

Nastąpiła długa przerwa. Ze słuchawki dochodziło pomrukiwanie, ale nie potrafiłam rozróżnić słów.

– Być może – powiedział w końcu Stefan zmęczonym głosem. –

Przyjeźdź do nas ze swoim wilkiem. Zdecydujemy, czy potrzebuje przepustki. Jeśli nie, nie widzimy powodu, żeby nie przekazać wam wszystkich informacji na temat tych banitów.

– Nie wiem, gdzie jest siedziba twojej chmary.

– Przyjadę po was – oznajmił momentalnie Stefan, najwyraźniej już sam. Rozłączył się.

– Chyba jednak odwiedzimy dzisiaj gniazdo wampirów – powiedziałam. Nie zauważyłam, kiedy Zee wyszedł z baru, ale stał teraz obok Samuela. – Znasz wampiry?

Samuel wzdrygnął się.

– Odrobinę. Miałem z nimi do czynienia raz czy dwa razy w życiu.

– Jadę z wami – oznajmił stary mechanik i wychylił resztkę szkockiej ze szklaneczki, którą ze sobą wyniósł. – Moje umiejętności wam nie pomogą – metal nie jest dla nich żadną zmorą – ale wiem co nieco o wampirach.

– Nie – zaprotestowałam. – Potrzebuję cię do czegoś innego. Jeśli do jutra rana się nie odezwę, zadzwoń pod ten numer. – Wyciągnęłam z portfela stary rachunek i zapisałam na nim numer telefonu. – To do Warrena, wilka, który jest numerem trzecim Adama. Powiedz mu tyle, ile wiesz.

Wziął kartkę.

– Ani trochę mi się to nie podoba – westchnął, ale schował rachunek do kieszeni w geście milczącej zgody. – Szkoda, że nie macie więcej czasu na przygotowania. Nosisz ze sobą jakiś symbol wiary. Mercy? Może krzyż? Nie jest tak skuteczny, jak to przedstawił pan Stoker, ale pomoże.

– Ja mam – wtrącił Samuel. – Bran każe nam je nosić. Co prawda w naszej części Montany raczej trudno o wampira, ale są inne istoty, na które krzyżyki całkiem nieźle działają. –

Na przykład na co poniektórych paskudniejszych nie ludzi. Samuel nie wspomniałby jednak o tym w obecności Zee, tak jak Zee nigdy by nie wspomniał, że trzecia i czwarta kula w jego rewolwerze zostały wykonane ze srebra – osobiście mu je zrobiłam. Nie żeby sam nie potrafił zrobić tego lepiej, ale jeśli

wpadłby w jakieś tarapaty z udziałem wilkołaków, to wina spadłaby na mnie.

– Mercy?

Nie lubię krzyży. Moja niechęć nie ma nic wspólnego z metafizyką, jak w przypadku wampirów. Kiedy żyłam w stadzie Brana, też nosiłam krzyżyk. Opanowałam całą linię argumentacji pod tytułem: „trzeba być chorym, żeby paradować z instrumentem męki Chrystusa jako symbolem Księcia Pokoju, który nauczył nas wzajemnej miłości”. To dobra linia argumentacji i nawet w nią wierzę.

Tak naprawdę jednak krzyże napędzają mi stracha. Bardzo wyraźnie pamiętam, jak w wieku czterech czy pięciu lat poszłam z matką do kościoła przy okazji jednej z jej nielicznych wizyt. Była biedna i mieszkała w Portland, zatem nie mogła sobie pozwolić na częste odwiedziny. Kiedy już udało się jej przyjechać, lubiła zorganizować coś wyjątkowego. Pojechaliśmy do Missoula na weekend dla matek i córek. W niedzielę wybrałyśmy na chybił trafił jakiś kościół – raczej nie dlatego, że moja matka była jakoś szczególnie religijna. Po prostu czuła, że powinna mnie choć raz zabrać do kościoła.

Zostawiła mnie samą, by porozmawiać z pastorem czy księdzem, a ja zawędrowałam w głąb budynku. Skręciłam za róg i zobaczyłam przeogromną postać Chrystusa na krzyżu. Moje oczy znajdowały się na poziomie jego stóp, przybitych do krzyża za pomocą potężnego gwoźdźca. Pewnie jakoś bym to zniosła, ale ktoś utalentowany pomalował je tak, że wyglądały jak prawdziwe, całe we krwi. Tamtego dnia nie zostałyśmy na mszy, a ja już zawsze widziałam umierającego Syna Bożego, kiedy patrzyłam na krzyż.

A więc dla mnie żadnych krzyży. Pamiętając jednak o przestroгах Brana, nosiłam ze sobą coś innego. Niechętnie ściągnęłam wisiołek.

Samuel zmarszczył brwi. Prawdopodobnie nie potrafił stwierdzić, co przedstawiała drobna figurka.

– Pies? – zapytał Zee.

– Baran – powiedziała z ociąganiem. Schowałam wisiołek pod koszulę. – Jedno z określeń Chrystusa to „Baranek Boży”. Ramiona Samuela zadrżały.

– Tak, już to widzę, Mercy pacyfikuje hordeę wampirów, świecąc im po oczach srebrną owcą.

Odepchnęłam go, czując napływające do policzków ciepło – nie pomogło. Zanucił drwiącym głosem:

– Mercy miała owieczkę...

– Zawsze mi mówiono, że liczy się wiara osoby noszącej dany przedmiot – powiedział Zee, choć nie zabrzmiało to przekonująco. – Przypuszczam, że jeszcze nie próbowałaś używać tego przeciwko wampirom?

– Nie – odparłam krótko, rozgniewana piosenką. – Ale skoro, jak twierdzi Bran, gwiazda Dawida działa, to jagnię też powinno.

Odwróciliśmy się, słysząc nadjeżdżający samochód. Pasażerowie wysiedli, a kierowca uchylił wyimaginowanego kapelusza w stronę Zee. Weszli do „Wujka Mike'a” – nie było wśród nich żadnych wampirów.

– Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć? – zapytałam Zee, który wydawał się najlepiej poinformowaną osobą w towarzystwie. O wampirach na pewno wiedziałam tylko jedno: figurowali na szczycie listy „trzymać się z dala od”.

– Modlitwa nie działa. Chociaż wydaje się, że wywiera jakiś efekt na demony i niektórych z najstarszych mrocznych nie ludzi. Czosnek nie działa...

– Chyba że do odstraszania insektów – wtrącił Stefan, który zmaterializował się między samochodami. – Krzywdy nie robi, za to cholernie śmierdzi, a smakuje jeszcze gorzej. Jeśli nikogo nie będziecie denerwować i dopilnujecie, by wasz wilczy przyjaciel nie jadł dzisiaj czosnku, nie powinniście trafić do karty dań.

Nie usłyszałam, kiedy się zjawił. Nie zobaczyłam go ani nie wyczułam, dopóki się nie odezwał. Nie wiadomo skąd Zee wyciągnął długi jak moje ramię sztylet i stanął pomiędzy mną a wampirem. Samuel warknął.

– Proszę o wybaczenie – powiedział pokornie Stefan, kiedy się zorientował, jak bardzo nas przestraszył. – Ukrywanie się przed zmysłami innych istot jest jednym z moich talentów, ale zazwyczaj nie wykorzystuję go przeciwko przyjaciołom. Spotkała mnie przed chwilą nieprzyjemna sytuacja i nadal mam się na baczności.

Stefan był raczej wysoki, ale zawsze sprawiał wrażenie, jakby zajmował mniej przestrzeni niż powinien. Z tego powodu nie wyglądał na dużego mężczyznę, dopóki obok kogoś nie stanął. Zauważyłam, że wzrostem i szerokością w barkach dorównywał Samuelowi, chociaż brakowało mu muskulatury wilkołaka.

Dzięki twarzy o regularnych rysach mógł uchodzić za przystojnego, jak sędzę. Zwykle jednak przykuwał uwagę przede wszystkim bogatą mimiką, na przykład teraz – szerokim uśmiechem.

W tej samej chwili Stefan groźnie na mnie spojrzał.

– Skoro mam cię zabrać przed oblicze Pani, wolałbym, żebyś się nieco schludniej ubrała.

Spojrzałam w dół. Nie zmieniałam ubrań od feralnej nocy w domu Adama. Wydawało się, jakby od tego czasu minął już tydzień, a nie zaledwie dwa dni. Koszulkę sprezentował mi sam Stefan, kiedy mu pokazałam, jak regulować rozrząd w busie. Na jej przedzie widniał napis: SZCZĘŚCIE TO NIEMIECKA TECHNOLOGIA, WŁOSKA KUCHNIA I BELGIJSKA CZEKOLADA, a obok malowała się ogromna plama po kakao. Uświadomiłam sobie, jak długo już noszę tę koszulkę, i dotarło do mnie, że pachniała nieco mocniej niż zwykle – i to nie proszkiem do prania ani zmiękcaczem do tkanin.

– Wróciliśmy do miasta późnym popołudniem – wytłumaczyłam przepraszająco. – Nie miałam okazji zajrzeć do domu i wskoczyć w coś czystego. Ale ty nie wyglądasz o wiele lepiej.

Stefan także spojrzał w dół, kołysząc się na piętach i rozkładając ręce jak przesadnie gestykujący komik w wodewilu. Miał na sobie dziurawe džinsy i czarną, zapinaną

na guziki koszulę z długimi rękawami, narzuconą na biały podkoszulek. Nigdy nie nosił się elegancko, ale z jakiegoś powodu jego strój zawsze sprawiał wrażenie... sztucznego, jak gdyby stanowił rodzaj przebrania.

– Co, to? To mój najlepszy wyjściowy zestaw wampira – oznajmił. – Może powinienem zamienić dzinsy i podkoszulek na czarne, ale nie cierpię przesady.

– Myślałam, że nas podwieziesz. – Rozejrzałam się uważnie. – Gdzie twój samochód?

– Przybyłem tym szybszym sposobem. – Nie wyjaśnił, co to takiego, tylko ciągnął dalej: – Ale widzę twoją furgonetkę. Jakoś się zmieścimy we czworo.

– Zee zostaje.

– Żeby w razie czego sprowadzić posiłki – Stefan zachichotał. Postanowiłam nie komentować tej uwagi.

– Wiesz, gdzie są teraz ci, którzy zaatakowali Adama? – zapytałam.

Pokręcił przecząco głową.

– Pani nie uznała za stosowne dzielić się ze mną informacjami, nie licząc tych, które już wam przekazałem. – Jego twarz na moment stężała. – Nie dam nawet głowy, czy to, co powiedziała, jest prawdą. Całkiem możliwe, że nic nie wie. Może chcesz znaleźć jakąś wymówkę, żeby się z nią nie spotykać, Mercy?

– Ci przyjezdni zabili już jedną osobę i zamienili dom Adama w pobożowisko. Jeśli twoja Pani wie, gdzie można ich znaleźć, musimy jechać i zapytać.

Stefan uklonił się w dziwnie formalny sposób i spojrzał na Samuela, obdarzając go szerokim uśmiechem – jednak nie na tyle szerokim, by ukazać kły.

– Nie znam cię. Musisz być tym nowym.

Przedstawiłam ich sobie. Było jasne, że nie od razu zostaną przyjaciółmi – i to nie z winy Stefana.

Czułam się nieco zaskoczona. Obydwu charakteryzowała pewna niefrasobliwość, która potrafiła przywoływać uśmiechy

na twarzy innych ludzi, ale Samuel zachowywał się w nietypowy, ponury i zawzięty sposób. Trudno było przeoczyć, że nie przepada za wampirami.

Wskoczyłam do furgonetki i czekałam, aż Stefan i Samuel dojdą do porozumienia. Obaj chcieli siedzieć z tyłu. Stefan po prostu usiłował być taktowny, natomiast Samuel za nic w świecie nie chciał mieć wampira za plecami.

Wtrąciłam się, zanim zdążył powiedzieć to głośno:

– Stefan siedzi z przodu, bo musi mi wskazywać drogę.

Zee zapukał w okno. Zapaliłam silnik i opuściłam szybę. Podał mi sztylet – ten sam, który wyciągnął wcześniej przed Stefanem – oraz coś skórzanego, co wyglądało na pochwę i pas.

– Weź to – powiedział. – Pas się rozciąga, więc założysz go bez problemu.

– Można? – nieśmiało poprosił Stefan z siedzenia obok. Zee sztywno skinął głową.

Stefan chwycił sztylet i zbliżył go do żarówki na suficie furgonetki, a potem obrócił nim w jedną i w drugą stronę. Zanim zdążył mi go oddać, chwycił go wciśnięty pomiędzy siedzenia Samuel. Chciał sprawdzić, jak ostry jest koniuszek sztyletu, i ukłuł się w kciuk. Wstrzymując oddech, gwałtownie odsunął dłoń, a palec włożył do ust. Na początku nic się nie działo. Potem, zupełnie niespodziewanie, furgonetkę wypełniła moc, ale nie taka, jaką potrafią przywoływać Alfy, i zupełnie niepodobna do magii Elizawiey Arkadiewnej. W pewien sposób przypominała moc uroku nie ludzi i pozostawiła w moich ustach posmak krwi oraz metalu. Po chwili wszystko wróciło do normy.

– Podpowiem, że karmienie starych ostrzy własną krwią nie jest dobrym pomysłem – powiedział łagodnie Stefan.

Zee roześmiał się na całe gardło, rozdziawiając usta i odrzucając w tył głowę.

– Słuchaj wampira, Samuelu, synu Brana. Trochę za bardzo zasmakowałeś mojej córeczce.

Samuel oddał mi sztylet.

– Zee – powiedział, a potem, jak gdyby coś sobie nagle

uświadomił, dodał: – Siebold Adelbertkrieger aus dem Schwarzenwald.

– Siebold Adelbertsmiter z Rezerwatu Walla Walla – poprawił go Zee.

– Siebold, pogromca Adelberta z Czarnego Lasu – przetłumaczyłam, po raz pierwszy robiąc użytek z dwuletniego kursu języka obcego. Po niemiecku czy po angielsku – słowa, które w ustach Samuela zabrzmiały jak tytuł szlachecki, nadal nic mi nie mówiły.

Mieszkańcy każdej irlandzkiej wioski potrafią wymienić z pamięci imiona nieludzi, którzy kiedykolwiek nawiązali relacje z ich przodkami, a okoliczne skały i sadzawki noszą nazwy pochodzące od wciąż żyjących krasnoludków i kelpie. Legendy niemieckie zazwyczaj skupiają się na bohaterach, Tylko o nielicznych z niemieckich nieludzi, jak na przykład o Lorelei czy Rumpelstiltskinie, krążą opowieści, które uczciwie ostrzegają, z jakim nieczłowiekiem ma się do czynienia.

Więc jednak Samuel wiedział coś o starym gremlinie... Zee dostrzegł w moich oczach rodzące się podejrzenie i znów zachichotał.

– Nie zaczynaj, dziewczyno. Żyjemy w teraźniejszości. Przeszłość niech sama o siebie zadba. Mam stopień naukowy z historii, co stanowi jeden z powodów, dla których zostałam mechanikiem. Zazwyczaj do zaspokojenia tęsknoty za przeszłością wystarczy mi powieść historyczna albo dworskie romansidło.

Już wcześniej próbowałam wyciągnąć z Zee jakieś ciekawe opowieści, ale, jak wilkołaki, nie był skory do zwierzeń. Najwidoczniej przeszłość skrywa zbyt wiele mrocznych tajemnic Uzbrojona w nazwisko zamierzałam przetrząsnąć Internet, gdy tylko wrócę do domu. Kiedy Zee spojrział na Stefana, rozbawienie znikło z jego twarzy.

– Sztylet prawdopodobnie niewiele pomoże przeciwko wampirom, ale czuję się lepiej ze świadomością, że Mery ma jakieś narzędzie obrony.

Stefan kiwnął głową.

– Pozwolimy jej zatrzymać.

Leżący na moich kolanach sztylet wyglądał niepozornie.

Dopiero gdy przypomniałam sobie pieśczętę jego mocy, ostrożnie wsunęłam go do futerału.

– Nie patrz im w oczy – powiedział nagle Zee. – Ciebie to też dotyczy, doktorze Cornick.

– Nie graj z wampirami w gierki o dominację. Pamiętam. Druga połowa tego starego aforyzmu wilkołaków brzmi: „po prostu je zabij”. Byłam szczęśliwa, że Samuel ją przemilczał.

– Jakież inne przestrogi, wampirze, przyjacielu Mercy? – zapytał Zee.

Stefan wzruszył ramionami.

– Nie wyraziłbym na to zgody, gdybym naprawdę sądził, że Pani ma złe intencje. Ona się po prostu nudzi. Mercy ma talent do udzielania odpowiedzi, które niczego nie obiecują. Jeśli wilk też to potrafi, wszyscy znajdziemy się bezpieczni we własnych łóżkach, zanim nadejdzie świt.



Rozdział 10

Nie jestem pewna, co spodziewałam się ujrzeć, jadąc do siedziby wampirów. Przypuszczam, że na moich wyobrażeniach odcisnęły piętno wszystkie te nocne filmidła, bo oczekiwałam widoku ogromnej wiktoriańskiej rezydencji w biednej części musu. Jest kilka takich posiadłości w okolicach centrum Wennewick, większość z nich wychuchana i wymalowana jak operowe diwy. Znalazłoby się też kilka zaniedbanych dzielnic, jednak są one zagospodarowane domami zbyt małymi, aby pomieścić nawet niewielką chmarę.

Nie powinnam czuć się zaskoczona, że na mijanych podjazdach stały mercedesy, porsche i BMW. Droga przecinała stok wzgórza, z którego rozciągał się widok na miasto. Na stromo opadających działkach lekarze, prawnicy i dyrektorzy od trzydziestu lat stawiali swoje trzy tysiące metrów kwadratowych. Jak nam jednak powiedział Stefan, wampiry były tu pierwsze.

Asfaltową ulicę zastąpiła węższa zwirowa droga, wciśnięta pomiędzy parę dwupiętrowych gmachów z cegły. Wyglądała na podjazd, ale minęliśmy domy i wjechaliśmy na teren niezabudowany.

Przez jakieś pół kilometra ciągnęły się typowe dla

wschodniego Waszyngtonu zarośla – głównie stokłosa, bylice i buzdyganki ziemne. W końcu wspięliśmy się na szczyt wzgórza, które zasłaniało dwupiętrową, rozlazłą hacjendę otoczoną wysokim na dwa i pół metra murem. Kiedy zjeżdżaliśmy w dół, nasz widok ograniczał się do tego, co zdołaliśmy dostrzec przez podwójne bramy z kutego żelaza. Zdobiące fasady szerokie hiszpańskie łuki świetnie spełniały swą rolę, ukrywając brak okien.

Na polecenie Stefana zaparkowałam tuż przy murze na wyrównanej części gruntu. Zanim Samuel zdążył wysiąść, wampir wyskoczył i obszedł samochód, aby otworzyć mi drzwi.

– Mam to zostawić? – zapytałam, unosząc w górę sztylet. Po drodze doszłam do wniosku, że skoro i tak nie mogłam go ukryć bez pomocy nieczłowieczego uroku, może byłoby rozsądniej nie brać go wcale.

Stefan wzruszył ramionami, klepiąc się rytmicznie po udach, jak gdyby do jego uszu docierała muzyka, której ja nie słyszałam. Taki już miał nawyk: rzadko bywał całkowicie nieruchomy.

– Taki relikwiarz może wzbudzić wśród nich większy respekt. Weź go – poradził Samuel.

– Martwiłam się, że popsuję nastrój.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek musiał się dzisiaj uciekać do przemocy – powiedział Stefan. – Sztylet niczego nie zmieni. Chociaż w tym stanie jest nielegalny, więc pamiętaj, żeby go zabrać, zanim wyjdiesz. – Puścił do mnie oko.

A więc owinęłam skórzany pas wokół bioder. Przełożyłam końcówkę przez ręcznie wykonaną sprzączkę i zacisnęłam.

– Za luźno – powiedział Stefan, wyciągając rękę, ale Samuel go uprzedził.

– Owiniemy pas dookoła tali, a potem naciągniemy go na biodra, żeby się nie zsunął pod ciężarem ostrza.

Kiedy już był zadowolony, odsunął się o krok.

– Nie jestem wrogiem – oznajmił mu łagodnie Stefan.

– Wiemy o tym – powiedziałam.

Stefan poklepał mnie po ramieniu, ale mówił dalej:

– Nie jestem twoim wrogiem, wilku. Ryzykuję znacznie więcej, niż sądzisz, biorąc was oboje pod ochronę. Pani chciała posłać po was innych – takich, którzy raczej by się wam nie spodobali.

– Po co ryzykujesz? – zapytał Samuel. – Dlaczego chcesz nas chronić? Wiem, co to może oznaczać. Nie znasz mnie, a Mercy to tylko mechanik.

Stefan roześmiał się, nadal trzymając dłoń na moim ramieniu.

– Mercy nie jest mechanikiem, ale przyjaciółką, doktorze Cornick. Moja matka mawiała, że należy dbać o przyjaciół. Twoja nie? Kłamał. Nie wiem, skąd miałam tę pewność – po prostu ją miałam.

Niektóre wilkołaki potrafią wyczuć kłamstwo. Ja również, ale tylko wtedy, kiedy kłamie ktoś naprawdę dobrze mi znany i kiedy jestem czujna. Ma to coś wspólnego ze zmianą brzmienia naturalnych odgłosów – oddechu, pulsu i tym podobnych. Zazwyczaj nie zwracam na takie drobiazgi dostatecznej uwagi. Nigdy nie potrafiłam rozszyfrować Stefana, nie rozpoznawałam nawet najbardziej elementarnych emocji, którym towarzyszą wyraźne zapachy.

Jego puls i oddech są zazwyczaj nierówne. Czasami myślę, że oddycha tylko po to, by nie krępować innych wampirzą naturą.

Niemniej jednak wiedziałam, że skłamał. I nie zamierzałam tego ukrywać.

– Kłamiesz. Dlaczego nam pomagasz? – Zepchnęłam jego dłoń z ramienia, by się odwrócić i spojrzeć mu w twarz.

Samuel stał za moimi plecami.

– Nie mamy na to czasu – oznajmił Stefan. Część towarzyszącego mu zwykle ożywienia znikła z jego twarzy.

– Musimy wiedzieć, czy możemy ci zaufać. Albo przynajmniej do jakiego stopnia możemy ci zaufać.

Uczynił jeden z tych gestów cyrkowego iluzjonisty, wyrzucając w górę dłoń i unosząc wysoko głowę, ale ja wyczułam subtelną aurę prawdziwej magii. Miała ziemisty posmak, tak jak magia Zee, tyle że w uroku Stefana kryło się coś zdecydowanie bardziej ponurego.

– Świetnie – powiedział. – Tylko nie obwiniajcie mnie za paskudny humor Pani, to przez was musi czekać. Zadzwoń mi dzisiaj do mnie z pewną sprawą.

– Co właśnie zrobiłeś? – zapytał cicho Samuel. Stefan westchnął zirytowany.

– Dopilnowałem, żeby tylko nasza trójka uczestniczyła w tej rozmowie. Pewne stworzenia zbyt dobrze słyszą w nocy.

Ponownie zwrócił się do mnie.

– Kiedy zadzwoniłem do naszej księgowej, zostałem natychmiast połączony z Panią, co nie jest standardową procedurą. Bardziej zainteresowana doktorem Cornickiem niż twoją sprawą, moja Pani kazała mi do ciebie oddzwonić.

Nie chciała, żebym cię eskortował, nie chciała ci zapewnić nawet tak znikomej ochrony, ale zaoferowałem pomoc już wcześniej i nie mogła się sprzeciwić. Jestem tu, Mercy, ponieważ chcę wiedzieć, jakie wydarzenia wybudziły moją Panią z letargu, jej naturalnego stanu, odkąd została tu zesłana. Muszę wiedzieć, czy to coś dobrego, czy raczej bardzo złego dla mnie i mojego gatunku. Skinęłam głową.

– W porządku.

– Ale i tak zrobiłbym to w imię przyjaźni – dodał.

Samuel roześmiał się gorzko.

– Oczywiście. Wszyscy pomagamy naszej Mercy w imię przyjaźni.

Nie weszliśmy przez główną bramę, która była na tyle duża, że bez trudu przejechałaby przez nią ciężarówka. Stefan zaprowadził nas do małych drzwi znajdujących się na końcu muru.

W przeciwieństwie do terenu na zewnątrz ogród prezentował się nadzwyczaj bujnie. Chociaż był listopada lśniąca w świetle księżycy trawa wyglądała soczyście. Kilka róż wyzierało zza okalającego dom płotu, a chryzantemy jeszcze nie zrzuciły wszystkich kwiatów. Utrzymane we francuskim stylu, równiutko przycinane i starannie pielęgnowane klomby na tle posiadłości w stylu wiktoriańskim lub elżbietańskim tworzyłyby prześliczny

widok; obok budowli w stylu hiszpańskim wyglądały po prostu dziwnie.

Nagie winorośle pięły się po elewacji. W zimnym blasku księżycy wyglądały jak szereg ukrzyżowanych ludzi z ramionami przybitymi do drewnianej konstrukcji.

Zadrżałam. Samuel spojrział na mnie dziwnie, bez wątpienia wyczuwając mój niepokój. Przyciągnął mnie do siebie. Idąc wybrukowaną ścieżką, minęliśmy przykryty na zimę basen. Przeszliśmy za róg domu i stanęliśmy na szerokim pokosie trawnika. Po jego drugiej stronie znajdował się dwupiętrowy domek dla gości o rozmiarach prawie jednej trzeciej głównego budynku. To tam zaprowadził nas Stefan.

Zapukał dwa razy, a potem otworzył drzwi i machnięciem reki zaprosił nas do środka. Korytarz w agresywnych kolorach zdobiły tkaniny charakterystyczne dla południowego zachodu Ameryki, gliniane garnki oraz indiańskie laleczki Kachina. Dekoracje nie pachniały jednak pustynią, tylko w większości nieznanymi mi kwiatami i ziołami.

Kichnęłam, a Samuel wykrzywił usta. Możliwe, że całe to potpourri miało na celu wprawiać w zakłopotanie nasze nosy – ale jego woń, choć mocna, nie była gryząca. Nie podobała mi się, co nie zmieniało faktu, że wciąż potrafiłam wyczuć zapach starej skóry i butwiejących tekstyliów. Rozejrzałam się szybko i dyskretnie, ale nie dostrzegłam niczego, co mogłoby wyjaśnić odór zgnilizny – wszystko wyglądało jak nowe.

– Zaczekamy na nią w salonie – oznajmił Stefan. Pokój dzienny był o połowę większy od największego pomieszczenia w mojej przyczepie. Jednak w odróżnieniu od tego, co już zdążyłam zobaczyć, sprawiał przytulne wrażenie.

Klimat południowego zachodu zostawiliśmy w większości za sobą, chociaż we wnętrzu nadal dominowały ciepłe kolory ziemi.

Wystrój salonu mógł się podobać, o ile ktoś przepada za wszystkim, co miękkie. Stefan usiadł na krześle, wydając z siebie jęk zadowolenia, kiedy mebel go pochłonął. Ja zajęłam

miejsce na kanapie wygiętej w kształt litery „S”, odrobinę twardszej, choć gdybym musiała szybko wstać, poduszki i tak odrobinę by mnie spowolniły.

Samuel chciał usiąść na krześle, ale podskoczył jak oparzony, gdy tylko zaczął się zapadać. Stał dumnie wyprostowany za kanapą i spojrzął w ogromne okno, które stanowiło dominujący element pomieszczenia. Pierwsze okno, jakie w tym domu zobaczyłam.

Wpadające przez nie światło księżyca omiotło twarz wilkołaka. Samuel zamknął oczy. Rozkoszował się nim, pozwolił mu do siebie przemówić, choć nie było pełni. Do mnie księżyc nie przemawiał, ale Samuel kiedyś opisał mi jego pieśń słowami poety. Teraz z błogim wyrazem twarzy wsłuchiwał się w muzykę nocy. Wyglądał pięknie – i nie tylko ja tak uważałam.

– Och, czyż on nie jest cudowny? – usłyszałam gardłowy, zabarwiony europejskim akcentem głos. Do salonu weszła kobieta ubrana w opinającą talię suknię ze złotego jedwabiu, która wyglądała dość dziwacznie w połączeniu z tenisówkami zakrywającymi łydki sportowymi skarpetkami.

Spod rudo-blond loków, upiętych fanatuzycznie do góry za pomocą mnóstwa szpilek, wystawały diamentowe kolczyki dopasowane do wyszukanego naszyjnika. Wokół oczu i ust udało mi się dostrzec prawie niewidoczne zmarszczki.

Kobieta pachniała trochę jak Stefan, więc musiałam założyć, że była wampirzycą, ale zaskoczyły mnie znamiona starości na jej twarzy. Stefan wyglądał na dwudziestolatka. Z tego względu zawsze sądziłam, że organizm nieumarłego funkcjonuje podobnie jak organizm wilkołaka – komórki się regenerują i usuwają niedoskonałości powstałe wskutek upływu czasu, chorób i doświadczenia.

Kobieta podeszła do Samuela, stanęła na pakach i pochyliła się w stronę jego szyi, wyciągając język. Wilkołak zbliżył dłoń do podstawy jej czaszki i spojrzął na Stefana.

Wykręciłam głowę, by móc ich obserwować sponad oparcia kanapy. Nie martwiłam się zbyt o Samuela – stał

w odpowiedniej pozycji, by jednym wprawnym ruchem skrócić jej kark. Może człowiek nie dałby rady, ale on nie był człowiekiem.

– Lilly, moja piękna Lilly – westchnął Stefan, a jego głos rozciął wiszące w powietrzu napięcie. – Nie liź gości, kochanie. To w złym guście.

Lilly oparła swój nos o nos wilkołaka. Ścisnęłam rękę sztyletu, mając nadzieję, że nie będę zmuszona robić z niego użytku. Samuel potrafił się bronić, ale nie lubił krzywdzić kobiet – a Lilly wyglądała bardzo kobieco.

– Przecież powiedziała, że możemy się zabawić gośćmi – oświadczyła jak rozkapryszone dziecko, które już wie, że wycieczka do sklepu z zabawkami nie dojdzie do skutku.

– Z pewnością nie to miała na myśli. Masz ICH zabawiać, moja słodka, nie się. – Stefan, nie wstając z krzesła, przesunął ciężar ciała do przodu, napinając mięśnie.

– Kiedy on tak ładnie pachnie... – zamruczała. Przez moment miałam wrażenie, jakby uczyniła gwałtowny ruch głową, ale musiałam się mylić, bo Samuel nawet nie drgnął. – I jest taki ciepły.

– To wilkołak, kochana Lilly. Niełatwo przygotować z nich posiłek. – Stefan wstał i wolno obszedł kanapę. Pocałował dłoń wampirzycy. – Chodź nas zabawić, moja pani.

Delikatnie odciągnął ją od Samuela i zaprowadził do wciśniętego w kat pokoju fortepianu. Wyciągnął taboret i pomógł jej usiąść.

– Co mam zagrać? – zapytała. – Nie chce grać Mozarta. Był taki nieokrzesany.

Stefan koniuszkami palców dotknął jej policzka.

– Ależ oczywiście, zagraj, cokolwiek sobie życzysz, a my będziemy słuchać.

Westchnęła z emfazą, opuszczając ramiona, a następnie zeszywniała od stóp do głów jak marionetka i położyła dłonie na klawiszach.

Nie lubię muzyki fortepianowej. Jedyna nauczycielka muzyki

w Aspen Creek uczyła gry na fortepianie. Przez cztery lata tłukłam w klawisze po pół godziny dziennie i z każdym rokiem coraz bardziej nienawidziłam instrumentu – a on mnie.

Wystarczyło kilka taktów, bym zdała sobie sprawę, że moje uprzedzenia były nieuzasadnione – przynajmniej kiedy grała Lilly Nie potrafiłam uwierzyć, by tak cudowne dźwięki mogły się wydobywać z niezbyt wielkiego pudła za sprawą dłoni wątłej kobiety.

– Liszt – szepnął Samuel, siadając na oparciu sofy. Zamknął oczy i słuchał muzyki tak jak wcześniej księżycy.

Kiedy Lilly całkowicie skupiła się na grze, Stefan podszedł do mnie, wyciągając dłoń.

Zerknęłam na Samuela – sprawiał wrażenie zupełnie oderwanego od rzeczywistości. Chwyciłam rękę wampira i pozwoliłam, by pomógł mi wstać. Przeszliśmy w oddalony od fortepianu kąt pokoju, zanim mnie wypuścił.

– Nie zachowała się tak dlatego, że jest wampirzycą – powiedział niezupełnie szeptem, ale głosem ściszym na tyle, by zagłuszyła go muzyka. – Jej stwórca znalazł ją w luksusowym burdelu, gdy grała na fortepianie. Zdecydował, że chce ją mieć, i zabrał ją ze sobą, zanim zrozumiał, że jest niezrównoważona psychicznie. W normalnej sytuacji zostałaby bezlitośnie zabita, bo niebezpiecznie jest mieć w chmarze wampirzycę, która nad sobą nie panuje. Wiem, że wilkołaki robią dokładnie to samo. Tyle że nie potrafilibyśmy znieść straty jej muzyki, więc trzymamy ją tutaj i chronimy jak skarb – którym właśnie jest. Zamilkł na chwilę.

– Zazwyczaj nie wolno jej spacerować po domu. Zawsze ktoś jej pilnuje, żeby nie zrobiła czegoś głupiego i by zapewnić gościom bezpieczeństwo. Widocznie naszą Panią bawi ta sytuacja.

Obserwowałam delikatne dłonie wampirzycy tańczące na klawiaturze. Wydobywały z instrumentu muzykę roztaczającą moc, której sama Lilly nie miała.

Przypomniałam sobie jej zachowanie, kiedy weszła do salonu.

– A gdyby Samuel nieodpowiednio zareagował? – zapytałam.

– Byłaby bez szans. – Stefan zakołysał się na piętach z zatroskaną miną. – Nie ma żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o atakowanie ofiar, które potrafią się bronić, a Samuel jest stary. Ale Lilly to nasz skarb, gdyby ją skrzywdził, chmara domagałaby się zemsty. – Ciii... – zganił nas Samuel.

Przez dłuższy czas Lilly grała Liszta. Nie te wczesne, bardziej liryczne utwory, ale te zainspirowane radykalną muzyką Paganiniego. Potem, w samym środku szalonej orgii dźwięków, płynnie przeszła do jakiegoś bluesowego kawałka, który rozleniwiał się w salonie jak kot na rozpalonej majowym słońcem trawie. Zagrała trochę Beatlesów, trochę Chopina i coś, co nasuwało skojarzenia z kulturą Orientu, a na koniec Eine Kleine Nachtmusik.

– Mówiłaś, że nie chcesz grać Mozarta – zauważył Stefan, kiedy skończyła utwór i prawą ręką wybierała kolejną melodię.

– Lubię jego muzykę – wyjaśniła Lilly, pochylona nad klawiaturą. – Ale on był świnią. – Grzmotnęła dwukrotnie w klawisze. – Na szczęście już umarł, a ja nie. Nie jestem martwa.

Nie zamierzałam z nią dyskutować. Nie kiedy jeden z tych delikatnych paluszków złamał znajdujący się pod nim klawisz. Pozostali również milczeli.

Wstała gwałtownie od fortepianu i dużymi krokami ruszyła przez pokój. Zawahała się, przechodząc obok Samuela, ale kiedy Stefan chrząknął, podbiegła do niego truchcikiem i pocałowała go w podbródek.

– Nie będę teraz jadła – powiedziała. – Nie jestem głodna.

– Świetnie. – Stefan przytulił ją i delikatnie popychając, wyprowadził z salonu.

Ani razu nie zaszczyciła mnie choćby spojrzeniem.

– Więc myślisz, że jesteśmy wrabiani? – zapytał leniwie Samuel z wesołością, która wydawała się nie na miejscu.

Stefan wzruszył ramionami.

– Ty, ja czy Lilly. Zdecyduj.

– Z tego by wyniknęły same kłopoty – stwierdziłam. – Gdyby

Samuel zginął, z tej posiadłości nie pozostałby kamień na kamieniu. Wyginęłyby wszystkie wampiry w stanie Waszyngton. Prawie jak dinozaury. – Spojrzałam na Stefana.

– Twoja Pani może i jest potężna, ale liczy się ilość. Tri-Cities nie jest znów tak duże. Gdyby żyły tu setki wampirów, na pewno bym zauważyła. A Bran może zmobilizować każdego Alfę w Ameryce Północnej.

– Cieszymy się wśród wilkołaków aż taką estymą? Dobrze wiedzieć. Osobiście poinformuję naszą Panią, że powinna się obawiać pobratymców wilka – powiedziała jakaś kobieta tuż za moimi plecami.

Uskoczyłam, a Stefan momentalnie znalazł się pomiędzy mną a nową wampirzycą. Ta nie wyglądała ani kobieco, ani tym bardziej uwodzicielsko. Gdyby była człowiekiem, oceniłabym ją na jakieś sześćdziesiąt lat – każdy rok wyrył się na jej twarzy zmarszczkami zgorzknienia.

– Estelle – powiedział Stefan. Nie potrafiłam stwierdzić, czy ją witał, przedstawiał czy upominał.

– Zmieniła zdanie. Nie przyjdzie na spotkanie z wilkiem. Wilk może przyjść do niej.

Estelle zdawała się w ogóle nie reagować na obecność drugiego wampira.

– Są pod moją ochroną – warknął Stefan. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by mówił tak mrocznym głosem.

– Powiedziała, że też możesz przyjść, jeśli sobie życzysz. – Spojrzała na Samuela. – Będę musiała skonfiskować wszystkie krzyże i święte przedmioty. Nie pozwalamy, by ktokolwiek stawał przed obliczem naszej Pani uzbrojony.

Rozsznurowała ozdobioną złotem skórzaną torbę. Kiedy Samuel wyciągnął łańcuszek spod koszuli, krzyżyk nie zapłonął ani nie zaświecił. Wyglądał jak najzwyklejszy kawałek metalu, ale zauważyłam, że Estelle wzdrygnęła się mimowolnie, kiedy musnęła jej skórę.

Spojrzała na mnie, a ja pokazałam jej wisiołek w kształcie baranka.

– Żadnych krzyży – powiedziałam beznamiętnym głosem. – Nie spodziewałam się, że będę dzisiaj rozmawiać z waszą Panią.

Nawet nie zerknęła na sztylet Zee, lekceważąc go jako potencjalną broń. Zaciągnęła mocno sznurek i pozwoliła, by torba swobodnie zwisała z jej ramienia.

– Chodźcie za mną.

– Ja ich przyprowadzę – wtrącił Stefan. – Idź i powiedz Pani, że zaraz będziemy.

Estelle uniosła brwi, ale wyszła bez słowa.

– Tu chodzi o coś więcej, niż sądziłem – powiedział, gdy tylko zostaliśmy sami. – Przed większością mieszkańców tego domu potrafię was obronić, ale nie przed samą Panią. Jeśli chcecie, wydostanę was stąd i spróbuję zdobyć jakieś informacje bez waszej pomocy.

– Nie – odparł stanowczo Samuel. – Skoro już tu jesteśmy, doprowadźmy sprawę do końca.

Stefan rzucił mu ostre spojrzenie, jakby właśnie ucierpiała jego duma.

– Proponuję raz jeszcze – chodźmy stąd. – Przeniósł wzrok na mnie. – Nie pozwolę, żeby coś się stało tobie albo twojemu towarzyszowi.

– Czy będziesz mógł się dowiedzieć, gdzie są te wilki, jeśli ona ci nie pozwoli? – zapytałam.

Zawahał się, co wystarczyło za odpowiedź.

– A więc idziemy z nią porozmawiać.

Stefan skinął głową, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– W takim razie powtórzę to, co mówił twój przyjaciel gremlin. Nie patrzcie na nią. Prawdopodobnie będzie z nią kilku innych, nawet jeśli nie pozwoli wam ich zobaczyć. Nie patrzcie na nikogo innego. Jest tu czterech czy pięciu takich, którzy mogliby stanąć do walki z twoim wilkiem jak równy z równym.

Podążyliśmy za Stefanem do alkowy osłaniającej spiralne schody z kutego żelaza. Początkowo sądziłam, że schodzimy do sutereny, ale stopnie prowadziły głębiej. Umieszczone na cementowej ścianie światełka zapalały się, kiedy obok nich

przechodziliśmy Świeciły na tyk mocno, że widzieliśmy schody, ale nie dość, byśmy mogli zobaczyć cokolwiek innego. Przez niewielkie otwory wentylacyjne wlatywało świeże powietrze, dzięki któremu mogliśmy oddychać, ale które jednocześnie uniemożliwiało mi wywęszenie, co znajduje się niżej.

– Jak głęboko schodzimy? – zapytałam, usiłując zwalczyć pragnienie, by wrócić na górę biegiem. Nie przepadałam za ciasnymi pomieszczeniami.

– Jakies sześć metrów pod ziemię – głos Stefana niósł się niewielkim echem – albo coś pod nami wydało jakiś dźwięk. Albo po prostu byłam zbyt nerwowa.

W końcu dotarliśmy do podstawy schodów. Chociaż mój wzrok radzi sobie w nocy całkiem nieźle, niemal absolutna ciemność pozwalała mi widzieć na odległość co najwyżej kilku metrów. Woń wybielacza mieszała się z innymi, nieznanymi mi zapachami.

Stefan poruszył się, pobudzając do życia fluorescencyjne światełka. Staliśmy w pustym, sterylnym pomieszczeniu o cementowych ścianach, podłodze i suficie.

Przeszliśmy do wąskiego, prowadzącego nieco pod górę tunelu. Na całej jego długości w równych odstępach znajdowały się stalowe drzwi bez zamków i klamek. Słyszałam, jak coś się za nimi porusza, i żeby dodać sobie odwagi, podeszłam bliżej Samuela. Byłam spokojniejsza, czując dotyk jego ramienia. Coś uderzyło w któreś z drzwi. Głuchy łomot odbił się za nami echem. Zza kolejnych dobiegł nas żałosny, piskliwy śmiech, który po chwili przeszedł we wrzask szaleńca.

Zanim ucichł, niemal wisiałam Samuelowi na plecach.

Tymczasem jego oddech i puls nawet nie przyspieszyły. Niech go szlag. Dopiero kiedy zostawiliśmy za sobą ostatnie drzwi, wypuściłam powietrze z płuc.

Tunel zakręcił. Po stromych stopniach weszliśmy do słabo oświetlonego pomieszczenia o łukowatych, gipsowanych ścianach i drewnianej podłodze. Naprzeciwko schodów stała sporych rozmiarów kanapa obita beżową skórą, której oparcia

idealnie wkomponowały się w pochylone ściany.

Na dwóch nadmiernie wypchanych poduszkach w półleżącej pozycji spoczywała kobieta. Miała na sobie jedwab. Wywęszyłam pozostałości po jedwabnikach, jak również inną delikatną woń, którą zaczynałam utożsamiać z wampirami.

Prosta i kosztowna suknia uwydatniała jej figurę wachlarzem barw, od purpury po czerwień. Jej wąskie stopy były nagie, jeśli nie liczyć bordowego lakieru na paznokciach. Splotła nogi ze sobą, unosząc kolana do góry, by dostarczyć oparcia książce.

Dokończyła stronę, zagięła róg i odrzuciła książkę na podłogę. Zamaszystym ruchem ściągnęła nogi z kanapy.

Zmieniła pozycję, zwracając twarz w naszym kierunku z taką gracją, że ledwo zdążyłam opuścić wzrok.

– Przedstaw nas, Stefano – powiedziała niskim kontraltem i z odrobiną włoskiego akcentu, który czynił jej głos jeszcze głębszym.

Stefan skłonił się w formalnym geście szacunku. Zważywszy na jego ubiór, powinno to być wyglądać dziwnie, ale jakimś sposobem wypadło elegancko i staroświecko.

– Signora Marsilia, proszę pozwolić, że przedstawię ją Mercedes Thompson, mechanikowi samochodowemu, i jej przyjacielowi, doktorowi Samuelowi Cornickowi, synowi Marroka. Mercy, doktorze Cornick, to jest Pani Chmary Środkowej Kolumbii.

– Witajcie – powiedziała.

Nie dawało mi spokoju, jak ludzko ze swymi zmarszczkami i niedoskonałościami wyglądały obie wampirzyce, które spotkałam na górze. Stefan miał w sobie odrobinę inności.

Gdy go po raz pierwszy zobaczyłam, od razu się zorientowałam, że nie jest człowiekiem. Gdyby jednak nie wyraźny zapach wampira, obie kobiety mogłyby uchodzić za ludzi.

Ta by nie mogła. Co dokładnie sprawiało, że włosy na karku stawały mi dęba, kiedy na nią patrzyłam? Wyglądała na dwudziestoletnią kobietę, która umarła i stała się wampirem,

zanim życie zdążyło naznaczyć jej dało upływem czasu.

Miała jasne blond włosy, co zupełnie nie kojarzyło mi się z Włochami, ale oczy ciemne, tak ciemne jak moje. Pospiesznie odwróciłam wzrok. Zaczęłam szybciej oddychać, kiedy sobie uświadomiłam, jak łatwo było na moment się zapomnieć. Ona jednak nawet mnie nie dostrzegała. Tak jak pozostałe wampirzyce skierowała całą uwagę na Samuela – trudno się zresztą dziwić. Był synem Marroka, synem Brana, kimś wpływowym, a nie mechanikiem volkswagenów. Zresztą, tak czy inaczej, większość kobiet chętniej patrzyła na niego niż na mnie.

– Czyżbym powiedziała coś zabawnego, Mercedes? – zapytała Marsilia. Jej głos brzmiał uprzejmie, ale kryła się za nim siła podobna do tej, jaką potrafią przywoływać Alfy.

Postanowiłam odpowiedzieć zgodnie z prawdą i zobaczyć, jak się zachowa.

– Jest pani dziś już trzecią kobietą, która zupełnie mnie ignoruje, Signora Marsilia. Co uważam za całkowicie zrozumiałe, ponieważ sama miewam problemy z oderwaniem wzroku od doktora Cornicka.

– Często tak pan działa na kobiety, doktorze Cornick? – zapytała figlarnie.

A nie mówiłam? Nadal zwracała uwagę wyłącznie na Samuela.

Samuel – ten opanowany Samuel – zająknął się: – Ja... ja nie...

– Zamilkł i wciągnął w płuca powietrze, po czym przemówił już bardziej jak ten Samuel: – Sądzę, że ma pani większe powodzenie u płci przeciwnej niż ja.

Marsilia roześmiała się i w końcu do mnie dotarło, co w jej postaci wywoływało taki niepokój. W jej gestach i mimice było coś sztucznego, jak gdyby tylko naśladowała człowieka, jak gdyby nasza obecność zmuszała ją do gry. Gdyby nie to, prawdopodobnie nie wydawałaby się ani odrobinę ludzka. Zee twierdził, że obecny postęp w grafice komputerowej pozwala producentom filmowym na tworzenie postaci, które wyglądają niezwykle ludzko. Zaobserwowano jednak, że w pewnym momencie te same postacie zaczynają wzbudzać w widzach tym

większą odrazę, im bardziej wydają się realne. Teraz już wiedziałam, co miał na myśli.

Wszystko było z Marsilią prawie w porządku. Słyszałam jej oddech i bicie serca. Skórę miała lekko zaczerwienioną jak ktoś, kto właśnie wrócił ze spaceru w mroźny dzień. Jednak jej uśmiechy nie wyglądały całkiem naturalnie: pojawiały się albo za wcześnie, albo za późno. Jej gra była niemal idealna, ale nie na tyle, by ukryć wampirzą naturę – i to właśnie ta drobna różnica sprawiała, że cierpła mi skóra.

Zazwyczaj nie mam problemów z samokontrolą – kojoty to sympatyczne stworzenia, które łatwo przystosowują się do nowych sytuacji. Ale gdybym w tym momencie przebywała w zwierzęcej postaci, zwiewałabym, gdzie pieprz rośnie.

– Mój Stefano mówi, że chcecie coś wiedzieć na temat gości, którzy tak uprzejmie zapłacili mi za możliwość pobytu w Tri-Cities. – Nadal mnie ignorowała, ale jakoś mi to nie przeszkadzało.

– Zgadza się – odpowiedział Samuel cichym, prawie sennym głosem. – Dotrzemy do nich tak czy inaczej, ale dodatkowe informacje z pewnością ułatwią sprawę.

– Gdy już wam przekażę te informacje – głos burczał w jej gardle jak u kota – utniemy sobie pogawędkę o Marroku i o tym, co może mi zaoferować w zamian za pomoc.

Samuel potrząsnął głową.

– Przykro mi, Signora, ale nie jestem upoważniony do takich rozmów. Tym niemniej z przyjemnością przekażę ojcu każdą wiadomość.

Marsilia wydeła usta jak rozkapryszone dziecko.

Momentalnie wyczułam efekt tej zmiany w wyrazie twarzy – do moich nozdrzy dotarł zapach podniecenia. Hałasy dobiegające zza stalowych drzwi nie przyspieszyły pulsu Samuela, ale Pani Chmary udało się to bez trudu. Pochyliła głowę, a on podszedł do niej tak blisko, że jego pachwiny znalazły się kilka centymetrów od jej twarzy.

– Samuelu – powiedział cicho Stefan. – Masz krew na szyi. Czy

Lilly cię zraniła?

– Niech zobaczę... – Signora odetchnęła głęboko, a z jej gardła wyrwał się dźwięk, który zabrzmiał jak grzechot kości. – Zajmę się tym.

To chyba nie był dobry pomysł – i nie tylko ja tak uważałam.

– Są pod moją ochroną, Pani – przypomniał Stefan oficjalnym tonem. – Przeprowadziłem ich tutaj, byś mogła porozmawiać z synem Marroka. Ich bezpieczeństwo stawiam sobie za punkt honoru – który już wcześniej został narażony na szwank, kiedy Lilly przyszła do nas bez opiekuna. Nie chciałbym myśleć, że twoje życzenia godzą w moją powinność.

Marsilia zamknęła oczy i opuściła głowę, opierając czoło o brzuch Samuela. Usłyszałam kolejny głęboki oddech, wraz z którym powietrze przesycił jeszcze intensywniejszy zapach pobudzenia.

– Minęło już tyle czasu – wyszeptała. – Jego siła wzywa mnie jak brandy w zimową noc. Trudno mi myśleć. Kto był odpowiedzialny za Lilly?

– Dowiem się – odpowiedział Stefan. – Z przyjemnością przyprowadzę niegodziwców przed twoje oblicze, Pani, by po raz kolejny zobaczyć, jak służysz swoim ludziom.

Skinęła głową, a Samuel jęknął. Na ten dźwięk otworzyła oczy, które już nie były ciemne. W słabo oświetlonym pomieszczeniu błyszcząły czerwono-złotym ogniem.

– Moja samokontrola nie jest tak dobra jak kiedyś – mruknęła. Z jakiegoś powodu sądziłam, że wraz ze zmianą koloru oczu jej głos stanie się bardziej szorstki. Zamiast tego zabrzmiał ciszej i tak uwodzicielsko głęboko, że nawet moje ciało przeszył dreszcz – a zwykle nie reaguję w taki sposób na inne kobiety.

– To chyba odpowiedni moment na twoją owcę, Mercy. – Stefan skupiał uwagę na wampirzycy i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówił do mnie.

Ruszyłam w stronę Samuela. Pięć lat zgłębiania tajników sztuk walki pozwoliło mi zyskać trzy rzeczy: purpurowy pas, mięśnie pozwalające dźwigać części samochodowe oraz świadomość, że

moje umiejętności samoobrony nie są warte funta kłaków w starciu z wampirem.

W głowie pojawiła się myśl, by powalić Samuela na ziemię i odciągać go na bok, ale dotarła do mnie to, co zmysły usiłowały mi powiedzieć już od jakiegoś czasu: były tu inne wampiry. Co prawda nie widziałam ich ani nie słyszałam, ale potrafiłam wyczuć ich obecność.

Słowa Stefana podsunęły mi lepszy pomysł. Wyciągnęłam wisiorek spod koszulki. Łańcuszek był na tyle długi, że mogłam go ściągnąć przez głowę i kiedy Marsilia się poruszyła, już zwisał z mojej dłoni.

Dorastałam wśród wilkołaków, które biegają szybciej niż charty. Ja jestem jeszcze odrobinę szybsza, ale nigdy nie widziałam, jak porusza się Marsilia. W jednej chwili siedziała przytulona do dzinsów Samuela, a w drugiej, z nogami owiniętymi wokół jego pasa, zbliżała usta do jego szyi. Kolejne wydarzenia następowały po sobie jak w zwolnionym tempie, choć przypuszczam, że cała sytuacja trwała zaledwie kilka sekund.

Gdy tylko Marsilia zaczęła żerować, iluzja ukrywająca pozostałe wampiry straciła swoją moc. Sześć postaci stało wzdłuż ściany. Nie czyniły żadnych starań, by wyglądać jak ludzie, i uderzył mnie przelotny widok szarej skóry, zapadniętych policzków i oczu błyszczących jak podświetlone diamenty. Żaden z wampirów się nie poruszył, mimo że Stefan próbował odciągnąć Marsilię od wilkołaka.

Żaden nie interweniował, kiedy zmniejszyłam dzielącą mnie od Samuela odległość z głupim wisiorkiem owiniętym wokół nadgarstka. Przypuszczam, że nie uważali nas za zagrożenie. Samuel zamknął oczy i odrzucił głowę w tył, co ułatwiło Marsilii żerowanie. Ledwo oddychając, przycisnęłam wisiorek do jej czoła i zmówiłam pośpiesznie żarliwą modlitwę, by owieczka zadziałała tak samo jak krzyż.

Wampirzyca nawet nie zwróciła na mnie uwagi. Następnie niemal równocześnie zaszło kilka wydarzeń – dopiero

po wszystkim zdołałam je ułożyć w prawdopodobnym porządku chronologicznym.

Owca rozgorzała niesamowitym niebieskim płomieniem dobrze wyregulowanego palnika Bunsena. Marsilia znalazła się na oparciu kanapy, tak daleko od wisiora i Samuela, jak tylko mogła. Wydała z siebie wysoki dźwięk, który ledwie się mieścił w zakresie mojej słyszalności.

Wszyscy jednocześnie padli na podłogę. Początkowo myślałam, że zareagowali na niezrozumiały dla mnie sygnał, ale Marsilia w nieludzko szybkim odruchu szarpnęła podbródkiem i wrzasnęła ponownie. Wampiry wiły się w cierpieniu na ziemi i w końcu zrozumiałam, że to nie tylko strach, ale i magia utrudniały mi oddychanie. Pani Chmary chciała sprawić nam ból, a ja stałam samotnie przed jej obliczem, ściskając w dłoni rozpaloną owieczkę, absurdalnie mały, neonowy znak.

– Przestań – powiedziałam z całą siłą i stanowczością, na jaką było mnie stać. Mój głos zabrzmiał jak pisk szczeniaka. Nie robił wrażenia.

Przełknęłam ślinę i spróbowałam raz jeszcze. Skoro potrafiłam stawić czoła Branowi po tym, jak rozbiłam jego porsche, nie mając pozwolenia, by nim jeździć, ani prawa jazdy, to z pewnością potrafię zapanować nad własnym głosem.

– Wystarczy. Nikt ci nie zrobił krzywdy.

– Nie zrobił krzywdy? – syknęła wampirzyca, odrzucając włosy i odsłaniając paskudne oparzenie przypominające kształtem wisiora.

– Żerujesz na Samuelu bez jego zgody – odparłam stanowczo, jak gdyby jej czyn dawał mi prawo do występowania w obronie wilkołaka. Nie miałam pewności, czy dawał, ale w przypadku wilkołaków blefowanie odnosiło skutek, a wampiry zdawały się przywiązywać dużą wagę do manier.

Marsilia uniosła głowę. Głęboko zaczerpnęła powietrza i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie oddychała, odkąd odciągnęłam ją od Samuela. Zatrzepotała rzęsami, kiedy do jej nozdrzy dotarł zapach, który ja również czułam: zapach strachu,

bólu, krwi oraz czegoś słodkiego i zniewalającego, wszystko razem wymieszane z wonią obecnych w pomieszczeniu osób.

– Minęło wiele czasu, odkąd sprezentowano mi kogoś takiego. Krwawił i był już prawie mój – wytłumaczyła Marsylia przepraszającym tonem. Jeśli chodzi o mnie, wystarczyłyby dwa słowa wyjaśnienia, jeżeli dzięki temu moglibyśmy szybciej opuścić to miejsce.

Stefan zdołał wydusić z siebie tylko jedno:

– Pułapka.

Marsylia nakreśliła w powietrzu okrąg i wyrzuciła rękę przed siebie. Ciała leżących na ziemi wampirów zwiotczały.

Zauważyłam z ulgą, że Samuel wciąż oddycha.

– Wyjaśnij – rzuciła, a ja odetchnęłam, zadowolona, że skierowała uwagę na kogoś innego.

– Pułapka zastawiona na ciebie, Pani – powiedział Stefan zachrypniętym głosem. – Puścili wilkowi krew, żeby stanął przed tobą jak przewiązany wstążką prezent. Prawie im się udało. Nie zauważyłem, że był zniewolony, dopóki nie zobaczyłem krwi.

– Może masz rację. – Spojrzała na mnie zirytowana. – Odłóż to, proszę. Już tego nie potrzebujesz.

– Wszystko w porządku, Mercy – uspokoił mnie Stefan. Wciąż mówił bardzo cicho, leżąc na podłodze z zamkniętymi oczami.

Gdy tylko schowałam wisiołek, w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej.

– Opowiedz mi o tej pułapce, Stefano – bardziej rozkazała, niż poprosiła Marsylia, schodząc z oparcia kanapy. Na chwilę zatrzymała wzrok na Samuelu. Być może chwilę nieco zbyt długa, ale przynajmniej po płomieniach w jej oczach pozostały jedynie iskierki.

Wampiry znów dawały oznaki życia, jednak tylko Stefan próbował się podnieść. Jęcząc, usiadł i potarł czoło, najwyraźniej wciąż odczuwając ból Ruchy jego ręki były jak szarpnięcia. Były nieludzkie.

– Lilly przyszła do nas bez opiekuna. Myślałem, że przysłano ją celowo, by sprowokowała jakieś nieprzyjemne zajście. Gdyby

wilk ją zabił, wybuchłaby wojna pomiędzy chmarą a Marokiem. Być może jednak chodziło o coś więcej. Sądziłem, że zdołałem ją odsunąć, zanim naznaczyła Samuela, ale teraz myślę, że już wtedy był zniewolony. Przysłali go tutaj krwawiącego jak surowy stek. Gdybyś go zabiła – a zważywszy na to, jak się głodzisz, jest to całkiem prawdopodobne... – Wyraźnie usłyszałam dezaprobatę w głosie Stefana. – Gdybyś zabiła Samuela... – Jego słowa utonęły w ciszy.

Marsilia oblizwała usta. Cień żalu pojawił się na jej twarzy, kiedy spojrzała na wilkołaka, najwyraźniej ubolewając, że nie pozwolono jej dokończyć posiłku.

– Gdybym go zabiła, wybuchłaby wojna. – Odwróciła wzrok od Samuela i popatrzyła mi prosto w oczy, ale nic się nie wydarzyło. Zmarszczyła brwi, nieco zaskoczona, choć pewnie mniej niż ja. Może niewielki wisiołek nadal chronił mnie przed jej magią? Zastukała długimi, wypielęgnowanymi paznokciami w oparcie kanapy, jakby coś rozważała.

– Mieliby nad nami sporą przewagę liczebną – powiedział Stefan, korzystając z jej milczenia. Zebrał się w sobie i wstał. – Gdyby wybuchła wojna, byłibyśmy zmuszeni opuścić kraj.

Marsilia zamarła, jak gdyby jego słowa oznaczały coś więcej, niż sądziłam.

– Opuścić tę przeklętą pustynię i wrócić do domu. – Zamknęła oczy. – To jest nagroda, dla której wielu zaryzykowałoby mój gniew.

Pozostałe wampiry zaczęły się poruszać. Ufając, że Stefan będzie trzymać swoją Panią jak najdalej od nas, stanęłam pomiędzy nimi a Samuelem. Wydawały się bardziej skupione na wilkołaku niż Marsilii. Ruszyły w naszą stronę, ale mnie – jak prawie wszyscy tego dnia – zupełnie ignorowały.

– Obudź się – trąciłam Samuela piętą. Stefan powiedział coś płynnie z łatwą do rozpoznania włoską intonacją. Jak gdyby uczestnicząc w jakiejś grze, pozostałe wampiry momentalnie znieruchomiały, niektóre w dość niezgrabnych pozach.

– Co jest z Samuelem?

Zadałam pytanie Stefanowi, ale to Marsilia odpowiedziała.

– Zauroczyło go moje ugryzienie. Niektórzy umierają od Pocałunku, ale wilkołak powinien z tego wyjść bez trwałego uszczerbku. Gdybym była słabsza, prawdopodobnie by nie uległ – dodała z zadowoleniem.

– W takim razie jak Lilly zdołała go zniewolić? – zapytał Stefan.
– To nie był pełny Pocałunek.

Marsilia przykucnęła u moich stóp i dotknęła szyi wilkołaka. Niepokoił mnie sposób, w jaki ciągle się pojawiała w różnych miejscach, a szczególnie w pobliżu bezbronno Samuelu.

– Dobre pytanie – mruknęła. – Czy on jest dominującym samcem?

– Tak – odpowiedziałam nieco zaskoczona. Ludzie nie potrafili odróżnić dominującego wilka od uległego, ale nie podejrzewałam, że wampiry miały ten sam problem.

– W takim razie Lilly nie mogła go zniewolić. Ale... możliwe, że ktoś użył jej mocy. – Signora zlizła krew Samuelu z palców, a jej oczy znów zapłonęły.

Chciałam sięgnąć pod koszulkę, kiedy jakaś blada dłoń ścisnęła mnie za nadgarstek. Zanim zdałam sobie sprawę, kim jest napastnik, już zdążyłam nim rzucić. Gdybym miała czas na zastanowienie, nawet bym nie próbowała odrzucić wampira w ten sam sposób co człowieka, ale był to odruch zrodzony po setkach godzin spędzonych w dojo.

Marsilia zdążyła uskoczyć i wampir wylądował na Samuelu.

Odwrócił się w moją stronę. Myślałam, że znów chce mnie zaatakować, ale chodziło mu o kogoś innego.

Pani Chmary gwałtownym ruchem ściągnęła go z wilkołaka, na którego szyi widniała szeroka rana. Bez cienia wysiłku czy emocji cisnęła nim o ścianę. Posypał się gips. Wampir spadł na nogi z warknięciem, które jednak ucichło, gdy tylko się zorientował, kto tym razem nim rzucił.

– Wyjść, moi drodzy – rozkazała Marsilia. Zauważyłam, że rana po oparzeniu na jej czole zaczęła się już goić. – Wyjść, zanim stracimy honor, pokonani przez słodycz, która kusi jak suto

zastawiony stół.

W końcu wyciągnęłam wisiorek, ale zanim zaczął świecić, zostaliśmy sami: Stefan, Samuel i ja.



Rozdział 11

Jedne z drzwi ciągnących się przez całą długość wąskiego korytarza prowadziły do ukrytej windy. Stefan oparł się zmęczony o ścianę. Niósł poplamionego krwią Samuela, który wciąż nie odzyskał przytomności, ale oddychał.

– Jesteś pewien, że wszystko z nim w porządku? – zapytałam nie po raz pierwszy.

– Nie umrze – oznajmił wampir, co nie było równoznaczne z przytaknięciem.

Winda zaczęła zwalniać. Kiedy rozsunęły się jej drzwi, ujrzałam przestronną kuchnię. Sufitowe lampy jaskrawo oświetlały szafki z klonowego drewna i kremowe kamienne blaty. Brak okien rekompensowały pomysłowo rozstawione lustra i podświetlone witraże. Zaraz za lodówką znajdowało się coś, co wzbudziło we mnie największe zainteresowanie: prowadzące na dwór drzwi. Nie czekając na Stefana, wybiegłam na równiutko przystrzyżony trawnik. Kiedy wciągnęłam w nozdrza powietrze, które pachniało bardziej kurzem i spalinami niż wampirami, uświadomiłam sobie, że stoję przed głównym budynkiem.

– Domy są połączone tunelami – powiedziałam, kiedy Stefan schodził po stopniach.

– Nie ma czasu na gadanie – mruknął. Spojrzałam na niego. Zmagał się z ciężarem Samuela.

– Myślałam, że wampiry potrafią wyrywać drzewa z korzeniami.

– Nie kiedy Marsilia już z nimi skończy. – Podrzucił lekko wilkołaka, by wygodniej go chwycić.

– Czemu nie przerwiesz go sobie przez plecy?

– Ponieważ chcę widzieć, kiedy zaczniesz się budzić – nie będzie wtedy szczęśliwym wilkiem.

W ten sposób będę mógł go położyć i odsunąć się na bezpieczną odległość, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Ja go poniosę – zaproponował ktoś obcy.

Stefan odwrócił się z warknięciem i po raz pierwszy zobaczyłam jego kły, ostre i lśniące w świetle księżyca.

Koło nas stał wampir w dzinsach i jednej z tych białych pirackich koszul z rozcięciem aż do pasa, które można zobaczyć na festiwalach renesansu albo w filmach z Errolem Flynnem. Nie prezentował się w niej zbyt dobrze. Jego ramiona były zbyt wąskie, a płaski brzuch wyglądał raczej trupio niż seksownie – choć może po prostu miałam już dość wampirów jak na jedną noc.

– Spokojnie, Stefanie – wampir uniósł rękę. – Marsyilia pomyślała, że przydałaby ci się pomoc.

– Raczej chce się pozbyć doktora Cornicka, zanim przestanie działać moc Pocałunku. – Stefan nieco się odprężył. – W porządku.

Nowo przybyły najwyraźniej nie miał takich zmartwień jak Stefan, ponieważ przewiesił sobie wilkołaka przez ramię.

Noc była cicha. Dało się w niej jednak wyczuć ten rodzaj wyczekiwania, który towarzyszy polowaniu. Ktoś nas obserwował – dlaczego nie czułam się zaskoczona? W milczeniu przeszliśmy przez ogród i minęliśmy główną bramę, teraz już otwartą.

Odsunęłam drzwi furgonetki, a odziany jak pirat wampir bez najmniejszego wysiłku zdjął Samuela z ramienia i położył go na

tylnej kanapie. Przeszły mnie ciarki. Owszem, nienaturalna siła była także domeną wilkołaków, ale one ze swą atletyczną budową ciała przynajmniej wyglądały na silne.

Kiedy Samuel leżał już bezpiecznie w samochodzie, wampir spojrzął na mnie i powiedział:

– Mercedes Thompson, moja Pani dziękuje ci za wizytę. Pomogłaś nam zwrócić uwagę na problemy, które inaczej mogłyby nam umknąć. Dziękuje ci również za to, że pozwoliłaś zachować honor jej i jej wasalowi, Stefano Uccello. – Uśmiechnął się, kiedy dostrzegł wyraz sceptycyzmu na mojej twarzy. – Powiedziała, że nigdy wcześniej nie została pokonana przez owcę. Przez krzyże, Pismo Święte i wodę święconą owszem, ale nie przez owcę.

– Bożego Baranka – poprawił go Stefan. Opierając się jednym łokciem o drzwi furgonetki, wyglądał prawie jak zwykle. – Ja też nie sądziłem, że zadziała. W przeciwnym razie kazałbym Mercedes oddać wisiołek Estelle, rzecz jasna.

– Oczywiście. – Nieznajomy obdarzył mnie kolejnym czarującym uśmiechem. – W każdym razie mam przekazać w imieniu Signory Marsilii wyrazy ubolewania z powodu nieprzyjemności, jakie was dzisiaj spotkały. Mamy nadzieję, że powtórzysz to doktorowi Cornickowi. Wytłumacz mu, proszę, że Pani nie zamierzała wyrządzić mu krzywdy i że przez jej niedyspozycję niektórzy z jej podwładnych stali się... niesforni. Zostaną ukarani.

– Powiedz Signorze, że uważam jej przeprosiny za niezwykle szlachetny gest. My także żałujemy, że naraziliśmy ją na pewne przykrości. – Skłamałam, ale chyba zrobiłam to dobrze, ponieważ Stefan lekko skinął głową na znak aprobaty.

Wampir uklonił się. Wręczył mi krzyż Samuela, ostrożnie trzymając za łańcuszek, oraz małą karteczkę z grubego, czarnego papieru, znajomo pachnącą ziołami. Widniał na niej adres w Kennewick zapisany w ozdobny sposób ręką, która posiadała umiejętność posługiwania się gęsim piórem.

– Zamierzała sama ci to dać. Poprosiła, abym powiedział ci coś

jeszcze. Wilki zapłaciły niecałe dziesięć tysięcy dolarów za prawo dwumiesięcznego pobytu pod tym adresem.

Stefan wyprostował się.

– Sporo. Dlaczego tak dużo im policzyła?

– Nie policzyła. Nawet z nami nie negocjowali, po prostu tyle wpłacili. Też mnie to zaniepokoiło. Zwróciłem na to uwagę Signory, ale... – Wampir wzruszył ramionami.

– Marsilia nie jest sobą, odkąd zesłano ją tu z Mediolanu – wytłumaczył mi Stefan i zwrócił się do swojego towarzysza. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To cudowne widzieć naszą Panią ponownie łaknącą krwi, Andre.

„Cudownie” nie było określeniem, jakiego ja bym użyła.

– Miejmy nadzieję, że masz rację – odpowiedział oschle drugi wampir. – Spała od dwóch wieków. Kto wie, do czego teraz dojdzie, kiedy już się przebudziła? Możliwe, że tym razem przechytrzyłeś samego siebie.

– To nie ja – mruknął Stefan. – Ktoś inny to wszystko zaplanował. Nasza Pani powiedziała, że mogę trochę powęszyć.

Dwa wampiry przez chwilę mierzyły się wzrokiem w całkowitym milczeniu, nawet nie oddychając.

Pierwszy przerwał ciszę Stefan: – Bez względu na to, jaki przyświecał im cel, obudzili Panią. Gdyby nie to, że narazili moich gości na niebezpieczeństwo, nie miałbym zamiaru wyrządzać im krzywdy.

Polityka wampirów, pomyślałam. Ludzie, wilkołaki czy, najwyraźniej, wampiry, wszystko jedno: jeśli zbierzesz ich więcej niż trzech, zaczyna się walka o władzę.

Ale zrozumiałam, o czym rozmawiali. Starsze wilki odsuwają się od świata, jeśli nie potrafią zaakceptować zachodzących w nim zmian. Żyją jak eremici w swoich jaskiniach, wychodząc tylko po to, by zapolować, a ostatecznie nawet i tym tracą zainteresowanie. Najwyraźniej Marsilia cierpiała na podobną dolegliwość. Nie ulegało wątpliwości, że niektórym wampirom pasowała taka sytuacja, ale Stefan do nich nie należał.

– Pani prosiła, żebym tobie też coś przekazał – powiedział

Andre do Stefana.

Usłyszałam huknięcie, a Stefan zatoczył się na furgonetkę, jedną ręką zasłaniając twarz. Dopiero gdy na jego policzku pojawił się odcisk dłoni, zrozumiałam, co zaszło.

– Przedsmak – oznajmił Andre. – Dziś jest zajęta, ale jutro do zmierzchu masz jej zdać raport. Powinieneś być jej powiedzieć, czym jest Mercedes Thompson. Powinieneś być ostrzec Panią, zamiast dopuścić do tego, by się dowiedziała sama w tak nieprzyjemnych okolicznościach. To źle, że przyprowadziłeś tu tę zmiennokształtną.

– Nie przyniosła żadnego pala ani święconej wody – odparł Stefan. Nic w jego głosie ani postawie nie świadczyło, by czuł się zakłopotany z powodu uderzenia. – Nie stanowi dla nas zagrożenia. Sama ledwie rozumie, czym jest, a nie ma nikogo, kto by jej to wytłumaczył. Nie poluje na wampiry ani nie atakuje tych, którzy pozostawiają ją w spokoju.

Andre gwałtownie przekręcił głowę – szybciej niż ktokolwiek powinien – i spojrzał mi w twarz.

– Czy to prawda, Mercedes Thompson? Nie polujesz na tych, którzy cię zaledwie przerażają?

Martwił mnie stan Samuela, czułam się wyczerpana i wciąż nieco zaskoczona, że wyszłam cało ze spotkania z Signorą Marsilią i jej świtą.

– Poluję na króliki, myszy i bażanty. Pomijając ten tydzień. – Gdyby nie zmęczenie, prawdopodobnie nie wypowiedziałabym ostatniego zdania.

– A w tym tygodniu? – tym razem to Stefan zadał pytanie.

– Zabiłam dwa wilkołaki.

– Dwa wilkołaki? – Andre obrzucił mnie spojrzeniem, które raczej nie wyrażało aprobaty. – Przypuszczam, że się broniłaś i jakoś tak wyszło, że akurat miałaś pod ręką broń?

Przytaknęłam.

– Jeden z nich wciąż znajdował się pod wpływem księżyca. Rozszarpałby każdego, kto by mu stanął na drodze. Wykrwawił się na śmierć z przegryzionym gardłem. Drugiego zastrzeliłam,

kiedy walczył z Alfą.

– Przegryzałaś mu gardło? – mruknął Stefan, Po minie Andre mogłam wywnioskować, że mi nie uwierzył.

– Przemieniłam się w kojota i próbowałam skupić na sobie jego uwagę, by go odciągnąć od pewnego chłopaka.

Stefan zmarszczył brwi.

– Wilkołaki są szybkie.

– Wiem – rzuciłam poirytowana, – Ale ja jestem szybsza. – Przypomniałam sobie o sytuacji z towarzyszką Brana i szybko dodałam: – W każdym razie w większości przypadków. Nie zamierzałam zabijać...

Nagle ktoś krzyknął. Przez moment nasłuchiwaliliśmy, ale wokół panowała cisza.

– Lepiej pójdę dotrzymać towarzystwa Signorze – powiedział Andre i zniknął. Nie odszedł, nie odbiegł, nie odleciał – po prostu zniknął.

– Ja poprowadzę – oznajmił Stefan. – Pojedziesz z tyłu z doktorem Cornickiem, żeby miał obok siebie kogoś, komu ufa, kiedy się przebudzi.

Podaliśmy mu kluczyki i wskoczyłam do tyłu.

– Co się stanie, gdy już oprzytomnieje? – zapytałam. Uniosłam głowę Samuela i położyłam ją sobie na udzie. Jedną ręką pogładziłam go po włosach, a drugą dotknęłam szyi. Miejsce ugryzienia pokryło się już strupem, pod palcami wyczuwałam jego chropowatą powierzchnię.

– Może nic – odparł Stefan, zapalając silnik. – Ale czasami nie reagują zbyt dobrze na Pocałunek. Signora Marsylia rozsmakowała się w wilkołakach, dlatego zesłano ją z Włoch aż tutaj.

– Żerowanie na wilkołakach to dla wampirów tabu?

– Skądże. – Stefan skręcił i wjechał na podjazd. – Ale żerowanie na wilkołaczycy, która jest kochanką Władcy Nocy, to z pewnością tabu.

Powiedział „Władca Nocy” w taki sposób, jakby powinno być dla mnie oczywiste, o kim mowa.

– Władca Nocy?
– Obecny Pan Mediolanu. A przynajmniej jeszcze nim był, kiedy ostatnim razem dotarły do nas wieści z Włoch.
– Kiedy Signora została tutaj zesłana?
– Jakież dwieście lat temu razem z jej wasalami i tymi, którzy zawdzięczali jej życie.
– Dwieście lat temu nic tu nie było.
– Powiedziano mi, że wbił szpilkę w mapę. Masz rację: nic tu nie było. Nic oprócz pustyni, kurzu i Indian. – Poprawił lusterko, aby móc patrzeć mi w oczy. – Indianie i coś, czego nigdy wcześniej nie spotkaliśmy, Mercy. Zmiennokształtni. Istoty, które nie ulegają wpływowi księżyca. Mężczyźni i kobiety przybierający postać kojota na zawołanie, odporni na większość rodzajów magii, które pozwalają nam żyć pośród ludzi w ukryciu.

Wpatrywałam się w Stefana.

– Nie jestem odporna na magię.
– Nie powiedziałem, że jesteś. Ale niektóre z jej rodzajów nie mają na ciebie wpływu. Jak myślisz, dlaczego oparłaś się wściekłości Marsilii, podczas gdy reszta z nas upadła?
– Dzięki barankowi.
– Barankowi... – parsknął – Kiedyś, dawno temu, to, czym jesteś, oznaczałoby dla ciebie wyrok śmierci. Zabijaliśmy tobie podobnych, gdziekolwiek ich znaleźliśmy, a oni nie pozostawiali nam dłużni – Stefan rozciągnął usta w uśmiechu. Poczułam, jak moja krew zamarza pod wpływem wyrazu jego zimnych oczu. – Wampiry są wszędzie, Mercedes, a ty jesteś tu jedyna zmiennokształtną.

Zawsze myślałam o Stefanie jako o kimś bliskim. Nawet w sercu siedziby wampirów nie kwestionowałam jego przyjaźni, nie na poważnie. Ależ byłam głupia.

– Sama się odwiozę do domu – powiedziałam.

Skierował wzrok z powrotem na drogę i zachichotał pod nosem, zjeżdżając na pobocze. Wyskoczył z furgonetki, nie wyłączając silnika. Rozluźniłam uścisk na ramieniu Samuela

i zmusiłam się do porzucenia bezpieczeństwa, jakie oferowało tylne siedzenie.

Kiedy przesiadłam się za kierownicę, nie widziałam ani nie wyczuwałam Stefana, ale byłam pewna, że wciąż mnie obserwuje. Ruszyłam. Nagle oderwałam stopę od pedału gazu i zahamowałam.

Opuściłam szybę.

– Wiem, że tu nie mieszkasz – pachniesz spalonym drewnem i popcornem. Podwieźć cię do domu? – skierowałam słowa do ciemności za oknem.

Podskoczyłam pierwszy raz, kiedy usłyszałam śmiech, a potem drugi, kiedy Stefan wetknął głowę do furgonetki i poklepał mnie po ramieniu.

– Jedź do domu, Mercy – powiedział i zniknął. Tym razem na dobre.

Wlokłam się przedmieściami za ciężarówkami, rozmyślając o wszystkim, co tego dnia usłyszałam.

Nieludzie, wampiry, wilkołaki, ich krewni – wszyscy byli nadnaturalnymi stworzeniami Starego Świata. Przybyli do Nowego z tych samych powodów co większość zwykłych ludzi: aby zdobyć bogactwo, władzę i ziemię, no i żeby uniknąć prześladowań. W epoce renesansu wampiry stanowiły swoistą tajemnicę poliszynela – sądzono, że tajemniczość dodaje prestiżu. Miasta Włoch i Francji stały się dla nich przysłowiowym rajem. Mimo to nigdy nie było ich zbyt wielu. Tak jak w przypadku wilkołaków, ludzie, którzy chcieli się stać wampirami, najczęściej umierali. Większość co bardziej rozgarniętych książąt i szlachetnie urodzonych, których uważano za wampiry, przypisywało sobie nadnaturalne moce, widząc w tym sposób na zastraszenie przeciwników.

Kościół widział to nieco inaczej. Kiedy hiszpańska inwazja na Nowy Świat napełniła po brzegi skarbce Kościoła, tym samym uniezależniając go od łaski szlachty, duchowni przystąpili do świętej wojny. Wzięli się za wampiry oraz wszelkie inne nadnaturalne stworzenia, jakie udało im się wytropić.

Zginęły setki, jeśli nie tysiące ludzi oskarżanych o wampiryzm, czarnoksięstwo bądź wilczy obłąd. Niewielki ich procent stanowiły prawdziwe wampiry, ale straty i tak były poważne – ludzie (szczęśliwie dla nich) rozmnażają się o wiele szybciej niż nieumarli.

A zatem wampiry przybywały do Nowego Świata jako ofiary religijnych prześladowań, co prawda nieco innego rodzaju niż kwakrzy czy purytanie. Wilkołaki i ich ulegający wpływowi księżycy krewni poszukiwali nowych terytoriów łowieckich. Nieludzie uciekali przed zimną stałą rewolucji przemysłowej, która i tak ich dopadła, tyle że po drugiej stronie globu. Wspólnie ci imigranci przyczynili się do wyginięcia nadnaturalnych stworzeń Ameryki, aż w końcu nawet opowieści o ich istnieniu w większości odeszły w zapomnienie. Moi krewni nie stanowili wyjątku.

Kiedy skręcałam w kierunku autostrady, przypomniałam sobie, co powiedziała mi kiedyś matka. Nie znała zbyt dobrze mojego ojca. W przeważnie pustej szkatułce na biżuterię trzymała srebrną sprzączką od pasa, którą wygrał na rodeo.

Powiedziała mi, że jego oczy miały kolor rozświetlonego słońcem korzennego piwa i że chrapał, kiedy spał na plecach. Oprócz tego wiedziałam o nim tylko tyle, że gdyby ktoś wcześniej odnalazł wrak jego ciężarówki, prawdopodobnie nadal by żył. Wypadek nie zabił go od razu. Coś ostrego przecięło jego aortę i wykrwawił się na śmierć.

Zza pleców dobiegł mnie jakiś hałas. Przystawiłam lusterko.

Samuel miał otwarte oczy i okropnie się trząsł. Stefan zapomniał mi powiedzieć, jak może wyglądać reakcja na Pocałunek, ale już niedługo miałam się o tym osobiście przekonać. Kiedy znów spojrzałam na drogę, właśnie dojeżdżałam do zjazdu na Columbia Park. Przyhamowałam i gwałtownie skręcałam.

Zatrzymałam się dopiero na parkingu nieopodal niewielkiej szopy. Wyłączyłam światła i ostrożnie precisnęłam się pomiędzy siedzeniami.

– Sam? – powiedziałam. Na jedno uderzenie serca Samuel znieruchomiał.

Jego oczy błyszczały w ciemności furgonetki. Czułam zapach adrenaliny, przerażenia, potu i krwi.

Walczyłam ze sobą, by nie uciec. Część mnie wiedziała, że takie natężenie strachu musiało mieć swoją przyczynę. Druga część wywnioskowała, dlaczego niektóre wilkołaki źle reagowały na Pocałunek. Kiedy się budzisz niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, mając w pamięci obraz czegoś, co wysysało twoją krew, każdy mechanizm obronny twojego organizmu zaczyna działać ze wzmożoną siłą.

– Ciii... – próbowałam uspokoić Samuela, kucając pomiędzy siedzeniem a przesuwanymi drzwiami.

– Wampirów już nie ma. o co teraz czujesz, to efekt ugryzienia. Powoduje, że ich ofiara staje się bezbronna, by mogły żerować bez zwracania na siebie uwagi. Niedługo przejdzie. Stefan powiedział, że będziesz jak nowy.

Zaczynał mnie słuchać – rozluźnił mięśnie. Wtedy zadzwonił telefon.

Od razu odebrałam, ale nagły hałas był kroplą, która przepełniła czarę. Furgonetka trzęsła się i huśtała, kiedy Samuel próbował przejść przez siedzenie do tylnej części samochodu.

– Halo? – powiedziałam szeptem.

– Mercy? – Dzwonił Warren. W jego głosie wyczułam zniecierpliwienie. – Wracaj tak szybko, jak to możliwe. I przywieź Samuela.

Samuel leżał już za siedzeniem i wydawał charczące dźwięki. Przemiana bywa dla wilkołaków bolesna nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach – kiedy mają dobre samopoczucie i nie mogą się doczekać polowania. Przemiana, kiedy powietrze przepełnia zapach strachu i krwi, nie wróży niczego dobrego. Zupełnie niczego.

– Samuel jest niedysponowany – powiedziałam, kiedy Samuel krzyknął. A raczej ryknął w agonii i desperacji, walcząc z przemianą.

Warren zaklął.

– W takim razie powiedz mi jedną rzecz – czy Adam podejrzewa kogoś o zdradę?

– Owszem, z mojej winy. Warren, czy stado jedzie do twojego domu?

Mruknął. Założyłam, że oznaczało to „tak”.

– Powiedz Adamowi.

– Zrobiłem steki i nakarmiłem go jakąś godzinę temu, teraz odsypia. Próbowałem go obudzić, zanim zadzwoniłem, ale zapadł w letarg. Nie wiem, czego trzeba, by wrócić mu przytomność.

– Doktora Cornicka – bąknęłam, krzywiąc się z powodu dobiegających z tylnego siedzenia hałasów. – Ale on w tej chwili nie może podejść do telefonu.

– Okej, nie myśl teraz o tym, Mercy – głos Warrena nagle stał się spokojny. – Poradzę sobie. Jeśli Samuel jest w trakcie mimowolnej przemiany, to uciekaj stamtąd. Daj mu czas, by się uspokoił.

– Mam go zostawić, żeby pobiegł zapolować w centrum Kennewick? Nie sądzę.

– Mercy, on cię nie pozna, jeśli się w ten sposób przemienia. To nie będzie Samuel, syn Brana. To będzie wilk. Po prostu wilk.

Dobiegające zza siedzenia odgłosy coraz mniej przypominały ludzkie.

– Musisz stamtąd wyjść.

– Wszystko w porządku, Warren – powiedziałam, mając nadzieję, że się nie mylę.

Wilki, te prawdziwe, zazwyczaj nie stanowią dla ludzi zagrożenia, jeśli pominąć sytuacje, w których są zranione lub przyparte do muru. Wilkołaki zawsze potrafią rzucić się do gardła.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, przekaż Adamowi, że zabiły mnie wampiry. Nie będziesz musiał kłamać – to one wymusiły tę przemianę. Tak mu właśnie powiedz. – Rozłączyłam się.

Było za późno, żeby uciekać, ale i tak nie zamierzałam tego robić. Miałabym zostawić Samuela, uzdrowiciela i obrońcę

słabych, by samotnie zmagał się z wilczym szalem?

Wątpiłam, by potrafił żyć z krwią niewinnych na rękach. Już go kiedyś opuściłam. Nie zrobiłabym tego ponownie. Krzyki ucichły i jedyne, co słyszałam, to jego charczący oddech, ale furgonetkę wciąż wypełniał zapach wściekłości.

Nie zawracałam sobie głowy zdejmowaniem ubrań, nie miałam na to czasu. Od razu przemieniłam się w kojota.

Kiedy głowa Samuela wyłoniła się zza siedzenia, strzepywałam z siebie koszulkę i stanik.

Przestałam wykonywać gwałtowne ruchy i z podwiniętym ogonem przykucnęłam na podłodze samochodu. Nie patrzyłam w górę. Usłyszałam, jak wyginają się sprężyny kanapy, kiedy wilk przeszedł przez oparcie.

Byłam tak przerażona, że z trudem oddychałam. Wiedziałam, co muszę zrobić, ale nie miałam pewności, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem. Gdyby jakaś część mnie zwątpiła, że Sam, mój Sam, nigdy by mnie nie skrzywdził, nie potrafiłabym przystąpić do kolejnej części zadania.

Samuel milczał. W Montanie, podczas polowania, wilki wyją i ujadają, ale w mieście wszystko odbywa się bezgłośnie. Warczenie, skowyt – to wszystko narzędzia blefu. Kiedy wilk zabija, nie wydaje odgłosów.

Położyłam się na grzbiecie, odsłaniając brzuch i szyję. Nigdy wcześniej nic nie kosztowało mnie więcej trudu. Nie chodziło o to, że stanowiłam łatwą zdobycz. Z taką pozycją wiązało się coś gorszego – uległość.

Samuel zeskoczył z kanapy i furgonetką znów zahuštało.

Kwaśna woń strachu ulotniła się wraz z jego człowieczeństwem, pozostał jedynie zapach gniewu. Ciepły oddech muskał moją sierść, kiedy nos wilka wędrował coraz wyżej, w kierunku mojej głowy. Wisząca w powietrzu agresja stopniowo zanikała wraz z intensywnością, która wcześniej czyniła uczucia Samuela tak wyrazistymi.

Przechyliłam głowę i odważyłam się na niego spojrzeć. Zajmował całą przestrzeń pomiędzy siedzeniem a przesuwanymi

drzwiami. Uwięziona, z łapami przyciskającymi mnie do podłogi, poczułam nagły przypływ klaustrofobii i instynktownie spróbowałam się wyrwać.

Znieruchomiałam, gdy tylko Samuel rzucił się do przodu z ostrzegawczym warknięciem i kłapnął zębami tuż przed moim pyskiem. W myślach dodawałam sobie otuchy – warknięcie przynajmniej w teorii oznaczało, że prawdopodobnie nie zamierzał mnie zabić. Pomogło, ale tylko odrobinę. Zbyt dużo wiedziałam o zmiennej naturze wilkołaków.

Nagle rozwarł szczękę tuż nad moim gardłem – zbyt szeroko jak na atak. Poczułam przez sierść dotyk zębów na karku. Zaczęłam się modlić, żeby Bran miał rację i żeby wilk Samuela uznał mnie za swą towarzyszkę. W przeciwnym wypadku czekały nas poważne kłopoty.

Leżałam nieruchomo, podczas gdy moje serce próbowało wyrwać się z piersi. Poczułam uszczypnięcie w nos i ciężar ustąpił.

Wstałam i otrzepałam się z sierści, a przy okazji stanika. Sam leżał wyciągnięty na kanapie, wodząc za mną pięknymi białymi ślepiami.

Mrugnął, po czym ułożył pysk na przednich łapach i zamknął oczy, wyrażając bez słów, najjaśniej jak potrafił, że dwie połówki jego duszy zostały ponownie złączone.

Wtedy usłyszałam ciche sapanie dużego silnika – prawdopodobnie wozu policyjnego. Błyskawicznie przybrałam ludzką postać i zaczęłam kompletować rozrzuconą garderobę. Najpierw odnalazłam bladozieloną bieliznę, na szczęście sportowy stanik zakładał się łatwiej niż ściągął. Stopą natrafiłam na koszulkę.

Radiowóz zwolnił, a jego światła błysnęły w oknach furgonetki.

– Spodnie, spodnie, spodnie – powtarzałam, omiatając dłońmi podłogę. Palcami natrafiłam na nie w momencie, gdy opony zachręściły na żwirze. Przypadkiem odnalazłam również sztylet Zee. Wepchnęłam go pod wycieraczkę najdalej jak się dało od przesuwanych drzwi.

Gorączkowo naciągnęłam spodnie, zasunęłam suwak i zapięłam guzik. Policjant właśnie wychodził z samochodu. Buty. Na szczęście były białe, Nałożyłam je na gołe stopy, nawet ich nie zawiązując.

Spojrzałam spanikowana w kierunku rozciągniętego na całej długości kanapy bydłęcia. Samuel przez najbliższe kilka godzin nie mógł powrócić do ludzkiej postaci. Po niekontrolowanej przemianie wilkołak – nawet tak silny jak Sam – potrzebował nieco czasu, by dojść do siebie.

Wiedziałam, że nie zdążę go ukryć.

– Samuelu – powiedziałam zdecydowanie. – Samuel jest dobrym psem i nikogo nie będzie straszyć. Nie mamy czasu na wizyty w komisariacie.

Omiótł mnie snop światła. Pomachałam i powoli odsunęłam drzwi.

– Biegamy, panie władzo. – Oślepią latarką, nie mogłam dostrzec twarzy policjanta.

Nastąpiła długa przerwa. – Jest pierwsza nad ranem, proszę pani.

– Nie mogłam zasnąć. – Posłałam mu skruszony uśmiech.

– Bieganie w środku nocy nie jest bezpieczne. – Obniżyłam latarkę. Zamrugalam, mając nadzieję, że sprzed moich oczu zniknie wreszcie obraz pochylonego nade mną Samuela z rozdziawioną szczęką.

– Dlatego zawsze biorę go ze sobą – wskazałam kciukiem na tył furgonetki.

Policjant zaklął.

– Proszę wybaczyć. Do cholery, to jest największy pies, jakiego kiedykolwiek widziałem, a wychowałem się wśród bernardynów.

– Niech mnie pan nawet nie pyta, co to za rasa. Wyśliznęłam się na zewnątrz. – Wzięłam go ze schroniska, kiedy był jeszcze szczeniakiem. Mój weterynarz twierdzi, że to jakaś krzyżówka wilczarza irlandzkiego z czymś, co ma trochę z wilka, na przykład z husky albo samojedem.

– Albo z tygrysem syberyjskim – mruknął policjant, choć

raczej do siebie niż do mnie. – Proszę pokazać prawo jazdy, dowód rejestracyjny i ubezpieczenie. – Wyglądał na odprężonego, raczej nie spodziewał się kłopotów.

Otworzyłam przednie drzwi i wyciągnęłam ze schowka portfel. Wrzuciłam go tam, kiedy zatrzymaliśmy się „U Wujka Mike'a”. Leżał tuż obok dowodu rejestracyjnego, ubezpieczenia i SIG-a.

Życie będzie znacznie łatwiejsze, jeśli policjant go nie dostrzeże – ani wetkniętego całkiem z tyłu marlina .44. Co prawda miałam pozwolenie na broń, ale wolałam zachować fakt jej posiadania w tajemnicy. Szczególnie gdy – jak twierdził Stefan – sztylet Zee był nielegalny.

Wyciągnęłam ubezpieczenie i dowód rejestracyjny, a następnie delikatnie zamknęłam schowek, aby SIG nie zagrzechotał. Niepotrzebnie się martwiłam. Policjant siedział na podłodze furgonetki, pieszcząc Samuela.

Zmartwiłabym się, gdyby chodziło o kogoś innego – wilkołaki nie należą do pieszczoszków, a niektóre czują się urażone podobnym traktowaniem. Samuel nachylił głowę, by palce policjanta miały łatwy dostęp do tego właściwego miejsca za uchem, i pojękiwał z rozkoszy.

Lubił ludzi. Pamiętam, że w Aspen Creel przychodził się bawić z dziećmi z podstawówki – oczywiście wszystkie były ludźmi. Większość wilkołaków unika dzieci, ale nie Samuel. Dzieciaki wiedziały, czym jest, i kiedy przebywał w ludzkiej postaci, zwracały się do niego per „doktorze Cornick” i traktowały jak każdego innego dorosłego. Ale kiedy odwiedzał szkolny plac zabaw w postaci wilka, kazały mu udawać kucyka, psa i okrutnego, lecz lojalnego przyjacielawilka.

Sprawiało mu to taką samą dziką rozkosz co im.

– Piękny – powiedział policjant. Wszedł z furgonetki i wziął ode mnie papiery. – Jaki jest duży, kiedy stoi?

Pstryknęłam palcami. – Samuel, chodź.

Sam usiadł na kanapie, muskając grzbietem o dach furgonetki. Przeciągnął się i zeskoczył na zwirową ścieżkę.

Celowo poruszał się jak duży pies, odrobinę niezgrabnie. Grube

zimowe futro i ciemność nocy kamuflowały cechy jego anatomii, których nie sposób byłoby wyjaśnić żadną liczbą krzyżówek.

Przednie łapy wilkołaka przypominają bardziej łapy niedźwiedzia bądź lwa niż wilka. Jak wspomniana pierwsza dwójka, wilkołaki używają pazurów do przecinania i rozszarpywania ciała, a to oznacza, że ich muskulatura nie przypomina psiej.

Policjant gwizdnął i obszedł Samuela dookoła. Zachował jednak ostrożność, trzymając latarkę z dala od jego oczu.

– Niech no spojrzę... – mruknął. – Sto kilo cielska i zero grama tłuszczu.

– Tak pan sądzi? Nigdy go nie ważyłam. Wystarczy mi wiedzieć, że jest cięższy ode mnie.

Policjant oddał mi prawo jazdy i pozostałe papiery, nawet do nich nie zaglądając.

– Mimo wszystko byłbym spokojniejszy, gdyby biegła pani za dnia. Dla bezpieczeństwa obywateli zamykamy park na noc.

– Doceniam pańską troskę – powiedziałam szczerze, lekko klepiąc wilkołaka po głowie.

Policjant wsiadł do radiowozu i wycofał, ale poczekał, aż zamknę Samuela w furgonetce, i eskortował mnie aż do wjazdu na autostradę – tak więc nie mogłam się zatrzymać, by założyć skarpetki. Nienawidzę nosić skórzanych adidasów na gołych stopach.

Samuel wskoczył na przednie siedzenie i wystawił głowę za okno. Jego uszy trzepotały na wietrze.

– Przestań – upomniałam go. – Trzymaj wszystkie części ciała w samochodzie.

Zignorował mnie i otworzył pysk, wywieszając język.

Dopiero po chwili wciągnął głowę do środka, szczerząc zęby.

– Zawsze chciałam to zrobić – przyznałam. – Może kiedy będzie już po wszystkim, ty poprowadzisz, a ja wystawię łeb za okno.

Odwrócił się do mnie, opierając przednie łapy pomiędzy siedzeniami. Potem wetknął nos pod moją koszulkę i zaskomlał.

– Przestań! – pisnęłam i trzepnęłam go w pysk. To niegrzeczne.

Cofnął głowę i rzucił mi spojrzenie, które w przypadku wilka mogło uchodzić za figlarne. Zerknęłam na prędkościomierz, by się upewnić, że nie przyspieszam.

– Spowodujesz wypadek, Samuelu Llewellynie Cornick. Trzymaj swój nos z dala od mojej kobiecości.

Prychnął i położył łapę na moim kolanie. Poklepał je dwa razy, po czym ponownie wetknął nos w mój pępek. Tym razem był szybszy od spadającej taki i zdążył, się cofnąć.

– Mój tatuaż? – zapytałam, a on wydał z siebie odgłos zachwytu – bardzo basowy odgłos. Tuż pod pępkiem miałam wytatuowany odcisk łapy. Pewnie go zobaczył, kiedy się ubierałam. Miałam też kilka tatuaży na rękach.

– Karen, z którą mieszkałam w akademiku, studiowała sztukę. Dorabiała, robiąc tatuaże. Pomogłam jej zaliczyć chemię, w zamian za co zaproponowała, że zrobi mi jeden za darmo. Wcześniejsze dwa lata studiów spędziłam w domu matki, udając córkę doskonałą. Musiałam udawać, ponieważ obawiałam się, że stracę drugi dom równie szybko, co pierwszy. W tamtym czasie nawet bym nie pomyślała o czymś tak skandalicznym jak tatuaż. Moja matka do tej pory obwinia Karen za to, że przerzuciłam się z inżynierii na historię, przez co zostałam mechanikiem samochodowym. Prawdopodobnie ma rację, ale ja jestem szczęśliwa, robiąc to, co robię, i nie sądzę, bym miała być szczęśliwsza jako inżynier.

– Pokazała mi album ze zdjęciami tatuaży, które sama wykonała, i gdzieś w połowie trafiłam na zdjęcie faceta, który miał na plecach ślady wilka – od biodra aż do przeciwległego ramienia. Chciałam coś mniejszego, więc stanęło na pojedynczym odcisku łapy.

Członkowie mojej rodziny wiedzieli, czym jestem, ale nie zadawali żadnych pytań. Ukrywałam przed nimi zwierzęcą część siebie, by lepiej wpasować się w ich styl życia. To był mój wybór. Jak już wspominałam, kojoty świetnie potrafią się przystosowywać.

Pamiętam, jak oglądając zdjęcie pleców mężczyzny,

zrozumiałam, że chociaż oszukuję wszystkich innych, to siebie oszukać nie zdołam. Kazałam więc Karen wykonać tatuaż w miejscu, które mogłam zakrywać, a ja wreszcie poczułam się spełniona. Dotarło do mnie, że powinnam być dumna ze swojej natury; zamiast żałować, że nie jestem wilkołakiem łąb człowiekiem, bo wtedy bym „pasowała”.

– To łapa kojota – powiedziałam stanowczo. – Nie wilka.

Samuel wyszczerzył zęby i ponownie wychylił się przez okno, tym razem aż po barki.

– Zobaczysz, wypadniesz.



Rozdział 12

Nadchodzi stado – powiedziałam do Samuela, kiedy wolno krążyliśmy dookoła domu Warrena. – Nie wiem, ile pamiętasz ze swojej przemiany, ale Warren zadzwonił po pomoc. Adam spał i nie można go było dobudzić. – Wiedząc, że Samuel jest bezpieczny, mogłam się martwić o Adama. – Czy to normalne?

Samuel skinął głową, a ja poczułam, jak ogarnia mnie fala ulgi. Odchrząknęłam i mówiłam dalej:

– Ponieważ Warren wie, że nie możemy ufać stadu, prawdopodobnie spróbuje ich trzymać z daleka od Adama – i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że Darryl jest zastępcą Alfy. – A to oznaczało walkę.

Samuel powiedział mi kiedyś, że pomimo wszystkich korzyści fizycznych, jakie zyskują wilkołaki, średnia długość ich życia wynosi dziesięć lat. Z pewnością tę średnią zaniżają osoby takie jak mój przyjaciel, doktor Wallace, które muszą zostać wyeliminowane w ciągu pierwszego roku egzystencji.

Jednak większość wilkołaków ginie podczas walk o dominację. Nie chciałam, żeby Warren albo nawet Darryl zginął tej nocy – a gdyby do tego doszło, byłaby to wyłącznie moja wina.

Gdyby nie mój przebłysk intuicji czy też paranoi, gdybym nie

zasugerowała, że ktoś ze stada zdradził, Warren nie usiłowałby trzymać Darryla z dala od Adama.

Richland tonęło w ciszy, ale po obydwu stronach ulicy, przy której znajdował się dom Warrena, stały rzędy samochodów. Rozpoznałam należące do Darryla mustanga rocznik 67 – stado już tu dotarło. Zaparkowałam przy następnym budynku i razem z Samuelem biegiem wróciliśmy na miejsce.

Drzwi do domu zagradzała stercząca na werandzie kobieta. Miała czarne włosy związane w koński ogon długi do pasa i umięśnione ręce, które założyła na siebie w pozie nieustępliwości. Na mój widok stanęła szerzej. Uczyła chemii w liceum w Richland i była towarzyszką Darryla.

– Aurielle – przywitałam ją, wchodząc po schodach.

Spojrzała na mnie surowo.

– Powiedziałam mu, że nie wyrządziłabyś Adamowi krzywdy, a on mi uwierzył. Powiedziałam, że nie działałabyś na szkodę stada. Jest parę spraw, które musisz wyjaśnić.

Jako towarzyszka Darryla Aurielle zajmowała w stadzie wysoką pozycję. W normalnych okolicznościach grzecznie przedyskutowałabym z nią sprawę, ale musiałam się jak najszybciej dostać do domu, żeby zapobiec katastrofie.

– Świetnie – odparłam. – Ale będę się tłumaczyć przed Darrylem, nie przed tobą i nie teraz.

– Darryl jest zajęty. – Nie dała się tak łatwo zbyć. Mając na co dzień do czynienia z gromadą nastolatków, Aurielle doskonale wiedziała, kiedy ktoś próbuje zamydlić jej oczy.

Otworzyłam usta, ale nie pozwoliła mi dojść do słowa:

– Zachowujemy Ciszę.

Jeśli się nad tym zastanowić, wilkołaki władają niewielką ilością magii. Czasami zdarzy się wśród nich ktoś taki jak Charles, który posiada specyficzny dar. Jednak w większości przypadków magia wilków ogranicza się do umiejętności przemiany i kilku sztuczek, dzięki którym łatwiej pozostać niezauważonym. Jedną z nich jest właśnie Cisza.

Rozejrzałam się. Wokół bliźniaka Warrena stało czworo ludzi,

choć bez wątpienia zauważyłabym ich więcej, gdybym okrążyła budynek. Z zamkniętymi oczami wypowiadali słowa inkantacji, która sprowadzała Ciszę na wszystkich wewnątrz kręgu. Robili to, aby nikomu nie zakłócać spokoju – co oznaczało, że walka już się rozpoczęła. Stado nie będzie chciało przerwać Ciszy, by wpuścić mnie do środka.

– Ta walka niczemu nie służy – powiedziałam stanowczo. – Nikt jej nie potrzebuje.

Auriele otworzyła szerzej oczy.

– Ależ zaistniała taka potrzeba, Mercy. Darryl jest drugim, a Warren nie chciał się podporządkować. Nie można mu tego puścić płazem. Porozmawiasz z Darrylem, kiedy już przemówi Warrenowi do rozsądku. – Jej ruchliwe brwi zbliżyły się do siebie, kiedy spojrzała na Samuela. Zapytała nagle zmienionym głosem: – Kto to jest? W domu Adama były jakieś martwe wilki.

– To Samuel – odpowiedziałam, niecierpliwie ruszając w kierunku drzwi. – Wchodzę.

Rzuciła się do przodu, aby zagrozić mi drogę. Zawahała się, kiedy w półmroku dostrzegła niezwykle umaszczenie Samuela.

– Jaki Samuel?

Dwa razy do roku Alfy spotykają się z Branem w głównej siedzibie wilkołaków w Colorado. Czasem przywożą ze sobą swoich drugich i trzecich, ale nigdy kobiety. Po części ze względów praktycznych. Alfy czują się niespokojne poza własnym terytorium, a obecność innych Alf źle na nie wpływa. Ze swoimi towarzyszkami u boku cały ten dyskomfort i terytorializm mogłyby się przerodzić w otwartą agresję.

Oznaczało to, że Auriele nigdy nie spotkała Samuela, ale z pewnością o nim słyszała. Białe wilki o imieniu Samuel nie występują zbyt powszechnie.

– Doktor Samuel Cornick – oznajmiłam. – Przepuść nas. Mam informacje na temat wilków, które zaatakowały Adama.

Gdybym nie była przemęczona i zmartwiona o Warrena oraz Darryla, pewnie nie podjęłabym tak ryzykownego kroku. Wątpię, czy Auriele usłyszała cokolwiek oprócz mojego rozkazu.

Auriele miała łeb na karku. Wiedziała, że nie jestem towarzyszką Alfę, mimo że Adam zastrzegł sobie do mnie prawo przed całym stadem. Nie byłem wilkołaczką i nie należałam do stada, więc nie mogła mnie pokornie słuchać.

Całe wahanie zniknęło. Miałam nad nią przewagę wzrostu, ale to jej nie powstrzymało. Doskoczyła do mnie i pchnęła mnie w kierunku schodów z siłą, jakiej nie mógł posiadać zwykły człowiek. Zatoczyłam się w tył o jakieś trzy lub cztery stopnie.

– Nie ty wydajesz rozkazy – powiedziała głosem, który z pewnością świetnie się sprawdzał w jej klasie.

Znow chciała mnie zaatakować. Jej błąd. Była ode mnie zdecydowanie silniejsza, ale nie miała żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o walkę w ludzkiej postaci.

Zrobiłam unik, pozwalając, aby siły rozpędu i ciężenia wykonały za mnie większość roboty. Pchnęłam ją lekko, kiedy obok mnie przelatowała. Straciła kontrolę nad lądowaniem i upadła na chodnik, z całą siłą uderzając głową o stopień.

Nie sprawdziłam, czy wszystko z nią w porządku. Żadnej wilkołaczki nie powstrzyma upadek ze schodów.

Znajdujący się najbliżej wilk ruszył w moim kierunku, lecz musiał się zatrzymać, by nie przerwać łańcucha Ciszy.

Samuel wbiegł do środka, gdy tylko otworzyłam drzwi. Odgłos rozwścieczonego warczenia Auriele za plecami spowodował, że zrobiłam dokładnie to samo.

Salon Warrena przypominał pobojuwisko. Wszędzie leżały porzucane książki i kawałki połamanych mebli, ale zarówno Warren, jak i Darryl przebywali w ludzkiej postaci.

Zorientowałam się, że obaj nie chcieli dopuścić do walki na śmierć i życie. Wilkołaki w ludzkiej postaci są niezwykle silne, ale nawet w połowie nie tak zabójcze jak ich wilki.

Warren podniósł krzesło i połamał je na głowie Darryla. Roztoczony przez stado urok pochłonął odgłos uderzenia, więc mogłam ocenić jego siłę wyłącznie po liczbie kawałków, na jakie rozpadł się mebel, i po rozprysku krwi.

Ruchem tak szybkim, że ledwie zdążyłam go dostrzec, Darryl

powalił Warrena na ziemię i chwycił go za gardło.

Samuel wpadł do salonu i zacisnął szczękę na nadgarstku Darryla, a następnie zrobił unik. Wszystko nastąpiło tak niespodziewanie – walczące wilkołaki nie usłyszały, jak wchodzimy – że zaskoczony Darryl puścił Warrena, który momentalnie odskoczył. Samuel stanął pomiędzy nimi.

Ciężko dysząc, Warren oparł się o ścianę, ścierając krew z oczu. Darryl chciał się rzucić na Samuela, ale wtedy go rozpoznał i omal nie upadł na plecy, niezgrabnie próbując go ominąć. Wyraz absolutnego zaskoczenia pojawił się na jego twarzy.

Gdy tylko zyskałam pewność, że ani Darryl, ani Warren nie będą kontynuować walki, poklepałam Samuela po ramieniu, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Kiedy na mnie spojrzał, wskazałam palcem na usta i uszy. Znajdujące się na zewnątrz wilkołaki nie mogły mnie usłyszeć i zaprzestać swojej mantry, a wszyscy musieliśmy porozmawiać.

Sądziłam, że Samuel po prostu wyjdzie na zewnątrz, ale on miał inny plan. Jego moc wypełniła dom z siłą burzy płomieni, jakby jakiś idiota otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym od wielu godzin tlił się ogień. Powietrze trzaskało i skwierczało, poczułam się, jakbym wdychała dym petard, którymi dzieci bawią się w Dzień Niepodległości. Wyładowania mocy zaiskrzyły na mojej skórze. Straciłam nad sobą kontrolę i upadłam. Obraz przed oczami zamigotał. Czarne kłęby dymu i błyski jaskrawego światła kazały mi wcisnąć głowę między kolana, kiedy walczyłam o zachowanie świadomości.

– Dość, Samuelu – usłyszałam. Z trudem rozpoznałam głos Adama. – Cokolwiek próbowałeś przekazać, już ci się to chyba udało.

Nadal trzymałam głowę między kolanami. Skoro pojawił się Adam, wszystko inne mogło poczekać, aż wreszcie złapię oddech.

Odgłos szybkich i lekkich kroków kojarzył się z Adamem, który najwyraźniej doszedł już do siebie. Podniosłam głowę zbyt wcześnie i znów musiałam ją pochylić. Alfa na chwilę położył dłoń na moich włosach.

– O co poszło? – zapytał.

– Szukamy cię od dwóch dni, Adamie – głos Darryla miał nieco zniekształcone brzmienie. – Wiedzieliśmy tylko tyle, że Mercy zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce Elizawiey Arkadiewny i że twój dom został zdemolowany. W środku leżały trzy martwe wilki, o których nikt nic nie wiedział. Ty, Jesse i Mery zniknęliście. Obserwowaliśmy twój dom, ale wyłącznie dzięki głupiemu zbiegowi okoliczności jeden ze stada zauważył Mercy w samochodzie Kyle'a. Kiedy zadzwoniłem do Warrena, nie chciał się przyznać, że tu jesteś, ale też nie zaprzeczył, że cię nie ma, więc zwołałem stado.

Ponownie spojrzałam w górę – tym razem świat nie zawirował. Darryl i Warren klęczeli na podłodze blisko miejsca, w którym wcześniej walczyli. Zorientowałam się też, dlaczego Darryl miał problem z mówieniem – paskudne rozcięcie na jego wardze jeszcze się nie zagoiło.

– Nie mogłem okłamać Darryla – wyjaśnił Warren. – Ty wciąż spałeś i nie potrafiłem cię obudzić. Nie mogłem też wpuścić nikogo na górę, dopóki byłeś bezbronny.

Samuel polizał mnie po twarzy i cicho zaskomlał.

– Fe! – powiedziałam, próbując go odepchnąć. – To po prostu ordynarne. Przestań, Samuelu. Bran nie nauczył cię dobrych manier?

Celowo starał się rozluźnić atmosferę, aby pomóc nam zdecydować, jak sobie poradzić z zaistniałą sytuacją bez dalszego rozlewu krwi.

– Warren postępował zgodnie z rozkazami – powiedział wolno Adam.

– Rozumiem – odrzekł Darryl, przezornie zachowując beznamiętny wyraz twarzy.

– I nie przeciwko tobie. – Adam machnął ręką na wysokości klatki piersiowej – „nie czuj się urażony” – oznajmiał gest – „to nic osobistego”.

– W takim razie przeciwko komu?

– Nie wiemy – wtrąciłam. – Zdarzyło się coś, co mnie

zaniepokoiło.

– Opowiedz im – rozkazał Adam. Tak też zrobiłam.

Ku memu zaskoczeniu, kiedy wytłumaczyłam, że miałam złe przeczucia co do lojalności niektórych wilkołaków, Darryl po prostu skinął głową i powiedział:

– Skąd wiedzieli, gdzie mieszka Adam? Albo kiedy spotkanie dobiegło końca? Skąd wiedzieli, że nie trzyma w domu armii ochroniarzy jak niektóre Alfy? Poza tym Jesse nie jest głupia. Gdyby usłyszała odgłosy strzałów, siedziałyby cicho – a oni i tak wiedzieli, gdzie jej szukać.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

– Wysłali po nią tylko jednego człowieka, a on poszedł prosto do jej pokoju.

Darryl machnął ręką.

– Zdrada z pewnością wchodzi w grę, choć nie twierdzę, że to jedyne wyjaśnienie. Podjęłaś słuszną decyzję, Mercy.

Te słowa nie powinny były sprawić mi przyjemności, ale chłonę pochwały jak gąbka.

– Mów dalej, Mercy – powiedział Adam. Kontynuowałam wyjaśnienia tak zwięźle, jak to możliwe, co oznaczało, że pominęłam wszelkie szczegóły, które ich nie dotyczyły – jak na przykład łączący mnie niegdyś z Samuelem związek.

W czasie gdy opowiadałam, pozostałe wilkołaki wchodziły do domu. Siadały na podłodze, usuwając na bok połamane meble. Nie było to całe stado, ale jakieś dziesięć czy piętnaście osób. Aurielle usiadła obok Darryla, kolanem dotykając jego kolana.

Na jej czole widniał paskudny siniak. Zaczęłam się zastanawiać, czy nadal będzie mnie traktować z chłodną kurtuazją, jak to zawsze czyniła, czy, jak kobiety w stadzie Brana, uzna mnie za wroga.

Dzięki wsparciu Adama Warren umocnił swoją pozycję w stadzie – przynajmniej jeśli chodzi o Darryla, którego język ciała powiedział reszcie wilkołaków, że Warren nie jest w niełasce. Darryl cenił lojalność, pomyślałam, nagle pewna, że

to nie on zdradził. A zatem kto? Przyglądałam się kolejnym twarzom, tym lepiej i gorzej mi znanym. Ale Adam był dobrym przywódcą, a poza Darrylem w jego stadzie brakowało wilków na tyle dominujących, by mogły pretendować do pozycji Alfy.

Dotarłam w mojej opowieści do momentu, w którym przyjechaliśmy z Adamem do domu Warrena. Wytłumaczyłam, że uznaliśmy to miejsce za lepszą kryjówkę niż siedzibę Alfy czy moją przyczepę. Musiałam przerwać, ponieważ Darryl zaczynał się już trząść ze zniecierpliwienia.

– Dlaczego zabrali Jesse? – zapytał, gdy tylko zamilkłam.

– Warren mówi, że nikt nie dzwonił z żądaniem okupu – rzekł Adam. Jeszcze kiedy opowiadałam, zaczął chodzić po pokoju. Z jego ruchów nie dało się wyczytać, by kiedykolwiek został raniony, ale podejrzewałam, że część tego była grą. Alfa nigdy nie okazuje słabości w towarzystwie członków stada. – Zastanawiałem się nad tym, ale, szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Jeden z wilków, które przyszły do mojego domu, to ktoś, kogo kiedyś znałem – jakieś trzydzieści lat temu. Obaj zostaliśmy Przeistoczeni w tym samym czasie. Dla niego to doświadczenie było... męką, ponieważ przemieniał się bez niczyjej pomocy. – Na twarzach niektórych wilkołaków pojawiło się współczucie. – W związku z tym może żywić do mnie urazę, ale trzydzieści lat to kawał czasu, żeby czekać z zemstą – jeśli to z tego powodu zabrano Jesse.

– Czy należy do jakiegoś stada? – zapytała Mary Jo. Mary Jo, strażak z Kennewick, była niedużą, ale twardą kobietą. Sporo narzekała, ponieważ musiała udawać słabszą niż wszyscy mężczyźni w jej załodze. Lubiałam ją.

Adam potrząsnął głową.

– David jest samotnikiem z wyboru. Nie przepada za swoimi krewniakami.

– Mówiłeś, że byli z nim ludzie i nowe wilki – powiedział Warren.

Adam przytaknął. Myśl o samotnym wilkołaku nie dawała mi spokoju. Co robił w stadzie młodziutkich wilków mężczyzna,

który przez trzydzieści lat żył w odosobnieniu? Czyżby sam ich Przeistoczył? Czy stali się jego ofiarami tak jak Mac?

Samuel położył mi głowę na udzie, a ja pieściłam go w roztargnieniu.

– Powiedziałaś, że użyli azotanu srebra, DMSO i ketaminy – odezwała się Auriele. – Czy to oznacza, że pracował dla nich jakiś lekarz? Albo handlarz narkotyków? Ketamina nie jest tak popularna jak metamfetamina czy crack, ale spotykamy się z nią od czasu do czasu w szkole.

Wyprostowałam się.

– Lekarz lub weterynarz – powiedziałam. Siedzący obok mnie Samuel zeszywniał. Spojrzałam na niego. – Weterynarz miałby do tego wszystkiego dostęp, prawda?

Samuel warknął. Nie podobało mu się to, o czym myślałam.

– Co sugerujesz? – Adam patrzył na Samuela, choć skierował pytanie do mnie.

– Doktor Wallace – oznajmiłam krótko.

– Carter ma kłopoty, ponieważ nie potrafi zaakceptować faktu, że jest wilkołakiem, Mercy. On nie lubi przemocy i prędzej umrze, niż stanie się tym, czym jesteśmy. Usiłujesz powiedzieć, że jest zamieszany w spisek? Że to on przeprowadza eksperymenty na młodych wilkach? Czy kiedykolwiek słyszałaś, co ma do powiedzenia na temat przemysłu kosmetycznego i eksperymentowania na zwierzętach?

Zaskoczyło mnie, że Adam tak dużo wie o doktorze Carterze. Sądząc jednak po reakcjach mieszkańców Aspen Creek, musiał tam spędzić trochę czasu. Było całkowicie zrozumiałe, że przy okazji jednej z wizyt dowiedział się o kłopotach doktora Wallace'a. Reszta stada chyba nie miała o nich pojęcia, bo pokój wypełniły pomruki niezadowolenia.

Adam zaczął tłumaczyć zebranym, kim jest doktor Wallace, dzięki czemu zyskałam czas na zastanowienie.

– Posłuchaj – powiedziałam, kiedy skończył. – Wszystkie składniki narkotyku, który ci wstrzyknęli, są łatwo dostępne. Pytanie, kto wpadłby na pomysł, żeby je połączyć, i dlaczego? Kto

chciałby uśpić wilkołaka? Doktor Wallace obawia się utraty kontroli – wiem, bo sama go spotkałam w tym tygodniu. Obawia się o bezpieczeństwo rodziny. Nie opracowałby sposobu na aplikowanie wilkołakom narkotyku, żeby porwać Jesse, ale mógł to zrobić, by inni mogli mu go wstrzyknąć, gdyby stracił nad sobą panowanie.

– Może masz rację – odparł wolno Adam. – Zadzwoń jutro do Brana i poproszę, by porozmawiał z doktorem. Nikt nie potrafi okłamać Brana.

– Więc po co im Jesse? – zapytał znów Darryl. – Nie chodzi przecież o pieniądze. Wygląda na to, że atak był skierowany przeciwko Alfie Stada Dorzecza Kolumbii, a nie przeciw biznesmenowi Adamowi Hauptmanowi.

– To prawda – Adam zmarszczył brwi. – Prawdopodobnie ktoś chce zyskać kontrolę nad stadem. Ten ktoś wie, że jestem w stanie wiele poświęcić dla dobra córki.

Chce zyskać kontrolę nad stadem czy nad Adamem? I czy to robi jakąkolwiek różnicę?

– Kimkolwiek są i cokolwiek chcą osiągnąć, powinniśmy się tego dowiedzieć jeszcze przed świtem. Wiem, gdzie się zatrzymali – powiedziałam i wyciągnęłam z kieszeni kartkę, którą dostałam od wampirów. Podałam ją Adamowi. – Informatorka Zee twierdzi, że nasi wrogowie zapłacili wampirom prawie dziesięć tysięcy dolarów za święty spokój.

Adam znów zmarszczył brwi, kurczowo ściskając papierek w pobielających palcach.

– Dziesięć tysięcy to o wiele za dużo. Dlaczego to zrobili?

Zerknął na karteczkę i rozejrzał się po pokoju.

– Darryl? Warren? Macie ochotę na kolejną przygodę?

– Żadnych złamań – poinformował Darryl.

– Już nie – przytaknął Warren – Ruszajmy.

– Samuelu?

Biały wilk wyszczerzył zęby w czymś, co miało przypominać uśmiech.

– Możemy wziąć moją furgonetkę – zaproponowałam.

– Dzięki – powiedział Adam – ale ty zostajesz.

Zadarłam podbródek, a on poklepał mnie po policzku – protekcjonalny drań. Roześmiał się na widok wyrazu mojej twarzy. Nie chodziło o to, że się naigrywał, tylko coś go naprawdę rozbawiło... Ja.

– Nie jesteś przeznaczona na straty, Mercedes, a wojna stąd to dla ciebie nieco zbyt wiele. – Zanim skończył mówić, uśmiech zniknął z jego twarzy. Obserwował zgromadzone w pokoju osoby.

– Słuchaj, koleś – rzuciłam twardo. – Zabiłam w tym tygodniu dwa wilkołaki, a to oznacza, że moja lista ofiar nie wygląda gorzej od twojej. No i całkiem nieźle poszło mi wyciąganie tego adresu od wampirów.

– Dostałaś ten adres od wampirów? – powiedział Adam podejrzenie cichym głosem.



– Protekcjonalny drań – mruknęłam, jadąc furgonetką przez puste ulice wschodniego Kennewick. – Nie jestem członkiem stada. Nie ma prawa mi mówić, co ani jak mam robić. Nie ma prawa wrzeszczeć na mnie za to, że rozmawiałam z wampirami. Nie jest moją przyzwoitką.

Co do jednego musiałam mu jednak przyznać rację – niewielki byłby ze mnie pożytek w walce z wilkołakami.

Warren obiecał, że zadzwoni, kiedy będzie po wszystkim. Ziewnęłam i uświadomiłam sobie, że jestem na nogach od blisko dwudziestu godzin. W dodatku ostatnią noc spędziłam w obcym łóżku, wierząc się i śniąc na przemian o tym, że Mac umiera, bo zrobiłam coś nie tak, i o osamotnionej, wołającej o pomoc Jesse.

Wjechałam na moją działkę. Nie zawracałam sobie głowy parkowaniem furgonetki tam, gdzie zwykle, w zbudowanym ze słupków garażu. Najpierw musiałam posprzątać opakowania po jedzeniu i znaleźć skarpetki, ale przełożyłam to na rano.

Sztylet Zee, który wyciągnęłam spod wycieraczki, gdy tylko wyszłam od Warrena, zaplątał się w pasy. Byłam tak zmęczona, że zaczęłam płakać, zanim się w końcu uwolniłam.

A może płakałam jak dziecko, które jako ostatnie zostało wybrane do szkolnej drużyny baseballu? Dziecko, któremu powiedziano, że ma sobie gdzieś iść i nie przeszkadzać innym?

Zabrałam z furgonetki broń i portfel. Kiedy wchodziłam po schodach na werandę, zdałam sobie sprawę, że Elizawieta Arkadiwna jeszcze mnie nie odwiedziła. Nadal czułam zapach Maca i wyraźną woń, która towarzyszy śmierci.

To nie tak, doszłam do wniosku, zagryzając wargi. Płakałam, ponieważ chciałam zabijać. Ci ludzie przyszli na moje terytorium i skrzywdzili tych, na których mi zależało. Moim prawem, moim obowiązkiem było ich ukarać. Tak jakbym mogła cokolwiek działać przeciwko stadu wilkołaków...

Uderzyłam w poręcz, która pękła z taką łatwością jak deski ustawiane w dojo na pustakach. Coś małego i miękkiego otarło się o moje kostki, witając mnie donośnym miauczeniem.

– Cześć, Medea. – Otarłam oczy, zanim ją podniosłam. Otworzyłam drzwi, nie zapalając światła. Odłożyłam broń i podłączyłam telefon komórkowy do znajdującej się obok aparatu stacjonarnej ładowarki. Zwinęłam się w kłębek na kanapie obok.

Obudziły mnie promienie słońca. Przez kilka pierwszych chwil nie mogłam sobie przypomnieć, co robię na kanapie.

Na DVD mrugała dziesiąta rano, co oznaczało, że jest dziewiąta. Nigdy nie przestawiam zegarków na czas zimowy. Sprawdziłam komórkę i wiadomości na sekretarce. Dzwonił Zee, prosząc, żebym się odezwała – to wszystko.

Oddzwoniłam i zostawiłam wiadomość na jego sekretarce. Zatelefonowałam do domu Adama, na komórkę Adama i na pager Adama. Wybrałam numer domowy Warrena.

Poszukałam w książce telefonicznej pomrukującej Medei i czekałam, aż zadzwoni Warren. W końcu zasnęłam. numeru do Darryla. Zapisałam inny numer, który wyśpiewała mi jego

sekretarka, ale komórki też nie odbierał.

Po chwili zamyślenia włączyłam telewizor – lokalna stacja nie podawała żadnych wiadomości specjalnych. Nikt nie zgłosił zeszłej nocy jatki w zachodnim Richland. Może nikt nie odnalazł jeszcze ciał?

Wzięłam komórkę, wsiadłam do Królika i pojechałam pod podany przez wampiry adres – nie potrzebowałam karteczki, wystarczyła dobra pamięć. W pustym budynku nikogo nie zastałam, a na frontowym trawniku ustawiono znak na sprzedaż.

W powietrzu wyczułam słaby zapach stada, ale nie dostrzegłam żadnych śladów krwi ani przemocy.

Jeśli adres był fałszywy, to gdzie się wszyscy podziali? Pojechałam do warsztatu, zanim sobie uprzytomniłam, że jest Święto Dziękczynienia i nie zajrzy do mnie żaden klient. Cóż, lepsza praca niż kanapa i zmartwienia. Otworzyłam jedne z dużych drzwi warsztatu i zajęłam się aktualnym projektem garbusa.

Trudno mi było na czymkolwiek się skupić. Odłożyłam telefon na bok, by go podczas pracy przypadkiem nie popsuć, i ciągle mi się wydawało, że słyszę jego dzwonek. Ale nikt nie zadzwonił, nawet moja matka.

Podjechał jakiś samochód. Wsiadła z niego drobniutka kobieta ubrana w czerwony dres i białe trampki. Napotkała mój wzrok, skinęła głową i podeszła do mnie energicznym krokiem.

– Sylvia Sandoval – powiedziała, wyciągając dłoń.

– Chyba nie chciałaby pani ścisnąć teraz mojej ręki – uśmiechnęłam się jak zawodowiec. – Mercedes Thompson. W czym mogę pomóc?

– Już to pani zrobiła – wskazała na nieskazitelnie czysty samochód, jeśli pominąć plamki rdzy na przednim zderzaku, na buicka, co to już niby wszędzie był i wszystko widział. – Odkąd zajął się nim pan Adelbertsmiter, chodzi jak nowy. Chciałam wiedzieć, ile jestem winna. Pan Adelbertsmiter zasugerował, że może być pani zainteresowana pracą mojego syna.

Zaczęłam wycierać ręce w szmatę, aby zyskać nieco czasu

na zastanowienie. Ta kobieta musiała sobie zadać sporo trudu, by się nauczyć wymowy nazwiska Zee. Nie należała do najłatwiejszych, szczególnie jeśli czyimś językiem ojczystym jest hiszpański. Zaimponowało mi to.

– Pani musi być przyjaciółką Tony'ego – powiedziałam. – Nie miałam czasu spojrzeć na rachunek, który przygotował Zee, ale brak mi rąk do pracy. Czy pani syn zna się chociaż trochę na samochodach?

– Potrafi wymienić olej i opony – odparła. – Reszty się nauczy. Nie boi się ciężkiej pracy i jest pojętnym chłopakiem.

Podobnie jak Zee zaczęłam podziwiać jej bezpośredni, zdecydowany sposób bycia. Kiwnęłam głową.

– W porządku, czemu nie. Proszę przysłać syna...

– Kiedy?

Nie miałam pojęcia, co będę zrobić przez najbliższe kilka dni. – ...w poniedziałek po szkole. Dostanie jakąś lżejszą robotę i jeśli przypadniemy sobie do gustu, pozwolę mu zostać. Po szkole i przez całą sobotę.

– Szkoła jest na pierwszym miejscu – zastrzegła. Kiwnęłam głową.

– Przeżyję. Zobaczymy, jak sobie da radę.

– Dziękuję. Przyjdzie.

Patrzyłam, jak Sylvia wsiada do samochodu. Bran powinien się cieszyć, że nie była wilkołakiem, bo w przeciwnym wypadku mógłby mieć kłopoty z utrzymaniem pozycji Alfy.

Znieruchomiałam i skierowałam wzrok na ubrudzone dłonie. Poprzedniego wieczoru ktoś zapytał, co chcieli osiągnąć porywacze. Nie potrzebowali pozycji Alfy, nie jeśli mieli własne stado. Jeśli zaś chcieli pieniędzy, z pewnością mogli znaleźć łatwiejszy cel niż córka Adama. Zatem z Adamem musiało się wiązać coś szczególnego. Wśród wilkołaków świadomość własnej pozycji w stadzie to kwestia bezpieczeństwa. W hierarchii Marroka nie miało to takiego znaczenia, dopóki wszyscy pamiętali, że Bran stoi na jej szczycie. Mimo to wszyscy starali się orientować w sytuacji.

Wyraźnie pamiętam pewien obraz z dzieciństwa. Kiedy miałam cztery czy pięć lat, mój przybrany ojciec kucał przy mnie i na moich paluszkach wyliczał imiona.

„Pierwszy to Bran”, mówił. „Drugi to Charles, a trzeci to Samuel. Czwarty to Adam ze Stada Los Alamos, piąty to Everret ze Stada Houston”.

– Pierwszy to Bran – powtórzyłam na głos. – Drugi to Charles, a trzeci Samuel, obaj synowie Brana. Czwarty to Adam, obecnie ze Stada Dorzecza Kolumbii.

Jeśli z Adamem wiązało się coś szczególnego, to właśnie to – pomijając synów Brana, był najbliższym pretendentem do tytułu Marroka.

Początkowo próbowałam zlekceważyć tę myśl. Gdybym chciała skonfrontować Adama z Branem, z pewnością nie zaczynałabym od porywania czyjejkolwiek córki. Ale może oni nie chcieli od tego zaczynać...

Usiadłam za kierownicą garbusa. Stary winyl zatrzeszczał pod ciężarem mojego ciała. A co jeśli przyjechali rozmawiać, a nie atakować? Zamknęłam oczy. Przypuśćmy, że chodzi o kogoś, kto dobrze znał Adama, na przykład o starego kumpla z wojska. Adam był nadpobudliwy, a czasem nawet wybuchowy, choć kiedy się już uspokoił, potrafił słuchać.

Przypuśćmy, że ten kumpel — wilkołak jedzie na spotkanie z Adamem – to naturalne, że zachowa ostrożność. Właśnie na tym polega cała zabawa w dominację. Alfa na własnym terytorium zawsze zajmuje nadrzędną pozycję. Przeciwnik nie może zabrać załadowanego srebrem gnata, ponieważ byłoby to równoznaczne z wypowiedzeniem wojny – musiałyby zabić Adama albo sam zginąć. Przypuśćmy jednak, że ten przeciwnik ma pod ręką narkotyki, coś, co potrafi uspokoić wilkołaka. Coś, co mogło zagwarantować bezpieczeństwo bez konieczności zabijania Adama, gdyby negocjacje nie poszły tak, jak powinny.

Ale sprawy wymykają się spod kontroli. Ktoś wpada w panikę i strzela do osoby, która otwiera drzwi – mniej dominujące wilkołaki przejawiałyby tendencję do panikowania podczas

najazdu na dom Alfy. Przypuśćmy nawet, że strzela kilka razy. Błąd, ale do naprawienia.

Tylko że wtedy atakuje Adam. Więc strzelają też do Adama i zakładają mu kajdanki, aby utrzymać go w ryzach, dopóki nie zacznie słuchać. Ale Mac umiera, a Adam wcale nie jest w nastroju, by słuchać. Zaczyna się szamotać, a kiedy aplikują mu wystarczającą ilość narkotyku, by go uspokoić, jest zbyt otumaniony, by o czymkolwiek dyskutować.

Panikują. Muszą obmyślić nowy plan. Jak mogą zmusić Adama do współpracy?

– Na górze jest Jesse – powiedziałam, pstrykając palcami tak szybko, jak ta myśl pojawiła się w mojej głowie. Zabierają Jesse, by zmusić Adama do posłuszeństwa. Jeśli nie będzie chciał słuchać, zagrożą, że ją zabiją.

W tej teorii było tyle samo sensu, co w każdej innej. No i gdzie w niej miejsce dla Maca i eksperymentów z narkotykami?

Wygramoliłam się z garbusa i pobiegłam do biura. Nie miałam żadnych dowodów, kierował mną wyłącznie instynkt – ale mój instynkt bywał dobrym doradcą.

Odnalazłam notatnik i na jednej stronie zapisałam: Eksperymenty z narkotykami/kupowanie nowych wilkołaków?, a na następnej: Po co zastępować Brana Adamem?

Oparłam się biodrem o stołek i stukałam długopisem po papierze. Nie istniały dowody na istnienie innych narkotyków niż te, które zabiły Maca, ale jego opowieść zdawała się wskazywać, że było ich więcej. Po chwili zanotowałam: Czy ketamina/ azotan srebra/DMSO to jedyne narkotyki? Następnie zapisałam nazwiska osób, które mogły mieć wiedzę o różnych środkach. Samuel, doktor Wallace i po chwili zastanowienia dopisałam Auriele, nauczycielkę chemii. Z westchnieniem przyznałam: to może być każdy. W końcu podkreśliłam nazwisko doktora Wallace'a.

Miał umiejętności i motyw, aby wyprodukować środek uspokajający, który zapewniłby bezpieczeństwo tym, których kochał. Czy aby jednak?

Czy Pocałunek wampira nie działał jak środek uspokajający? Istniała szansa, że uległy wilkołak zachowywałby się pod jego wpływem jak każde inne znieczulone zwierzę – spokojne, słabe i niepewne. Według Stefana, tylko niektóre wilki sprawiały po nim problemy. Samuel chciał walczyć, jego wilk był gotowy do ataku, tak jakby znalazł się w pułapce.

Pomyślałam o połamanych kajdankach. Adam tłumaczył swoją reakcję porwaniem Jesse – ale może to tylko jeden z powodów. Na razie nie miało to takiego znaczenia.

Spojrzałam na drugą stronę. Po co zastępować Brana Adamem?

Przesunęłam palcem po słowach. Zastępować Brana... Nie miałam pewności, czy to był motyw, ale jeśli tak, to sprawców nie zniechęciłoby kilka trupów. Pozwolili Adamowi żyć, chociaż z łatwością mogli go zabić, a zatem czegoś od niego chcieli.

Bran był Marrokiem od blisko dwóch wieków. Dlaczego ktoś chciał zmienić bieg rzeczy? Skąd taka desperacja?

Zapisałam: potrzeba zmian.

Bran potrafił być draniem. Sprawował władzę w starym, despotycznym stylu, ale wydawało się, że właśnie takiego przywódcy pragną wilkołaki. Pod jego rządami wilkołaki w Ameryce Północnej przeżywały rozkwit, zarówno jeśli chodzi o władzę, jak i liczebność, podczas gdy wilkołaki w Europie chyliły się ku upadkowi.

Czy Adam rządziłby inaczej? Cóż, pewnie tak, ale nie w sposób, jaki mógłby przynieść komukolwiek korzyści. Co najwyżej byłby jeszcze większym despotą. Samuel powiedział, że Bran rozważał wykorzystanie Adama jako afisza w planach wilkołaków, ale to by nie wypaliło. Adam miał zbyt wybuchowy charakter. Rozpłaszczyłby na chodniku pierwszego reportera, który podszedłby do niego zbyt blisko z kamerą.

I o to chodzi.

Wstrzymałam oddech. Nie chodziło o zmiany – komuś zależało, by wszystko zostało po starym. Bran planował ujawnić istnienie wilkołaków.

Nagle fakt, że ktoś mógł zdradzić Adama, przestał wydawać się dziwny (nie byłam aż tak przekonana co do nieomyślności moich instynktów jak wszyscy inni). Potrafiłam sobie wyobrazić niejednego wilkołaka Adama, który czuł, że pomaganie wrogowi nie oznaczało zdrady. Przecież torowali Alfie drogę do władzy. Przypuszczalnie nikt nie miał ucierpieć podczas nalotu na jego dom, ale fakt, że ktoś zginął, nie mógł zniechęcić spiskowców. Wilkołaki umierają, a ich wilki zginęły w słusznej sprawie. Ktoś taki jak Mac, kto nawet nie miał własnego stada, nie stanowił wielkiej straty, biorąc pod uwagę istniejące ryzyko.

Zdrajcą mógł być każdy. Nikt ze stada Adama nie podlegał osobiście Marroкови. Wyciągnęłam wizytówkę, którą dostałam od Brana, i wykręciłam pierwszy numer. Odebrał po drugim sygnale.

– Bran, tu Mercy. – Teraz, kiedy słyszałam jego oddech po drugiej stronie, zaczęłam mieć wątpliwości. Zbyt duża część mojej teorii opierała się na czystej spekulacji. W końcu zapytałam: – Dzwonił do ciebie Adam?

– Nie.

– Czy... czy doktor Wallace ciągle tam jest? Bran westchnął.

– Tak.

– Mógłbyś go zapytać, czy wynalazł jakiś środek, który działa na wilkołaki?

Ton jego głosu stał się ostrzejszy.

– Co wiesz?

– Nic. Cholerne nic, łącznie z tym, gdzie są teraz Adam i twój syn. Kiedy planujesz ujawnić istnienie wilkołaków?

– Samuel zaginął?

– Tak bym tego nie ujęła. Jest z nimi całe stado, po prostu nikt nie zadał sobie trudu, żeby mnie powiadomić, dokąd jadą.

– To dobrze – odparł Bran. Najwyraźniej nie czuł się zaskoczony faktem, że nie uznali za stosowne na bieżąco mnie informować. – Odpowiadając na twoje pytanie – sądzę, że należy to zrobić już wkrótce. Nie w tym tygodniu ani nie w następnym, ale też nie za rok. Moi informatorzy w laboratoriach FBI

twierdzą, że wilkołaki to już tylko tajemnica poliszynela. Podobnie jak Szarzy Panowie doszedłem do wniosku, że skoro wyjście z ukrycia jest nieuniknione, to bezwzględnie należy kontrolować sposób, w jaki się odbędzie.

A nie mówiłam? Wilkołaki mają bzika na punkcie kontroli.

– Ilu ludzi... Ile wilków o tym wie? Cisza.

– To ma jakiś związek z napaścią na Adama? – zapytał w końcu Bran.

– Tak sędzę.

– Wiedzą tutejsze wilki, bo nie trzymałem tego w tajemnicy. W przyszłym miesiącu na konklawe zamierzam poinformować wszystkie Alfy.

Nic więcej nie powiedział. Czekał, aż mu przedstawię swoją teorię, a ja czułam, że narażam się na śmieszność, mówiąc cokolwiek. Usiadłam na stołku i zdałam sobie sprawę, że ja też jestem komuś winna lojalność. Nie należałam do żadnego stada, ale Bran nadal był moim Marrokiem. Musiałam go ostrzec.

– Nie mam żadnego dowodu. Pamiętaj, to tylko teoria. – I opowiedziałam mu, co się moim zdaniem wydarzyło i dlaczego.

– Nie mam pojęcia, kto to może być – powiedziałam na koniec do ciszy po drugiej stronie linii. – Ani czy mam rację.

– Jeśli to wilkołak, który nie jest uszczęśliwiony pomysłem wyjścia z ukrycia, to wydaje się dziwne, że pracuje z ludźmi – oznajmił Bran, ale nie w taki sposób, jakby chciał wykpić moją teorię.

Prawie bym zapomniała o ludziach.

– Masz rację. Nie potrafię też znaleźć wytłumaczenia dla testów z narkotykami, o których opowiadał Mac. Cóż, może martwili się o dozowanie i efekty uboczne? Chociaż płacenie za nowe wilkołaki wydaje się zbyt wielkim ryzykiem w porównaniu z ewentualnymi korzyściami.

– Kiedy dwa wilkołaki ze sobą walczą, zaaplikowanie narkotyku jednemu z nich ma spory wpływ na rezultat starcia – powiedział Bran. – Podoba mi się twoja teoria, Mercedes. Nie jest doskonała, ale wygląda na to, że trafiłaś na właściwy trop.

– Nie musiałyby się martwić o posłuszeństwo ludzi – dodałam, głośno myśląc.

– Kto?

– Adam mówi, że zna jednego z wilkołaków, które napadły na jego dom. Chodzi o wilka, z którym został Przeistoczony.

– David Christiansen.

– Tak. – Nie czułam się zaskoczona, że Bran wie, o kim mowa. Zawsze sprawiał wrażenia, jakby znał osobiście każdego wilkołaka, skądkolwiek by nie pochodził. Może rzeczywiście znał.

– David pracuje z ludźmi – powiedział wolno Bran. – Ale nie z innymi wilkołakami. Nawet by mi nie przyszło do głowy, że może brać udział w spisku, w którym doszło do użycia przemocy – i do Przeistoczeń takich, jakiego doświadczył Alan Mac-Kenzie Frazier. Niemniej jednak należy wziąć to pod uwagę. Zadzwońię do Charlesa i zapytam, co o tym wszystkim sądzi.

– Nadal jest w Chicago?

– Tak. Miałaś rację, to Leo. Najwyraźniej jego pensja nie była dość godziwa, by zapewnić mu taki styl życia, jakiego pragnął – głos Brana sprawiał wrażenie obojętnego. – Nie znał wilka, któremu sprzedawał ofiary – razem z Alanem było ich sześć. Nie wiedział też, do czego są potrzebne. Głupio z jego strony. Całe przedsięwzięcie zorganizował zastępca Alfy. Nie możemy wyciągnąć od niego informacji, ponieważ wyjechał z miasta. Pewnie chwilę potrwa, zanim go znajdziemy. Wydaje się, że reszta wilkołaków ze stada nie miała pojęcia, co się działo, ale i tak nad nimi pracujemy.

– Bran? Jeśli odezwie się do ciebie Samuel albo Adam, powiesz im, żeby do mnie zadzwonili?

– Tak właśnie zrobię – powiedział łagodnie i przerwał połączenie.



Rozdział 13

Po rozmowie z Branem nie byłam w nastroju do pracy, więc zamknęłam warsztat i wróciłam do domu. Bran uważał moją teorię za sensowną – wszystko pięknie i ładnie, tylko że mój żołądek nadal się domagał, by ktoś do mnie zadzwonił. Nos podpowiadał mi, że Adam i jego wilki nie znaleźli Jesse w pustym budynku w zachodnim Richland, ale nie dawał żadnych wskazówek, dokąd później pojechali.

Ponownie zatrzymałam się na prowadzących do domu schodach, czując zapach śmierci. Doszłam do wniosku, że Elizawieta Arkadiwna chce mnie ukarać, bo nie powiedziałam jej, co się dzieje. Jeśli sama nie zrobię porządku, przez najbliższe kilka miesięcy będę sobie przypominać o śmierci Maca za każdym razem, gdy wejdę na werandę.

Otworzyłam drzwi nadal zamyślona i o jeden moment zbyt późno zdałam sobie sprawę, co jeszcze usiłowały powiedzieć mi zmysły. Zdążyłam tylko opuścić podbródek, by stojący za drzwiami mężczyzna nie zdołał mnie od razu udusić – a o to mu właśnie chodziło. Jego ramię zacisnęło się wokół mojej głowy i szyi.

Walczyłam z uściskiem napastnika tak długo, aż stanęłam z nim twarzą w twarz. Włożyłam całą siłę w jeden krótki cios

w nerw po zewnętrznej stronie jego uda. Mężczyzna zaklął.

Uwolniłam się i zaczęłam walczyć na serio.

Mój styl karate, Shi Sei Kai Kan, opracowano z myślą o żołnierzach, którzy uczestniczą w starciach z wieloma przeciwnikami jednocześnie – co się dobrze składało, ponieważ w salonie było trzech mężczyzn. Wśród nich jeden wilkołak, obecnie w ludzkiej postaci. Nie miałam czasu na zastanowienie, tylko na błyskawiczną reakcję. Wyprowadziłam kilka celnych ciosów, ale szybko stało się jasne, że ci mężczyźni studiowali przemoc o wiele dłużej niż ja.

W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że wciąż żyję i walczę, bo napastnicy bardzo uważali, by nie zrobić mi krzywdy. Mniej więcej w tej samej chwili wilkołak uderzył mnie z całej siły w przeponę, a następnie, podczas gdy z trudem łąpałam oddech, obalił mnie i przygwoździł do podłogi.

– Złamała mój pie...

– Nie przy damach – warknął wilkołak, trzymając mnie tak delikatnie, jak matka trzyma niemowlę, choć jednocześnie uniemożliwiając mi wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Mówił z tym samym akcentem, który czasem pobrzmiwał w głosie Adama. – Żadnych przekleństw.

– Złamała mój pieprzony nos – powiedział pierwszy mężczyzna przytłumionym głosem. Prawdopodobnie nie mylił się co do stanu swojej twarzy.

– Jutro będzie jak nowy. Czy jeszcze komuś coś dolega?

Próbowałam się uwolnić, ale wilkołak nawet nie zwracał na mnie uwagi.

– Ugryzła Johna-Juliana.

– Ledwie ukąsiła. Nic mi nie jest, sir. Przepraszam, nie przyszło mi do głowy, że trenowała. Nie byłem przygotowany.

– Teraz to już musztarda po obiedzie. Wyciągnij z tego nauczkę, chłopcze – powiedział wilkołak. Następnie zbliżył twarz do mojego ucha i władczym głosem, którego wibracje poczułam wzdłuż kręgosłupa, oznajmił: – Pogadajmy troszkę, hm? Chodzi o to, nie chcemy cię skrzywdzić. Gdybyś się nie szarpała, nie

miałabyś nawet siniaka. Dobrze wiesz, że moglibyśmy znacznie gorzej cię urządzić. – Wiedziałam, co nie znaczyło, że pałam do nich sympatią.

– Czego chcecie? – zapytałam tak spokojnie, jak tylko można, kiedy się leży na ziemi pod obcym mężczyzną o niejasnych zamiarach.

– Dobra dziewczynka – w głosie wilkołaka usłyszałam aprobatę. Jakieś pół metra od mojej lewej ręki leżał sztylet Zee. Musiał spaść na podłogę, kiedy kładłam się spać poprzedniego wieczoru.

– Nie przyszliśmy tutaj, żeby zrobić ci krzywdę – powtórzył wilkołak. – To pierwsza rzecz, jaką powinnaś wiedzieć. Druga to taka, że wilk, który obserwował twój dom i dom sierża, został odwołany, więc nikt ci nie pomoże. Trzecia rzecz. – Przestał mówić i przechylił głowę, aby zaczerpnąć oddech. – Jesteś łakiem? Nie wilkołakiem. Nie masz odpowiedniego zapachu. Myślałem, że to po prostu kot – nigdy nie miałem kota – ale to ty pachniesz sierścią i polowaniem.

– Dziadku?

– Wszystko w porządku. Nie robi mi krzywdy. Czym jesteś, dziewczyno?

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytałam. Nazwał Adama „sierżem” – zdrobnienie od „sierżanta”?

– Nie – odrzekł i uwolnił mnie z uścisku. – Najmniejszego.

Podczołgałam się w stronę sztyletu, chwyciłam go i rozplatałam z pasa. Jeden z intruzów ruszył do przodu, ale wilkołak uspokoił go ruchem ręki. Wstałam i wskoczyłam na oparcie kanapy. Oparłam się plecami o ścianę, gotowa do ataku.

Wilkołak klęczał na podłodze obok miejsca, gdzie mnie przed chwilą trzymał. Miał na sobie luźne spodnie w kolorze khaki i jasnoniebieską koszulę. Jego skóra była niezwykle ciemna, ale raczej o fioletowym niż brązowym odcieniu. Kiedy uczynił kolejny gest, dwaj mężczyźni wycofali się jeszcze dalej, powiększając dzielący nas dystans. Sprawiali wrażenie twardych

i zdyscyplinowanych. Byli szczupli i tak do siebie podobni, że wyglądali jak bliźniacy. Sądząc po ciemnej karnacji, budowie ciała i tym „dziadku”, założyłabym się z kimkolwiek, że w żyłach wszystkich trzech płynęła ta sama krew.

– Jesteś kumplem Adama z wojska. – Staralam się zachować spokój, jakby chcąc zasugerować, że stoję po ich stronie i nic nie wiem o pogromie w domu Adama. – Tym, który został razem z nim Przeistoczony.

– Tak jest – odpowiedział „dziadek”. – David Christiansen. To moi wnukowie, Connor i John-Julian. – Mężczyźni skinęli głowami, kiedy wymawiał ich imiona. John-Julian pocierał obojczyk w miejscu, gdzie zacisnęły się moje zęby, a Connor jedną ręką podtykał pod nos zwitek chusteczek, w drugiej trzymając całe ich pudełko. Moje pudełko.

– Mercedes Thompson – przedstawiłam się. – Czego chcecie?

David Christiansen usiadł na podłodze w pozycji, która czyniła go tak bezbronnym, jak to tylko możliwe.

– No więc – zaczął – wpakowaliśmy się w taki niby układ i mamy nadzieję, że nam pomożesz wszystko odkręcić. Skoro wiesz, kim jestem, to pewnie też wiesz, że od czasu Przeistoczenia żyję jako samotny wilkołak.

– Tak.

– Nigdy nie skończyłem szkoły średniej, a wojsko to wszystko, na czym się znam. Kiedy zwerbował mnie stary kumpel, byłem szczęśliwy, ale w końcu zmęczyło mnie słuchanie rozkazów i utworzyłem własny oddział. – Uśmiechnął się. – Kiedy moi wnukowie wystąpili z wojska, zdecydowałem, że nigdy więcej nie wezmę udziału w cudzej wojnie. Specjalizujemy się w odbijaniu ofiar porwań. Biznesmenów, ludzi z Czerwonego Krzyża, misjonarzy i tak dalej. Wyciągamy ich z łap terrorystów.

Zaczynały boleć mnie nogi, więc usiadłam na oparciu kanapy.

– Co to ma ze mną wspólnego?

– Znaleźliśmy się w dość kłopotliwym położeniu – powiedział wilkołak.

– Stoimy po niewłaściwej stronie – dodał mężczyzna, który

reagował na imię John-Julian.

– Przyszedł do was Gerry Wallace – szepnęłam, jak gdyby w obawie, że zbyt głośny dźwięk zakłóci tok moich myśli. Kiedy David przyznał, że jest samotnym wilkiem, wszystko pojęłam. Samotne wilki plus doktor Wallace równa się Getry jako łącznik pomiędzy Marrokiem i wilkami bez stada. – To on wam powiedział o planie Brana. – Nic dziwnego, że Gerry nie miał czasu, żeby spotkać się z ojcem.

– Tak jest – przytaknął David i spojrzał na mnie groźnie. – Mógłbym przysiąc, że nie jesteś wilkołakiem. W takim razie skąd tyle o nas wiesz? – Przerwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz olśnienia. – Kojot. Jesteś tą dziewczyną, która zamienia się w kojota, tą, która została wychowana przez Marroka.

– To ja. Zatem Gerry rozmawiał z wami o decyzji Brana?

– Bran chce rzucić wilki na pożarcie ludziom, tak jak to uczynili Szarzy Panowie ze swoim gatunkiem – powiedział Connor, ten od połamanego nosa. Temat mojej odmienności zszedł na drugi plan – Powinien chronić swoich. Ktoś musiał zareagować.

– Więc zaproponowaliście Adama?

– Nie my, Gerry – powiedział David łagodnie, ale założę się, że gdyby przebywał w postaci wilka, nastroszyłby sierść. – Chciał, żebym porozmawiał z Adamem jak przyjaciel z przyjacielem.

– Bran nie jest Szarym Panem i nie pozwoliliby skrzywdzić wilków. Przypuszczam, że nie przyszło wam do głowy, żeby zadzwonić do Adama i porozmawiać z nim przez telefon – czy nawet z Branem, jeśli o to chodzi – dodałam.

– Właśnie powróciliśmy z misji – rzekł David. – Mieliliśmy czas, a niektóre sprawy lepiej załatwiać osobiście.

– Na przykład porwania?

– Nie planowaliśmy tego – rzucił Connor z odrobiną uniesienia w głosie.

– Czyżby? – mruknął David. – Myślałem o tym. Akcja poszła gorzej niż źle, cztery wilki Gerry'ego nie żyją. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się zastanawiać, czy on tego czasem nie

zaplanował.

– Trzy jego wilki nie żyją – wtrąciłam. – Mac był nasz.

David uśmiechnął się, bardziej oczami niż ustami.

– W takim razie nie żyje trójka jego wilków i jeden Adama.

– Dlaczego Gerry chciałby zabijać własne wilki?

– Musielibyśmy przyjrzeć się tym, które zginęły. – David wyglądał na zamyślonego. – Zastanawiam się, czy to były dominujące wilki... Dobrze znałem tylko Karę. Jej na pewno nie podobało się słuchanie rozkazów Gerry'ego. No a chłopak, ten cały Mac, zdradził, zwracając się o pomoc do Adama.

– Mówisz tak, jakby Gerry był psychopatą – powiedział John-Julian. – Mnie nie wydał się szalony.

– Jest wilkołakiem – David wzruszył ramionami. – My przywiązujemy do hierarchii nieco większą wagę niż ludzie. Jeśli Gerry chce zachować kontrolę nad stadem, musi się pozbyć dominujących wilków. No i zdrajców.

– Nie znam dobrze Gerry'ego, ale jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że ty również jesteś bardziej dominujący od niego – zauważyłam.

David wykrzywił usta.

– Mam swoich ludzi, nie potrzebuję ludzi Gerry'ego i on o tym wie lepiej niż ktokolwiek inny. Obserwuje mnie od lat.

– A zatem nie czuł z twojej strony zagrożenia – powiedziałam niepewnie. – Wiedział, że nie będziesz z nim walczyć o przewodnictwo w stadzie.

– Gerry powiedział, że Adam nie będzie chciał się sprzeciwić Branowi, ale może posłucha starego przyjaciela – wytłumaczył John-Julian. – Zaoferował, że pośle po nas samolot, więc się zgodziliśmy. Szybko jednak zrozumieliśmy, że sprawy nie wyglądają tak, jak nam je przedstawił.

– Zasięgnąłem języka – kontynuował David. – Zadzwońłem do przyjaciół i dowiedziałem się, że Bran faktycznie zamierzał zdradzić Alfom szczegóły planu na grudniowym spotkaniu. Więc przyjechaliśmy porozmawiać z Adamem.

Wątpiłem, czy to cokolwiek pomoże, bo Adam za bardzo lubi

Marroka, by rzucać mu wyzwanie.

– No i naprawdę nie wszystko wyglądało tak, jak powinno – dodał Connor. – Gerry zapomniał nas poinformować, że zbiera armię najemników i wilkołaków.

– Armie? – uniosłam brwi.

– Niewielką armię. Dwa czy trzy samotne wilki, takie jak Kara, która nie potrafiła znaleźć sobie stada – wyjaśnił John-Julian. – I grupę najemników, którym najwyraźniej obiecał Przeistoczenie.

– Powinienem był położyć temu kres, kiedy cholerny głupek Gerry uzbroił bandę przerażonych żółtodziobów w broń obezwładniającą. – David potrząsnął głową. – Może gdyby do mnie dotarło, że komuś może stać się krzywda... Tak czy inaczej, począwszy od tego momentu, to był klasyczny niewypał. – Podobno strzelili do Maca, gdy tylko otworzył drzwi.

– Gerry nawciskał im mnóstwo kitu, jaki to Adam jest niebezpieczny. Zastrzelili chłopaka, zanim jeszcze sprawdzili kto to. – W słowach Johna-Juliana wyczułam odrobinę żalu, choć coś mi mówiło, że bardziej martwił go brak profesjonalizmu napastników niż śmierć chłopaka.

– Znaliście Maca? – zapytałam, wbijając wzrok w sztylet Zee. Nie chciałam, żeby dostrzegli gniew w moich oczach. Oczywiście wilkołak nie musiał go wcale widzieć.

– Nie, nie znaleźliśmy – powiedział szybko, uważnie mnie obserwując. – Przylecieliśmy w zeszły poniedziałek po południu. Kiedy tu dotarliśmy, przyszedł pewien człowiek, jeden z najemników Gerry'ego, przerażony jak diabli.

– Powiedział, że ktoś zabił jego partnera – wytłumaczył John-Julian. – Jakiś demon.

– Jaki znów demon – wzruszyłam ramionami. – Nie trzeba demona, żeby zabić niewyszkolonego, świeżutkiego wilkołaka, który w dodatku nie ma za grosz rozumu.

Przełknęłam swój gniew – to nie ich wina, że nie znali Maca. Podniosłam wzrok. A może powinni?

Byłam skłonna im zaufać. Po pierwsze dlatego, że w ich

słowach nie wyczułam kłamstwa – choć mogłam się mylić, bo nie znałam ich dość dobrze. Po drugie zaś dlatego, że wciąż pamiętałam żal w głosie Adama, kiedy mówił o Davidzie Christiansenie.

– Pozwólcie, że opowiem wam o chłopaku, który zmarł na mojej werandzie. – Opowiedziałam im o Przeistoczeniu Maca, o chicagowskim Alfie, który sprzedawał nowe wilki, i o eksperymentach z narkotykami.

– Wszystko, co widzieliśmy, to broń obezwładniająca – oznajmił wolno John-Julian. – Ale młodego wilka zabiły dwa strzały, a Adam dostał pięć, zanim udało się go uspokoić.

– Srebro zatrzymuje działanie układu immunologicznego, podczas gdy DMSO szybko rozprowadza narkotyk po organizmie? – zapytał David. – Czy to oznacza, że ktoś mógł zastąpić ketamine innym środkiem?

– Nie jestem lekarzem – odpowiedziałam. – Ale to by się chyba dało zrobić.

– Może Gerry'emu też się tak wydawało i chciał to sprawdzić? – ciągnął David. – W prawdziwym stadzie nie mógłby w ten sposób eksperymentować. No ale miał do dyspozycji mieszaninę samotnych wilków dewiantów i nowo narodzonych wilków najemników, które także działały w pojedynkę. Nikogo, kto by uważał za konieczne chronić więźniów.

Tak właśnie natura rozwiązała problem dominacji w stadzie. Instynkt chronienia słabszych był równie istotny, co instynkt uległości wobec silniejszych.

– Nie wszystkie samotne wilki są dewiantami – zaprotestował Connor.

David rozciągnął usta w uśmiechu.

– Dzięki. Tylko że wilkołaki powinny żyć w stadach. Potrzeba silnego bodźca, by trzymały się od nich z daleka. Nieliczni, jak ja, za bardzo nienawidzą tego, czym są, żeby żyć wśród innych wilkołaków. Reszta to banici, których żadne stado nie potrafiłoby zaakceptować.

Jego uśmiech nagle stał się blady.

– Mam swoje stado, Connorze. Po prostu nie jest to stado wilkołaków. – Spojrzał na mnie. – Reszta członków naszej paczki została z Gerrym, by trzymać rękę na pulsie. Jest nas sześciu – niezbyt wielu, ale mi to odpowiada. Wilki, które bardzo długo żyją poza stadem, zwykle dziwaczejają. Z najemnikami jest podobnie. Jeśli najemnik działa wyłącznie sam, to najczęściej dlatego, że nikt inny nie chce z nim pracować. Jest głupi albo szalony – a ci głupi szybko umierają.

– Nie chciałam spotkać kogoś takiego w skórze wilkołaka. – Zadzwoił mój telefon. – Przepraszam. – Wyłowiłam z kieszeni komórkę, która jakimś cudem jeszcze działała po wcześniejszej szarpaninie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia, Mercy.

– Wszystkiego najlepszego, mamó. Czy mogę do ciebie później oddzwonić? Jestem teraz trochę zajęta.

– Twoja siostra właśnie nam zdradziła, że jest zaręczona – radośnie zignorowała mnie matka. Słuchałam paplaniny o rodzeństwie i ojczymie, podczas gdy trzej najemnicy siedzieli w salonie, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Mamó – wtrąciłam, gdy na moment zwolniła. – Mam tu towarzystwo.

– Och, to świetnie. Martwiłam się, że będziesz całkiem sama w Dniu Dziękczynienia. Czy to Warren i ten jego miły mężczyzna? Mam nadzieję, że Warrenowi uda się go dłużej przy sobie zatrzymać. Pamiętasz tego ostatniego? Przyjemnie się na niego patrzyło, przyznaję, ale nie był kimś, z kim można by porozmawiać, prawda?

– Nie, mamó. To nowi przyjaciele. Muszę kończyć, bo pomyślę, że ich ignoruję.

Kilka minut później udało mi się rozłączyć.

– Zapomniałam, że dziś Święto Dziękczynienia – oznajmił David, ale nie potrafiłam ocenić, czy go to zmartwiło.

– Myślałem o tych eksperymentach z narkotykami – odezwał się Connor. – Ludzie, którzy przeprowadzają zamachy na rządy,

zwykle chcą sami przejąć władzę.

– Ale ci są wilkołakami, a nie ludźmi – zauważył David. – Gerry nie mógłby zostać Marrokiem. Och, jest samcem dominującym, ale wątpię, czy kiedykolwiek będzie na tyle silny, by zostać Alfą jakiegokolwiek stada, a co dopiero wszystkich stad. On o tym wie.

– Pytanie, czy mu to odpowiada – zastanawiał się Connor. – Widziałeś, jak się zachowuje wśród swoich wilków? Ci najemnicy, którzy nadal są ludźmi, przejawiają oznaki dominacji. Mówi im, że nie może sobie pozwolić, by ich stracić, ale sądzę, że jest po prostu ostrożny. Nie lubi, kiedy wydaje się rozkazy jego wilkom, a one je wykonują.

– Nie zmieni ani tego, czym jest, ani tego, jaki jest – stwierdził David.

– To prawda, sir. Tylko że ma teraz Adama pod kontrolą, zgadza się? Być może kontrolował go przez cały ten czas od odkrycia prawidłowego składu narkotyku aż do porwania.

David przechylił głowę, a potem energicznie nią potrząsnął.

– To by nie zadziało, nie na długo. Alfa prędzej by zginął, stawiając opór, niż dał się podporządkować innemu wilkowi. Albo by zwalczył narkotyk, albo umarł.

Nie byłam tego taka pewna. Wątpiłam, by ktokolwiek dokładnie wiedział, jak działał ten koktajl narkotyków – nawet Gerry, który go wstrzykiwał wilkom znacznie słabszym od Alfy.

– Nieważne, co my myślimy. Pytanie, czy Gerry miał podstawy sądzić, że narkotyki podziałają na Adama – zastanawiał się John-Julian.

Z jakiegoś powodu wszyscy spojrzeli na mnie, ale mogłam co najwyżej wzruszyć ramionami.

– Nie znam Gerry'ego. Nie spędzał zbyt wiele czasu ze stadem i dużo podróżował w związku ze swoją pracą. – Zawahałam się. – Bran nie umieściłby kogoś głupiego na tak wysokim stanowisku.

David pokiwał głową.

– Ja sam do tej pory nie uważałem go za głupca. Ale przez tę jatkę musiałem zmienić zdanie.

– Słuchajcie – powiedziałam. – Bardzo chętnie podyskutuję

z wami o Gerrym, ale może najpierw mi wytłumaczycie, czego ode mnie chcecie?

– Nadal nie podoba mi się to, co robi Bran – zagrzmiał David.

– Ani trochę. Ale to, co robi Gerry, podoba mi się jeszcze mniej.

– Gerry poprosił nas, żebyśmy zanieśli ciało chłopaka pod twoje drzwi – wyjaśnił John-Julian. – Powiedział, że przyda ci się ostrzeżenie, żebyś nie wtykała nosa w sprawy wilkołaków. Pojechaliśmy później do domu, którego używał jako kwatery, i dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że porwał córkę Adama i pozwolił zginąć trzem wilkom.

– Nie zostawia się swoich ludzi – powiedział Connor.

– I nie napada niewinnych – dodał John-Julian. Zabrzmiało to jak credo.

David uśmiechnął się półgębkiem.

– Chociaż uważam, że należy Branowi pomieszać szyki, to tylko skończony dureń mógł wpaść na pomysł, by zmusić Adama do zrobienia czegokolwiek wbrew jego woli. Poczekałbym, aż Gerry dostanie nauczkę, ale w grę wchodzi nasz honor. Nie krzywdzimy niewinnych. Zamierzamy wydostać Adama i jego córkę.

– Mają Adama? – zapytałam, choć nie czułam się zbytnio zaskoczona. Co innego mogłoby trzymać wilkołaki ze stada z dala od telefonów? Nawet mi ulżyło, bo po głowie chodził mi tuzin innych, znacznie gorszych myśli.

Zaskoczyły mnie za to otwierające się drzwi, ponieważ nie wyczułam ani nie usłyszałam nikogo na werandzie. Samuel, na powrót w ludzkiej postaci, wpuścił się do mojego domu. Miał na sobie tylko dzinsy, nawet jego stopy były bosa i kiedy do mnie podchodził, lekko utykał.

– Porwali Adama – potwierdził.

Chociaż ja go nie wyczułam, David nie wyglądał na zaskoczonego. Wykonał ręką gest, który zatrzymał jego ludzi w miejscu. W ich postawie wyraźnie widziałam napięcie i gotowość do ataku. Uznałam, że czas rozluźnić sytuację.

– Davidzie Christiansenie, poznaj doktora Samuela Cornicka.

Samuelu, to jest David, stary kumpel Adama z wojska. Chce uwolnić Adama i Jesse.

– Tak też słyszałem – oznajmił Samuel, siadając na kanapie obok moich nóg.

– Co ci się stało?

– Pojechaliśmy pod adres z kartki i odkryliśmy kilka śladów, ale nic konkretnego. Kręciliśmy się po okolicy, kiedy Darryl zdał sobie sprawę, dlaczego Adam nas nie odwołuje – zniknął jego samochód. Ktoś go widział z telefonem komórkowym, którego nie miał, kiedy wychodziliśmy z domu Warrena.

Kilka wilków zauważyło, jak odjeżdża jego auto, ale nikomu nie przyszło do głowy, by nam to zgłosić.

– Chwileczkę – przerwałam Samuelowi, ponieważ zaczynało mnie ogarniać bardzo złe przeczucie – Wampiry sprawdziłyby ten adres. Bran zawsze powtarza, że nie ma większego paranoika od wampira. Upewniłyby się, że wilkołaki są tam, gdzie powinny, nie sądzicie? Choćby po to, by zyskać pewność, że to właśnie wilki im płacą, a nie kto inny. Na miejsce przybywa połowa naszego stada i nikt nie potrafi wywęszyć tropu? – Spojrzałam na Davida. – Po tym, jak na mojej werandzie znalazło się ciało Maca, nie potrafię wyczuć nikogo innego, na przykład nie wyczułam ciebie. Powinnam była to sobie wtedy uświadomić, prawda? Nie chodzi tylko o Gerry'ego. – Samuel zeszywniał i uprzytomniłam sobie, że jeszcze o niczym nie wie. – Getry Wallace pracuje z naszą czarownicą. Wiele czarownic potrafi tak wypreparować ciało, że nawet najczulszy nos bądź najlepsza ekipa medycyny sądowej, wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt, uzna je za kukłę. Ale Elizawieta Arkadiowna należała do tych nielicznych czarownic, które potrafiłyby usunąć zapach Davida i jego ludzi z domu Adama, nie usuwając przy okazji żadnego innego.

– Jest jakaś rosyjska czarownica – przyznał Christiansen.

– Czarownice tracą mnóstwo zleceń, jeśli wilki się ujawnią – myślałam na głos. – Jeśli zaś pozostaną w ukryciu, słono za to zapłacą – a chodzi o zapłatę, na której czarownice zarobią

najwięcej. Nie jestem nawet pewna, czy działania Elizawieety można uznać za złamanie zasad kontraktu, skoro Getry chce uczynić Adama Marrokiem.

– Co? – głos Samuela był tak cichy, że zaczęłam się denerwować.

– Gerry nie chce, by wilki wyszły z ukrycia – wyjaśniłam. – Doszedł do wniosku, że tylko Adam może temu zapobiec, zabijając Brana.

Samuel uniósł w górę dłoń, obserwując moich gości zimnym wzrokiem.

– Sądzę, że pan Christiansen powinien mi wyjaśnić, co się dzieje. – Abym mógł stwierdzić, czy pan Christiansen mówi prawdę, dokończyłam w myślach. Samuel należał do tych wilków, które potrafiły wyczuć kłamstwo.

David również o tym wiedział. Dostrzegłam to w jego uśmiechu.

– Gerry Wallace doszedł do wniosku, że Bran chce opuścić swój lud. Miałem porozmawiać z Adamem i namówić go, by się sprzeciwił.

– Co oznacza walkę z Marrokiem o przywództwo – sprecyzował Samuel.

– Tak. W tym celu sprowadził mnie tutaj samolotem razem z moimi chłopakami. Zaskoczyła mnie jego metoda negocjacji. Ja nie przyprowadziłbym uzbrojonych mężczyzn do domu Alfy, ale nie mogłem się sprzeciwić. Doszłoby do walki, po której musiałbym się zaopiekować ludźmi Gerry'ego – a nie widzieliście smutniejszej bandy wilków. Wiedziałem, że Adam potrafi się bronić, więc przystałem na taki układ. – David wzruszył ramionami. – Rozmawialiśmy z panną Thompson i doszliśmy do wniosku, że Gerry zaplanował rozlew krwi, ponieważ te wilki, które zginęły, mogły mu sprawiać pewne... kłopoty wychowawcze. Sądzę, że od samego początku chodziło mu o szantaż, a nie negocjacje. Samuel przechylił głowę i powiedział:

– Gerry zna Adama i wie, że Adam nie rzuciłby wyzwania mojemu ojcu. Nie ma znaczenia, czy się ze sobą zgadzają, czy nie.

Adam po prostu nie chce być Marrokiem.

– Gerry nie zna tak dobrze Adama, skoro sądzi, że może go kontrolować, porywając jego córkę – odparł David.

– Myślę, że jesteś w błędzie – wtrąciłam. – Myślę, że Adam zrobiłby dla córki wszystko.

– Mówicie tak, jakbyście byli pewni, że Adam zabije mojego ojca.

– To Gerry tak sądzi. Może zamierza zrobić coś, co doprowadzi do śmierci Brana. Prawdopodobnie nadal sądzi, że jest jedyną osobą, która wie o narkotykach.

Samuel warknął, a ja poklepałam go po głowie. Oparcie kanapy może i nie było zbyt wygodne, ale podobało mi się patrzenie na wilkołaki z góry. Sam chwycił moją rękę i położył ją sobie na ramieniu.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytał Davida. – Nie mogłeś znaleźć stada Adama?

– Nie szukałem stada. Nafaszerowali Adama tym narkotykiem jak indyka na Święto Dziękczynienia. Poszedłem z nim porozmawiać, a on niemal wyszarpał się z więzów. Twierdził, że ktoś ze stada zdradził, i myślę, że ma rację. Pewnie właśnie tak go dorwali. Problem w tym, że przez narkotyk wpadł w paranoję. Musimy go stamtąd wydostać, jego i to dziecko, ale to będzie wymagało współpracy obydwu stron. Mnie nie ufa i z przykrością muszę powiedzieć, że ma ku temu powód.

– David spojrzał na Samuela. – Nie sądzę też, żeby tobie zaufał, nie kolejnemu samcowi, kiedy jego córka jest w pobliżu. – Na koniec zwrócił się do mnie. – Ale twoja furgonetka pachnie Adamem, a w jego sypialni stoi twoje zdjęcie.

Samuel zgromił mnie wzrokiem.

– W sypialni?

O tym nie miałam pojęcia, ale chwilowo bardziej niż zdjęciem przejmowałam się losem Adama i Jesse.

– W porządku – powiedziałam. – Gdzie go przetrzymują?

Samuel pozwolił Davidowi zająć się organizacją akcji, ale postawił dwa warunki. Po pierwsze, kazał zwołać stado. W końcu

jednak zgodził się, by pozostałe wilki czekały w pogotowiu na sygnał, gdybyśmy potrzebowali wsparcia.

Tylko Darryl miał wiedzieć, co się święci. Po drugie, nalegał, bym zadzwoniła do Brana i powiedziała mu wszystko, co wiem.

– Adam nie będzie z nim walczyć – oznajmił Samuel kamiennej twarzy Davida. – Nie podoba mu się pomysł wyjścia z ukrycia, ale rozumie argumenty mojego ojca. – Westchnął. – Słuchajcie, nikt z nas nie jest z tego powodu szczęśliwy, nawet sam Marrok. Dotarły do niego jednak informacje, że ma nas na oku jedna z agencji rządowych. Grożą, że nas zdemaskują, jeśli nie będziemy współpracować.

Wyraz twarzy Davida na moment uległ zmianie, zbyt krótki, bym mogła odgadnąć, co się za nim kryje. Samuel skinął głową.

– Zastanawiałem się, czy z tobą też ktoś rozmawiał. Oni wszyscy należeli do armii. Staliśmy się tajemnicą poliszynela, a to niebezpieczne. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że dzięki Branowi tak długo pozostawaliśmy w ukryciu. Sądziłem, że skoro zaakceptowano nieładzi, my także zostaniemy zdemaskowani.

– Ludzie nie chcieli o nas wiedzieć. Większość z nich lubi swój bezpieczny światek – powiedziałam.

– Czy twój ojciec ukarze dziadka? – zapytał Connor.

Samuel uniósł brwi.

– Nie widzę nic złego w tym, co zrobił David. Nie składał żadnej przysięgi Branowi czy komukolwiek innemu ani nie miał zamiaru zdradzić żadnej z naszych tajemnic. Wręcz przeciwnie.

Zadzwoniła moja komórka – telefonował Bran. Ten wilkołak był niesamowity.

– Mercedes, chciałbym porozmawiać z synem. Spojrzałam na Samuela i powiedziałam:

– Już ci mówiłam, że od wczoraj nie miałam od niego żadnych wiadomości.

– Dość tych gier – warknął Bran. – Daj Samuelowi telefon. Unosząc wymownie brwi w kierunku Davida i jego ludzi, przekazałam telefon Samuelowi. Bran prawdopodobnie wyczytał

kłamstwo z mojego głosu. Prawdopodobnie. Jednak David, który słyszał obydwie strony rozmowy, już zawsze będzie przekonany, że Marrok wiedział, gdzie jest Samuel.

Nie dałam po sobie poznać satysfakcji. Im silniejszy był Bran w oczach innych wilków, tym bezpieczniej dla niego.



Rozdział 14

Przez większą część drogi jechaliśmy razem – Christiansen, jego wnukowie, ja i Samuel w wilczej postaci. Sam ponownie zmienił się jeszcze u mnie w domu, ponieważ inne wilki potrafią wyczuć przemianę, a nie chcieliśmy zostać zbyt wcześnie zdemaskowani.

David wysadził nas jakieś półtora kilometra od celu i udzielił nam kilku wskazówek. Plan wyglądał następująco: razem z Samuelem zakradamy się na miejsce. Ja próbuję wejść przez dziurę w ścianie do magazynu, w którym przetrzymywano Adama i Jesse, a Samuel idzie na miejsce spotkania ze stadem Adama i czeka na sygnał.

Adama i Jesse przetrzymywano na plantacji drzewek położonej na falistych ziemiach nieopodal Benton City, małego miasteczka około dwadzieścia minut drogi od Richland.

Chociaż plantację zamknięto już jakiś czas temu, mijaliśmy całe akry czekających na ścięcie drzew.

Rozpoznałam różne gatunki klonów i dębów, a także sporo sosen.

Olbrzymi budynek, z pewnością wspomniany przez Dawida magazyn, stał za domem, na którym wisiał znak agencji nieruchomości o dumnej treści sprzedany.

Z Samuelem u boku przycupnęłam w rowie otoczonym gęstwiną oliwników i zaczęłam się rozglądać. Nie dostrzegłam żadnych pojazdów, więc prawdopodobnie wszystkie zaparkowano po drugiej stronie magazynu. Christiansen powiedział, że plantacja drzewek została zakupiona przez miejscową winiarnię, która zamierzała wykorzystać ziemię pod uprawę winogron. Ponieważ nikt nie planował nic sadzić aż do wiosny, dom i magazyn miały stać do tego czasu puste.

Znak agencji nieruchomości potwierdził przypuszczenie, że jeden z wilków Adama zdradził. Po nadto podpowiedział mi nazwisko zdrajcy.

Wyciągnęłam telefon i zadzwoniłam do Darryla. Zdążyłam się nauczyć jego numeru na pamięć.

– Czy rozmawiałeś już z Johnem Cavanaughem? – zapytałam. John Cavanaugh należał do tych wilków, których nie znałam zbyt dobrze. Był u Warrena podczas naszej narady wojennej.

Głęboko odetchnęłam. Darryl nie zwrócił na to uwagi, ciągle zirytowany faktem, że mu nie powiedziano, co dokładnie robimy. No i tym, że musiał słuchać rozkazów Samuela.

– Tak jak mnie poinstruowano, nie zostawiam wiadomości na automatycznych sekretarkach. To oznacza, że może nam braknąć ludzi.

– Patrę teraz na nazwisko Johna Cavanaugha na znaku agencji nieruchomości. Ten znak wisi na plantacji drzew, gdzie przetrzymują Adama.

Zapadła długa cisza.

– Rozumiem – powiedział w końcu Darryl i przerwał połączenie. Cóż, może i nie był wylewny, ale wystarczyło, że miał łeb na karku. Nikt nie zadzwoni do Johna Cavanaugha po pomoc ani teraz, ani nigdy więcej.

Może powinno było bardziej mnie zmartwić, że właśnie podpisałam na kogoś wyrok śmierci. Wolałam jednak poczekać, aż Adam i Jesse znajdą się bezpieczni w domu, zanim zacznę żałować Cavanaugha.

Siedzący obok Samuel cicho zaskomlał.

– No dobrze – powiedziałam i zaczęłam się rozbierać. Było zimno. Nie tak zimno jak w Montanie, ale wciąż zbyt chłodno, żeby czuć się swobodnie nago. Uważając na kolce oliwnika, ściągnęłam z siebie ubranie, zwinęłam je niedbale i wyłączyłam telefon.

– Nie musisz na mnie czekać, żeby tam wejść – powiedziałam. Samuel nie reagował, wciąż się na mnie gapiąc.

Westchnęłam w poczuciu, że jestem wykorzystywana, i przybrałam postać kojota. Czując ponownie rozkoszne ciepło, przeciągnęłam się, zamerdałam ogonem i ruszyłam w stronę magazynu. Wciąż było jasno, więc obrałam okrężną drogę, aby nikt mnie nie zauważył. Wiedziałam, że Samuel podąża tuż za mną, mimo że ani razu go nie spostrzegłam. Imponujące, zważywszy na jego umaszczenie – biel jest dobra w ośnieżonej Montanie, ale nie na tle szaro-brązowej zimy stanu Waszyngton.

Róg aluminiowej ściany magazynu był nieco wygięty w miejscu, o którym mówił Christiansen. Nie poszło łatwo, ale w końcu dostałam się do środka kosztem niewielkiej ilości sierści. Nos podpowiedział mi, że jakiś inny kojot i kilka mniejszych zwierząt korzystało z tej samej trasy w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jeśli Gerry lub jeden z jego wilków wyczują mój zapach, istniała szansa, że pomylą go z zapachem zwykłego kojota.

Przepastny magazyn wypełniało powietrze równie zimne, co na zewnątrz. Choć Christiansen powiedział, że znajdę kryjówkę bez problemu, spodziewałam się, że magazyn będzie pusty. Nic bardziej mylnego.

Wokół stały setki, jeśli nie tysiące skrzyń o wymiarach palety towarowej i z wysokimi na metr sklejkowymi bokami, które przeżerała wilgoć. Skrzynie ułożono jedna na drugiej, po trzy na stelażach sięgających aż do sufitu, jakieś dziewięć metrów nad moją głową.

Powietrze pachniało stęchlizną. Pod sufitem dostrzegłam spryskiwacze, a na podłodze system odpływów. To miało sens, jak przypuszczam. Znajdujące się w magazynie drzewka

wymagały nawadniania aż do momentu przetransportowania ich do klienta.

Skrzynie na stelażu obok mnie oznaczono napisem HAMAMELIS VIRGINIAN – OCZAR WIRGINIJSKI 3'-4'.

Były puste, jeśli nie liczyć wciąż wypełniającego ich wnętrze cierpkiego zapachu krzewu. Mogłabym się schować w tej położonej najwyżej, ale miałam obawy, że ktoś mnie zauważy, kiedy będę do niej wskakiwać. Zwinęłam się więc w kłębek na cementowej podłodze pomiędzy stelażem a ścianą magazynu – to miejsce wydawało się najbezpieczniejsze.

Kazano mi czekać tak długo, aż przyjdzie po mnie jeden z wnuków Christiansena. David powiedział, że „dokonamy wyciągnięcia nocą”, a do tego czasu pozostawało jeszcze kilka godzin.

Gerry miał mały problem. Obecność strażników działała na Adama pobudzająco i nawet aplikowanie wilkołakowi środka odurzającego niewiele pomagało. Wszyscy doskonale pamiętali, jak Alfa poradził sobie z kajdankami w swoim domu, więc robili, co mogli, by go uspokoić. Oznaczało to, że przez większą część czasu Adam i Jesse przebywali sami, a strażnik czatował na zewnątrz celi. Zapach Gerry'ego denerwował Adama tak bardzo, że Gerry musiał się trzymać z dala od magazynu.

Mimo że mieliśmy wydostać Adama i Jesse dopiero za kilka godzin, mogłam się do nich wcześniej zakraść i przygotować Adama na akcję ratunkową.

Z tego powodu wynikła wcześniej sprzeczka. David chciał, żebym zaczekała, aż jego człowiek stanie na straży około zmierzchu, ale ja nie mogłam zostawiać Adama i Jesse samych ani chwili dłużej, niż to było konieczne. David uważał, że ryzykowałam zbyt wiele.

Spór rozsądził Samuel.

– Niech idzie. I tak to zrobi, a w ten sposób będziemy lepiej przygotowani.

David nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale ustąpił wobec wyższej władzy – i lepszej oceny sytuacji. Samuel miał rację. Nie

mogłam pozwolić, by Adam i Jesse czekali na ratunek bez ochrony. Tylko Gerry znał mój zapach, a on nie zbliżał się do magazynu. Wszystkie pozostałe wilki uznałyby mnie za jednego ze zwykłych kojotów, jakich w tej okolicy żyło całe mnóstwo.

Musiałam jednak poczekać na eskortę, co mogło chwilę potrwać. Nie chciałam samotnie wałęsać się po magazynie, szukając miejsca, gdzie przetrzymywano więźniów.

Oczekiwanie w pełnej gotowości i trwanie w bezruchu to dwie rzeczy, które trudno pogodzić. W końcu zapadłam w lekką drzemkę. Po jakiejś godzinie obudził mnie zapach Johna-Juliana.

Wychyliłam się ostrożnie zza stelażu, ale był sam. Na ramieniu trzymał mój plecak. Nic nie powiedział, po prostu odwrócił się i zaczął przepychać między skrzyniami w kierunku części magazynu, którą zaadaptowano na biura.

Trzy pomieszczenia znajdowały się jedno nad drugim, tworząc wysoki słup.

Weszliśmy po schodach na środkową kondygnację. W oddali dostrzegłam drzwi zaryglowane błyszczącą zasuwą, inną od wszystkich pozostałych.

Kiedy John-Julian odsunął rygiel i drzwi ustąpiły, wskoczyłam do środka.

Nic dziwnego, że Gerry postawił na straży tylko jednego człowieka. Nie było szansy, by Jesse lub Adam zdołali uciec. Jesse leżała na gołym materacu z częścią twarzy, szyją i włosami obwiązanymi taśmą. Wolałam sobie nie wyobrazać, jak będzie wyglądało jej zrywanie. Na nadgarstkach miała kajdanki, które za pomocą liny wspinaczkowej przytwierdzono do ramy łóżka, a związane nogi przymocowano do ramy po przeciwnej stronie. Nie mogła wykonać jakiegokolwiek ruchu oprócz przekręcenia się z jednego boku na drugi.

Spojrzała zamglonymi oczami na Johna-Juliana, a mnie chyba w ogóle nie zauważyła. Miała na sobie piżamę, w którą prawdopodobnie była ubrana, kiedy ją porwali – bawełniane spodenki w kratkę i koszulkę. Po wewnętrznej części jej ręki

zauważyłam siniaka tak ciemnego, że wydawał się raczej czarny niż fioletowy.

Adam siedział na krześle, które musiał zaprojektować ten sam cierpiący na upośledzenie stylu stolarz, który sklecił łóżko. Coś mi jednak mówiło, że porywacze nie martwili się gustownością wyposażenia celi. Ręce i nogi więźnia przymocowano do krzesła za pomocą ciężkich kajdan, które wyglądały jak element ekspozycji w muzeum figur woskowych lub średniowiecznej izbie tortur. Nawet gdyby Adam roztrzaskał krzesło, nie byłby w stanie wyswobodzić się z łańcuchów. Miał na sobie tyle srebra, że prawdopodobnie wystarczyłoby go na finansowanie miejscowego szkolnictwa przez cały rok.

– Gerry tu nie przyjdzie – powiedział John-Julian. Adam na krótką chwilę otworzył oczy. Ich tęczówki miały żółto-złoty kolor – płonęły wściekłością. – Obecność Gerry'ego działa na Adama tak samo, jak obecność mojego dziadka. Nawet narkotyki niewiele pomagają. Nasz człowiek kończy wartę za pięć minut. Ten, który po nim przyjdzie, to wróg, ale później wartę przejmie Shawn, jeden z naszych.

John-Julian powtarzał informacje, które już znałam, by się upewnić, że wszystko rozumiem.

– Shawn postara ci się pomóc w każdy możliwy sposób. Strażnicy powinni zostać na dole, przychodzą tutaj tylko na chwilę zaraz po zmianie warty. Na wszelki wypadek nie rozwiązuj jednak Adama ani Jesse, dopóki nie zjawi się Shawn. Tylko jeden strażnik pilnuje więźniów, a czterech innych patroluje okolicę. Jeden z nich obchodzi magazyn od zewnątrz. W domu jest prąd i telewizja satelitarna, więc zwykle siedzą tam wszyscy, którzy akurat nie mają dyżuru. Nikt nie podejrzewa, że stado Adama już ich wytropiło, więc nie są w stanie gotowości.

Ludzie Davida wykonywali lwią część roboty przy pilnowaniu więźniów, ponieważ Gerry nie znalazł zbyt wielu osób, których opiece mógłby powierzyć bezbronną piętnastolatkę. W świecie szalonych najemników i samotnych wilkołaków nie było zbyt dużego zapotrzebowania na podobne usługi. Z tego, co się

dowiedziałam, Gerry płacił ludziom Davida. Najwyraźniej wierzył, że Christiansen nie będzie współpracował tak długo, jak długo jego nazwisko figuruje na liście płac.

Podczas gdy John-Julian mówił, rozejrzałam się po pokoju, który raczej nie obfitował w potencjalne kryjówki. Jeśli wszyscy strażnicy nie wpadną tu jednocześnie, mogłabym się schować za drzwiami albo w dużej szafie. Cóż, może to i banalne miejsca na kryjówkę, ale niektóre stereotypy są stereotypami, ponieważ mają sens. Strażnicy nie mieli powodu, by przeszukiwać pokój, dopóki znajdowali się w nim Adam i Jesse.

Jesse poruszyła się, kiedy zdała sobie sprawę, że John-Julian nie mówi do niej. Przekręciła się nieporadnie, by lepiej mnie widzieć, a potem wydała gardłowy dźwięk zza knebla.

– Ciii – powiedział wnuk Davida i zwrócił się do mnie. – Masz jakieś cztery godziny. Spróbujemy odwrócić uwagę strażników. To nie moje zadanie, ale zorientujesz się, kiedy usłyszysz. Twoim zadaniem jest sprowadzić tych dwoje do pomieszczenia znajdującego się najbliżej dużych drzwi od garażu. Tam przejmie was dziadek.

Kiwnęłam głową, a on położył na podłodze mój plecak.

– Powodzenia – powiedział cicho i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Powróciłam do ludzkiej postaci i wyciągnęłam z plecaka bieliznę, ciemną koszulkę i parę starych dresowych spodni.

Ubrałam się, założyłam szelki z kaburą i wsunęłam w nią załadowanego SIG-a. Przyniosłam też smith & wessona mojego przyrodniego ojca. Był zbyt duży, by wejść do kabury, a jego bębenek mieścił mniej nabojów, ale magnum .44 zadawał większe obrażenia niż kaliber 9 milimetrów. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie będę potrzebowała żadnego z nich.

Usłyszałam kroki i uświadomiłam sobie, że wcześniej John-Julian zszedł po schodach bezszelestnie – całkiem niezłe jak na człowieka. Zakładając, że to nowy strażnik, chwyciłam plecak i schowałam się w szafie. Jedno skrzydło przesuwanych drzwi zostawiłam otwarte, tak jak było przedtem.

Jesse poruszyła się gwałtownie, kiedy ktoś przesunął rygiel i z całej siły pchnął drzwi.

– Cześć, ślicznotko – powiedział strażnik. Poczułam czosnek, który niedawno zjadł, oraz coś niezdrowego i kwaśnego. Nie był wilkołakiem, ale nie był też kimś, kogo chciałabym widzieć w towarzystwie Jesse.

– Mam cię zabrać do kibelka. Jeśli będziesz miła, może nawet pozwolę ci coś zjeść. Założę się, że już zgłodniałaś.

Stanął przy łóżku. Znajdował się w idealnej pozycji, by mu strzelić w plecy. Panika w oczach Jesse oraz zapach strachu, który wypełnił pomieszczenie, podsycaly pokusę.

Kiedy Adam warknął, strażnik wycelował w niego broń i wystrzelił. Z ust Jesse wydobył się przeraźliwy jęk niedowierzania. Wyciągnęłam SIG-a i już zaciskałam palec na spuście, kiedy zdałam sobie sprawę, że usłyszałam ciche „paf” a nie „bum” – strażnik strzelał z broni obezwładniającej.

Dobrze, że nie miał słuchu wilkołaka, bo i tak musiałabym go zabić. Z pewnością by usłyszał, jak głośno przełykam ślinę.

– To cię na jakiś czas uspokoi – powiedział. Schował pistolet do kabury i zaczął uwalniać stopy Jesse z więzów. Gdyby się odwrócił, patrzyłby wprost na mnie – tak jak właśnie patrzyła Jesse.

Potrząsnęłam głową, wskazałam na oczy, a potem na mężczyznę. Zrozumiała, o co chodzi, i wlepiała wzrok w sufit. Wyglądało na to, że strażnik niczego nie słyszy, ale ktoś wbiegał po schodach, prawdopodobnie zaalarmowany cichym odgłosem wystrzału. Drzwi były otwarte, więc drugi mężczyzna – wilkołak – od razu wszedł do środka. Nie widziałam go, ale wyraźnie czułam jego zapach.

– Śmierdzi tu zwierzyną – powiedział niskim, basowym głosem, który rozszedł się echem po pomieszczeniu.

Z początku pomyślałam, że mówi o mnie. Zaskoczony człowiek odwrócił się gwałtownie w stronę drzwi. Gdyby przesunął wzrok o dziesięć stopni, patrzyłby wprost na mnie, ale skupiał uwagę na wilkołaku.

– Jesteś zwierzęciem, Jones? – zapytał wilkołak z cichym pożądanym w głosie. – Ja jestem.

Jones postąpił krok w tył wpadł na łóżko i mimowolnie usiadł na Jesse. Ktoś powinien mu wytłumaczyć, że tak się nie robi. Nie wolno się cofać przed drapieżnikami – to powoduje, że źle interpretują sytuację.

Kiedy Jones nic nie odpowiedział, wilkołak wybuchł śmiechem.

– Szef chyba ci wytłumaczył, że masz się nie kręcić obok dzieciaka. Mam rację?

Nie wiem, co robił wilkołak, ale z pewnością coś przerażającego, ponieważ z gardła Jonesa wydobył się piskliwy dźwięk. W końcu wilkołak wszedł w moje pole widzenia. Był to wysoki rudowłosy mężczyzna z ciemną, krótko przystrzyżoną brodą. Pochwycił Jonesa, kładąc mu dłonie na barkach, i podniósł go z łóżka z pomrukiem wysiłku. Obrócił się i rzucił nim w kierunku drzwi. Nie widziałam, jak Jones uderzył o podłogę, ale słyszałam, jak z trudem łapie powietrze.

– Wychodź – warknął wilkołak.

Słyszałam, jak Jones zbiega po schodach, ale nie byłam pewna, czy cokolwiek zmieniło się na lepsze.

Mężczyzna, który go zastąpił, stanowił o wiele większe zagrożenie. Ta jego uwaga o zwierzętach... Czyżby jednak mnie wyczuł? Czy tylko ubliżał człowiekowi?

Nie potrafiłam opanować lekkiego drżenia ciała, ale starałam się pozostać dobrej myśli. Strach wydziela silną woń i dopóki Jesse była wystraszona za nas obie, jej zapach dominował nad moim.

– No dobrze, aniołku, rozwiążemy cię – powiedział wilkołak łagodnym głosem, który może by mnie uspokoił, gdyby nie ukryta w nim żądza. Jesse nie mogła jej wyczuć i nieco się odprężyła.

Jego duże dłonie szybko poradziły sobie z supłami. Jak dżentelmen pomógł dziewczynie usiąść i dał jej czas, by nieco rozluźniła odrętwiałe mięśnie. Jesse – chytra sztuka – ustawiła się

tak, aby wilkołak nie patrzył w stronę szafy.

Chwycił dziewczynę za rękę, gdy wstawiała, i pomógł jej utrzymać równowagę, kiedy wychodziła z pomieszczenia.

Zamknęłam oczy i modliłam się, żeby moja decyzja okazała się słuszna i żeby Jesse wróciła z łazienki w takim samym stanie, w jakim do niej wyszła.

W międzyczasie musiałam sprawdzić, co z Adamem. Strzałka nadal tkwiła w jego szyi. Wyciągnęłam ją i upuściłam na podłogę. Adam otworzył oczy, kiedy go dotknęłam, wątpiałam jednak, by cokolwiek widział.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, ścierając delikatnie plamkę krwi z jego szyi. – Wyciągniemy was stąd. Wiemy, kim jest jeden ze zdrajców, a reszta nie będzie mogła nas powstrzymać.

Nie powiedziałam mu, kogo miałam na myśli, mówiąc w liczbie mnogiej. Nie miałam pewności, czy mnie słyszy, ale zależało mi, by go uspokoić, a nie rozdrażnić. W prawy rękaw jego koszuli zaplątała się jeszcze jedna strzałka i chcąc ją wyciągnąć musiałam się nad nim pochylić. Głowa Adama opadła i znalazła się pomiędzy moim ramieniem a szyją. Nie potrafiłam stwierdzić, czy był to świa domy ruch, ale usłyszałam głęboki, miarowy oddech.

– Dobrze – powiedziałam. – Prześpij się i zwalcz tę truciznę.

Trwałam w bezruchu z jego głową wtuloną w moje ramię, dopóki nie usłyszałam kroków. Ułożyłam Adama, by wyglądał tak jak wtedy, kiedy wychodzili – oczywiście pomijając strzałki – i z powrotem wskoczyłam do szafy.

Zaczęłam się martwić, bo docierał do mnie dźwięk kroków tylko jednej osoby. Dopiero kiedy wilkołak wszedł w moje pole widzenia, spostrzegłam, że niesie dziewczynę na rękach. Jesse nie ruszała się i patrzyła w ścianę.

– Przykro mi, aniołku – powiedział jękliwie, kiedy z wprawą przywiązywał ją do łóżka. – Zapewniłbym ci prywatność, gdyby to ode mnie zależało, ale nie mogliśmy ryzykować, nieprawdaż?

Już jesteś trupem, pomyślałam. Zapamiętałam jego twarz,

sposób poruszania się i gestykulację, żebym potrafiła go rozpoznać – na wypadek gdyby Getry miał w stadzie dwóch rudych gigantów z brodą. W głosie wilkołaka pobrzmiwała satysfakcja i jestem pewna, że tym razem również Jesse ją wyczuła. Chciał ją zastraszyć.

Adam drgnął. Nie widziałam tego, ale usłyszałam.

– Mercy, to ty? – wycharczał. Strażnik roześmiał się.

– Ja ci nie wystarczę? – Pochylił się i poklepał Jesse po twarzy.

– Do następnego razu, aniołku. Odetchnęłam.

Przypomniałam sobie, że Adam nazywał Jesse aniołkiem, i zrobiło mi się niedobrze. Usłyszałam, jak trzaskają drzwi, a zasuwa wraca na miejsce.

Poczekalam, aż wilkołak zejdzie ze schodów, zanim wygramoliłam się z szafy. Jesse nadal patrzyła w ścianę. Głowa Adama opadła. Musiałam go znów dotknąć, by się upewnić, czy oddycha. Następnie podeszłam do jego córki. Nie poruszyła się, odkąd wilkołak ponownie ją związał.

Wyciągniemy ich stąd najwcześniej za dwie godziny, pomyślałam, przekopując plecak w poszukiwaniu czegoś ostrego. Nie mogłam zostawić Jesse w takim stanie na następne dwie godziny, nie ma mowy.

Nie wiem, dlaczego zapakowałam sztylet Zee, i nie wiem, dlaczego wyciągnęłam go zamiast scyzoryka, ale wpadł w moją dłoń, jakby od zawsze do mnie należał.

Ciałem Jesse wstrząsnął dreszcz, kiedy położyłam kolano na łóżku. Delikatnie dotknęłam jej ramienia.

– To ja, Mercy. Nikt cię już więcej nie skrzywdzi, niedługo was stąd wydostaniemy. Musisz być cicho. Bądź cicho, a ja cię wypłaczę z tych lin i spróbujemy coś poradzić na taśmę.

Jesse zaczęła się trząść, jakby nagle przeniknął ją chłód. W pokoju było zimno, a nikt nie pomyślał, by ją przykryć, więc mogło to stanowić część problemu. Wciągała powietrze tak mocno, jak potrafiła – trudne zadanie, zważywszy, że mogła oddychać tylko przez nos.

Przytknęłam kciuk do krawędzi sztyletu. Była ostra, ale nie

dość ostra, by z łatwością przeciąć liny do wspinaczki.

Wsunęłam ostrze pomiędzy węzły na ramie łózka i pociągnęłam w tył. Omal się nie dźgnęłam, nie napotkawszy żadnego oporu. Pomyślałam, że sztylet wysliznął się spod liny, ale została gładko przecięta.

Z szacunkiem spojrzałam na niepozorny kawałek metalu. Powinnam była się domyślić, że sztylet, który Zee nosił dla własnego bezpieczeństwa, musiał kryć w sobie kilka niespodzianek. Przecięłam supły na nogach Jesse, a ona przyciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Po jej twarzy spłynęły łzy. Przez chwilę pocierałam jej plecy, a kiedy zaczęła się uspokajać, podeszłam do plecaka i wyciągnęłam mały pojemnik WD-40.

– Obok octu i oczyszczonej sody WD-40 stanowi najcudowniejsze odkrycie naszego wieku – powiedziałam. – Teraz użyjemy go do rozpuszczenia taśmy.

Nie byłam pewna, czy mój pomysł zda egzamin, chociaż wcześniej używałam WD-40 do czyszczenia pozostałości po taśmie izolacyjnej na samochodach. Ale gdy tylko preparat wniknął pod taśmę, mogłam ją zacząć powoli zrywać. Kiedy już oderwałam wystarczająco szeroki kawałek, wśliznęłam pod niego sztylet i rozciąłam go blisko ucha Jesse. Nie martwiłam się teraz o włosy – najważniejsze to usunąć taśmę z twarzy.

Zeszła z taką łatwością, jak wszystkie inne paskudztwa, które usuwałam z karoserii samochodów. Po chwili Jesse mogła oddychać przez usta, a po taśmie nie został ślad, nie licząc kawałka sklejącego włosy.

– Ma okropny smak – wychrypiała, wycierając usta końcem koszuli.

– Mnie też nie smakuje – odparłam zupełnie szczerze. Czasem podczas pracy zdarzało mi się zapomnieć, że mam WD-40 na rękach. – Kiedy ostatni raz coś piłaś?

– Kiedy przyprowadzili tatę – szepnęła do swoich kolan. – Budził się na dźwięk mojego głosu, nawet po tym, co mu wstrzykiwali, więc włożyli mi knebel w usta. Myślałam, że

wilkołaki nie reagują na narkotyki.

– Na ten reagują. – Wróciłam do plecaka i wyciągnęłam termos z kawą. – Chociaż raczej nie działa tak dobrze, jak by tego chcieli. Szkoda, że nie pomyślałam o wodzie. – Podetknęłam pod twarz Jesse kubek od termosu, wypełniony niezdrowo pachnącą czarną cieczą.

Wiem, że większość osób lubi ten zapach, ale ja z jakiegoś powodu nie mogę go znieść. Jesse nie zareagowała, więc powiedziałam podniesionym głosem:

– No dalej, nie ma co dramatyzować. Kiedy już dotrzesz do domu, możesz sobie wpadać w katalepsję, jeśli ci na tym zależy. Teraz musisz mi pomóc przywrócić twojego ojca do stanu używalności.

Czułam się tak, jakbym łoła skamlącego psa, ale Jesse w końcu usiadła i drżącą dłonią chwyciła metalowy kubek. Spodziewałam się tego, więc napełniłam go tylko do połowy.

Skosztowała i wykrzywiła usta.

– Wypij – rozkazałam. – Jest dobra na twoje dolegliwości. Kofeina i cukier. Ja tego nie pijam, więc ukradłam to kosztowne świństwo z waszej lodówki. Nie może być aż tak zła. Samuel kazał mi zrobić mocną i wsypać cukier. Powinna smakować jak coś w rodzaju gorzkiego syropu.

Jesse najpierw uśmiechnęła się półgębkiem, a po chwili całymi ustami. Zatkała nos i wypięła wszystko jednym haustem.

– Następnym razem to ja robię kawę – powiedziała charkoczącym głosem.

Odwzajemniłam jej uśmiech.

– O to chodziło.

– Czy jest jakiś sposób, żeby zdjąć te kajdanki? – zapytała.

– Za dwie godziny przyjdzie nasz wspólnik. Będzie miał klucze.

– Okej. – Jej usta nadal drżały. – Ale może jednak spróbujesz. Nie są tak solidne, jak te od gliniarzy, raczej przypominają te, które można kupić w sex-shopie.

– Jessico Tamarindo Hauptman! Skąd ty miałabyś o tym wiedzieć?

Zachichotała.

– Jeden z moich przyjaciół kupił parę na wyprzedaży garażowej. Założył je i nie mógł znaleźć kluczyka. Nieźle panikował, dopóki jego mama nie otworzyła zamka wytrychem.

Przyjrzałam się dziurce od kluczyka – na moje oko wyglądała dziwnie nieforemnie. Nie miałam pod ręką żadnych wsuwek do włosów ani druczianych wieszaków, ale ostro zakończona zabawka Zee mogła spełnić ich rolę.

Chwyciłam kajdanki i wcelowałam sztylet w dziurkę.

Początkowo myślałam, że nie będzie pasował, ale użyłam nieco więcej siły i bez oporów wśliznął się do środka.

– Auć! – Jesse gwałtownie poruszyła rękami.

Obejrzałam jej nadgarstek, a następnie zerknęłam na kajdanki – sztylet rozciął je z taką samą łatwością, jak wcześniej linę.

– Czarodziej metalu w rzeczy samej – mruknęłam.

– Co to za nóż? – zapytała Jesse.

– Sztylet. Pożyczony. – Przyłożyłam go do łańcucha łączącego obrączki i obserwowałam, jak metal ścieka po krawędzi ciemnoszarego ostrza. – Hm. Następnym razem, kiedy będę coś pożyczać od nieczłowieka, zadam mu najpierw kilka pytań.

– Da radę całkiem je rozciąć? – podała mi rękę. Odsunęłam obręcz od posiniaczonej skóry i ostrożnie wetknęłam sztylet między nadgarstek a metal, który natychmiast ustąpił pod naciskiem ostrza. Wyglądało to trochę jak efekt specjalny z niskobudżetowego filmu.

Producent filmowy o większej renomie dorzuciłby kilka iskier albo jaskrawo-czerwoną poświatę, a jedyne, co wychwyciłam, to łagodna woń ozonu.

– Od kogo to pożyczyłaś? – zapytała Jesse, kiedy przecinałam drugą obręcz. – Niech zgadnę, od Zee? – Już widziałam, jak w jej oczach stary gremlin ze zrzędlivego przyjaciela urasta do rangi intrygującej tajemnicy. – Niezły bajer. – Mówiła prawie jak moja Jesse, co boleśnie kontrastowało z siniakiem na jej twarzy i obtarciami na rękach.

Nie przypomiinałam sobie, żebym wcześniej widziała tego

siniaka.

– Teraz cię tak urządził? – zapytałam, dotykając policzka dziewczyny. W pamięci wciąż miałam obraz niosącego ją strażnika, kiedy ona pragnęła się skurczyć tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Patrzyłam, jak uśmiech znika z jej twarzy, a oczy matowieją.

– Nie chcę o nim myśleć.

– W porządku – zgodziłam się od razu. – Już nikomu nie zrobi krzywdy.

Sama tego dopilnuję, jeśli będę musiała. Wyzwolenie się z oków cywilizacji przyszło mi nadzwyczaj łatwo, pomyślałam, nakręcając kubek na termos. Wystarczył widok siniaka i byłam gotowa mordować.

– Powinnaś wypić więcej – powiedziałam. – Ale potrzebuję kofeiny dla twojego ojca. Może Shawn coś ze sobą przyniesie.

– Shawn?

Opowiedziałam Jesse o Davidzie i pomocy, którą nam zaoferował.

– Ufasz im? – zapytała, a ja skinęłam głową. – Okej.

– Chodźmy obejrzyć twojego ojca.

Trzymanie Adama w łańcuchach po uwolnieniu jego córki nie przyniosłoby nam wiele pożytku, a całe to srebro z pewnością mu nie pomagało. Uniosłam w górę sztylet Zee, ale Jesse chwyciła moją dłoń.

– Mercy? – szepnęła. – Kiedy się obudzi, będzie...

– Dość straszny? – Poklepałam ją po dłoni. Raz czy dwa zdarzyło mi się pomyśleć, że Jesse traktuje wilkołaki raczej jak domowe zwierzątka niż niebezpieczne drapieżniki.

Wyglądało na to, że już ją wyprowadzono z błędu.

Pamiętałam, jak David powiedział, że Adam wpadł w szal na jego widok, tak jak pamiętałam pobojuwisko w salonie siedziby Alfego. Może zasłona została zdarta z oczu dziecka nieco zbyt gwałtownie.

– Czego się spodziewałaś? Pojmali go, a on jest bezsilny – powiedziałam rozsądnie. – Próbuje cię chronić najlepiej, jak

potrafi. Zwalczenie tego, co w niego pompują, wymaga ogromnej siły woli. Nie można oczekiwać, że efekt będzie wyglądać przyjemnie.

Miałam zamiar zabrać się za jeden z łańcuchów, ale przez niepokój Jesse zdałam sobie sprawę, że uwolnienie Adama mnie również napełnia obawą. To nie wróżyło niczego dobrego, nie jeśli miałam pomóc mu dojść do siebie. Mój strach może w nim obudzić instynkt drapieżnika.

Śmiało przycisnęłam sztylet do jednej z obręczy. Musiałam uważać, bo kajdany były ciaśniejsze od tych, które założono Jesse. Nie miałam dość miejsca, by swobodnie wsunąć ostrze pod metal, a nie chciałam zranić Adama – doskonale pamiętałam reakcję Samuela na drobne skaleczenie. Pozwoliłam, by sztylet luźno spoczywał na metalu, aby w razie czego szybko go odciągnąć.

Z początku sądziłam, że to ciepło moich dłoni ogrzewa rękojeść broni. Kiedy jednak przecięłam pierwszą obręcz, sztylet zrobił się tak gorący, że musiałam go upuścić. Dłoń Adama ześliznęła się na jego kolana.

Przecięcie pozostałych kajdan i łańcuchów zajęło mi niespełna godzinę. Za każdym razem nóż rozgrzewał się coraz szybciej i stygł coraz wolniej. Zanim ściągnęłam z Adama ostatni łańcuch, na linoleum pojawiło się kilka wypalonych śladów, a na moich dłoniach pęcherze.

Jesse pomogła mi przenieść wszystkie łańcuchy łóżko. Musiałyśmy uważać, by nie ciągnąć ich po podłodze, ponieważ odgłos metalu szurającego o twardą powierzchnię mógł kogoś zaalarmować.

Właśnie przeniosłyśmy ostatni łańcuch, kiedy usłyszałam kroki. Odrzuciłam sztylet, pchnęłam Jesse w kierunku szafy i wyciągnęłam broń. Wycelowałam w znajdujący się na wysokości około metra osiemdziesięciu punkt na drzwiach i znieruchomiałam, czekając, aż drgnie zasuw.

Strażnik pogwizdywał, dzwoniąc kluczami, a ja poprawiłam chwyt. Zamierzałam oddać jeden strzał w klatkę piersiową,

a potem dwa w głowę. Jeśli nawet nie umrze, będzie obezwładniony i wtedy z nim skończę. Wszyscy nas usłyszą, ale nie miałam innego wyboru: brakowało mi czasu, a przede wszystkim chęci, by ponownie krępować więźniów.

Kiedy wciągałam powietrze, usłyszałam męski głos, przytłumiony przez dzielącą nas odległość i drzwi, więc nie zdołałam zrozumieć słów. Ale za drzwiami stał ten wilkołak.

Jeśli musiałam kogoś zabić, byłam szczęśliwa, że padnie na mężczyznę, który skrzywdził Jesse.

– Sprawdzam, co z więźniami – usłyszałam. – Już czas, żeby Hauptman dostał kolejną porcję.

Drugi mężczyzna coś odpowiedział.

– Nie potrzebuję rozkazu, by sprawdzać, która godzina – ciągnął wilkołak. – Hauptman potrzebuje więcej narkotyku. Nie kopnie w kalendarz od niewielkiej ilości srebra. Robię, co każe Wallace.

Wstrzymałam oddech, czując napływającą do pomieszczenia moc. Nie kalibru Adama czy Samuela, niemniej jednak moc.

Odgadłam, że drugi mężczyzna to David Christiansen. Strażnik warknął, ale wyciągnął klucz z zamka i zbiegł ciężko po schodach. Dotarły do mnie odgłosy krótkiej i dość paskudnej kłótni, ale nikt nie wracał na górę. Christiansen przeforsował swój punkt widzenia.

– Zabawne, czyż nie? – powiedziałam do Jesse. Próbując uspokoić oddech.

Jesse leżała zwinięta w kłębek na dnie szafy. Przez chwilę myślałam, że zamierza tam zostać, ale była na to zbyt twarda. Zebrała się w sobie i wstała.

– Co teraz?

Spojrzałam na Adama. Nie ruszył się.

Kiedy przyłożyłam dłoń do jego twarzy, poczułam chłód.

Niedobrze. Z powodu przyspieszonego metabolizmu wilkołaki są zwykle dużo cieplejsze. Zastanawiałam się, ile srebra wpompowano w organizm Adama.

– Muszę w niego wlać trochę kawy – powiedziałam. – I mam

też trochę jedzenia, które powinno pomóc.

Jesse najpierw popatrzyła na ojca, a potem na mnie.

– Okej, tylko jak go zmusimy, żeby wypił tę kawę?

Dobre pytanie. Ściągnęłyśmy go z krzesła i oparłyśmy jego głowę o udo Jesse. Kropla po kropli wlewałyśmy jeszcze gorący płyn do jego ust. Żadna z nas nie potrafiła wymyślić, jak go zmusić do przełykania, ale po kilku kroplach zrobił to sam.

Po trzecim łyku Adam otworzył oczy – miały głęboki, aksamitny kolor nocy. Chwycił leżącą na jego ramieniu dłoń Jesse, ale wzrok utkwiał we mnie.

– Mercy? – wymamrotał. – Coś ty, do diabła, zrobiła z moją francuską paloną kawą?

Przez chwilę myślałam, że niepotrzebnie się martwiłam. Wtedy puścił dłoń córki, mocniej wcisnął głowę między jej uda i wygiął w tył plecy. Jego skóra poszarzała, a na zaciśniętych pięściach pojawiły się żyłki. Wywrócił oczami, tak że widziałam tylko ich białka.

Upuściłam kawę i odciągnęłam Jesse od Adama najszybciej, jak potrafiłam.

– Uderzy się w głowę – krzyknęła dziewczyna. Zaczęła się szamotać, kiedy zdała sobie sprawę, że jej ojciec ma atak apopleksji.

– Jego czaszka się zrośnie, a twoja nie – powiedziałam twardo.

– Jesse, twój ojciec to wilkołak. Nie możesz się do niego zbliżać, kiedy jest w takim stanie. Jednym uderzeniem połamię ci kości. – Szczerze podziękowałam drogiemu Panu, że Adam wypuścił dłoń Jesse, zanim zdążył ją zmiażdżyć.

Jakby obudzona przez te same demony, które wywołały konwulsje, z jego ciała zaczęła promieniować moc – tak jak ze wszystkich innych wilkołaków w pobliżu. Których, o ile David się nie mylił, było dwanaście.

– Umiesz strzelać? – zapytałam Jesse.

– Tak – odparła, nie odrywając oczu od ojca. Włożyłam w jej dłoń SIG-a.

– Wyceluj w drzwi – powiedziałam, przekopując plecak

w poszukiwaniu czterdziestkiczwórki. – Jeśli każę ci strzelać, pociągnij za spust. Pierwsze pociągnięcie będzie trochę sztywne. W magazynku są srebrne kule. Mamy tu sprzymierzeńców, więc nie strzelaj, dopóki ci nie powiem.

Odnalazłam rewolwer. Nie miałam czasu go sprawdzić, ale był załadowany, zanim trafił do plecaka. To musiało wystarczyć. Smith & wesson ważył więcej niż SIG i potrafił wyrządzić znacznie większe szkody.

– Coś nie tak? – szepnęła Jesse. Dotarło do mnie, że jest człowiekiem i nie czuje mocy pieśni Alfy.

Muzyka gwałtownie narastała, zdwajając swoją moc i wypełniając pomieszczenie. Nie potrafiłam już stwierdzić, czy jej źródłem nadal jest Adam. Zanim zasuwa na drzwiach drgnęła, udało mi się dosłyszeć kroki na schodach. Jesse patrzyła na mnie zdezorientowana, ale ja już uniosłam rewolwer i wycelowałam.

– Nie strzelaj – rzuciłam, kiedy otworzyły się drzwi, kładąc dłoń na lufie SIG-a. – To jeden z naszych.

Stojący w drzwiach mężczyzna miał czekoladową karnację, piwne oczy i zieloną koszulkę z napisem Smoki zabiły dinozaury. To koszulka mi podpowiedziała, że należał do zespołu Chris – tiansena. Nieznajomy nie ruszał się, chcąc nas utwierdzić w przekonaniu, że jest po naszej stronie.

– Shawn – powiedział w końcu krótko, a potem dostrzegł Adama. – O cholera... – jęknął. Wszedł do pokoju i cicho zamknął drzwi. – Co się dzieje? – Skupił uwagę na Adamie, który leżał na plecach, wykonując rękami i nogami dziwaczny, szarpany rodzaj tańca.

– Myślę, że się przemienia – odpowiedziała Jesse.

– Konwulsje – oznajmiłam. – Nie jestem lekarzem, ale sądzę, że do jego układu nerwowego wniknęło zbyt dużo srebra i uszkodziło coś ważnego.

– Wyjdzie z tego? – zapytała dziewczyna drżącym głosem.

– Jest twardy – wyminęłam jej pytanie, mając nadzieję, że tego nie zauważy. Ile srebra trzeba, żeby zabić wilkołaka? Wszystko zależało od jego mocy, ale niektóre wilkołaki po prostu gorzej

reagowały na srebro niż inne.

– Właśnie zmieniałem się z Hamiltonem, kiedy kapitan wszczął kłótnię z Connorem i kazał mi tu przywlec tyłek – powiedział Shawn. – Nie uszedłem trzech kroków, kiedy nagle wszystkie wilkołaki otoczyły kapitana. Chyba przywołało je coś związanego z tym atakiem.

– Nie wiem, jak Christiansen to robi, ale w jakiś sposób ściąga na siebie moc Adama. Pewnie wszyscy pomyślą, że to on jest sprawcą całego zamieszania – wyjaśniłam najlepiej, jak potrafiłam.

– Z powodu kłótni – powiedział z błyskiem zrozumienia w oku. Straciłam zainteresowanie problemami Christiansena, ponieważ Adam wreszcie się uspokoił. Jesse chciała do niego.

– Stój. – Korzystając z okazji, odebrałam jej pistolet, żeby kogoś przypadkiem nie postrzeliła. – Muszę się upewnić, czy już mu przeszło.

– Nie umarł? – zapytała.

– Nie. Słyszę jego oddech. – Słaby i płytki, ale miarowy, dodałam w myślach.

Spakowałam smith & wessona do plecaka i włożyłam SIG-a do kabury. David musiał sobie teraz radzić z całym stadem wilków, dzięki czemu byliśmy bezpieczni. Nie mieliśmy jednak czasu do stracenia, bo sytuacja mogła ulec zmianie w każdej chwili.

Adam się nie ruszał, ale oddychał coraz głębiej. Zaczęłam zapewniać Jesse, że wszystko z nim w porządku, kiedy jego ciałem wstrząsnął spazm. Zwinął się w kłębek, wydając niski pomruk.



Rozdział 15

A teraz się przemienia? – zapytała Jesse.
– Miejmy nadzieję, że nie – odparł Shawn. – Nie chcemy, żeby przybrał postać wilka, dopóki nie wydali z organizmu narkotyku.

Rozmawiałem z ludźmi, którzy byli w twoim domu i widzieli, jak się zachowywał, kiedy zerwał kajdany. Wtedy też miał wstrzyknięte to świństwo.

– Przestań ją straszyć – warknęłam. – Nic mu nie będzie. Poza tym nie sądzę, by się przemieniał. – Pomocy wilka, która jeszcze niedawno wypełniała pomieszczenie, nie pozostał najmniejszy ślad. Nie miałam pojęcia, co się dzieje z Adamem.

Jego brudna, podarta i poplamiona krwią koszula wyglądała raczej na szarą niż białą. Adam oblał się potem i materiał przylgnął do jego ciała, ukazując zarys napiętych mięśni ramion i pleców. Mogłam nawet dostrzec pojedyncze kręgi kręgosłupa. Drżał, a koszula lekko migotała w zimnym świetle. Nie potrafiłam stwierdzić, czy jest przytomny.

Ostrożnie ruszyłam w jego stronę.

– Adamie – powiedziałam głośno. Leżał zwrócony do mnie plecami, a niemądrze jest zachodzić wilkołaka od tyłu. – Wszystko w porządku?

Nie odpowiedział, co mnie raczej nie zaskoczyło. Przykucnęłam i dotknęłam mokrej koszuli. Nagle chwycił mnie za nadgarstek – nawet nie zauważyłam, kiedy zdążył się przewrócić na plecy. Oczy miał żółte, ale uścisk słaby.

– Jesteś bezpieczny – powiedziałam, próbując się uspokoić. – Jest tu też Jesse. Nic wam nie grozi. Doprowadzimy cię do odpowiedniego stanu, a potem stąd uciekniemy.

– To przez srebro – zauważył przerażony Shaw. – To dlatego koszula robi się szara. Ku... To znaczy cholera. On się poci srebrem. Cholera!

Adam nie spuszczał ze mnie wzroku, choć wzdrygnął się lekko na dźwięk głosu Shawna, Patrzył mi prosto w oczy swoimi – złocistymi, w jakiś dziwny sposób jednocześnie gorejącymi i lodowatymi. Doświadczenie podpowiadało mi, bym odwróciła głowę, ale nie wyglądało to na walkę o dominację. Czułam, że dzięki moim oczom mógł się wreszcie wyrwać z miejsca, w które zaprowadził go narkotyk.

Próbowałam nie mrugnąć, by nie zerwać połączenia.

– Mercy? – wychrypiał szeptem.

– C'est moi, c'est moi, to ja – odpowiedziałam. Miałam wrażenie, że zabrzmiało to wystarczająco melodramatycznie, choć nie wiedziałam, czy Adam wychwyci nawiązanie.

Niepotrzebnie się martwiłam, bo wybuchnął śmiechem.

– Podejrzewałbym cię raczej o cytowanie Lancelota niż Ginewry.

– Oboje byli siebie warci. Dlaczego Artur nie pozwolił im wziąć ślubu? Powinien był odejść i żyć szczęśliwie w samotności. W Camelot podoba mi się wyłącznie muzyka. – Zanuciłam kawałek.

Gadka-szmatka podziałała. Adam oddychał głęboko i miarowo, a jego puls się uspokajał. Kiedy kolor jego oczu wróci do normy, skończą się nasze kłopoty. Oczywiście nie licząc mało istotnej kwestii magazynu pełnego wrogów. Zawsze powtarzam: rozwiąż co najwyżej jeden problem naraz.

Adam zamknął wciąż żółte oczy i poczułam się jakbym została

porzucona. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że nadal trzyma mnie za rękę, jak gdyby się obawiał, że odejdę, gdy tylko ją puści.

– Głowa mnie boli jak sto diabłów i czuję się mniej więcej tak, jakby przejechał po mnie walec. Czy Jesse nic się nie stało?

– Ze mną wszystko w porządku, tato – powiedziała dziewczyna. Usłuchała, kiedy gestem rozkazałam, by nie podchodziła. Może i mówił spokojnie, ale bijący od niego zapach i sposób, w jaki ścisnął mój nadgarstek, nie do końca pozwalały mi dawać wiarę jego samokontroli.

– Posiniaczona i przerażona, ale poza tym nic jej nie jest. –

Zdałam sobie sprawę, że właściwie tego nie wiem, i zerknęłam zmartwiona na Jesse.

Uśmiechnęła się w imitacji swojego zwykłego wyrazu twarzy.

– Wszystko w porządku – powtórzyła, tym razem do mnie. Adam odetchnął z ulgą.

– Opowiedz, co tu się stało – poprosił. Przedstawiłam mu skróconą wersję wydarzeń, co i tak zajęło sporo czasu. Z wyjątkiem momentu, kiedy mówiłam o wtargnięciu Davida do mojego domu, miał zamknięte oczy, jak gdyby otwieranie ich sprawiało mu ból.

Zanim skończyłam, zaczął się niespokojnie wiercić.

– Cierpnie mi skóra – powiedział. – To srebro.

Powinnam była wcześniej o tym pomyśleć. Potarłam jego koszulę i pokazałam mu szary ślad metalu na pakach.

– Słyszałam, że można wypocić kule, ale nie sądziłam, że można srebro. – Kiedy pomagałam Adamowi ściągnąć koszulę, uświadomiłam sobie, że nie powinien biegać po magazynie nagi, kiedy jest z nim Jesse. – Pewnie nie masz dodatkowego kompletu ubrań, Shawn? To srebro wypali mu skórę.

– Dałbym mu swoją koszulkę, ale nie mogę stąd wyjść, żeby przynieść ubrania. Jestem na warcie.

Westchnęłam.

– Niech weźmie moje spodnie od dresu. – Koszulka, którą miałam na sobie, sięgała do połowy ud.

Rozebraliśmy Adama najszybciej, jak potrafiliśmy, ścierając z jego skóry większość srebra, a potem pomogliśmy mu włożyć spodnie i zieloną koszulkę Shawna. Kiedy skończyliśmy, Adam drżał.

Zawartość kubka rozlała się po podłodze, kiedy go upuściłam, ale zarówno kubek, jak i termos ocalały. Kazałam Jesse wlewać w ojca gorącą kawę tak szybko, jak był w stanie pić.

Skupiona na zadaniu dziewczyna na chwilę zapomniała o troskach. Kiedy skończyła się kawa, bez mrugnięcia okiem nakarmiła go surowym rostbefem z plastikowej torebki.

Ogarniały mnie złe przeczucia, ponieważ Adam zachowywał się wyjątkowo biernie, a nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Samuel powiedział, że organizm poddany długotrwałemu działaniu srebra z czasem traci odporność.

Pomyślałam o bólu głowy i ataku apopleksji, mając nadzieję, że wilczy obłąd wystarczy, by Adam doszedł do siebie.

– Gerry niezbyt się o niego troszczy jak na kogoś, kto chce, żeby Adam walczył z tym waszym szefem wilkołaków – zauważył Shawn, wyraźnie zamyślony.

Właśnie miałam mu posłać dość nieprzyjemne spojrzenie, kiedy usłyszałam skrzypienie zawiasów.

– Cześć, Morris – powiedział nieznajomy. – Szef chce cię zobaczyć i... – Urwał, kiedy jego wzrok napotkał Adama i Jesse. Sięgnął po broń.

Gdybym była sama, wszyscy skończylibyśmy w trumnach. Nawet nie pomyślałam, żeby wyciągnąć pistolet. Gapiłam się zszokowana na intruza, uświadamiając sobie poniewczasie, że Shawn zapomniał zaryglować drzwi. Padły trzy strzały. Na wysokości serca nieznajomego wykwitła czerwona trójkątna plama. Shawn strzelał z wyposażonej w tłumik broni o niewielkim kalibrze, nie robiąc przy tym więcej hałasu niż ktoś otwierający puszkę z napojem gazowanym.

Ranny mężczyzna osunął się na kolana i padł na twarz. W końcu sięgnęłam po SIG-a.

– Czekaj – rzucił Adam i spojrzał na Jesse. – Powiedziałaś, że nic

ci nie jest – czy to prawda?

Jesse bez zawahania kiwnęła głową.

– Tylko siniaki.

– W porządku. Mercy, postarajmy się pozostawić przy życiu tyłu, ile to możliwe. Martwi z reguły milczą, a ja chcę wiedzieć, o co tutaj chodzi. Znikniemy stąd, zanim ten wilk zacznie się ruszać. Zostaw go.

– On żyje? – zapytał Shawn. – Kapitan mówi, że można zabić wilkołaki ołowiem.

Nie mając zwykle do czynienia z wilkołakami, ludzie Dawida nie używali srebrnej amunicji, a mój zapas był dość ograniczony. Po pierwsze, srebro kosztuje, po drugie, nie mam w zwyczaju polować na wilkołaki. Tylko Connor używał broni o takim samym kalibrze jak mój SIG. Wcześniej dałam mu pół tuzina naboju.

– Musisz mierzyć w kręgosłup, jeśli chcesz zabić wilkołaka za pomocą ołowiu – wytłumaczyłam. – A nawet wtedy... – wzdrygnęłam się. – Rany po srebrnych pociskach nie zamykają się tak szybko, więc istnieje szansa, że wilkołak umrze z upływu krwi.

– Cholera – mruknął Shawn, zerkając na krwawiącego wilkołaka. Wyciągnął telefon i nacisnął kilka klawiszy. – Dałam sygnał, że ruszamy – powiedział i wepchnął komórkę do kieszeni. – Musimy uciekać. Przy odrobinie szczęścia pozostali pomyślą, że ktoś ćwiczy na strzelnicy. Ale w końcu zatęsknią za Smittym, a kiedy to nastąpi, nie może nas tu być.

Schowałam SIG-a i wyciągnęłam rewolwer. Nie miałam drugiej kabury, więc musiałam go nieść. Za stanik wepchnęłam zapasowy magazynek do pistoletu – lepsze miejsce nie przychodziło mi do głowy.

Wciągnęliśmy rannego wilkołaka do pokoju, a następnie Shawn i Jesse pomogli Adamowi wstać;

Shawn, ponieważ był z nas wszystkich najsilniejszy, i Jesse, ponieważ ja potrafiłam strzelać. Wyszłam pierwsza.

Biura zajmowały mniej więcej połowę szerokości budynku.

Pode mną znajdował się pas cementu wystarczająco szeroki, aby mogły po nim przejechać obok siebie dwie ciężarówki. Wychyliłam się przez poręcz, chcąc sprawdzić, jak wygląda sytuacja pod schodami. W pobliżu nikogo nie widziałam, ale większą część magazynu zasłaniały gigantyczne stopy skrzyń.

Gdy już wszyscy opuścili pomieszczenie, zbiegłam piętro niżej, by zabezpieczać schodzących. Plan Shawna zakładał, że zaprowadzimy Adama do samochodów. Jeden z ludzi Gerry'ego jeździł ciężarówką marki Chevrolet, którą, jak twierdził Shawn, można było odpalić za pomocą kabli szybciej niż przy użyciu kluczyka.

Uspokoilałam oddech, próbując coś usłyszeć. Nie licząc odgłosu kroków moich towarzyszy i dzwonienia w uszach, które mogłoby zagłuszyć przemarsz wojska, w magazynie panowała cisza.

Nieopodal znajdowała się podnoszona brama, pod którą bez problemu przejechałby samochód dostawczy. Shawn twierdził, że zamykano ją od zewnątrz na kłódkę. Getry roztrzaskał mechanizm otwierający, kiedy postanowił zamknąć Jesse i Adama w jednym z biur, by kontrolować, kto ma do nich dostęp. Musieliśmy przejść przez cały magazyn do mniejszych drzwi, które jako jedyne pozostawiano otwarte.

Czekałam u podstawy schodów. Próbowałam wejrzeć w głąb magazynu poprzez labirynt skrzyń w którym mógł się ukrywać cały tuzin wilkołaków, a ł tak zostałoby jeszcze sporo niewykorzystanych kryjówek. Myślałam o tym, co powiedział Shawn. Miał rację. Skoro Gerry chciał zabić Brana, to potrzebował Adama w znacznie lepszej kondycji.

W obecnej Adam zostałby unicestwiony w ułamku sekundy. Ale, jak twierdził Samuel, Gerry miał łeb na karku. Zatem być może właśnie takiego rezultatu oczekiwał.

Mnóstwo rzeczy nie miało sensu, jeśli założyć, że Gerry nie był głupi – a Samuel z reguły trafnie oceniał charaktery. Według Davida rozlew krwi w domu Adama miał umożliwić Gerry'emu pozbycie się konkurencji – ale z drugiej strony musiał zwrócić

uwagę Marroka. Nawet gdybym nie pojechała do Aspen Creek, Bran i tak o wszystkim by się dowiedział. Napad na dom Alfy nie jest wydarzeniem, które łatwo zachować w tajemnicy. No i dochodziły do tego pieniądze przelane na konto wampirów. Może i pierwsza wpadłam na ten trop, ale gdyby Bran zaczął węszyć, z pewnością też by to odkrył.

Gdybym to ja usiłowała kogoś nakłonić do rzucenia Branowi wyzwania, nie porywałabym córki mojego kandydata na Marroka. Po co na wstępie wzbudzać niepotrzebną nienawiść? Gdybym zamierzała podstępными metodami doprowadzić do konfrontacji i nie miała pewności, czy mój kandydat wyjdzie z niej zwycięsko, dopilnowałabym, by wszystkie ślady zostały zatarte. Zależałoby mi, aby Bran o niczym się nie dowiedział – a Bran nie bez kozery słyszał z tego, że wie o wszystkim.

Co zatem zrobił Geny? Wywiesił billboard o treści: Spójrzcie na mnie. Skoro nie był głupi, zrobił to celowo. Jaki to był cel?

– Mercy? – Shawn gwałtownie przywołał mnie do rzeczywistości. Zszedł już z Adamem ze schodów, a ja stałam im na drodze.

– Przepraszam – odpowiedziałam szeptem. Uniosłam broń i ruszyłam do przodu, uważnie się rozglądając. Szliśmy powoli. Jesse była zbyt niska, by wraz z mierzącym prawie metr osiemdziesiąt Shawnem służyć utykającemu Adamowi za pewne oparcie.

Nagle coś usłyszałam. Zatrzymałam się, ale wokół panowała cisza i pomyślałam, że pewnie nadal dzwoni mi w uszach. Nie zrobiłam trzech kroków, kiedy poczułam na skórze moc wilkołaków jak podmuch ciepłego wiatru.

– Stado już tu jest – powiedział Adam.

Nigdy wcześniej nie wyczuwałam w taki sposób jego wilków, choć, z drugiej strony, po raz pierwszy byłam świadkiem sytuacji, w której wszystkie zgromadziły się w jednym celu.

A może czułam je tak intensywnie, ponieważ stałam blisko ich Alfy?

Adam zamknął oczy, głęboko oddychając. Prawie widziałam,

jak wlewa się w niego moc. Wyprostował się o własnych siłach.

Jesse też go obserwowała. Tylko Shawn nie stracił koncentracji i to właśnie dzięki jego rozszerzonym oczom zaczęłam się obracać.

Gdybym to ja stanowiła cel ataku, już bym nie żyła. Wilkołak przemknął obok mnie jak kula armatnia, powalając mnie na skrzynie. Smith & Wesson poszybował w powietrze, ale nie wystrzelił, kiedy uderzył o ziemię. Usłyszałam trzask kości przedramienia i zalała mnie fala bólu. Upadając, zdążyłam jeszcze dostrzec twarz Adama. Ułamek sekundy później napastnik skoczył w jego kierunku.

Jesse wrzasnęła. Shawn wystrzelał cały magazynek w szarobrazowego wilka, ale nawet go nie spowolnił. Wyciągnął nóż o paskudnie powykręcany ostrzu i w tej samej chwili oberwał jednym z tych błyskawicznych kocich uderzeń, do których żaden psowaty nie powinien być zdolny. Wpadł na skrzynię i zwałił się na ziemię.

Zdołałam wstać i zacisnęłam lewą dłoń na rękojeści sztyletu Zee. Nie wiem, dlaczego nie chwyciłam SIG-a. Może jeszcze się nie otrząsnęłam po niespodziewanym ataku. Nie licząc tego tygodnia, zwykle kontroluję przemoc w moim życiu i nie wychodzę z nią poza dojo.

Coś mignęło mi przed oczami. Kolejny wilkołak. W pierwszej sekundzie pomyślałam, że właśnie opuściło nas szczęście. W drugiej szczęście w postaci rudego wilka chwyciło szarobrazowego za kark i cisnęło nim o stelaż.

Adam krwawił. Chciałam mu pomóc, ale zanim do niego podeszłam, rany zdążyły się zamknąć w napływie mocy, która pachniała stadem. Wstał, wyglądając lepiej niż kiedykolwiek od czasu poniedziałkowej nocy.

W końcu sobie przypomniałam, że mam jeszcze jeden pistolet. Odrzuciłam sztylet, wyciągnęłam SIG-a i czekałam, aż dwa wilkołaki rozdzielią się na tyle, bym mogła bezpiecznie oddać strzał. Rudy wilk był szczuplejszy od większości znanych mi wilkołaków, jakby wyhodowano go raczej do biegania niż

walki.

– Nie chcę ich zabijać, jeśli nie jest to konieczne – powiedział Adam, chociaż nie próbował odebrać mi broni.

– Ten musi zginąć. – Do moich nozdrzy docierał zapach strażnika, który uderzył Jesse.

Było już za późno, żeby mnie powstrzymać. Szarobrązowy wilk zwyciężył w zapaśniczym pojedynku i powalił rudego na ziemię. Pociągnęłam za spust trzy razy. SIG to nie czterdziestkaczwórka, ale nawet 9 milimetrów robi swoje, kiedy trafia w tył głowy z odległości mniejszej niż pięć metrów.

Adam coś mówił. Poruszał ustami, ale ja słyszałam jedynie huczenie, jakbym stała na krawędzi skały, o którą rozbijają się fale. Jedną z ujemnych stron dobrego słuchu jest posiadanie wrażliwych uszu – coś, czym wilki z ich zdolnościami regeneracji nie muszą się zbytnio przejmować.

Adam musiał się zorientować, że go nie słyszę, bo położył rękę na pistolecie. Uniósł w górę brew, zadając pytanie.

Spojrzałam na podziurawionego wilkołaka, a następnie na Jesse. Podążył za moim wzrokiem i jego twarz stężała. Posłusznie podałam mu SIG-a.

Dumnym krokiem, bez śladu wcześniejszej niemocy, podszedł do ciała. Jedną ręką ściągnął je z rudego wilka, który przeturlał się na nogi i stanął oszołomiony z pochyloną głową. Adam chwycił go za pysk, by przyjrzeć się ranom.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany zwrócił się w stronę pokonanego. Strzelał tak długo, aż grot iglicy trafiał już tylko w powietrze.

Pstryknął palcami. Rudy wilk potrząsnął całym ciałem, jak gdyby otrzępywał się po wyjściu z wody, i jak dobrze wyszkolony pies usiadł u stóp swojego Alfego. Jesse podała mi sztylet. Shawn powoli wstał, przeładował pistolet i chwycił mnie za połamaną rękę.

Musiałam krzyknąć. Pamiętam, że kiedy otworzyłam oczy, klęczałam z nisko pochyloną głową i czyjaś ciepłą dłonią na karku. Otoczył mnie głęboki, egzotyczny zapach Adama,

pomagając mi uspokoić żołądek, który chciał się wydostać przez gardło. Nie sądzę, bym całkowicie straciła przytomność, ale niewiele brakowało.

Kiedy podniosłam głowę, rudy wilk musnął moją twarz nosem i przejechał po niej długim jęzorem. Adam potarł go po głowie, a następnie pomógł mi wstać.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, kiedy sięgnęłam do stanika po zapasowy magazynek. Chyba dobrze się stało, że nie słyszałam jeszcze na tyle wyraźnie, by zrozumieć, co mówi. Załadował SIG-a, włożył go do mojej kabury i podał mi rewolwer. Zerknął na Shawna, który machnięciem ręki rozwiał jego obawy.

Rudy wilk u boku dawał znacznie większe poczucie bezpieczeństwa niż naładowana broń w ręce. I nie chodzi o skuteczność zabijania, ale o sam fakt jego obecności, który oznaczał, że stado jest blisko. Musieliśmy tylko do niego dołączyć.

Zerknęłam na Adama. Wyglądał na całkowicie zdrowego, jak gdyby nigdy nie odniósł obrażeń. Słyszałam, że Alfa potrafi czerpać siłę ze stada, ale nie miałam pojęcia, dlaczego stało się to dopiero teraz, a nie w domu Warrena.

Shawn i rudy wilk pierwsi przeszli przez drzwi. Adam przytrzymał je dla mnie i Jesse, a następnie wkroczył na zastawione samochodami podwórze, jakby wchodził do własnego salonu.

Z początku nikogo nie widziałam, ale po chwili zza samochodu wyłonił się cień, a zaraz potem kolejny i jeszcze jeden. Stado w milczeniu otaczało Alfę. Większość wilkołaków przybrała już zwierzęcą postać, tylko Warren i Darryl podeszli do nas na dwóch nogach. Obaj byli uzbrojeni i mieli na sobie ciemne ubrania.

Warren spojrzął na wilka, który nas uratował, i uniósł brew, ale nie przerwał ciszy. Dokładnie obejrzał Adama, a następnie dotknął opuchniętego policzka Jesse.

– Warren – przemówił Adam ściszym głosem. – Zabierz moją córkę i Mercy w bezpieczne miejsce.

W innych okolicznościach pewnie bym zaprotestowała. W końcu kto kogo uratował? Tylko że moja ręka pulsowała ostrym bólem, a poza tym wyrobiłam już dzienną normę, jeśli chodzi o zabijanie. Przynajmniej przestało dzwonić mi w uszach. Niech Adam i jego ludzie sami doprowadzą sprawę do końca – ja byłam gotowa wrócić do domu.

– Nie chcę cię zostawiać – wyjąkała Jesse, czepiając się kurczowo koszulki ojca.

– Wezmę ją do siebie. Możesz ją odebrać w drodze do domu – powiedział Warren. Uśmiechnął się do Jesse, by dodać jej odwagi.
– Zostanę z tobą, dopóki twój tato nie wróci. Ze mną będziesz bezpieczna.

– W porządku – energicznie skinęła głową. Chyba nagle pojęła, że jej ojciec nie chce, by była w pobliżu, kiedy będzie się rozprawiał z porywaczami.

– Tylko że nie mam tutaj samochodu – powiedział Warren. – Zatrzymaliśmy się jakieś pięć kilometrów stąd i dotarliśmy na plantację pieszko.

– Shawn? – usiłowałam mówić tak cicho jak pozostali. – Powiedziałaś, że jest tu gdzieś stara ciężarówka, którą łatwo odpalić za pomocą kabli. Gdybyś mi powiedział, gdzie stoi, mogłabym ją uruchomić.

– Po przeciwległej stronie budynku, z dala od wszystkich samochodów.

Ruszyłam sama, lecz wkrótce Warren i Jesse deptali mi po piętach. Po drugiej stronie magazynu zaparkowano tylko jeden samochód. W centrum bladego światła lamp stał Chevrolet rocznik 69, pomalowany ciemnym, metalicznym lakierem. Ktoś nie będzie szczęśliwy, kiedy zobaczy, że zniknęła jego zabawka – o ile ten ktoś przeżyje gniew Adama.

Ale to już nie mój problem. Mój problem stanowiło uruchomienie samochodu. Trzymałam złamaną rękę sztywno przyciśniętą do boku, ale coraz mniej to pomagało. Ból narastał, przyprawiając mnie o zawroty głowy.

– Wiesz, jak uruchomić samochód bez kluczyków? –

zapytałam Warren, pełna nadziei, kiedy podeszliśmy do ciężarówki.

– Obawiam się, że nie.

– A ty, Jesse?

Spojrzała w górę.

– Co?

– Czy wiesz, jak uruchomić samochód bez kluczyków? – zapytałam ponownie, a ona potrząsnęła przecząco głową. Pachniała strachem i przypomniałam sobie, jak przed chwilą kurczowo przyłgnęła do Adama.

– Ten strażnik – powiedziałam.

Przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, a potem oblała się rumieńcem i zgarbiła.

– Już nigdy więcej nie wyrządzi nikomu krzywdy.

– To ten wilk, który zginął? – Nie potrafiłam odgadnąć, co znaczy wyraz jej twarzy. – Dlatego go zabiłaś? –

Spochmurniała. – To dlatego tata tak do niego strzelał. Skąd wiedział? Przecież nic mu nie powiedziałaś.

– Nie musiałam. – Próbowałam jej wyjaśnić, że chodziło o moment doskonałego zrozumienia, kiedy jeden gest powiedział Adamowi wszystko, co musiał wiedzieć. – Przypuszczam, że wyczytał to z mojej twarzy – dodałam na koniec. Wręczyłam Warrenowi czterdziestkęczwórke, aby zająć się ciężarówką w miarę moich obecnie dość ograniczonych sił.

Uruchamianie samochodu za pomocą kabli zajęło mi zdecydowanie więcej czasu, niż trwałoby włożenie kluczyka do stacyjki. Musiałam przyjąć dość niewygodną pozycję, żeby zdjąć obudowę kolumny kierownicy, przez co raz po raz uderzałam w coś złamaną ręką. Jednak silnik w końcu zaryczał – coś dużego, z pewnością nieoryginalnego zadudniło pod maską – i zdałam sobie sprawę, że mój słuch wrócił już do normy.

– Nie wiedziałam, że przeklinasz – Jesse spojrzała na mnie karcąco, nieco bardziej rozluźniona. – Przynajmniej nie tak.

– Słowa mocy, bez których cały świat mechaniki ległoby w gruzach – wytłumaczył Warren lekceważącym tonem głosu.

Podtrzymawał mnie delikatnie, kiedy wychodziłam z kabiny, po czym oddał mi rewolwer. Widząc, jak niezdarnie się z nim obchodzę, pomógł mi zablokować kurek. Otworzył drzwiczki po stronie pasażera i podsadził Jesse, a następnie wyciągnął do mnie rękę. Zrobiłam krok w jego stronę i wtedy coś zwróciło moją uwagę.

Ponieważ zmęczenie przytępiało moje zmysły, w pierwszej chwili pomyślałam, że to jakiś dźwięk. Zorientowałam się jednak, że była to magia – i to nie wilka ani nieczłowieka.

Przypomniałam sobie o Elizawiecie.

Samuel o niej wiedział, sama mu powiedziałam. Ale nie mogłam teraz tak po prostu odjechać. Żaden z wilkołaków nie potrafił wyczuć tego rodzaju magii, przynajmniej nie do momentu, kiedy było już za późno. Nie miałam pewności, czy Samuel zdawał sobie sprawę, jaką wagę miała dla Adama informacja, że stara wiedźma współpracuje z Gerrym. Elizawieta Arkadiwna Wyszniwiewskaja nie była zwyczajną czarownicą. Była najpotężniejszą czarownicą w północnozachodnich Stanach.

Musiałam ostrzec Adama.

– Zabierz ją do domu – rzuciłam do Warrena. – Nakarm, każ pić litry soku pomarańczowego i przykryj kocem. Ja zostaję.

– Dlaczego?

– Bo jeśli Bran ogłosi światu, że wilkołaki istnieją, czarownica Adama straci źródło utrzymania.

– Elizawieta?

Usłyszałam wystrzał, a po chwili drugi i trzeci.

– Zabierz stąd Jesse. Muszę ostrzec Adama. Elizawieta tu jest i pracuje nad jakimś urokiem.

Warren rzucił mi ponure spojrzenie. – Jak mam zgasić silnik?

Boże, błogosław mu, nie zamierzał się kłócić.

– Po prostu rozłącz kable.

Kolejne cztery strzały. Odgłosy dochodziły z okolic budynku mieszkalnego.

– Bądź ostrożny.

Warren delikatnie objął moje obolałe ciało i pocałował mnie

w czoło, po czym wskoczył do kabiny. Patrzyłam, jak wycofuje, włącza światła i odjeżdża. Jesse była bezpieczna.

Odkąd pamiętam, potrafiłam wyczuć magię – czy to wilkołaków, czarownic, czy nie ludzi. Wiem, że nie jest to normalne. Kiedy powiedziałam o tym Charlesowi, kazał mi trzymać gębę na kłódkę. Po niedawnych doświadczeniach z wampirami zrozumiałam, że istniało po temu więcej powodów, niż wcześniej sądziłam.

Stefan twierdził, że nie działa na mnie magia wampirów, ale głupotą byłoby z góry zakładać, że to samo dotyczy magii czarownic. Nie miałam pojęcia, co zrobię z Elizawietą, kiedy już ją znajdę. Najpierw jednak musiałam ją znaleźć. Jak już wspominałam – co najwyżej jeden problem naraz.

Moc uroku pulsowała na mojej skórze jak podmuchy ciepłego wiatru. Zaczęłam się powoli obracać, by wyczuć odpowiedni kierunek. Zrobiłam dwa kroki do przodu... i po magii nie pozostał ślad. Tylko jedno wiedziałam na pewno – Elizawietą była gdzieś w pobliżu, gdzieś przede mną. Najlepsze, co mogłam zrobić, to odnaleźć i ostrzec Adama, więc ruszyłam w stronę magazynu.

Sytuacja uległa zmianie, odkąd się oddaliłam. Adam, wciąż z rudym wilkiem u stóp, miał ze sobą tylko kilku członków stada. Shawn, wnukowie Davida i jacyś inni, nieznani mi ludzie trzymali na muszce mężczyzn, którzy leżeli na ziemi z szeroko rozpostartymi rękami.

Darryl i David właśnie przyprowadzili kolejnego więźnia. Silnym uderzeniem powalili go na ziemię obok pozostałych.

– To wszyscy z ludzi, sierżancie – powiedział David. – Paru martwych zostało w domu. Wilki się rozproszyły. Nie zdołałem wywęszyć Gerry'ego w miejscu, gdzie go po raz ostatni widziałem. Jego zapach po prostu zanika.

Chrząknęłam.

Adam odwrócił się w tej samej chwili, kiedy na dźwięk strzału rudy wilk wyskoczył w powietrze. Sądząc po donośności odgłosu, strzelano z broni o małym kalibrze.

– Na ziemię! – warknął David. Jego ludzie przykucnęli, nadal

celując w więźniów.

Rudy wilk nie posłuchał polecenia od razu. Upadł dopiero po chwili, ale nie z powodu komendy – w jego ciele tkwiła strzałka.

Adam stał spokojnie. Zamknął oczy i podniósł głowę.

Zastanawiałam się, co robi, i w końcu sobie uświadomiłam, że światło na jego twarzy pochodziło od księżyca, który wznosił się nad nami prawie dokładnie w półpełni. Darryl z głową przy ziemi podbiegł do powalonego wilka i energicznym ruchem wyrwał strzałkę.

– Benowi nic nie jest – powiedział, unosząc broń i badając wzrokiem otaczającą nas ciemność.

To Ben był rudym wilkiem. Uratował nas Ben, psychiczny zabójca z Londynu. Adama uratował dwa razy. Kolejny strzał. Adam poruszył ręką i strzałka spadła na ziemię, tocząc się niegroźnie obok jego stóp. Nadal miał zamknięte oczy.

– Sierzancie, Mercy! – krzyknął David. – Na ziemię!

Uświadomiłam sobie, że wciąż stoję, pochylona w stronę Alfy, którego przyzywał księżyc. Może i bym posłuchała, ale Adam odrzucił w ty! głowę i zawył, wydobywając z ludzkiego gardła pieśń wilka.

Przez moment pełen grozy dźwięk narastał i odbijał się echem, by w końcu zamrzeć w ciszy, ale nie w ciszy pustej – raczej pełnej napięcia, które poprzedza rozpoczęcie polowania. Kiedy Adam zawył ponownie, odpowiedział mu każdy wilk w zasięgu słuchu.

W moim gardle również budziła się pieśń, ale tak jak moi dzicy bracia wiedziałam, że lepiej nie śpiewać między wilkami.

Kiedy Adam zawył po raz trzeci, David i Darryl odrzucili broń. Zew niósł się pośród drzew, zmuszając wilkołaki do przemiany. Słyszałam pełne bólu krzyki tych, którzy z nią walczyli, i jęki tych, którzy się nie opierali.

Światło księżyca nagle wydało się jakby jaśniejsze niż jeszcze kilka chwil wcześniej. Adam otworzył oczy i wpatrzony w tarczę księżyca, powiedział:

– Przyjdźcie.

Nie mówił głośno, ale jakimś sposobem jego słowa, jak wcześniej pieśń, rozbrzmiały na opuszczonej plantacji hukiem pioruna, potężnego i nieuniknionego. I wilki przysły.

Przychodziły pojedynczo lub w parach. Niektóre tanecznym krokiem, inne powłócząc łapami i z podkulonymi ogonami. Niektóre jeszcze nie zakończyły przemiany, a ich ciała wyginały się w nienaturalnych pozach.

Drzwi magazynu huknęły o ścianę. Chwiejnym krokiem, z jedną ręką kurczowo przyciśniętą do piersi, wyszedł z nich mężczyzna – strażnik, do którego strzelał Shawn. Zbyt osłabiony, by zmienić postać, i tak poddał się sile wezwania Alfy.

Na które ja również nie pozostałam obojętna. Nie patrząc pod nogi, postąpiłam krok do przodu i potknęłam się o pręt. Złapałam równowagę, ale w ręce eksplodował ból – i rozjaśnił mi w głowie jak dawka amoniaku. Kiedy wierzchem dłoni otarłam wilgotne oczy, poczułam wyraźną falę czarów.

Nie zważając na magię wilków i obolałą rękę, zaczęłam biec, ponieważ w nocnym, gęstym od mocy powietrzu wyczułam czar, który przywoływał śmierć. Czar ten nosił imię Adama.

Nie było czasu na poszukiwania. Urok został już wprawiony w ruch. Jedyne, co mogłam zrobić, to zasłonić go własnym ciałem, tak jak Ben zasłonił Adama przed strzałką.

Nie wiem, dlaczego zadziało. Ktoś mi później powiedział, że nie miało prawa. Kiedy czarowi zostanie nadane imię, przypomina bardziej naprowadzaną raketę niż wiązkę światła. Powinien był mnie ominąć i trafić prosto w Adama.

Przeszedł przeze mnie jak strumień piór, powodując, że zadrzałam i straciłam oddech. Następnie zatrzymał się i znów na mnie spłynął, jak gdyby był roztopionym żelazem, a ja magnezem. Śmiercionośna magia szeptała: „Adamie Hauptman”.

Miała głos. Nie głos Elizawiety, ale kogoś, kogo znałam. Mężczyzny. To nie Elizawietą wypowiadała słowa uroku – to jej wnuk Robert.

Pod ciężarem jego głosu ugięły się pode mną kolana. Czułam się, jakbym oddychała ogniem, i wiedziałam, że nie będę

potrafiła dłużej stanowić dla magii bariery.

– Sam – wyszeptalam. Jak gdyby zmaterializowany moim głosem, Samuel pojawił się tuż przede mną. Myślałam, że jak wszyscy inni przybrał postać wilka, ale się myliłam.

Objął dłońmi moją twarz, która pulsowała od trawiącego mnie żaru.

– Co się dzieje, Mercy?

– Czary – powiedziałam. W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Gdzie ona jest?

Potrząsnęłam głową i wydukałam:

– Robert. To... Robert.

– Gdzie? – zapytał ponownie.

Chciałam powiedzieć, że nie wiem, ale moja ręka powędrowała w górę i wskazała na dach drewnianego domu.

– Tam.

Samuel zniknął.

Jak gdyby w odpowiedzi na mój gest moc uroku zaczęła narastać. Upadłam i przycisnęłam twarz do zimnej ziemi w nadziei, że w ten sposób powstrzymam ogień przed strawieniem mojej skóry. Zamknęłam oczy i ujrzałam skulonego na dachu Roberta.

Z wykrzywioną grymasem wysiłku i pokrytą czerwonymi plamkami twarzą nie przypominał znanego mi przystojnego mężczyzny.

– Mercedes – oddechem wtłoczył imię w czar, który zaczął się rwać jak ogar po złapaniu tropu. – Mercedes Thompson.

– „Mercedes” – szepnął czar, zadowolony. Robert nadał śmierci moje imię.

Wrzasnęłam, kiedy przeszył mnie ból, przy którym złamanie ręki przypominało pieszczotę. Ale nawet pomimo pożerającego mnie ognia wyraźnie słyszałam pieśń. Uświadomiłam sobie, że rzucony przez Roberta urok miał rytm, do którego się poruszałam, cicho nucąc melodię.

Muzyka wypełniła moje płuca, a następnie głowę, tworząc

ścianę, która na chwilę zatrzymała napływające fale płomieni. Czekałam.

I wtedy wysiłki Roberta zostały udaremnione. Chyba na moment straciłam przytomność, ponieważ nagle znalazłam się w ramionach Samuela.

– Są tutaj wszyscy z wyjątkiem jednego – powiedział Sam.

– Tak – w głosie Adama nadal tkwiła moc księżyca.

Zaczęłam się wyrывać, więc Samuel położył mnie na ziemi. Musiałam się o niego wspierać, ale stanęłam na nogi. Tyko my dwoje i Adam przebywaliśmy w ludzkiej postaci.

Wilki jak pluton sfinksów oczekiwały na rozkaz. Na pierwszy rzut oka było ich całe mnóstwo, choć Stado Dorzecza Kolumbii nie liczyło zbyt wielu członków, a stado Gerry'ego jeszcze mniej.

– Kiedy zawołałeś po raz pierwszy, dwa spośród samotnych wilków, te starsze i bardziej dominujące, uciekły. Reszta jest do twojej dyspozycji. Teraz musisz tylko przywołać Gerry'ego – oznajmił Samuel.

– Nie przyjdzie – odrzekł Adam. – Mogę spróbować, ale on nie jest samotnym wilkiem. Należy do Marroka.

– Pozwolisz, że pomogę?

Chociaż Adam przebywał w ludzkiej postaci, jego oczy wyglądały jak wilcze, kiedy błysnęło w nich światło księżyca.

Wyczułam zapach reakcji na pytanie Samuela. Wyczuły go również wilkołaki – niskie warczenie uniosło się ponad ich głowami. Wilki są terytorialne.

Adam wyciągnął szyję. Usłyszałam trzask kości.

– Byłbym wdzięczny – powiedział łagodnie. Chwycił dłoń Samuela, wyprostował się i ponownie zwrócił twarz ku księżycowi.

– Gerry Wallace ze Stada Marroka, wzywam cię, byś stanął twarzą w twarz z tymi, którzy cię oskarżają.

Gerry nie mógł być daleko, ponieważ pojawił się już po chwili. Podobnie jak Samuel pozostał w ludzkiej postaci.

– Gerry, stary przyjacielu, już czas. Podejdź tu.

Łagodne brzmienie głosu Samuela nie zdołało ukryć przede

mną brutalności jego mocy. Ani przed Gerrym, który padł na kolana i z opuszczoną głową czołgał się obok trwających w bezruchu wilków. Już nie walczył.

Zatrzymał się. Myślałam, że będzie co najmniej rozdrażniony – tak jak ja bym była, gdyby zmuszono mnie do zrobienia czegoś wbrew mojej woli. A jeśli nie rozdrażniony, to przerażony. Ale ja nie jestem wilkołakiem. Wyczułam jedynie rezygnację – Gerry przegrał i miał tego bolesną świadomość.

Adam przykucnął, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Dlaczego?

– Z powodu ojca. – Twarz Gerry'ego wyrażała spokój, a jego senny głos trwał we władaniu zewu księżyca. – Umierał. Rak, powiedzieli. Namawiałem, prosiłem i błagałem. Proszę, tato, bycie wilkiem to cudowna rzecz! Chyba zgodził się tylko dlatego, że miał dość mojego głędzenia. Bran go Przeistoczył – ja bym nie potrafił. I z początku wszystko szło dobrze. Po raku nie pozostał ślad.

– Słyszałem – powiedział Adam. – Nie umiał zapanować nad swoim wilkiem.

– Nie chciał. – Wstrząsnął mną dreszcz, kiedy ujrzałam łzy na policzkach Gerry'ego, tak bardzo kontrastujące ze spokojnym głosem. – Nie chciał. Był wegetarianinem i nagle zapragnął surowego mięsa. Próbował nastawić złamane skrzydło ptakowi, który umarł ze strachu przed naturą swego uzdrowiciela.

Bran powiedział, że bycie wilkołakiem łamie mojemu ojcu serce. Tato nie potrafił, po prostu nie chciał zaakceptować wilka, ponieważ nie chciał być drapieżnikiem. Nie chciał być taki jak ja. Adam uniósł brwi.

– Myślałem, że próbowałeś powstrzymać Brana przed ujawnieniem światu naszego istnienia.

Gerry otarł twarz.

– Bran powiedział, że ojciec nosił w sobie zbyt wielką potrzebę dominacji i tylko to pozwalało mu opierać się wilkowi. Ale im bardziej się opierał, tym mniej nad sobą panował. Omal nie zabił mojej siostry.

– Gerry – głos Samuela był stanowczy. – Co to ma wspólnego z Adamem?

Gerry uniósł głowę. Nie mógł spojrzeć w oczy Samuelowi ani Adamowi, więc spojrział na mnie.

– Podczas walki wilk i mężczyzna zostają zjednoczeni. Wystarczy jeden raz, tylko jeden raz i mój ojciec zaakceptowałby własną naturę.

– Nie chciałeś, by Adam z kimkolwiek walczył. To dlatego nie przejmowałeś się tym srebrem, które w niego pompowali. Chciałeś go zabić? – zapytałam.

– Adam musiał umrzeć.

– I nie ma to nic wspólnego z planami Brana? – dociekał Samuel.

Gerry uśmiechnął się do niego.

– Od kiedy nie ludzie wyszli z ukrycia, pragnąłem, by wilkołaki uczyniły to samo. Ale potrzebowałem pieniędzy, żeby zrealizować plan, a wiele wilków ceni anonimowość – i to całkiem wysoko.

Nagle mnie olśniło. Samuel miał rację – Gerry nie był głupi. Wręcz odwrotnie.

– Kupowanie nowych wilków od Leo, eksperymenty z narkotykami, napad na dom Alfy – wszystko to miało dwa cele. Chciałeś pokazać Branowi, że za to wszystko odpowiadałeś, a jednocześnie udowodnić ojcu, że niczemu nie byłeś winny.

Przytaknął.

– Adam musiał umrzeć – ciągnęłam – ale nie mogłeś go zamordować. Dlatego kazałeś pilnować go swoich wilkom. Dlatego trzymałeś się z dala od magazynu. Miałeś nadzieję, że twoi ludzie wpompują w niego wystarczającą ilość srebra, żeby go zabić.

– Tak. Musiał zginąć, ale nie z mojej ręki. Chciałem móc spojrzeć ojcu w oczy i powiedzieć, że nie zabiłem Adama.

Zadrzałam. Było zimno, a złamanie ponownie dało o sobie znać.

– To nie Adam miał walczyć z Branem, tylko twój ojciec.

Liczyłeś, że Bran przyjdzie do twojego ojca, gdy tylko się dowie, co robisz.

– Ojciec zadzwonił do mnie dziś po południu. Bran spytał go o środek obezwładniający i zasugerował, że to ja stoję za napadem na dom Adama. Mój ojciec doskonale wie, że zależy mi na wyjściu z ukrycia. Wie, co sędzę o eksperymentowaniu na zwierzętach i sposobie, w jaki niektóre Alfy wykorzystują nowe wilki. Wie, że nigdy bym się nie targnął na życie Adama.

– Gdyby Adam zginął, Bran kazałby cię zabić. Kazałby to zrobić twojemu ojcu – oznajmił Samuel.

Gerry zaczął się śmiać.

– Nie sędzę. Sędzę, że to Bran by mnie zabił. Miałem taką nadzieję, bo przeze mnie zginęło zbyt wielu niewinnych. Ale mój ojciec nigdy by nie uwierzył, że ja to wszystko zaplanowałem.

– I za to, że Marrok kazał cię stracić za zbrodnie, których nie popełniłeś, rzuciłby mu wyzwanie – w głosie Samuela niemal usłyszałam podziw. – A mój ojciec nie mógłby tego wyzwania odrzucić.

– A gdyby Bran porozmawiał z doktorem Wallace'em przed egzekucją? – zapytałam.

– Niczego by to nie zmieniło – Gerry wzruszył ramionami. – Mój ojciec stanąłby do walki z Branem, by mnie chronić lub pomścić. Był człowiekiem Marroka, zanim jeszcze został wilkiem. Szanował Brana i mu ufał. Na zdradę, a tato tak by to zrozumiał, mógłby zareagować tylko w jeden sposób. Tylko Bran potrafiłby zjednoczyć w moim ojcu wilka i człowieka. Tato go kocha. Gdyby stawiał czoła Branowi w walce, zrobiłby to jako zjednoczona istota. Zjednoczona raz i na zawsze.

– Gdyby doktor Wallace rzucił wyzwanie Branowi, z pewnością by zginął – zauważył Adam.

– Czarownice kosztują – szepnął Gerry. – Na szczęście jest wiele wilków, które chętnie płacą za możliwość ukrywania swoich sekretów.

– Robert w jakiś sposób zapewniłby twojemu ojcu zwycięstwo.
– Podejrzewałam, że Robert robił to dla pieniędzy, ale nie

sądziłam, że mógłby się posunąć tak daleko.

– Wyczuliby narkotyki – powiedział Gerry – ale nie magię. Tylko inny czarownik potrafiłby ją wyczuć.

– Nie tylko – zaprzeczyłam. – Ja również to potrafię. Robertem już się zajęto. Jeśli twój ojciec rzuci wyzwanie Marroкови, to nie Marrok będzie tym, który zginie.

Głowa Gerry'ego opadła.

– W takim razie, Samuelu, proszę cię o jedno. Niech Bran zrobi wszystko, co w jego mocy, by ukryć przed tatą prawdę. Nie chcę mu sprawić więcej bólu, niż to konieczne.

– Masz jeszcze jakieś pytania? – Samuel zwrócił się do Adama. Adam potrząsnął przecząco głową i wstał. – Jest dziś twoim czy moim wilkiem?

– Moim – powiedział Samuel, występując do przodu.

Gerry spojrzał na wiszący nad nami księżyc.

– Proszę. Zrób to szybko.

Samuel wetknął palce we włosy Gerry'ego w łagodnym, niemal kojącym geście. Na jego twarzy malował się smutek: instynkt uległego wilka nakazuje kłaniać się silniejszemu, a instynkt dominującego nakazuje chronić słabszych.

Wykonał ruch tak gwałtowny, że Gerry nawet nie zdążył się zorientować, co zaszło. Samuel rękami uzdrowiciela skrzył mu kark.

Wyciągnęłam sztylet Zee.

– Nie jest srebrny, ale robi co trzeba.

Obserwowałam, jak Samuel upewnia się, że Gerry już nigdy więcej nie otworzy oczu. Nie było to przyjemne, ale konieczne. Nie mogłabym umniejszyć powagi chwili, odwracając wzrok.

– Zadzwoń do Brana, gdy tylko będę mógł – powiedział Sam, wycierając sztylet o nogawkę spodni. – Dopilnuje, żeby doktor Wallace nigdy się nie dowiedział, co spotkało jego syna.



Kilka godzin później Bran i Carter Wallace biegali po lesie. Bran

powiedział, że światło księżyca rzucało refleksy na pękającą pod ich tańczącymi łapami skorupę śniegu. Przebiegli tafłę zamrożonego jeziora i zaskoczyli śpiącą zajęczycę, która mignęła im przed nosami białym ogonem i zniknęła w gęstwinie krzaków.

Pobiegli dalej. Powiedział mi że niebo z dala od świateł miasta pokrywał roziskrzony kobierzec gwiazd. Jeszcze zanim wstało słońce, wilk, który był Carterem Wallaceem, zapadł w sen, zwinięty w kłębek obok swojego Alfy. Nigdy więcej się nie obudził.

Robert nie został stracony – trafił w ręce swojej babki, czego zresztą nie uważał za zbytnią poprawę losu. Elizawieta Arkadiwna nie była z niego zadowolona. Nie miałam jednak pewności, co ją bardziej bolało – to, że jej wnuk zdradził Adama, czy to, że dał się złapać.

Samuel postanowił zabawić w Tri-Cities nieco dłużej. Przez większość czasu ślęczał nad papierami, poszerzając uprawnienia lekarskie na stan Waszyngton. Poza tym pracował na tej samej stacji benzynowej co Warren – i chyba mu się tam podobało.

Oczywiście Bran nie rzucił wilków świata na pożarcie. Nie jest jednym z Szarych Panów, żeby kogokolwiek zmuszać do postępowania wbrew własnej woli. Większość wilkołaków nadal pozostaje anonimowa, chociaż Bran znalazł odpowiednią twarz na plakat.

Nie sposób włączyć telewizji lub otworzyć gazety, by nie natknąć się na wizerunek mężczyzny, który w poszukiwaniu zaginionej rodziny pewnego misjonarza spenetrował obóz porywaczy.

Misjonarz i jego żona zginęli, ale udało się uratować troje dzieci. Na okładkę jednego z kolorowych magazynów trafiło zdjęcie, na którym David Christiansen trzyma to najmłodsze – jasnowłosego niemowlaka o porcelanowej, poznaczonej siniakami skórze. Berbeć wtula głowę w ramię wybawcy, a na twarzy Davida maluje się wyraz takiej czułości, że łzy same napływają do oczu. Ale najlepszą część fotografii stanowi stojący

obok chłopiec o bladej, ubrudzonej twarzy.

Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, pomyślałam, że wygląda na zwyczajnie odrętwiałego, jak gdyby jego przeżycia były zbyt wielkie, by można je znieść, ale potem zauważyłam, że jego dłoń jest wtulona w dłoń Davida, a kłykcie chłopca są białe od siły, z jaką ściska duże palce mężczyzny.



Rozdział 16

Ponieważ mechanik ze złamaną ręką potrafi co najwyżej zawadzać, Zee odesłał mnie do biura, abym posiedziała nad papierkami. Tam też niewiele zdziałalam, ale przynajmniej, jak to raczył ująć stary gremlin, nie jójczyłam mu nad uchem. Milczał na temat sztyletu i nie chciał mi wyjaśnić, kto to był Adelbert i do czego potrzebował pogromu – a ja nie znalazłam niczego w Internecie. Kiedy zaczęłam go naciskać, powiedział tylko tyle, że współczesność ze swą stałą i elektrycznością podoba mu się bardziej niż dawne czasy, kiedy to gremliny, czarodzieje metalu, mogły co najwyżej kuć miecze. Następnie wypędził mnie do biura, a sam wrócił do naprawiania samochodów.

Jestem praworęczna i to właśnie prawą rękę złamałam. Nie mogłam w niej utrzymać nawet kawałka papieru, ponieważ lekarz na pogotowiu nalegał, bym założyła temblak. Nawet klawiaturę komputera musiałam obsługiwać palcami jednej dłoni, przez co każdą pracę wykonywałam boleśnie długo.

Dla rozluźnienia pograłam więc w pasjansa w stylu Vegas i straciłam dwa tysiące wirtualnych dolarów.

Prawdopodobnie nie był to najlepszy moment na odwiedzinę Gabriela Sandovala. Całkiem o nim zapomniałam, a przecież

powiedziałam jego matce, by go przysłała w poniedziałek po szkole.

Czekał, aż wklepię do komputera koszt naprawy ich samochodu i wyznaczę mu godzinną stawkę, która na moje oko wyglądała uczciwie. Musiałby jednak odpracowywać rachunek przez dwadzieścia godzin, a to wydawało mi się nieco zbyt dużo, więc dorzuciłam mu kilka dolców.

Wydrukowałam podsumowanie. Chłopak je przejrzał, a następnie przekreślił pensję i wpisał oryginalną kwotę.

– Nie jestem jeszcze tyle wart – wyjaśnił. – Ale będę, zanim skończy się pierwszy miesiąc.

Spojrzałam na niego badawczo. Nie był wysoki i nie zapowiadało się, że kiedykolwiek będzie, ale mimo młodego wieku miał w sobie coś solidnego.

– W porządku – powiedziałam. – Umowa stoi. Oprowadziłam go po biurze, co trwało całe pięć minut. Następnie kazałam mu usiąść przy komputerze i wprowadziłam go w arkana programu do inwentaryzacji i systemu rachunkowego. Kiedy wyglądało na to, że się mniej więcej połapał, zostawiłam go samego ze stosem papierów.

Wróciłam do warsztatu.

– Myślę, że znalazłam zastępstwo dla Tada – powiedziałam, kciukiem wskazując na biuro. – Kazałam mu się zająć papierami, a on nawet nie burknął.

Zee uniósł w górę brwi.

– Tad nigdy na ciebie nie burczał.

– „Mercy, do jasnej cholery, nie możesz zapamiętać, żeby oddawać mi rachunki w ten sam dzień, kiedy je dostajesz?” – zacytowałam najlepszą imitacją głosu Tada-zrędy, na jaką było mnie stać.

– Można by pomyśleć, że ktoś wychowany pośród wilkołaków rozpozna różnicę między burczeniem a przeklinaniem – zauważył Zee. Odłożył klucz i westchnął. – Martwię się o tego chłopaka. Wiesz, że dostał stypendium tylko po to, by mogli mieć nieczłowieka do wytykania palcami.

– Możliwe – przyznałam. – Będą bardzo zaskoczeni.

– Myślisz, że wszystko u niego w porządku?

– Nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której Tad nie dałby sobie rady. On się niczego nie boi, niczym nie przejmuję i jest przerażająco kompetentny we wszystkim, co robi. – Poklepałam Zee po plecach. Lubiłam patrzeć, jak odgrywa rolę troskliwego ojca. Prowadziliśmy takie rozmowy, od kiedy jego syn udał się na Harvard. Zapisuję ich liczbę i raz w tygodniu mailem informuję o niej Tada.

Usłyszałam zgrzyt zawiasów drzwi biura i machnięciem ręki uciszyłam starego gremlina. Chciałam sprawdzić, jak mój nowy lokaj radzi sobie z klientami.

– W czym mogę pomóc? – powiedział Gabriel gładkim, niskim głosem, który mnie zaskoczył. Nie spodziewałam się, że będzie flirtował.

Wtedy usłyszałam Jesse:

– Szukam Mercy. Nie wspominała, że ma nowego pracownika.

Nastąpiła krótka przerwa, po której chłopak rzucił ostro:

– Kto cię uderzył?

Jesse zachichotała i odpowiedziała bez troski:

– Nie przejmuj się. Mój tata zobaczył siniaka i ten, który to zrobił, już nie żyje.

– To dobrze – odpowiedział Gabriel w taki sposób, jak gdyby mu nie przeszkadzało, że mogła to być prawda. A była.

– Ktoś na mnie czeka w samochodzie. Lepiej pójde porozmawiać z Mercy.

Jesse weszła do warsztatu z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Podoba mi się – oznajmiła. Kiwnęłam głową.

– Mnie też. Ładna fryzura.

W drodze powrotnej z plantacji wstąpiliśmy do Warrena i zastaliśmy Jesse bez taśmy izolacyjnej we włosach – i bez większości włosów. Warren wyglądał.. Cóż, powinien był wyglądać na zakłopotanego, ale na jego twarzy dostrzegłam wyłącznie rozbawienie.

Jesse wywróciła oczami.

– Kto by pomyślał, że gej nie potrafi strzyc. – Przebiegła palcami po trzycentymetrowej długości włosach o pobłyskujących złotem końcówkach. Wyglądała jak podłotek z lat dwudziestych w jednej z tych ozdobionych paciorkami czapek.

– Przecież ci powiedział, że tego nie potrafi – oznajmiłam, kiedy całowała Zee w policzek.

– Naprawiłam je następnego dnia. – Wyszczrzyła do mnie zęby, ale zaraz spoważniała. – Tatko zadzwonił do mamy i opowiedział jej, co się stało. Ze szczegółami.

Znałam matkę Jesse. Rozwiodła się z Adamem cztery lata temu, a Adam mieszkał za moim domem od siedmiu.

– Co powiedziała?

– Że ma mnie odstawić do Eugene najbliższym samolotem i nigdy więcej nie pokazywać się jej na oczy. – Dotknęła ust. – Ona to robi celowo, wiesz. Jakby chciała mu dać do zrozumienia, że on jest tylko zwierzęciem. Jeśli to nie zadziała, wywleka temat czterech poronień, tak jakby jemu nie sprawiły tyle samo bólu co jej. I jakby to była wszystko jego wina. A on za każdym razem to kupuje. Wiedziałam, co mama zamierza zrobić, więc zmusiłam ich, żeby pozwolili mi posłuchać z drugiego aparatu. Chyba miał zamiar przyznać jej rację i odesłać mnie do domu, więc powiedziałam kilka rzeczy, których być może nie powinnam była mówić.

Nie zadawałam pytań. Sama by mi się zwierzyła, gdyby chciała. A najwyraźniej chciała.

– Powiedziałam o jej chłopaku, który próbował wskoczyć mi do łóżka, kiedy miałam dwanaście lat. I o tym, jak dwa lata temu wyjechała na weekend do Vegas, nic mi nie mówiąc. Zrobiło się dość nieprzyjemnie.

– Przykro mi. Uniosła podbródek.

– Mnie nie. Mama pozwoliła mi tu zostać na resztę roku szkolnego, a potem porozmawiają co dalej. Tak czy inaczej, Warren czeka na mnie w samochodzie. Tato powiedział, że minie trochę czasu, zanim odważy się zostawić mnie samą –

przynajmniej tydzień. Mam do ciebie sprawę.

– Wal.

– Tato prosił, żebym wpadła i zapytała, czy nie poszłabyś z nami na kolację. Gdzieś, gdzie jest drogo, „bo jesteśmy ci dłużni”.

– Ja zamknę, a ty idź się porządnie najeść – wtrącił szybko Zee. Nieco zbyt szybko – aż tak nie jójczyłam. Naprawdę.

– W porządku. Wpadnijcie po mnie o... – Przekręciłam prawą rękę. Dopiero uderzenie bólu przypomniało mi, że założyłam zegarek na lewą. Dochodziła czwarta. – O szóstej trzydzieści.

– Przyjedzie na pewno.

Jesse tanecznym krokiem wróciła do biura poplirtować z Gabrielem.

– Idź – ponaglił mnie Zee.

Nie było to takie proste. Musiałam przedstawić mu chłopaka i dokończyć kilka pilnych spraw, aż zrobiła się prawie piąta.

Porwałam portfel z sejfu i już stałam w drzwiach, kiedy mój przyjaciel tajniak z piskiem opon zajechał na parking lśniącym, czarnym mustangiem z lat osiemdziesiątych.

– Tony... – westchnęłam.

Zauważyłam, że nie pozbył się jeszcze przebrania supermacho, kiedy jak sprężyna przeskoczył ponad drzwiami samochodu. Czarne, nieprzezroczyste okulary przeciwsłoneczne sprawiały, że wyglądał zarazem groźnie i seksownie.

– Silnik ci wypadł – powiedziałam.

– Zabawne. – Spojrzał na samochód. – Jeszcze przed chwilą tu był.

– Ha-ha. – Bolała mnie ręka i nie miałam nastroju na głupie żarty. – Lepiej niech ktoś go sprawdzi.

– Co zrobiłaś z ręką? – zapytał. Przypomniałam sobie metodę mówienia prawdy autorstwa Jesse.

– Wilkołak rzucił mnie na stertę skrzyń, kiedy próbowałam uratować młodą dziewczynę z łap złego czarownika i narkotykowego lorda.

– Ha-ha – przedrzeźnił mnie. – Musiało to być coś

niewiarygodnie głupiego, skoro nie chcesz się przyznać.

– Cóż... – odparłam, rozważając jego słowa. – Może „narkotykowy lord” to nieco zbyt mocne określenie. I może powinnam była wspomnieć o przystojnym i seksownym ojcu dziewczyny? Jak myślisz?

– Mercy. – Chwycił mnie za zdrową rękę. – Musimy pogadać.

– Nie mogę gadać. Mam randkę.

– Niezła wymówka. Tylko że odkąd cię znam, nigdy nie byłaś na randce. – Otworzył drzwi biura i delikatnie wepchnął mnie do środka.

Gabriel podniósł głowę znad mojej... swojej papierkowej roboty. Miły uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy.

– Co ty tutaj robisz? – powiedział, wstając. – Puść ją. Natychmiast.

Świetnie. Tylko tego mi brakowało – kolejnego macho w moim życiu, który stawiał sobie za punkt honoru obronę bezsilnej Mercy.

Tony puścił moją rękę. Opadł na jedno z niewygodnych krzeseł, których używam do zachęcania klientów, by znaleźli sobie jakieś zajęcie, kiedy naprawiam im samochody. Nie znoszę świadomości, że siedzą jak na szpilkach tuż za ścianą.

Tony ukrył twarz w dłoniach i zaczął się śmiać albo płakać. W końcu stwierdziłam, że jednak się śmiał. Kiedy podniósł głowę, zaszła w nim jedna z tych niesamowitych zmian – choć częściowo spowodowana faktem, że zgubił okulary. Ale przede wszystkim chodziło o język ciała i wyraz twarzy. Nagle wydał się po prostu dziesięć lat starszy i, z wyjątkiem kolczyków, o wiele porządniejszy.

– Tony? – Gabriel wyglądał na oszołomionego.

– Pracowałem jako tajniak w liceum, tuż pod jego nosem – oznajmił Tony. – Nawet nie zauważył. Mówiłem ci, że większość ludzi nie potrafi mnie rozpoznać.

– Nigdy tego nie podważałam. Uważam, że jesteś dobrym tajnym gliną.

– Hej, Gabrielu, daj nam chwilkę. Mam kilka pytań do Mercy.

– Jasne – chłopak skinął głową i ruszył w kierunku drzwi. Zanim wyszedł, spojrzął za plecy, jakby chciał się upewnić, że Tony nadal tu jest.

– W szkole nieźle załazłem mu za skórę – powiedział Tony, kiedy już zostaliśmy sami. – Ale potrafi o siebie zadbać.

– Naprawdę muszę wracać do domu. Czego chcesz? Podniósł się nieco i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął kawałek papieru.

– Ten dzieciak, który ci pomagał. Mam na jego temat trochę więcej informacji.

Chwyciłam i rozłożyłam kartkę. Nad czarno-białym zdjęciem mMacca widniał napis: zaginiony. Pod spodem umieszczono podstawowe dane – miał szesnaście lat. Żadnych informacji więcej.

– Alan MacKenzie Frazier – przeczytałam.

– Namierzyli go na podstawie telefonu, który w zeszłym tygodniu wykonał do rodziny.

Pokiwałam głową i kontynuowałam okłamywanie Tony'ego przy pomocy prawdy.

– Dokładnie tydzień temu zapytał, czy może wykonać zamiejscową. Pracował cały ten dzień, ale od tamtej pory się do mnie nie odezwał.

Bran obiecał wszystkim się zająć. Wiosną turyści mieli odnaleźć szczątki Macca, dzięki czemu jego rodzice nie będą musieli wiecznie czekać przy telefonie. Nie było to dużo, ale nic więcej nie mogłam zrobić.

Wymagało to nieco szarpaniny i pomocy Samuela, ale jakoś zdołałam się umyć, ubrać i upiększyć na kolację z Adamem i Jesse, na którą przyszedł Adam, bez Jesse. Dziewczyna oznajmiła, że nie czuje się najlepiej, i została w domu, gdzie wraz z Darrylem i Auriele oglądała film. Warren wyszedł na randkę z Kyle'em.

Adam rozluźnił się pod wpływem dobrego jedzenia i dobrej muzyki. Pod maską apodyktycznego, wybuchowego Alfego, którą zazwyczaj przywdziewał, krył się czarujący, apodyktyczny i wybuchowy mężczyzna. Bawiło go odkrywanie, że jestem

uparta i nie mam szacunku dla władzy, o co zresztą zawsze mnie podejrzewał.

Zamówił deser, nie pytając mnie o zdanie. Może i byłabym zła, ale do stolika przyniesiono coś, na co sama nigdy bym sobie nie pozwoliła: czekoladę, karmel, orzechy, lody, prawdziwą bitą śmietaną i obfitujące w bakalie ciasto.

– Więc – zaczął, kiedy pochłonęłam ostatni okruszek. – Czy zostało mi wybaczone?

– Jesteś arogancki i przekraczasz własne granice – wycelowałam w niego widelec.

– Staram się – odparł z fałszywą skromnością. Jego oczy pociemniały, kiedy wyciągnął rękę ponad małym stolikiem i kciukiem przesunął po mojej wardze. Patrzył mi w oczy, oblizując palec.

Grzmotnęłam pięścią w stół i pochyliłam się w jego stronę.

– To nie fair. Z przyjemnością zjem twój deser, ale nie możesz wykorzystywać seksu, żeby mnie ułagodzić.

Wybuchnął jednym z tych śmiechów, które zaczynają się w brzuchu i wzbierają do klatki piersiowej: taki rodzaj swobodnego śmiechu szczęścia. Ponieważ jak dla mnie wszystko działo się zbyt szybko, postanowiłam zmienić temat:

– Podobno Bran kazał ci mnie pilnować.

Adam przestał się śmiać i uniósł brwi.

– Tak. A teraz zapytaj, czy to dlatego cię obserwowałem.

Podchwytliwe pytanie. W oczach Adama widziałam rozbawienie. Zawahałam się, ale w końcu postanowiłam zaryzykować.

– Czy obserwowałeś mnie dlatego, że Bran ci kazał?

– Kochanie – zaczął przeciągać samogłoski, powracając do południowych korzeni. – Kiedy wilk obserwuje owieczkę, nie myśli o mamie owieczki.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Bran w roli mamy owieczki wyglądał zbyt zabawnie.

– Marna ze mnie owieczka...

Adam uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Najwyższy czas

znów zmienić temat, pomyślałam, biorąc łyk lodowatej wody.

– Warren mówi, że zaakceptowałeś naszego ulubionego seryjnego gwałciciela jako członka stada.

– To nie on odpowiadał za gwałty w Londynie.

Nie usłyszałam zawahania w głosie, co oznaczało, że Adam zaprosił Bena do swojego konfesjonału i okazało się, że tego grzechu Ben na sumieniu nie ma. Usłyszałam jednak irytację i nie mogłam się oprzeć, by nie pociągnąć tematu.

– Sprawa ucichła, kiedy wyjechał.

– Dwa razy przyszedł z pomocą, a za drugim razem równie dobrze mógł dostać kulka, a nie środkiem odurzającym. Ludzie Gerry'ego strzelali srebrem – warknął Adam, zniecierpliwiony.

Uśmiechnęłam się, a on zde gustowany zmiął serwetkę w kulka.

– Twoja kolej – rzucił.

– Założę się, że nie pozwoliłbyś Jesse umówić się z nim na randkę – skwitowałam z zadowoloną miną.

Kiedy podjechaliśmy pod mój dom, wysiadł z samochodu i otworzył mi drzwi. Może zrobił to dlatego, że ze złamaną ręką sama nie dałabym rady, ale pomyślałam, że raczej jest to jedna z tych rzeczy, które robi zawsze.

Odprowadził mnie na werandę i objął dłońmi moją twarz.

Zerknął na księżyc, który był niemal w pełni. Kiedy znów na mnie spojrzął, w jego brązowych oczach tańczyły złote refleksy.

Na początku jego miękkie usta muskały moje niepewnie. W końcu jednak przestałam się opierać i pozwoliłam, by mnie do siebie przyciągnął. Z jego piersi wydobył się niski śmiech. Pocałował mnie naprawdę.

Z dzielącą nas złamaną ręką na temblaku nie było mowy o zaangażowaniu w pieśczo ty całego ciała, pozostawały tylko usta i dłonie. Bogata i zarazem subtelna woń wody kolońskiej mieszała się z egzotycznym zapachem jego skóry.

Adam odsunął głowę. Położyłam mu dłoń na policzku, napawając się drapaniem jego brody i łomotaniem własnego

serca. Zapanowała cisza, cisza i coś niepewnego oraz nowego.

Wtedy otworzyły się drzwi, zza których wychynęła głowa mojego nowego współlokatora, uśmiechniętego od ucha do ucha.

– Cześć. Już skończyliście? Zrobiłem gorącej czekolady. Domyśliłem się, że Mercy nie będzie miała na sobie zbyt wiele – ale pewnie zadbałeś, by nie zmarzła.

Samuel zachował się po barbarzyńsku, kiedy wróciłam z warsztatu i oznajmiłam, że idę z Adamem na kolację. Musiałam mu dość dosadnie przypomnieć, że nie ma do mnie żadnego prawa, już nie. Może ze mną mieszkać, dopóki nie znajdzie sobie własnego lokum, ale nie może decydować, z kim się umawiam.

Gdybym wtedy przypuszczała, że to naprawdę będzie randka, byłabym dla niego miłsza. Wiedziałam, że Samuel nadal się mną interesował – a jakaś część mnie nadal go kochała.

Kiedy zadzwoniła Jesse-swatka, by mi powiedzieć, że jej ojciec już jedzie i że bym się o nią nie martwiła, bo wszystko z nią w porządku, Samuel pełnym godności krokiem oddalił się do swojego pokoju. Kiedy jednak próbowałam założyć sukienkę, przyszedł mi pomóc. Sama bym sobie poradziła, choć bez wątpienia manewrowanie solidnie usztywnioną ręką, opłataną dziesiątkami pasków łatwiej przychodziło za pomocą trzech dłoni niż jednej. I to nieprawda, że zawodziłam z bólu.

Samuel nie wyglądał na uszczęśliwionego, kiedy wychodziłam, ale nie mogłam dopuścić, by poczucie winy wzięło nade mną górę. Nie prowadzę gierki z osobami, na których mi zależy, i nie pozwalam, by one prowadziły gierki ze mną. Obiecałam Samuelowi, że nie będę uprawiać seksu z Adamem, tak samo jak nie będę tego robić z nim. A przynajmniej dopóki nie zyskam pewności, co ja czuję i co czują oni.

Nie powinnam była zostawiać Samuela sam na sam z czarnymi myślami. Powinnam za to była powiedzieć Adamowi znacznie wcześniej, że mam w domu dodatkowego lokatora. Nie sądziłam jednak, że ten wieczór tak się skończy.

Zatem Adam został zaatakowany z zaskoczenia przez Samuela, kochanka na stanie.

– Nieładnie, Samuelu – powiedziałam i zwróciłam się do Adama. – Będzie tu mieszkać, dopóki nie znajdzie sobie własnego lokum. Co powinno nastąpić już wkrótce – dodałam, rzucając Samuelowi znaczące spojrzenie.

– Myślałem, że praktykuje pan w Montanie, doktorze Cornick. – Adam wypuścił mnie z uścisku, ale położył rękę nisko na moich plecach – jeden z tych gestów oznaczania własności między facetami.

Samuel skinął głową i przytrzymał dla nas drzwi. Gdy tylko znaleźliśmy się w zamkniętej przestrzeni salonu, poczułam moc promieniującą od obydwu wilkołaków.

– Pracowałem w klinice na zmianę z trzema innymi lekarzami – wytłumaczył Sam, prowadząc nas do kuchni. – Nikt nie ucierpi z powodu mojej nieobecności. Już raz opuściłem Aspen Creek i teraz, kiedy wróciłem, nie mogę sobie znaleźć tam miejsca. Więc pomyślałem, że spróbuję bliżej Teksasu.

Adam chwycił filiżankę i dmuchnął w czekoladę, zadumany.

– Chcesz powiedzieć, że prosisz o zgodę na dołączenie do mojego stada?

Nieschodzący z twarzy Samuela uśmiech poszerzył się.

– Nawet o tym nie marzę. Zamierzam zostać samotnym wilkiem. Prawdopodobnie w tym tygodniu dostaniesz od Brana oficjalny list w tej sprawie.

Pozwoliłam im pobyć sam na sam z ich problemami. I tak nie zwracali na mnie uwagi. Nie mogłam tak łatwo samodzielnie ściągnąć sukienki, więc wciągnęłam na nią bluzę, która zakrywała złamaną rękę i pełne pasków narzędzie tortur. Z butami było gorzej, ale znalazłam parę starych tenisówek, których wcześniej nie odsznurowałam, i udało mi się wcisnąć w nie stopy.

Kiedy wróciłam do salonu, byli pogrążeni w jednej z tych uprzejmych, acz śmiertelnie niebezpiecznych konwersacji, które zazwyczaj źle się kończą. Zamilkli, kiedy otworzyłam drzwi i ponownie oddali się rozmowie, gdy tylko je za sobą zatrasnęłam.

Musiałam wziąć furgonetkę, ponieważ Królik nie miał wspomagania kierownicy. Zatrzymałam się kilka kilometrów od domu, żeby zadzwonić.

– Stefan? Twoje części przyszły. Mam złamaną rękę, więc będziesz musiał osobiście odwalić całą robotę. Zrobię ci szybki kurs instruktażowy.

– Jak złamałaś rękę, Mercy? – zapytał wampir.

– Wilkołak rzucił mnie na gigantyczną pakę, kiedy próbowałam uratować przerażoną nastolatkę, która została porwana przez złego czarownika i narkotykowego lorda.

– Brzmi interesująco. Spotkamy się w warsztacie.

Widzicie. Niektórzy mi wierzą.



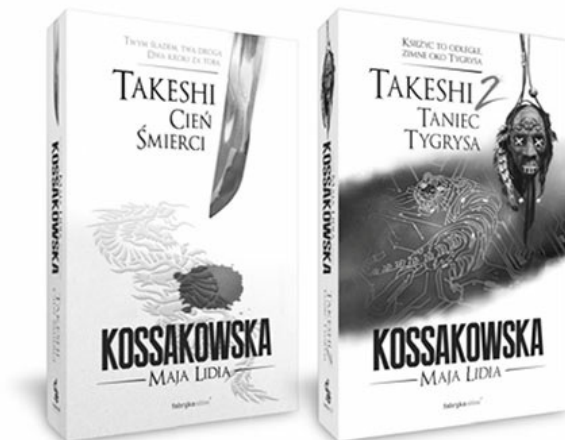
Aneta Jadowska Seria o Dorze Wilk

Oto Dora Wilk – policjantka i wiedźma w jednym.

Do obu stron osobowości podchodzi śmiertelnie poważnie, przez co ma ręce pełne roboty i podwójną porcję kłopotów. Razem z ekipą do zadań specjalnych – aniołem i diabłem – wkracza do akcji. Jedno jest pewne – nie będzie grać zgodnie z regułami.

Dora Wilk jak magnes przyciąga kłopoty, wariatów i męskie spojrzenia. Łamie regulaminy, szuka przyjaźni w dziwnych miejscach, a od losu dostaje przeciwników wyłącznie potężnego kalibru.

1. Złodziej dusz
2. Bogowie muszą być szaleni
3. Zwycięzca bierze wszystko
4. Wszystko zostaje w rodzinie
5. Egzorczy Dory Wilk
6. Na wojnie nie ma niewinnych



Maja Lidia Kossakowska
Takeshi. Cień Śmierci
Takeshi 2. Taniec Tygrysa

**Porywające, pełne intryg starcie klanów
podkreślone szkarłatnym cięciem katany.
Kadr wycięty z „Kill Billa”.**

To nie kliwa historia o walce z przeznaczeniem, wręcz przeciwnie – czytelnik ma do czynienia z porywającą opowieścią o lojalności, zdradzie i honorze. Zręczne połączenie cyberpunku z tradycyjną japońską kulturą samurajów w moim przekonaniu stanowi propozycję nie do odrzucenia. Szczerze polecam, bo na taką powieść warto wydać każde pieniądze.

Patrycja „Pattyczak” Wołyńczuk
efantastyka.pl

COPYRIGHT © 2006 BY Hurog, Inc.
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2008
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Ilona Romanowska, 2008

TYTUŁ ORYGINAŁU Moon Called

WYDANIE III

ISBN 978-83-7574-222-0

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI black gear Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA OKŁADCE © Dan Dos Santos

REDAKCJA Łukasz Małecki

KOREKTA Ewa Hartman, Marta Kisiel

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

PATRICIA BRIGGS

ZEW KSIEZYCA



Wilkołaki mogą być niebezpieczne, gdy wejdiesz im w drogę. Wystarczy jednak zachować ostrożność, a – raczej – nie zrobią ci krzywdy. Bez trudu ukrywają swoją naturę przed ludźmi. Tylko że ja nie jestem człowiekiem. Potrafię je rozpoznać, a one rozpoznają mnie.

TA OPOWIEŚĆ PRACUJE JAK DOBRZE WYREGULOWANY SILNIK.

Seksowny sąsiad Mercedes Thompson jest... wilkołakiem. Mercedes w swoim warsztacie próbuje naprawić furgonetkę, która przypadkiem należy do... wampira. Z drugiej strony, sama Mercy też nie jest całkiem zwyczajna, a jej związek ze światem istot ożywających nocą nieuchronnie pakuje ją w kłopoty.



fabryka słów[®]
WYDAWNICTWO

fabrykaslow.com.pl



Polub nas na
facebooku